

RADOSŁAW
BUDKIEWICZ

WŚRÓD
SOSNOWYCH
DRZEW



**RADOSŁAW
BUDKIEWICZ**

**WŚRÓD
SOSNOWYCH
DRZEW**



WYDAWNICTWO DLACZEMU

dla•czemu

www.dlaczemu.pl

Dyrektor wydawniczy: Anna Nowicka-Bala
Opieka wydawnicza: Katarzyna Mróz-Jaskuła
Redakcja: Ewa Hoffmann-Skibińska
Korekta językowa: Dominika Surma
Projekt okładki: Agnieszka Zawadka
Skład i łamanie: Katarzyna Mróz-Jaskuła

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
WARSZAWA 2023

Wydanie I

ISBN: 978-83-67691-14-7

Zapraszamy księgarnie i biblioteki do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami. Dodatkowe informacje dostępne pod adresem: kontakt@dlaczemu.pl

Jak zawsze, dla mojego taty

Rozdział 1

Nocny marazm zburzył ryk silnika pędzącego automobilu. Zielonkawy studebaker commander z dwudziestego ósmego roku ściął zakręt i zjechał z asfaltowej, ciągle lśniącej od deszczu drogi, przyspieszając. Koła zabuksowały na błotnistej, nierówno wysypanej żwirem alejce. Zarzuciło mocno tyłem, kierowca zaklął, walcząc z maszyną. Spieszył się i wyciskał ze starego automobilu, ile tylko się dało, nie bacząc na niebezpieczeństwo związane z tak dużą prędkością.

Na szczęście szybko odzyskał panowanie nad studebakerem.

Światło padające z reflektorów na jedną krótką chwilę omiotło starą, drewnianą tabliczkę ostrzegającą wszystkich, że wkraczają na teren wyrębu lasu. Oficjalnie wstęp był tylko dla pracowników tartaku Daugherty & Co. Nieoficjalnie wchodzili tam wszyscy, którzy chcieli.

Ochrona i tak tego nie pilnowała. Zakład chylił się ku upadkowi, a recesja tylko pogarszała sytuację. New Deal, tak szumnie zapowiadany przez prezydenta Roosevelta Nowy Ład, tylko odwlekał nieuniknione. Bogacze sobie radzili, biedota dostała wsparcie, ci pomiędzy... Cóż, kapitalizm bywa krwiożerczy. Stan tartaku doskonale o tym świadczył. Dawniej o każdej porze dnia i nocy coś się tu działo.

Teraz... nic.

Dla kierowcy i pasażerów – no, prawie wszystkich pasażerów – nieczynny tartak i las za nim były jednak odpowiednim miejscem. Idealnym wręcz. Odosobnionym, ale dostatecznie bliskim. Znanym wszystkim, ale przez wszystkich unikany.

Automobilem jechało ściśniętych pięć osób. Trzech mężczyzn, milczących i poważnych, ubranych w coś, co przypominało mnisie habity. Z dwóch kobiet tylko pierwsza miała na sobie coś podobnego do stroju mnicha czy zakonnicy, jednak znacznie bardziej bogato zdobionego, druga zaś była boso, w prostej, jasnej koszuli nocnej, z jutowym workiem na głowie, spętana sznurem.

Jako jedyna miała ciemniejszą skórę.

Szlochała cicho, przyciskając dłonie do wydatnego, ciężowego brzucha. Przysłuchiwała się wszystkim dźwiękom, jakie nieprzerwanie płynęły obok – coś innego miała do roboty? Modlitwy zaprzestała już jakiś czas temu. Jedyne troska o nienarodzonego jeszcze syna lub córkę powstrzymywała ją od głośnego wybuchu płaczu i wycia w rozpacz.

Chciała zawołać męża, ale nie potrafiła się zmusić do wykrzyczenia jego imienia. Zasnęli razem, wtuleni w siebie, ciesząc się ciepłem ciała w tę zimną noc. Czuła się dobrze, szczęśliwa i bezpieczna w jego ramionach. Była spokojna, śpiąca, a potem... Nagle, brutalnie wszystko się urwało.

Wiedziała, że jego też zabrali, widziała, jak jakiś przysadzisty mężczyzna z bokobrodami (łudzko podobny do właściciela jedynego w miasteczku kina!) uderza go kolbą rewolweru w głowę, zarzuca na czerep worek i wyciąga z domu, ale potem ona też została tak potraktowana. Potem była tylko ciemność. Bólu uderzenia nie zapomni nigdy.

Bała się, że tępe pulsowanie na potylicy to tylko początek. Zwłaszcza że gdy wepchnęli ją do automobilu – ich własnego wozu! – usłyszała tylko głuchy, nieprzyjemny dźwięk

przywodzący na myśl stłumiony wystrzał. Nie chciała jednak dociekać, co to mogło być. Wolała trwać w niepewności, niż poznać brutalną prawdę.

Bała się jej, a strach był obezwładniający. Paraliżował.

Pojawiła się też upiorna myśl dotycząca jej brata. Nie wrócił do domu na noc, ale z drugiej strony, często tak robił. Spędzał całe dnie i noce u swoich koleżków, pijąc. Jedyne szacunek do więzów krwi nie pozwalał jej wyrzucić tego pijusa na bruk. Oddałaby jednak wszystko, by teraz mieć obok brata, męża. Kogoś, komu mimo wszystko ufała. Kogo kochała.

Była bowiem sama. Zdana tylko na siebie i na łaskę porywaczy. Poruszyła się lekko, na tyle, na ile pozwalał gruby, konopny sznur krępujący ręce w nadgarstkach i nogi w kostkach. Siedzący po jej bokach mężczyźni na szczęście nie zareagowali.

Westchnęła więc ciężko, próbując opanować drżenie. Było jej zimno. W końcu to jesień, ale przetaczająca się przez jej ciało fala dreszczy miała swe źródło w strachu. W czystej, nieposkromionej grozie. Bogu dzięki, że miała na głowie ten worek! Gdyby miała spojrzeć w twarz porywaczom, pewnie by zaczęła krzyczeć. A wtedy nie wiadomo, jak mogli się zachować. Do czego byli zdolni.

– Zjedź tutaj, za tymi ciężarówkami. – Kobiety, nieco zachrypnięty głos wydał polecenie. Automobilerem lekko szarpnęło, a ciężarna zrozumiała mniej więcej, gdzie jest. Jedynym miejscem w całym Pine Hills, gdzie parkowano ciężarówki, był plac w pobliżu tartaku.

Gdzieś tutaj leżały powalone i ścięte pnie. Ziemia była pewnie oczyszczona z drzew; musiały też być prowizoryczne baraki i domki, wysoki płot lub inne ogrodzenie sprzed kilku czy kilkunastu lat, z drutem kolczastym na samej górze. Czy to tutaj ją wieźli? Po co? W jakim celu? I gdzie jest jej mąż? Co się z nim stało?

Co się z nią stanie? Te pytania zaprzętały głowę młodej dziewczyny, zatrzymały wspólnie z panicznym strachem. Wyrwana ze snu, półprzytomna, uderzona, nie miała nawet okazji przyjrzeć się swoim porywaczom. Wiedziała tylko, że są mężczyznami. Białymi, trzeba dodać. Jednego niby kojarzyła jako kiniarza, ale pewności nie miała.

Nie miała nawet pojęcia, że jest z nimi kobieta, dopóki ta się nie odezwała! Wszystko stanowiło straszną tajemnicę, której rozwikłania bała się jednak jeszcze bardziej. Podejrzała nawet, że to koszmarny, wyjątkowo realistyczny sen, normalna rzecz na tak późnym etapie ciąży, ale rzeczywistość była znacznie bardziej upiorna. Ból wrzynającego się w skórę sznura i smród starego worka były prawdziwe.

Kierowca nagle zwołnił.

Odczuła aż za dobrze utratę prędkości i poleciała trochę do przodu. Studebaker zjechał z błotnistej, nierównej i niedbale utwardzonej alejki na dróżkę wyjeżdżoną przez drwali. Kilkanaście minut później i ta dróżka zniknęła, ustępując miejsca leśnym ostępom, dzikim, nietkniętym przez ludzi.

Automobil najwyraźniej zagłębiał się coraz dalej w las, gdzie drzewa rosły gęściej. Silnik ryczał wściekle, opony buksowały na błocie i ziemi, maszyną miotało na lewo i prawo.

Oddalali się od miasta. Od tartaku. Tego była już pewna. Słyszała, jak gałęzie stukają w karoserię, uderzały o szyby. Korzenie wprawiły pojazd w nieprzyjemne drżenie, w końcu coś głośno zgrzytnęło – porwana poczuła irracjonalne oburzenie, że tak brutalnie obchodzą się z samochodem jej męża.

Po kolejnych długich minutach studebaker znów skręcił, tym razem jednak zaczął mozolną, niespieszną wspinaczkę po łagodnym wzniesieniu. Gdy dotarli do szczytu, kierowca

przyspieszył; skrepowana poczuła nieprzyjemny ucisk, a potem pustkę w żołądku, gdzie środek ciężkości gwałtownie się zmienił.

Minął kolejny kwadrans i – wreszcie! – studebaker najwyraźniej dotarł do celu, jakikolwiek by on nie był. Silnik dalej pracował, miarowo i spokojnie, ale pojazd łagodnie się zatrzymał. Wokół kobiety zapanowało poruszenie, lecz nikt się nie odzywał. Drzwiczki się otworzyły, wpuszczając do środka nocny, jesienny chłód. Z samochodu wyszli wszyscy oprócz porwanej – chwilę później i ona opuściła ciepłe wnętrze. Momentalnie poczuła dreszcze i kąsanie zimnego wiatru.

Porywacze zachowywali się zaskakująco grzecznie i uprzejmie, co stanowiło nie lada kontrast w porównaniu ze zwierzęcą wręcz agresją w domu. Posadzili ją na miękkim, o dziwo suchym piachu przypominającym w dotyku popiół. Zanim jednak zdołała się podnieść, ktoś zerwał jej worek z głowy. Zamrugała, rozglądając się niepewnie dookoła. Poczuła się zagubiona jak jeszcze nigdy w życiu.

Nie wiedziała, gdzie jest.

Ciągle była noc, zimna i mglista. Wszystko otaczała ściana drzew. W oddali, na tle czarnego nieba, widniał zarys masywu górskiego. Appalachy były normalnym widokiem w Pensylwanii, podobnie jak lasy, więc mogła być wszędzie. I nigdzie. Zdała sobie sprawę, że gdzieś jest tartak, ale jechała tyle czasu... Obróciła się na piachu, chcąc lepiej poznać ten teren.

Polana nie była duża. W jej centralnym miejscu znajdował się sękaty pień jakiegoś potężnego niegdyś drzewa, teraz jednak był czarny i martwy, wypalony. Wokół niego widniała goła ziemia pokryta sytkim, szarawym... nie, czarnym niemalże piachem, istotnie przypominającym popiół.

Nawet rosnące wokoło sosny i świerki, klony i dęby wydawały się być mizerne, chore, tak jakby przez tę część pensylwańskiego lasu przetoczył się okrutny pożar. Dopiero dalej, wyciągając wzrok, mogła dostrzec żywe i mokre od niedawnych deszczy gałęzie.

Na niektórych z nich, jeśli dobrze widziała, zwisały dziwne, geometryczne figurki z patyczków, obwiązane szmatkami i sznurkami. Wyglądały jak trójkąty, może coś takiego, a w środku był jakaś upiorna postać, ale nie widziała dobrze, co to jest.

Co tu się stało? Na jedną chwilę zapomniała o grozie sytuacji i górę wzięła jej wrodzona ciekawość.

Obróciła się znów, patrząc tym razem na trzech mężczyzn. Przeszli przez smugi światła padające z reflektorów i dostrzegła ich białe, powłóczyste szaty. Poczuła ukłucie lęku, ale nie chciała wierzyć w to, co widzi. To nie mogło być możliwe. Nie tutaj, nie teraz.

Z przestrachem patrzyła, jak jej porywacze, nie spiesząc się, założyli spiczaste kaptury. Potem nasunęli na twarze puste, blade – białe? – maski, chociaż do Halloween były jeszcze dobre trzy tygodnie. Jeden udał się na tył samochodu, do bagażnika.

Dwóch pozostałych – wyższy i niższy, tylko tak można było ich rozróżnić – stanęło obok siebie i szeptało, a spętana jak zwierzę poczuła nieprzyjemną, ciężką kulę lodu spływającą na dno żołądka. Ku Klux Klan w ciągu ostatnich lat tracił na znaczeniu; nikt nie spodziewał się, że jego członkowie znowu zaczną porywać ludzi i linczować ich. Zwłaszcza w takim miejscu jak Pine Hills! Przecież to małe miasteczko!

– Nie! – krzyknęła, próbując się odsunąć. – Litości, proszę, już nawet nie chodzi o mnie, tylko o moje dziecko! – wołała rozpaczliwie. Na nikim nie robiło to jednak wrażenia, a już zwłaszcza na czwartej osobie wysiadającej ze studebakera. Oprócz samej ofiary była jedyną

w tym lesie kobietą. Zaryzykowała więc i odwołując się do kobiecej natury i solidarności, ponowiła próbę.

– Proszę! Zrobię wszystko, tylko nie róbcie mi krzywdy! Nie róbcie krzywdy mojemu maleństwu, nie jest niczemu winne... – krzyczała, prosiła, błagała, a potem głos się jej urwał, gdy zrozumiała, kim ona jest. Znała ją! Znała jej miłą, bladą twarz! Kojarzyła jej krótkie, brązowe włosy, delikatnie podkreślone, budzące zazdrość u każdej kobiety! Dopiero teraz rozpoznała ten charakterystyczny akcent!

– Boże, nie... – szepnęła, szarpiąc więzy. Szatynka machnęła tylko ręką w kierunku porwanej. Podobnie jak jej towarzysze założyła spiczasty kaptur i bezosobową maskę z wąskimi szparami na oczy, nad którymi widniały małe haczyki, niby rogi. Wtedy dwóch mężczyzn podniosło sprawnie ciężarną, ciągnąc ją w stronę pniaka. Kobieta w kapturze i masce pomagała koledze przy bagażniku, szepcząc bez ustanku.

Chwilę później na polanie zapłonął krzyż, oświetlając wszystko czerwienią i pomarańczą. Opary mgły trzymające się granicy drzew cofnęły się pod wpływem ciepła i światła w jakiś nieznany nauce sposób. Ciemnoskóra kobieta – dziewczyna właściwie, mogąca mieć nie więcej jak dwadzieścia, może dwadzieścia parę lat – leżała na pniaku, walcząc bez powodzenia z krępującymi ją więzami. Zaciśnęła mocno powieki, mamrocząc pod nosem, że to tylko zły sen. Koszmar.

Wsluchując się w przytłumione, ciche rozmowy była bliska omdlenia ze zgrozy, w końcu jednak zmusiła się do rozchylenia powiek. Patrzyła na płonący krzyż i na swoich oprawców w białych szatach. Dopiero po chwili poczuła, jak coś ściska jej gardło.

Myliła się.

Och Boże, jak bardzo się myliła! Zrozumiała, że to nie byli członkowie Ku Klux Klanu. Po nich przynajmniej wiedziała, czego się spodziewać, rozumiała ich pokretną logikę, którą przecież kierowała nienawiść i strach właśnie. Ale ci ludzie? Te maski? Zdobienia na szacie kobiety? Stojący w płomieniach krzyż, tak podobny, ale zarazem inny? Teraz lęk przed nieznanym na nowo wypełnił jej umysł, podsuwając coraz to straszniejsze i upiorniejsze wizje.

Nie zwracali też na nią uwagi. O dziwo, byli zajęci płonącym krzyżem, który po dłuższym i dokładniejszym przyjrzeniu okazywał się być czymś mającym tylko podobny do krzyża kształt, ramiona bowiem zwisały nieco w dół, a na rozwidlonym szczycie widniało coś, co przypominało zwierzęcą, rogatą czaszkę z dopalającymi się resztkami futra i skóry. Koza albo byk, nie miało to jednak znaczenia. Ciężarną zemdlilo, odwróciła więc głowę, patrząc w czerni lasu.

Przez moment miała wrażenie, że coś się poruszyło między drzewami.

Wtedy usłyszała zduszony jęk pełen bólu. Zaciśnęła mocniej powieki. Nie widziała zatem, jak jeden z mężczyzn zdejmując zwierzęcą czaszkę z płonącego drewna i, trzymając ją za rogi, wznosi wysoko ku górze i intonuje jakąś pieśń w obcym jej języku. Nie dostrzegła, jak kobieta odrzuca kaptur, a słaby wiatr unosi jej brązowe, kręcone włosy w powietrzu. Nie patrzyła, jak mężczyzna przykłada rozgrzane kości do kobiecej maski.

Nie mogła jednak pozbawić się zmysłu słuchu.

Starła się ze wszystkich sił, ale słyszała trzask ognia, cichy jęk oparzonego i jego ciężki oddech, a także – o zgrozo – śpiewy. Śpiewy przywodzące na myśl niedzielne msze, gdy wierni wraz z księdzem modlą się i śpiewają ku chwale Boga. Nie raz i nie dwa uczestniczyła w mszy w kościele Świętego Jana, słuchając chóru, ale to... to były okrutne dźwięki. Było w tym

parareligijnym zaśpiewie coś nieprzyjemnego, bluźnierczego, od którego ciężarna czuła się tylko coraz gorzej.

– Błagam – szepnęła, widząc, jak kobieta w masce i wiszącej nań czaszce podchodzi z wolna do pniaka.

– Nie błagaj – odparła cicho, z o dziwo wyczuwalnym żalem. – Przepraszam, że padło na ciebie, naprawdę, ale nie mam wyjścia. Muszę to zrobić. Dla nas wszystkich.

– Proszę! Ja nic nie zrobiłam! – Kolejna próba przemówienia do rozsądku spełzła na niczym. Kobieta stojąca przed swą ofiarą podeszła jeszcze bliżej, nachyliła się. Czarnoskóra szarpnęła ciałem i odwróciła głowę; nie chciała patrzeć w kościane, czarne od płomieni oblicze.

– Kochanie, oddałaś się swojemu mężowi. Pozwoliłaś, by w twoim ciele rośło prawdziwe zło. Zrobiłaś więcej, niż sobie wyobrażasz, i właśnie dlatego to musisz być ty. – Słowa zmroziły ciężarną. – Przepraszam, naprawdę. Gdyby nie ty, to z pewnością inna zajęłaby twoje miejsce, uwierz mi – dodała po chwili drżącym głosem. Spętana ofiara, bo tymże najpewniej była, słysząc te słowa zapłakała, rzucając się na niewygodnym, wypalonym pniaku. Szatynka machnęła znów ręką i wszyscy mężczyźni dopadli do czarnoskórej niby sępy, rozcinając jej więzy. Potem każdy z nich złapał biedaczkę za rękę lub nogę.

– Jesteśmy gotowi.

– Pospiesz się.

– Wierzę w ciebie. Dasz sobie radę.

– Dam – szepnęła po raz kolejny kobieta, dotykając w nad wyraz czuły sposób policzka ciężarnej. Cofnęła się o krok i odwróciła do krzyża, gdy ofiara – bo tak należałoby określić przyszłą matkę – znowu zaczęła krzyczeć i prosić. Zaintonowano kolejną dziwną pieśń w obcym języku, ignorowano jęki.

Kobieta spośród fałd szaty wyciągnęła nieduży nóż; czarnoskóra pisnęła przerażona i natychmiast przestała się wydzierać. Patrzyła jak zahipnotyzowana. Broń ta wyglądała na zwykłe kuchenne narzędzie, ale im dłużej ciężarna się przyglądała, tym większe miała obawy.

Spostrzegła symetryczną, acz nieregularną klingę pokrytą jakimiś dziwnymi znaczkami. Część z nich, co ze zgrozą musiała przyznać, zdawała się poruszać w rozedrganym świetle płonącego krzyża. Rękojeść natomiast była wykonana z wykrzywionego rogu jelenia, bladego jak sama kość. Zauważyła ten detal tylko dlatego, że dłoń kobiety w masce zaczęła drżeć, podobnie jak jej głos, gdy szeptała coś sama do siebie. A potem wyrwał się z jej gardła jęk bólu, gdy przesunęła ostrzem po wnętrzu lewej dłoni; na ziemię spadło kilka kropli krwi.

– Matko! – zawołali mężczyźni, trzymając mocno barki i ramiona ciężarnej.

– Matko, wzywam cię! Przyjmij ofiarę tę i spełnij nasze skromne prośby! Matko, starsza, mądrzejsza i płodniejsza niż ludzkość, usłysz nas, objaw się nam, prosimy i błagamy... – Szatynka mówiła coraz głośniejsze, aż w końcu prawie krzyczała. Porzuciła też zrozumiały, angielski język, przechodząc płynnie w inny, obcy dialekt. Gardłowy, nieprzyjemny, chrapliwy, jednoznacznie kojarzący się z jakimś zwierzęcym niemal skrzekiem.

Krwawiącą dłoń przycisnęła do koziej czaszki wiszącej na masce. Ciężarna wzdrygnęła się, widząc czerwony odcisk na osmolonej kości. Przez jakiś czas kobieta intonowała ohydny pieśń, a potem zamilkła. Słychać było jedynie trzask ognia, aż w końcu coś zaszeleściło w lesie. Wiatr, można by sądzić, ale jesienne powietrze było wilgotne, ociążałe, zbyt słabe, by poruszać koronami drzew tak mocno.

Czterech szaleńców w dziwacznych szatach nie zwróciło początkowo uwagi na to poruszenie – ich ofiara, porwana kobieta, przeciwnie – po chwili jednak z lękiem na twarzach zaczęli się rozglądać dokoła. Jeden z nich, ten z poparzonymi dłońmi, skinął głową do szatynki. Ponaglał ją.

– Jezu nasz, Ojcie Święty, Maryjo i Józefie, wszyscy święci, proszę, błagam, Panie Boże, miejcie mnie wszyscy w opiece... – W odpowiedzi na bluźniercze modły przebranej kobiety i wtórujący jej chór mężczyzn ciężarna zaczęła się modlić cicho, skromnie, nieśmiało. Bała się nie tylko ich, ale i tego, co mogło się czaić w lesie.

Bo coś tam było, nie miała już wątpliwości.

Zakapturzony mężczyzna również wyjął nóż, ten jednakże wyglądał jak pierwszy lepszy z kuchni – ciężarna dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to może być nóż z jej własnej kuchni. Zadrzała, gdy porywacz ostrożnie rozciął koszulę nocną odsłaniając ciemne, nagie i nabrzmiałe ciało kobiety.

Dotyk zimnego metalu na spoconej ze strachu skórze powodował gęsią skórkę. Porywacz rozerwał materiał ubrania i mamrocząc pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa, rozciął bieliznę, odsłaniając łono porwanej. Ta zaczęła się szarpać i wyrywać, ale bez skutku. Czula nie tylko grozę, ale i wstyd.

Krzyknęła ze strachu, gdy kobieta w czaszce stanęła u jej stóp, zajmując miejsce mężczyzny z nożem wzniesionym nad głową. Wyśpiewała kolejne wersy mrocznego psalmu. Na moment zamilkła. Potem upadła na kolana, nagle, gwałtownie. Wahała się. Było to widać aż za dobrze nawet w tak nikłym świetle płonącego krzyża.

– Pospiesz się! – syknął jeden z mężczyzn, spoglądając lękliwie w stronę lasu.

– Mogę cię zmienić – dodał drugi.

– Nie – ucięła ostro kobieta. – Wiecie dobrze, że muszę to zrobić sama. Dam radę. Muszę – stwierdziła po chwili łamiącym się głosem. Kiedy jednak przesunęła ostrzem po skórze ud biednej kobiety, w stronę opuchniętego, wilgotnego sromu, sama się wzdrygnęła. Cofnęła nóż.

Wtedy ciężarna zrozumiała, że już jest po wszystkim. Umrze tutaj. Poparzony mężczyzna szepnął coś do kobiety, ta skinęła głową i przyłożyła nóż do brzucha. Chwilę potem pojawiła się pierwsza kropla krwi, potem kolejna i następna, gdy rozciąła skórę tuż poniżej pępka, aż do samego spojenia łonowego. Krew spływała gęstym, coraz szerszym strumieniem.

Piekło i szczypało, ale ból ten nie mógł się równać ze strachem. Adrenalina skutecznie maskowała cierpienie, przynajmniej z początku. Ciężarna już po chwili bowiem wydała z siebie donośne jęknięcie, gdy nóż rozciął jej skórę i zagłębiał się w ciało, przecinając kolejne warstwy: tłuszcz, mięśnie i ścięgna. Potem krzyknęła po raz pierwszy. Szatynka przerwała ten okrutny zabieg, gwałtownie cofając zakrwawioną dłoń i nóż, szybko się jednak opanowała i kontynuowała.

Tego samego nie można było powiedzieć o ofierze. Była zbyt przerażona, obolała, by zdać sobie sprawę z tego, co się właściwie wydarzyło. Dopiero po chwili, gdy klinga sztyletu wcinała się coraz głębiej w jej trzewia, poczuła prawdziwy, pierwotny wręcz ból. Wrzeszczała z obojętnością cierpienia co sił w płucach, lecz męki przybierały na sile z każdą kolejną chwilą. Balansowała na granicy przytomności, co i rusz zatapiając się w mrok, gdy ostrze rozcinało jej wnętrze. Co gorsza, cierpienie i tak nie mogło się równać z tym, co dopiero miało nadejść.

Nocną ciszę, oprócz jęków ciężarnej, przerwało nagle kwilenie dziecka. Niemowlęcia siłą wyrwanego z ciała matki. Ostatnią rzeczą, nim owładnęła ją zimna i nieprzyjazna ciemność, był widok samotnej, spadającej gwiazdy. Z chwilą, gdy zetknęła się z linią horyzontu, znikając za szczytami drzew, zaśniła mocniej, choć trwało to tylko jedno, krótkie – i ostatnie – uderzenie serca kobiety.

Placz malca ustał moment później.

Nad polaną zapadła namacalna wręcz cisza i upiorny spokój. Słaby wiatr zniknął, korony drzew przestały się poruszać i drżeć, nawet nieliczne chmury zwolniły swój taniec na ciemnym niebie. Wszystko zamarło.

– Udało się? – zapytał nieśmiało jeden z mężczyzn cicho, jakby z lękiem.

– Miejmy taką nadzieję – odparła słabo kobieta. – Ofiara została złożona, teraz musimy przygotować pieczęcie. Ephraim, dasz sobie radę? Paul, wiesz co masz zrobić? Larry? Walton? – zaczęła zwracać się bezpośrednio do każdego głosem ciepłym, łagodnym, błagalnym wręcz. Drgnęli, słysząc swoje imiona.

Wkrótce siedzieli w samochodzie, już bez masek, bez kapturów. Uroczyste białe szaty, obficie zroszone krwią, odcinały się od skromnego, acz czystego wnętrza studebakera. Atmosfera była ponura, grobowa wręcz. Nikt się nie odzywał. Byli bladzi i przerażeni tym, co się właśnie wydarzyło. Chuda, drobna kobieta cierpliwie opatrywała swoją lewą dłoń, zawijając ciasno bandaż. Na nieskazitelnym, białym materiale widniała pojedyncza wstęga krwi.

Chwilę później zajęła się poparzonymi dłońmi swego kolegi. Ten przysadzisty mężczyzna w okularach i z niewielkim plackiem łysiny pośród ciemnych kędziorów dyszał ciężko i ze strachem spoglądał na oparzenia; skóra pokryta była pęcherzami i bąblami, czerwona, wrażliwa.

– Przepraszam, Ephraim – szepnęła, zaciskając ranną dłoń w pięść. Skrzywiła się lekko, ale nie przeszkodziło jej to sięgnąć do torby lekarskiej.

– Nie twoja wina. Sama nie mogłaś tego zrobić.

– Wiem, ale...

– Już się nie tłumacz – dodał kolejny z mężczyzn, wyższy, ale mówił cicho, wstrząśnięty niedawnymi wydarzeniami.

– Ja to cię podziwiam. Nie dałbym rady.

– Ja nie dałabym rady bez was.

– Ale musiałaś... no wiesz... – zaczął nieśmiało niższy z nich.

– Tak, Paul. Tego wymagał rytuał.

– To była najgorsza część – odezwał się poparzony. – Pieczęcie i cała reszta to tylko formalność, ale jestem pewien, że wytrzymają. Czuję ich moc, wiecie?

Zapadła niezręczna cisza. Szatynka uśmiechnęła się słabo, patrząc w oczy swym kolegom i dziękując w ten sposób za miłe słowa. Szybko i sprawnie opatrywała rany okularnika, szepcząc mu, by mimo wszystko poszedł do lekarza i do szpitala, bo nie spodziewała się aż takich komplikacji.

– No. Inaczej się nie dało – stwierdził siedzący za kierownicą brunet pewnym siebie głosem. Z kieszeni wyciągnął srebrną papierośnicę z grawerunkiem, inicjałami PL. Niespiesznie zapalił papierosa; potem poczęstował wszystkich pozostałych. Jedynie kobieta odmówiła.

– Koniec tematu. Jedźmy stąd, zanim to cholerstwo wylezie z lasu – rzucił okularnik, oglądając świeży opatrunek.

– Skąd pewność, że w ogóle przyjdzie?

– Rytuał się udał – zapewniła kobieta cicho, walcząc z ciężarem ostatnich wydarzeń.

– I jest cicho. Zawsze jest cicho, gdy idzie. A łapacze powinny... zadziałać.

– Powinny? – zapytał bez przekonania.

– Tak – odparł tamten. – Same w sobie dają ochronę, ale teraz, gdy zostały oblane krwią... no, zbezczeszczone, jeśli wolisz... będą pułapką. Jeśli wejdzie, to już nie wyjdzie.

– Jeśli...

– Hej, nigdy tego nie robiłem.

– To był mój drugi raz – podsumowała cichym głosem kobieta. – Pierwszy... nie skończył się dobrze. Wyośmy się. Fred pewnie na nas czeka.

Studebaker strzelił z rury wydechowej, wyrzucając w nocne, wilgotne powietrze chmurę spalin. Chwilę później zniknął pośród drzew, wracając tą samą drogą, którą przyjechał. Mgła się rozpieczęła, chmury natomiast zanikały, ukazując ciemne, rozgwieżdżone niebo i księżyc w pełni. Jechali w milczeniu przez długi, długi czas, zostawiając za sobą miejsce zbrodni.

– Zrobiłeś to? – Kobieta zapytała na powitanie, wysiadając ze studebakera i zmierzając prosto do czarnego chevroleta. Automobile zaparkowane były gdzieś na obrzeżach lasu, daleko od tartaku i miasta; w tle słychać było szmer płynącej wody i pohukiwanie sowy. Krzyżujące się światła reflektorów tańczyły na powierzchni Susquehanny.

– Tak – odparł zmęczonym głosem niski, ponuro wyglądający jegomość o zmierzwionych włosach, w brudnych, zaniedbanych ubraniach. Siedział na przednim błotniku i zapalił papierosa. Płomień tańczący na końcówce łebka zapalniczki oświetlił mu twarz, uwypuklając ogorzałe rysy. Moment później srebrzysty, tytoniowy dym unioś się ku niebu.

Odpowiedź ta najwyraźniej zadowoliła kobietę, bo westchnęła z ulgą.

– Wyciąłeś na skórze symbol? Złamany krzyż? Rozsypałeś ochronny krąg i zrobiłeś glyfy? Bo jeśli nie... – zaczął okularnik, uważając na zabandażowane dłonie podczas wysiadania ze studebakera.

– Nie jestem idiotą, Holland – burknął palacz, strzepując popioł. – Jak tylko zaparkowałem, to zrobiłem mu ten znaczek. Sypnąłem też popiołem, solą, mąką czy co to było, a cegłówkę odbiłem w piachu i zaśpiewałem piosenkę jak jakiś świr, tak jak kazałaś. A teraz pieniądze. Obiecałaś, że mi zapłacisz – zwrócił się do szatynki.

– Mąka, cegłówka? – obruszył się tamten. – Proch, stempel i pieśń! Ty wiesz, ile ja się tego naszukałem? – rzucił agresywnie okularnik, ale zanim zdołał coś jeszcze powiedzieć, kobieta uśmiechnęła się szeroko, promieniejąc ze szczęścia. Szybko wyjęła z kufra samochodu papierową torbę; sprawdziła zawartość i po chwili zadowolona wręczyła zapłatę. Na widok kilkunastu banknotów mężczyźnie rozświetliły się oczy.

Szatynka zaś, nie przejmując się niczym, ściągnęła przez głowę okrwawiony habit.

Stała naga, a mimo niskiej temperatury jej skórę pokrywał pot. W nikłym blasku można było zauważyć, że miała smukłe ciało, może nawet trochę wychudzone, do tego między drobnymi pierściami widniał wymalowany na skórze skomplikowany piktogram. Nijak nie wydawała się zawstydzona obecnością towarzyszących jej mężczyzn. Oni również nie zwracali uwagi na fakt, że kobieta obok się obnażyła.

Rozmowa jednak się urwała. Odwrócili się z czystej przyzwoitości.

Spośród pięciu mężczyzn jeden – niski, szczupły szatyn, ugniatający nerwowo brzeg mnisięgo habitu w dłoniach – odwrócił ze wstydem wzrok i odszedł na parę kroków. Zachowywał się tak, jakby bał się spojrzeć na jej nagość. Nawet w słabym świetle księżycy widać było, jak rumieniec oblewa mu twarz.

– Paul, skarbie, nigdy nie widziałeś nagiej kobiety? – zapytała ranna szatynka, trzęsąc się z zimna. Próbowła zmienić temat, bo dyskusje dotyczące ostatnich wydarzeń były bardziej niż przykre. Niezbyt jej to wyszło z powodu październikowego chłodu. Dwóch mężczyzn sięgnęło do kufra chevroleta i wyciągnęło gruby płaszcz, narzucając go na ramiona nagiej.

Kilka chwil później, pośród wymuszonego śmiechu i równie nienaturalnych docinków – a przecież niedawno zamordowali ludzi, odprawili jakiś bluźnierczy rytuał! – zapakowali się do samochodów i ruszyli w drogę. Milczeli, odzywając się tylko wtedy, gdy było to konieczne. Wkrótce kierowca studebakera zjechał do zaułka niedaleko starego kościoła, od strony cementarza oraz kilku niedużych, ale już opuszczonych szop i stodół, po czym przesiadł się do chevroleta.

Spieszyli się, ale ruchy mieli wyćwiczone, mechaniczne wręcz. Tak jakby robili to wszystko nie pierwszy już raz, co tylko potęgowało absurdalną groźbę sytuacji. Musieli jednak porzucić wóz i uciec, zanim ktoś ich zauważy.

Dopiero teraz, będąc w drodze przez przedmieścia Pine Hills, pozostali pasażerowie ściągnęli białe szaty, lecz pod spodem mieli zwyczajne ubrania. Tweedowe spodnie, szelki, marynarki i grube swetry, białe koszule, a jeden nawet krawat. Wcisnęli zmięte habitę pod nogi, skręcając w wąską, zalesioną alejkę.

Byli bezpieczni. Gdy przysięgli, że nikomu nie powiedzą o wydarzeniach mijającej nocy, rozpięzchli się w świetle księżycy. Z poczuciem dobrze spełnionego, choć okrutnego obowiązku, zniknęli, by wkrótce oddać się w objęcia Morfeusza.

Zasłużyli na odpoczynek.

Zasnęli w swoich łóżkach, w swych domach i mieszkaniach zmęczeni, ale zadowoleni i pełni nadziei na lepsze jutro. W końcu dokonali czegoś strasznego, ale wspaniałego i wielkiego zarazem, prawda?

Rozdział 2

– ...więcej grzechów nie pamiętam i za wszystkie żałuję, proszę ojca o naukę, pokutę i rozgrzeszenie – wyszeptał niski, chudy brunet, z niedbale ogoloną twarzą i ponurym, zmęczonym spojrzeniem. Klęczał, miał zaciśnięte mocno powieki i trwał bez ruchu, niby posąg. Oddychał płytko i wolno, oczekując niecierpliwie słów spowiednika.

Te, jak na ironię, pojawiły się dopiero po chwili dłuższego milczenia.

– Bóg nasz, Ojciec i Pan, pojednał świat ze sobą poprzez śmierć i zmartwychwstanie Syna i wysłał Ducha Świętego na odpuszczenie wszelkich grzechów. Niechaj udzieli ci przebaczenia i pokoju, tak jak i ja przez posługę Kościoła odpuszczam twoje grzechy, w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. Módl się za siebie i swych bliskich w wierze poprzez tuzin Modlitw Pańskich.

– Amen – burknął od niechcenia penitent.

– Mówię to podczas każdej spowiedzi, Harvey. To nie twoja wina, nie twój grzech, nie twój krzyż – odparł spokojnie ksiądz, stukając w konfesjonał. – Nigdy jednak nie zrozumieję, czemu nie przyjdiesz w niedzielę, tylko w poniedziałek z samego rana. – Harvey Sullivan, grzesznik, wykonał znak krzyża. Wstał niezdarnie z klęczek i ucałował stulę. Nie odpowiedział na pytanie, po prostu rzucił księdzu puste spojrzenie. Kapłan westchnął i stłumił ziewnięcie; było wcześniej. Bardzo wcześniej.

– Niedziela jest dla wiernych, proszę księdza. Nie dla grzeszników – odezwał się po chwili, odchodząc od konfesjonału.

– Jesteś przecież jednym z parafian, Harvey. Ile już tutaj mieszkasz? Pięć lat? Sześć?

– Sześć. Wie ksiądz, ja...

– Mieszkasz tutaj sześć lat. Oprócz mnie i tego pismaka nie masz nikogo bliskiego. Świata nie widzisz poza swoją pracą i kościołem, na początku listopada będziesz obchodził swoje czterdzieste urodziny, a zachowujesz się jak...

– Proszę księdza – jęknął, przerywając kapłanowi.

– No dobrze, już nic nie mówię. W tę niedzielę masz przyjść na mszę i do spowiedzi, dobrze? To twoja dodatkowa pokuta – dodał nieco weselszym tonem, z którego można było wyłuskać obcy, irlandzki akcent. Ojciec Owens wyszedł z konfesjonału, a że był postawnym, choć nieco otyłym duchownym, to sapnął z ulgą. W ciasnym, drewnianym wnętrzu panowała duchota nawet mimo jesiennych chłódów.

Niespiesznie odprowadził ponurego parafianina do najbliższej ławki. Usiedli razem, jeden obok drugiego, pogrążeni w modlitwie i zadumie. Odpokutowanie grzechów – win, do których przyznał się Sullivan – zajęło kilkanaście minut, zanim u drzwi kościoła pojawili się kolejni.

Ksiądz przerwał modły i, jak przystało na gospodarza Domu Bożego oraz pasterza, ruszył na powitanie owieczek. Chwilę potem wstał Harvey i z pochyloną głową skierował się ku wyjściu. Sullivan poprawił płaszcz i niespiesznym krokiem ruszył w dal. Gdy poczuł pierwszych kilka kropli jesiennego deszczu na twarzy, szybko nasunął na głowę fedorę i przyspieszył kroku. Ciemna, szara wełna była dobrym materiałem, chroniła przed nadmiernym chłodem, ale prędzej czy później będzie musiał wyciągnąć z szafy zimowy płaszcz.

Tym bardziej że nie miał samochodu. Nie lubił ich od tamtego pechowego wieczoru, z którego się regularnie spowiada. Wolał zresztą długie spacerować. Wychodził z założenia, że nic tak dobrze nie działa na zmęczony umysł, jak szczerza spowiedź i długi spacer. No, może jeszcze papieros. Ale to wszystko, nic więcej.

A już na pewno nie kieliszek czegoś mocniejszego.

Na jego szczęście najbliższy pub, „Axe”, znajdował się spory kawałek od kościoła, więc nie musiał walczyć z pokusą. Wyrwał się ze szponów tego demona jeszcze w czasie prohibicji i był jednym z nielicznych, którzy chwalili sobie tę ustawę. Oczywiście dostrzegał jej liczne wady, ale potrafił też docenić zalety.

Podobnie było z wiarą.

Zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko dymem i zaczął rozmyślać o tym, co czeka go w domu. Killkupiętrowa kamieniczka w ścisłym centrum Pine Hills była jego schronieniem, oazą spokoju w tym pełnym zła i niebezpieczeństw świecie, ale nade wszystko miejscem pracy.

Nie przekroczył progu, zamiast tego uważnie przyjrzał się rynnie i beczce z chlupoczącą deszczówką, sprawdził, czy piwniczne okienka, do których wsypywano opał, były zamknięte i czy nikt nie wyłamał zamków w tylnych drzwiach od strony zagraconego i błotnistej podwórza. Zerknął też na zaparkowane tam automobile; oba fordów w najsłynniejszym modelu Henry'ego stały grzecznie, całe i zdrowe, stare, ale sprawne.

Do piwnic budynku można wejść dwiema drogami: od środka oczywiście, przez klatkę schodową, ale też tędy. Tyłem.

Dbanie o bezpieczeństwo dobytku przechowywanego w komórkach lokatorskich nie było obowiązkiem Sullivana. Nie pracował jako dozorca, ale pan Neumann, pełniący także obowiązki, cenił sobie pomoc. I czasem przymykał oko na nieścisłości i zwłokę z czynszem.

Harvey więc raz jeszcze obszedł budynek, znów sprawdził wszystko i dopiero wtedy, po łącznie trzech wypalonych papierosach, wszedł na ciemną, ciasną klatkę schodową, otrzepał płaszcz z deszczu, poluzował krawat i rozpoczął mozolną wspinaczkę na ostatnie, czwarte piętro.

Przy drzwiach czekała na niego niespodzianka w pełnym tego słowa znaczeniu. Zatrzymał się z kluczem w garści i wyrazem zdziwienia zastygł na twarzy. Przed drzwiami jego mieszkania stała bowiem niziutka, drobna blondynka w przydużym płaszczu z tweedu narzuconym na ciemny, brązowy sweter i kawową spódnicę do połowy łydek. Ścisnęła w dłoniach kapelusik, który wydawał się niemal czarny od wody, choć pewnie miał kolor kawy czy beżu.

Dziewczyna spoglądała na mosiężną tabliczkę i raz za razem poprawiała niesforne, kręcone kosmyki opadające na twarz. Drzwi, jak każde w tej czynszówce, ozdobione były dużymi numerami: te konkretne jednak miały też drugą tablicę, nieco mniejszą, zawierającą tylko nazwisko i litery: „Sullivan PI”.

Harvey aż za dobrze widział rumieńce na jej bladych policzkach. Odchrząknął, poprawił klucze w garści, czyniąc z nich namiastkę kastetu (nawyk, którego nie był w stanie się pozbyć mimo tylu lat) i zrobił krok do przodu. Nie mogła przecież czekać na niego, prawda? Była za młoda. To jeszcze dziecko! Co gorsza, wyglądała prawie tak samo jak ona.

Jak jego młodzianka siostra. Wzdrygnął się, nie chcąc wracać do bolesnych wspomnień.

Z drugiej jednakże strony, na czwartym piętrze z trzech mieszkań tylko w dwóch ktoś mieszkał. Pierwsze, o numerze czterdziestym pierwszym, zajmował stary i wulgarny Żyd,

Aaron Rosenstein. Drugie, pod numerem czterdziestym drugim, stało puste, odkąd tylko Harvey się tu wprowadził. Trzecie i ostatnie należało do Sullivana.

– Panienska chyba się zgubiła, panno...? – zadał uprzejme pytanie. Spróbował się nawet uśmiechnąć, ale niezbyt mu wyszło, bo blondynka zaczerwieniła się jeszcze bardziej i mruknęła coś pod nosem. Cicho, niewyraźnie, niemal z obawy przed mężczyzną, który mógł być w wieku jej ojca.

– Proszę? – powtórzył, starając się, by jego głos brzmiał nieco przyjaźniej, cieplej.

– Pan Harvey Sullivan? Detektyw?

– Tak, to ja. – Kiwnął głową, teraz naprawdę już zaciekawiony, skąd ten podłotek wiedział, kim jest.

– Pomoże mi pan? Pan Newman powiedział, że mieszka pan na górze i...

– Neumann. – Odruchowo poprawił nazwisko dozorczy i kucnął, by choć trochę zrównać się z nią wzrostem. – Dziecino, ja nie mam bladego pojęcia, kim ty jesteś i czego ode mnie chcesz.

– Och... przepraszam. – Zaciśnęła mocniej palce na kapeluszu. – Przepraszam, ja... nazywam się Pearl Flynt. Moja siostra zniknęła.

Te trzy słowa były jak celnie wymierzony policzek. Harvey westchnął ciężko i przymknął na moment powieki. Wyprostował się i choć niedawno wypalił kilka papierosów z rzędu, znów sięgnął do paczki lucky strike'ów.

– Dziecino, skąd w ogóle pomysł, że mogę ci pomóc? Myślisz, że kim ja jestem?

– No bo Jenna mówiła, że jej dziadek był detektywem i pomagał ludziom i że powinnam sama poszukać detektywa, a wuj Ed mówił, że w Pittsburgu raz firmie jego szefa pomógł pinkertończyk¹ i jak moja siostra zniknęła, a pan Stevens nie dał rady jej znaleźć, a Jenna mi przypomniała, to zaczęłam szukać i znalazłam w końcu pana i...

– Powoli – przerwał jej ostro. – Jeszcze raz. Twoja siostra zaginęła? Gdzie? Jak? – Zbyt ostro, bo blondynka aż się skuliła i cofnęła, uderzając plecami o ścianę. Harvey zrugął się w duchu za ten wybuch. Nie chciał straszyć dziewczyny. Nie teraz.

Nie zwrócił nawet uwagi na chaotyczną spowiedź o koleżance, jej dziadku czy wuju. Nie wspominając już o szeryfie. Nie wiedział, o czym rozmawiają teraz nastolatki, ba, w latach dwudziestych tylko raz uczestniczył w prywatce (jak się okazało, była skupiona na alkoholu i pettingu) i srogo tego żałował. Och, jak ten czas poszedł naprzód!

– Nie wróciła do domu! – jęknęła.

– Och, na litość... – Opuściła głowę, zestresowana, ale i pełna nadziei. – No cóż. Wchodź. Nie będziemy stać na korytarzu – zdecydował po chwili niekomfortowego milczenia. Cisza trwała zresztą znacznie dłużej, bo Harvey najpierw zamknął za sobą drzwi na klucz, potem schował do szuflady jedną, jedyną fotografię w ramce, jaka zdołała biurko. Obdarzył Pearl słabym uśmiechem, a potem zaparzył kawę. Otworzył szeroko okno, wpuszczając do środka zimne, wilgotne powietrze. Gdzieś w oddali zaszczekał pies. Ktoś trąbił. Z jakiejś rury wydechowej z hukiem wystrzeliły spaliny. Typowe odgłosy miasta, odpowiednio jednak przeskalowane do rozmiarów małego miasteczka.

Dopiero gdy Harvey wypalił papierosa i nalał dwie kawy, ruchem głowy zachęcił dziewczynę do wyjaśnienia, kim jest, skąd i po co tu przyszła. Nie usiadł, stał z filizanką w dłoni, opierając się o blat, i czasem z niej popijał, patrząc prosto w oczy swego gościa. Nie przerywał, nie dopytywał się. Nie zdjął nawet płaszcza, marynarki. Z uwagą wysłuchał opowieści podłotka. Typowej. Bolesnej. Beznadziejnej. A tych słyszał już mnóstwo.

Domyślał się już z wczesności, co może usłyszeć od tego zdesperowanego dzieciaka, i wcale się tak bardzo nie mylił. Różnicą były oczywiście szczegóły, których nie wziął pod uwagę; pewnych rzeczy nie da się zapomnieć, zignorować. Pine Hills to nie Pittsburgh, niestety.

Albo na szczęście.

Okazało się bowiem, że mniej więcej miesiąc temu jej siostra, Patty, zniknęła. Poszła do kościoła na wieczorną mszę, ale nie dotarła do celu. Przepadła jak kamień w wodę. Poszukiwania trwały ponad dwa tygodnie, prasa się rozpisywała, w końcu biuro szeryfa się poddało, przekazano sprawę Pennsylvania Motor Police, ale policja stanowa nic z tym nie zrobiła. To w końcu tylko jedna zaginiona dziewczyna z małego miasteczka.

Kto by się tym przejmował? To tylko kolejne nazwisko na niekończącej się liście. Do zapomnienia przez każdego.

Ale nie przez Pearl. Pearl się tym przejęła. Bardziej niż jej rodzice, bardziej niż policja. Bardziej niż ktokolwiek i teraz, gdy tak siedziała w jednym z dwóch foteli w mieszkaniu i szlochała cicho, obejmując filiżankę kawy, Harvey poczuł ukłucie żalu. Musiał jednak powiedzieć jej prawdę, a ta, choćby okrutna i bolesna, była lepsza niż najpiękniejsze kłamstwo.

– Nie mogę ci pomóc.

– Ale... Jenna mówiła, że można ufać detektywom i że oni pomagają ludziom; że jej dziadek był... a wuj Ed...

– Nie możesz wierzyć we wszystko, co mówią dorośli i dzieciaki.

– Patty zniknęła! – jęknęła głośniej, zanosząc się szlochem.

– Rozumiem i współczuję, naprawdę, ale dziecino, minął już miesiąc, a przez ten czas... – dodał, od razu żałując tych słów.

– Czyli wie pan, o czym mówię. Nikt nie chce jej szukać, a ona już może... ona... Ja się o nią boję, proszę, niech mi pan pomoże! Mam pieniądze... – mówiąc te słowa i przelękając łzy, odstawiła filiżankę, rozlewając parę kropel kawy. Roztrzęsioną dłonią sięgnęła do wnętrza małej torebki, właściwie sakiewki, której wcześniej Harvey nie zauważył.

Wyjęła garść drobnych monet. Jeden rzut oka wystarczył, by zdać sobie sprawę, że tam nie ma nawet trzech dolarów. Mimo to ten gest wzruszył Sullivana. Harvey westchnął i odsunął jej dłoń. Uśmiechnął się nawet, chcąc poprawić choć odrobinę ponury nastrój swojego gościa. Drobne usteczka jednak zdrząły, gotowe znów wyc w płaczu i rozpacz.

– Pearl – szepnęła. – To jest poważna sprawa, rozumiesz? Trudna, bardzo trudna, a twoja siostra może... No, twoja siostra może być już martwa, musisz się z tym liczyć. Jedyne, co mógłbym zaoferować, to pomoc w szukaniu ciała. Wiem, że pewnie myślisz, że jestem jakimś bohaterem groszowej powieści albo komiksów, ale... to nie tak.

– Nie?

– Nie, dziecino. Już nie.

– To... nie pomoże mi pan? Zapomni pan o Patty, tak jak wszyscy?

– Tego nie powiedziałem.

– Nie rozumiem.

– Zrobię, co mogę, ale niczego nie obiecuję. Nie wezmę od ciebie pieniędzy. Zostaw mi tylko adres swoich rodziców i numer ich telefonu... Macie aparat telefoniczny, prawda? – skinęła głową. – Pearl, po takim czasie to będzie jak szukanie igły w stogu siana, w nocy,

podczas jednej z tych przeklętych burz pyłowych, rozumiesz? – Nie wiedział, czy to, co właśnie powiedział, miało dla niej sens, ale dla niego jak najbardziej.

– Dziękuję – odezwała się po chwili, gdy zapisała kilka słów.

– A teraz znowu, tylko od początku, powoli i dokładnie wszystko mi opowiedz, dobrze? – Sullivan zerknął tylko na kartkę. Ponownie wysłuchał jej opowieści, tym razem jednak zadając pytania i zapisując odpowiedzi, tworząc fundamenty pod śledztwo. Dopiero potem, po długim czasie, bez słowa odprowadził podlotka do drzwi. Gdy był już sam, wyjął fotografię. Prosta, drewniana ramka obejmowała zdjęcie młodego Harveya i młodej dziewczyny, łądząco do niego podobnej. Jego siostry.

Detektyw uśmiechnął się lekko. Przeleciał wzrokiem świeże notatki.

Zaczął się modlić szeptem. Za siebie, za dziewczynę, za swoją zmarłą siostrę, którą widział przecież w Pearl. Przypominała mu ją, chociaż różniła się wyglądem. Ale charakter, och Boże, charakter był praktycznie taki sam. Pyskata, krzykliwa, płacziwa.

Perspektywa zajęcia się kolejną sprawą ekscytowała go. Był przecież prywatnym detektywem. Wcześniej, przez ponad dekadę, parał się tym zajęciem, był całkiem znanym w pittsburskim świecie członkiem Pinkerton National Detective Agency, a w czasie wielkiej wojny walczył w Europie, we Francji, Belgii. Ale teraz...?

– Co ja mam teraz zrobić, Boże? – zapytał szeptem, patrząc na krucyfiks wiszący nad łóżkiem. Sprzątnął dwie filiżanki; dziewczyna ledwo upiła łyk ze swojej, nim ją odprowadził. Zamknął okno, odwiesił płaszcz i usiadł w fotelu przy tanim biurku. Przysunął notes, znów przeczytał treść, zapisał kilka kolejnych słów. Wyrwał stronę, zapisał coś od nowa.

Jego pierwsze przemyślenia dołączyły do zeznań. Do tego, co powiedziała mu Pearl. Było tam imię i nazwisko zaginionej, jej rodziców. Dwie daty, kiedy mniej więcej zniknęła i kiedy Pearl go odwiedziła. Jaka była Patty, jak się zachowywała przed zaginięciem. Kto był zaangażowany, rodzina, policja stanowa, biuro szeryfa i... on sam. Nie chcąc jednak nadmiernie rozmyślać o Pearl ani pisać bzdur, przerwał pracę. Usiadł ze Starym Testamentem na łóżku, zerkając na krzyż.

Oddał się lekturze, szukając ukojenia albo, co wcale niewykluczone, porady.

¹ Członek Pinkerton National Detective Agency, przedsiębiorstwa zajmującego się ochroną mienia i osób oraz realizującego zlecenia detektywistyczne.

Rozdział 3

Do domu wrócił nad ranem. Zmęczony, skacowany, senny, ale szczęśliwy. Och, bardzo szczęśliwy. Wiedział, że źle zrobił, ale nic go to nie obchodziło. Alkohol dawał mu ukojenie, pomagał; sprawiał, że świat na krótko stawał się przyjemniejszy.

Zataczając się, mijał trzeźwych ludzi zmierzających do pracy czy po prostu spacerujących. Miał gdzieś ich pełne odrazy spojrzenia, ba, nie zorientował się nawet, że podjazd przed domem jest pusty. Automobil Teddy'ego, szwagra, zniknął. Uznał, że Teddy mógł przecież pojechać na zakupy czy do klubu, do pracy. Zatrzymał się więc przed drzwiami i zastukał knykciami raz, drugi. Potem, gdy odczekał chwilę, załomotał pięścią, ale i tym razem odpowiedziała mu cisza. Szarpnął za klamkę.

Zamknięte.

Zaklął pod nosem, znów szarpał klamkę. Machnął ręką na jednego z przechodniów, dopytującego się z troską, czy wszystko w porządku. Wiedział, że to fałszywa troska, że ten biały idiota po prostu sprawdza, czy Moses Casey nie próbuje się włamać. Nie miał kluczy, bo jego bliscy po prostu nie ufali mu na tyle, by obdarować go kopią kompletu.

I nie było się co dziwić, był przecież pijakiem. Znajdował się na dnie i tylko dzięki więzom krwi mógł tutaj mieszkać. Burknął coś pod nosem, przykleił twarz do szyby najbliższego okna i próbował dostrzec jakieś poruszenie w domu.

Było cicho, spokojnie. Pusto. Nie mając zbyt wielkiego wyboru, odszedł od wejścia. Wiedział, że na tyłach, przy kuchni, jedno okno się nie domyka i przez nie może spokojnie wejść do środka. Robił tak zawsze. Specjalnie go nie naprawiał, nie mówił też o tym szwagrowi ani siostrze. To była jego tajemnica. Zachichotał rozbawiony tymi myślami.

Zatrzymał się jednak gwałtownie w pół drogi do wspomnianego okna. O dziwo, kuchenne drzwi były otwarte. Uchylone bardziej, niż można by uznać za przypadek. Był jednak zbyt zmęczony i pijany, by zrozumieć, co się wokół niego działo, skorzystał więc z okazji i wszedł po prostu do środka, znów chichocząc jak głupi.

Starał się zachowywać cicho, ale alkohol ciągle krążył w jego żyłach. Potknął się o krzesło – zaklął cicho, nie zdając sobie sprawy, że krzesło, na którym zwykle siedział, pijąc kawę i żartując z siostrą, leżało przewrócone. Nie dostrzegł pootwieranych szuflad, szafek, porozrzucanych niedbale artykułów, śladów błota na korytarzu.

Idąc do swojego pokoju, zerknął jeszcze na odbicie w krzywo zawieszonym lustrze i poczuł ukłucie pijackiego wstydu, że doprowadził się do takiego stanu. Kiedyś był przystojny i nawet młode białe kobiety, głównie flapperki², z ciekawością się za nim oglądały. Teraz... no, był wysoki. I tyle.

Był chudy, nawet bardzo, do tego żyłasty ponad miarę i miał garbaty, krzywy i wielokrotnie złamany nos. Podkrążone oczy, cień zarostu na policzkach i włosy w nieładzie, podobnie jak brudne i znoszone ubranie dopełniały obrazu nędzy i rozpaczy. Skóra natomiast, niegdyś czysta i ciemna jak kakao, była teraz poznaczona bruzdami, bliznami po krostach i miała niezdrowy, szarawy odcień w paru miejscach.

Machnął ręką i zataczając się, padł na łóżko. Zasnął w ubraniu, rad, że świat z wolna przestawał wirować i drzeć. Nie było mu jednak dane się wyspać. Moses kręcił się z boku na

bok, a gdy – wreszcie! – Morfeusz się nad nim zlitował i zesłał tych kilka lichych godzin snu, organizm zaczął się dopominać swych potrzeb. Casey stęknął i zakaszał.

Kiedy się w końcu obudził z poczuciem wstydu i z koszmarną suchością w ustach, zaskoczyły go spokój i cisza, jakie panowały w domu. Zwykle o tej porze słychać było krzątanie siostry i czasem jej męża. Ona albo szykowała wczesny obiad, albo pracowała na maszynie do szycia bądź w fotelu z igłami, nićmi i materiałami, on – jeśli przebywał w domu, rzecz jasna – oddawał się grze na trąbce. Teraz... Teraz jest inaczej.

Moses wstał z łóżka, próbując ignorować ból głowy. Zrzucił wygnieciony trenecz, poprawił pozaciągany sweter, ale rozporka spodni już nie zapinał. Wyszedł na korytarz i zerknął przez okno, lecz na podjeździe nadal brakowało studebakera. Czyżby jego bliscy pojechali gdzieś bladym świtem? Czy może nie wrócili na noc?

– Ruth? – Odpowiedziała mu cisza. – Teddy? – zawołał zachrypniętym głosem. Przeszedł do kuchni, ponownie wołając, ale i tym razem nikt mu nie odpowiedział. Został sam w domu, wszystko na to wskazywało. Wzruszył ramionami, spędził w toalecie kilka chwil, potem nalał sobie wody z kranu i chciwie opróżnił szklankę, ale tylko na chwilę zdusił uczucie suchości w ustach.

Potrzebował czegoś na tak zwanego klina. W obecnym stanie nie był zdolny nawet porządnie się zastanowić nad tą, niecodzienną przecież, sytuacją. W domu nie spożywali alkoholu, oczywiście, jego siostra nie pochwałała takich trunków, a i sam Teddy niechętnie patrzył na cokolwiek z procentami.

Spróbował ponownie zasnąć, ale kac mu na to nie pozwalał. Ilekroć przyłożył głowę do poduszki, miał wrażenie, że całe łóżko zaczyna wirować. Zbierało mu się na wymioty. Zrezygnowany musiał coś z tym zrobić: wypił kolejną szklankę wody, potem następną i jeszcze jedną, ale uczucie piasku i papieru ściernego w gardle, ilekroć cokolwiek przełykał, cały czas dawało o sobie znać.

Moses poddał się i wyszedł z domu, wyruszając do pierwszego lepszego otwartego lokalu. Zorientował się jednak, że kuchenne drzwi zostały otwarte, poszukał więc dodatkowych kluczy (znalazł je w torebce siostry, o dziwo, ale skorzystał z okazji i zgarnął też kilka dolców z portmonetki) i zamknął je, wychodząc.

Miał przy tym szczęście w nieszczęściu – zaczęło mżyć. Woda splukiwała z niego zmęczenie i ułatwiała walkę z kaczem. Czarnoskóry pogodził się też z utratą kaszkietu i teraz, z dłońmi wciśniętymi w kieszenie tego samego, wysłużonego treneczka, zmierzał do najbliższego pubu. Deszcz oczyszczał jego ciało ze skutków pijaństwa, ale potrzebował alkoholu, by zwalczyć tę truciznę wewnątrz.

„Axe” – czy też raczej „The Broken Axe”, jak brzmiała pełna nazwa – to jedna z kilku knajp w Pine Hills. New Deal pozwolił paru optymistom rozkręcić takie biznesy, ale który z nich przetrwa na rynku, to już zupełnie inna sprawa. W ciągu ostatnich lat hucznie otwierano i w ciszy zamykano mnóstwo lokali. Dwa już padły w tym roku: jeden ironicznie ochrzczony nazwiskiem Volsteada³ poszedł z dymem (szeryf wnioskował, że było to celowe podpalenie mające na celu wyłudzenie odszkodowania), drugi dumnie noszący imię żony właściciela.

Biedak powiesił się pół roku po otwarciu. Żona zamknęła lokal wkrótce potem.

Teraz w Pine Hills były tylko trzy miejsca. Stary bar „Pine”, pamiętający czasy jeszcze sprzed wielkiej wojny (i to najpewniej ten lokal sobie poradzi z każdym kryzysem). „Axe” ledwo, ledwo dawał radę, a elegancki, wysmakowany klub dla białych mieszkańców, uroczyste

otwarty na przełomie marca i kwietnia bieżącego roku, świecił pustkami praktycznie cały czas i prędzej niż później zostanie na dobre zamknięty.

W „Axe” było ciepło, sucho, przyjemnie i prawie jedna trzecia stolików była zajęta, a przy barze siedziało trzech mężczyzn. W powietrzu unosił się aromat kawy, pod sufitem zaś wisiły niebieskawe kłęby papierosowego dymu. Ze stojącego przy barze gramofonu wydobywały się zgrzytliwe nuty bluesa. Właściciel, Andrew Bridges, jowialny i przyjaźnie nastawiony były drwał, nie mógł sobie jednak pozwolić na zakup szafy grającej, niestety.

Moses wszedł do środka, otrząsał się z kropelek wody i zajął miejsce na końcu, w rogu, w miejscu przeznaczonym dla czarnoskórych. Kiwał głową w rytm smętnej, bluesowej piosenki. Siedział tak przez dobrą chwilę, czekając, aż minie potrzeba zwrócenia lichej zawartości żołądka. W końcu poszedł zamówić kieliszek księżycówki. Potem drugi, trzeci. Na więcej nie miał pieniędzy.

Z radością powitał alkohol. Trunek sprowadzał upragnioną ulgę, wprowadzając ciało w przyjemne otępienie i obojętność. Skupiony na stojącym przed nim kieliszku nie rejestrował zbyt, co się działo w pubie. Widział, jak ludzie wchodzi i wychodzą.

A potem usłyszał imię swojej siostry.

Podniósł głowę i omiół wzrokiem otoczenie, szukając źródła. Nie przesłyszał się, naprawdę ktoś wspominał Ruth. Zaczął coś bełkotać pod nosem, tym charakterystycznym, pijackim zaśpiewem. Parę osób spojrzało na niego z niechęcią, ale – póki co – nie robił nic złego.

Atmosfera mimo to gęstniała z każdą chwilą. A gdy czarnoskóry mężczyzna znów usłyszał, jak ktoś wypowiada imię siostry, i to w mało przyjemnym kontekście, wstał. Rozchwianym krokiem podszedł do siedzącego na barowym stołku wąsatego mężczyzny w tweedowym płaszczu.

– Co żeś powiedział, białasie? – wycodził i wysunął oskarżycielsko palec. – Jak ty śmiesz w ogóle wspominać o mojej siostrze w taki sposób! To porządna kobieta, ona nigdy nie... no, nigdy z nikim oprócz własnego męża! – Ostre słowa padały coraz szybciej, ale tylko z jednej strony. Mężczyzna westchnął ciężko i pogładził dłonią wąsy, poniekąd w zamyśleniu.

– Z całym szacunkiem, ale nie chodziło mi w ogóle o pańską siostrę, panie Casey.

– A gówno! Wiem, co słyszałem!

– Źle pan słyszał – odparł oschle mężczyzna. – Wraz z obecnym tutaj panem Schmittem po prostu rozmawialiśmy o bejsbolu. Przecież wczoraj Jankesi wygrali trzeci raz z rzędu!

– Chicago Cubs nie mieli żadnych szans.

– Ano. Ale to nie te czasy, co kiedyś. Gdy Babe Ruth zagrał ostatni mecz, w maju trzydziestego piątego, to skończyła się pewna epoka. Powiedziałem, że każdy tęskni za Ruth.

– A jak? A Red Sox popełnili błąd, sprzedając go jak tanią dziwkę.

– Co? Jaką dziwkę?

– Tanią. – Zaśmiał się tamten. – Wierzysz pan w klątwę Bambino⁴?

– Każdy normalny wierzy, panie Casey. Zresztą gdy Cochrane skończył karierę, to już na dobre zakończył się prawdziwy bejsbol! Panie Casey, daj pan nam spokój, cuchniesz jak gorzelnia – odparł głośniejszym głosem Schmitt. Moses spojrzał zakłopotany i zagubiony na jednego i drugiego mężczyznę, czując nie tyle wstyd, co złość, że naprawdę nie chodziło o jego siostrę.

Ruth nie było w domu. Może naprawdę dokądś wyszła? Ale czy wtedy nie wzięłaby torebki?

Wrócił do swojego stolika. Opróżnił kieliszek, upewniając się, że nie została w nim choćby kropelka bimbru. Siedział jeszcze kilka dobrych minut, przysłuchując się muzyce i rozmowom,

licząc, że znów ktoś wspomni o jego siostrze, aż w końcu podszedł do niego Andrew, barman i właściciel zarazem, delikatnie sugerując, by opuścił lokal.

Nie dlatego, że jest czarny.

No dobrze, może i to też było powodem, ale przede wszystkim Bridges nie chciał trzymać pod dachem darmozjada, który drze mordę i stresuje pozostałych klientów. Co gorsza, Moses nie miał już pieniędzy, by jakoś usprawiedliwić swój pobyt w „The Broken Axe”. Powłócząc nogami i podtrzymywany przez barmana, wyszedł na zewnątrz.

Świeże, zimne powietrze uderzyło go w twarz. Schlał się, pijąc na pusty żołądek, ale teraz doskwierało mu co innego. Złość, stres i lęk o siostrę w połączeniu z nadużyciem alkoholu zrobiły swoje. Czuł, jak coś kotłuje się w brzuchu, i miał wrażenie, że jelita skręcają się jak dzikie węże, wspinając się prosto do gardła. Ledwo co przeszedł kilka metrów, zgiął się wpół i zymiotował.

Najbliżsi przechodnie z obrzydzeniem odwracali wzrok; kobiety prychały oburzone i zawstydzone takim zachowaniem, mężczyźni komentowali, nie szczędząc słów uznawanych ogólnie za obelżywe. Starł resztki żółci z ust, odkaszlnął i powoli wrócił do domu siostry. Musiał się komuś wygadać, a kto jest lepszym rozmówcą, jak nie rodzona siostra?

Drzwi wejściowe były ciągle zamknięte.

Ruth nie lubiła, gdy są otwarte, czuła lęk i strach przed obcymi – co w sumie można było tłumaczyć kolorem skóry. Gdyby jednak mieli ich zlinczować, już dawno by to zrobili. Nie byli przecież ludźmi, którzy mogli budzić grozę. On sam był żyłastym pijaczną. Teddy grał na trąbce w jednym klubie. Ruth zajmowała się szyciem nawet w ciąży.

Nikomu nie wadzili. Bał się więc o siostrę, o swojego szwagra też. Może i Moses był pijaczną, który nie umie utrzymać pracy, a część swego życia spędził w więzieniu, ale o rodzinę starał się dbać. Gdy był trzeźwy, potrafił nawet im pomóc rąbać drwa na zimę albo naprawić dziurę w dachu!

Casey wszedł do środka przez kuchenne drzwi. Dopiero teraz zauważył bałagan i przeszło mu przez myśl, że to wszystko mógł zrobić sam, gdy wrócił pijany nad ranem. Uczucie niepokoju jednak ciągle rosło. Tym bardziej że siostra tak bardzo pilnowała zamykania drzwi, a przecież sama zniknęła, zostawiając za sobą torebkę. Przez chwilę czuł nawet strach, że to wszystko wina niedomykającego się okna.

Nikom o nim nie mówił, nie naprawiał go. Co, jeśli to z jego winy coś się stało?

– Ruth? – zawołał bełkotliwym głosem, chodząc po domu. Odpowiedziała mu, podobnie jak wcześniej, upiorna cisza. Moses stał w korytarzu, patrząc na opuszczone domostwo. Wciąż brakowało automobilu Teddy’ego. Casey chodził z pokoju do pokoju, zerknął na powrót do kuchni, potem do łazienki, w końcu skierował się do sypialni małżeństwa.

Wahał się tylko chwilę.

Zastukał knykциями o drewno, licząc na to, że może siostra śpi, ale nikt mu nie odpowiedział. Pchnął więc skrzydło i wszedł do środka, czując narastające napięcie. Coś było nie tak. Nie wiedział tylko co. Naprawdę martwił się o siostrę; może faktycznie trafiła do szpitala?

Rozejrzał się po ciasnym, acz przytulnym pomieszczeniu. Jedną ścianę zajmowała zabudowana szafa, drugą duże, ale tanie łóżko. Nad nim widniał obraz przedstawiający zdjęcie Jezusa z krzyża, ale nie to przykuło uwagę czarnoskórego pijaka. Pościel w nieładzie, poduszki rozrzucone. Jedna nawet leżała na podłodze.

Było pusto.

– Och, siostrzyczko... – wydał z siebie westchnienie żalu, siadając na łożku. Zaskrzypiały stare sprężyny. Walizki pozostawały na swoich miejscach, ubrania leżały w szafkach, lodówka pełna jedzenia. Nie mogli ot tak wyjechać. Nie mogli go zostawić. Nie mogli...

Wstał. Nie mógł wytrzymać tego odczucia kwaśnej, palącej żółci w ustach i na języku, poszedł kuchni. Wziął z lodówki butelkę mleka i wrócił do sypialni siostry. Gdy ugasił pragnienie i zmył smak wymiocin, odstawił mleko na podłogę. Butelczyna przewróciła się, oczywiście.

Moses rzucił się do ratowania dywanu, bo jak Ruth wróci, to urwie mu głowę za każdą plamę. Szybko jednak Casey zapomniał o przewróconej butelce i białej plamie na schłodnym dywanie. Zobaczył bowiem trąbkę Teddy'ego leżącą w otwartym futerale pod łożkiem. Szwagier nigdy jej nie zostawiał, ba, zdarzało się, że spał z tą przeklętą walizką i tylko cięża Ruth zmusiła go do schowania futerału.

Coś było bardzo nie tak.

– Co do ciężkiej cholery... – mruknął Moses, kucając. Zmarszczył brwi, nie wierząc własnym oczom. Był pijany, tkwił w ciągu, od przeszło kilkunastu godzin nie wytrzeźwiał do końca, ale chyba naprawdę widział futerał wystający spod łożka. Padając na kolana, sięgnął głębiej.

Wysunął podłużną, drewnianą walizeczkę obitą ciemną skórą. W środku widniała miedzianozłota, elegancka trąbka Teddy'ego, jego ukochany instrument. Casey wiedział, że szwagier nie rozstawał się z nią, chyba że zdarzyłaby się jakaś wyjątkowa sytuacja. Do tej pory tylko raz widział, jak Smithee wyleciał z domu bez futerału.

Teraz powtórzył jego zachowanie.

² Styl chłopczycy, przeciwstawiający się kanonom kobiecości.

³ Andrew Volstead był politykiem forsującym 18. poprawkę do Konstytucji Stanów Zjednoczonych zakazującą produkcji, transportu i sprzedaży alkoholu, stąd tzw. ustawa Volsteada.

⁴ Przesąd sportowy związany ze sprzedażą zawodnika Babe „Bambino” Rutha, mający być klątwą i symbolem przesładującego pecha: drużyna Boston Red Sox przez 86 lat nie odnosiła zwycięstw.

Rozdział 4

Sullivan przeczytał dość fragmentów z Pisma i odłożył Biblię. Zmówił ponownie pokutę, chociaż wcale nie musiał tego robić, po prostu czuł, że tak trzeba. Teraz siedział na łóżku, patrząc na stary fotel, na którym niedawno siedziała Pearl. Bił się ze swoimi myślami, zły, że tak poprowadził rozmowę.

Z jednej strony sądził, że powinien od razu pogonić smarkulę. Tego tylko brakowało, by jakieś kłopoty mu zrzuciła na głowę! Po co w ogóle obiecał, że jej pomoże, że zrobi wszystko, że zajmie się tą sprawą? Mógł powiedzieć wprost, że po takim czasie można najwyżej szukać zwłok. Mógł tylko spytać, kto zniknął, kiedy, gdzie. Mógł najwyżej poprosić o kontakt i już. Zduślił na ustach przekleństwo.

Z drugiej jednakże strony nie mógł jej zostawić samej.

Widział w jej oczach żal i ból po stracie tak bliskiej osoby, ból tak podobny do tego, jaki sam skrywał we własnej duszy i który do tej pory dawał o sobie znać. Westchnął, spoglądając na podobiznę Jezusa, oczekując, że ta święta, drewniana figurka, pociągnięta tanią farbą, da mu jakiś znak.

Pewnie niezależnie od tego co zrobi, sprowadzi tylko nieszczęście na siebie i na dziewczynę, a jednak... nie mógł tego tak zostawić. Zgarnął swój notes, przejrzał kilka zapisanych w nim zdań. Potem zerknął na zdjęcie siostry. Na powrót pogrążył się w myślach, oddając się lekturze własnych zapisków.

Nie mógł znieść ciszy własnego mieszkania.

Nie chciał też wysłuchiwać żalów lokatorów i dozorczy, zwłaszcza tych Polaków z drugiego piętra, narzekających na wszystko i wszystkich, oraz plotkującej baby z pierwszego, ciągle czepiającej się Bóg wie o co. Aczkolwiek jeśli o nią chodzi, to z przyjemnością by jej wygarnął to i owo. Do obowiązkowego notesu dołączył klucze, papierosy, płaszcz i fedorę i już miał wyjść, gdy zatrzymał się przed drzwiami.

Broń. Potrzebował broni. Pracował, musiał więc mieć przy sobie coś do obrony lub – jeśli zajdzie potrzeba – do wyciągnięcia informacji. Szybko wziął więc pistolet z kufierka pod łóżkiem, założył skórzaną kaburę na szelkach i wyszedł, zbiegając po schodach.

Musiał odpocząć, oczyścić umysł, a czy jest lepsze do tego miejsce niż pub pełen aromatu tytoniu i kawy? Będzie mógł się też skupić na tym, by walczyć z pokusą sięgnięcia po alkohol... Uśmiechnął się na tę myśl. W ciągu ostatnich lat za każdym razem zwyciężał w walce z demonem, wyrwał się z jego szponiastych łap i z dumą mógł obwieszczać światu, że piwo czy wódka nie jest dla niego przeciwnikiem.

Tak, to dobry pomysł.

Perspektywa spaceru także wydawała się całkiem miłą: lekko mżyło, a zimny wiatr nie był wcale taki silny. Mimo to Harvey postawił kołnierz płaszcza, nie chcąc, by twarde krople wody uderzały go w twarz i szyję. Fedorę nasunął na czoło. Patrząc na niebo i kłębiące się chmury, należało się spodziewać ulewy.

Dopiero gdy wszedł do „Axe” i usłyszał gwar rozmów oraz stłumione, zgrzytliwe dźwięki bluesa, rozluźnił się. Uchylił kapelusza stałym bywalcom, barmanowi. Rozsiadł się wygodnie

przy oknie, o które uderzało coraz więcej kropel deszczu, tworząc fantazyjne wzory i zniekształcając jesienny krajobraz Pine Hills.

Piękny widok.

Siedział tak przez jakiś czas, patrząc przez okno i słuchając gwaru rozmów. Ktoś dyskutował o bejsbolu, sporcie. Jeden ze starszych mężczyzn narzekał na politykę, w tym na niedawną przemowę Churchilla. Dwóch młodzieńców siedzących w rogu cieszyło się na myśl o nadchodzącym weekendzie bo – jeśli Harvey dobrze słyszał – mieli jechać na polowanie.

– Panie Sullivan? Proszę pana? Halo? – Głos należał do zmęczonej, mimo wczesnej porzy, kelnerki. Córki właściciela, mówiąc dokładniej. Uśmiechnęła się łagodnie, stukając ołówkiem w notesik. Spocone od pracy ciemne, kręcone włosy lepiły się do jej okrągłej, bladej twarzy, upstrzonej kilkoma uroczymi piegami.

– Przepraszam, Carrie. Poproszę kawę i kawałek ciasta twojej matki, jeśli zostało.

– Już się robi. Chce pan też szklankę piwa? Tato mówi, że ciemne pasuje do ciasta. – Zapisła i odeszła do dwóch mężczyzn, kłócących się o jakieś szczegóły związane z bejsbolem. Wróciła chwilę później, zerkając z irytacją na coraz bardziej burzliwą awanturę.

– Nie piję, Carrie.

– Rozumiem. – Dopisała.

– Carrie... ci dwaj, o tam. Pijacka kłótnia? Tak wcześnie?

– Nie, proszę pana – zaprzeczyła szczerze rozbawiona. – Nie mogą dojść do porozumienia, ale w sumie to ich rozumiem – dodała zamyślona, patrząc na dwóch mężczyzn. Jeden machnął ręką, udając niby rzut, drugi zaś zaczął się śmiać.

– Rozumiesz?

– Tak! – ochoczo przytaknęła. – To tak jakby się kłócić, co jest ważniejsze: pierwszy film z dźwiękiem czy pierwszy film w ogóle! A ja panu powiem, panie Sullivan, że najważniejszy to jest pierwszy film. Dźwięk, czy nie wiem, kolor, to tylko dodatki.

– Nie lubię filmów. To tylko krótka moda, prędeży czy później przeminie.

– A był pan kiedyś w nickelodeonie⁵?

– Raz, w Pittsburgu. Żałuję, głowa mnie potem bolała.

– No nasz był świetny, szkoda, że pan Whiskers musiał go zamknąć... Ale i tak czasem robi pokazy u siebie. Może pan do niego wpadnie? Albo pojedzie do Lock Haven? Tam mają kino.

– Wolałbym nie, Carrie. To nie dla mnie, zresztą nie jeżdżę.

– Nie lubi pan filmów, nie lubi pan samochodów, nie lubi pan alkoholu... Chyba mało co pan lubi, prawda?

– Jestem prostym człowiekiem, Carrie.

– Można i tak powiedzieć, panie Sullivan. No ale przynajmniej pan się nie rzuca jak ten czarny, który tutaj był niedawno. Biedak bełkotał coś, że mu siostra zniknęła, ale pewnie po prostu dała sobie z nim spokój. Tato by mnie wyrzucił z domu, gdybym ciągle piła i... O, woła mnie właśnie, więc... przepraszam!

Odeszła szybko, słuchając z naburmuszoną miną, jak pan Bridges wydaje jej polecenia i strofuje. Była młoda, wołała pewnie sobie radośnie plotkować, niż słuchać ojca, ale... Harvey nie przysłuchiwał się tej rozmowie, wiedział tylko, że poszło o coś z kuchcikim. W zamyśleniu dźgnął widelczykiem kawałek czekoladowego ciasta, skupiając się na słowach dziewczyny.

Od razu skojarzył Pearl.

Wyjął swój notes i znów zaczął wpatrywać się w dane zaginionej dziewczyny. Jedno zaginięcie to przypadek. Nic, co mogłoby zwrócić czyjąś uwagę. Dwa jednak mogły budzić niepokój, ale także mieściły się w granicach normy, zwłaszcza w obecnych czasach. Przecież nie dalej jak w piątek widział kolejkę zrozpaczonych ludzi stojących po darmowy posiłek przy kościele! Niemal połowa z nich straciła dach nad głową i sądził, że w ten piątek już ich nie będzie w Pine Hills.

Znikną jak opadłe liście z drzew. Nikt się nimi nie przejmie. Zdesperowani ludzie są gotowi do wszystkiego. Może i jedna, i druga panna po prostu uciekły? Może. Albo nie. Odłożył widelec, przełknął łyk kawy. Odpalił papierosa i, zaciągając się mocno dymem, wstał. Musiał mieć pewność.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panowie – wtrącił się w rozmowę o sporcie. – Mam parę pytań.

– My też! Pan jesteś bezstronnym obserwatorem, o! Babe Ruth?

– Czy może legendarny Mickey Cochrane?

– Przykro mi, ale nie znam się na sporcie... ale gdybym miał wybierać, to... Babe?

– Ha! Mówiłem.

– Przecież powiedział, że się nie zna na sporcie – burknął drugi, wyraźnie zniesmaczony. – Niech pan pyta.

– Chodzi o tego czarnoskórego. Co się stało tak właściwie? Carrie coś mówiła, że się awanturował.

– A daj pan spokój. Rzucił się, bo źle usłyszał i tyle. Już z daleka widać, że będą z nim kłopoty.

– No. Niby pijak i zakała, ale...

– Ale tylko pokrzyczy, pomacha łapami i tyle. Co innego ta banda z klubu... Och, panie kochany, tym to dopiero źle z oczu patrzy!

– Och. Myślałem, że...

– Ja też, wie pan? Się nawet trochę wystraszyłem, bo tak wyskoczył, zaczął się drzeć, czemu obrażamy jego siostrę, czy w ogóle wiemy coś o niej, takie rzeczy. Pijany był w sztok!

– A ja powiem, że pewnie dała sobie z nim spokój i po prostu odeszła.

– Szuka swojej siostry? – zapytał ostrożnie, patrząc to na jednego, to na drugiego.

– Chyba tak. Ileż można takiego darmożjada utrzymywać, no proszę pana – potwierdził jeden, fan Cochrane'a.

– Przecież to wstyd, by kobieta w ciąży tak harowała, a mężczyzna tylko chlał i chlał, nawet jeśli to rodzony brat! Ale kto by tam rozumiał, co siedzi w tych czarnych łbach – dodał drugi, przedstawiciel fandumu Babe Ruth, kręcąc ze wzburzeniem głową. Sullivan zamarł; oczywiście, obaj panowie mieli rację, mógł to być czysty przypadek, nic więcej, ale jednak...

– Prawda, rodziny się nie wybiera – przyznał Harvey, prowadząc rozmowę dalej wedle ułożonego naprędce planu.

– Niby tak, ale biedaczka jednak wybrała zwykłego grajka. Za prohibicji to żyliby jak elita. No dobrze, było trochę ryzyka, bo jak śledczy wpadli, to mogliła, ale lepsze to było niż granie do kotleta. A teraz? Prędzej tynk ze ścian będą żreć.

– Przynajmniej Smithee ma pracę, nie tak jak Casey.

– Ano ma, ale co to praca, jak „Elk” prawie cały czas zamknięty jest!

– No cóż, dziękuję i przepraszam, że przeszkodziłem. A nazwisko Cochrane jest mi kompletnie nieznanie – dodał na odchodne, chcąc wytłumaczyć swoją sportową ignorancję. Ledwo co wrócił do stolika, do kawy i ciasta, jak dyskusja wybuchła na nowo, tym razem skupiając się na rozpoznawalności sław bejsbolowych.

Harvey upił łyk kawy, myśląc gorączkowo.

Jedna zaginiona to przypadek. Dwie niby też, tak myślał wcześniej. Ale jeżeli jest ich więcej? Jeśli to tylko czubek góry lodowej? W „Axe” spędził trochę czasu pogrążony w myślach. Dokończył ciasto, wypił filiżankę kawy. Wypalił dwa papierosy. Chwilę porozmawiał z Carrie, zmęczoną córką właściciela, próbując ostrożnie dowiedzieć się czegoś więcej na temat czarnoskórego pijaka, jego siostry oraz zaginionej Patricii Flynt.

Jak się okazało, i ku uldze detektywa, kelnerka знаła Flynt. Jedna to artystyczna, wrażliwa dusza, druga to kobieta pracująca. Przejęła się oczywiście jej zaginięciem, minął jednak miesiąc. Czarnoskóre rodzeństwo kojarzyła, chwaliła sobie pracę siostry czarnego awanturnika, ba, fartuch, który miała na sobie, był jej dziełem. Ale to wszystko. Nic więcej.

Harvey dopisał kilka słów do notesu. Dodał pytajnik, podkreślił jedno zdanie.

Porozmawiał też z pocziwym panem Yatesem na temat najgorszych lat kryzysu, starając się wy badać, czy coś podobnego miało już miejsce kiedyś. Pod koniec lat dwudziestych i na początku trzydziestych, ale wtedy znikali wszyscy. Ludzie popełniali samobójstwa, gdy stracili majątek albo ze strachem odkrywali, że ziemia sprzedana za grosze była warta znacznie więcej, opuszczali rodzime miasta w poszukiwaniu szczęścia; po prostu wychodzili z domu i nie wracali. Przeprowadzali się, by zacząć od zera.

Wiedział mało.

Zbyt mało, by mógł cokolwiek zrobić. Miał już jakieś podstawy, wspomniany wcześniej fundament, na którym mógłby zbudować śledztwo, lecz... czy naprawdę chciał się w to pchać? Nie wziął przecież żadnych pieniędzy od Pearl, ostrzegał też, że po takim czasie wszystko jest możliwe. Podziękował właścicielowi, uchylił fedory jego córce i wyszedł na skąpaną w deszczu ulicę.

Patrzył zamyślony na przejeżdżające automobile. Na ludzi kurczowo ściskających parasole i tych stawiających kołnierze płaszczy. Na niebo pełne stalowych, ciężkich chmur. Na skąpane w obłokach szczyty Appalachów widoczne w oddali i zamglony las poniżej. Potrzebował porady, czegoś, co ostatecznie powie mu, co ma robić. Czytanie Pisma i rozmowy z ludźmi w barze nie pomogły aż tak, jak by chciał.

Udał się do kościoła. Jak trwoga, to do Boga, jak to mówią.

Kościół pod wezwaniem Świętego Jana Apostoła był małą świątynią nawet jak na warunki Pine Hills, ale przy tym najstarszą, bo sięgającą początków miasteczka, jeszcze z początku dziewiętnastego wieku. Innych kościołów nie było. To znaczy, był jeden, pod wezwaniem Najświętszej Matki, ale spłonął na początku roku, jakoś w marcu czy kwietniu. Teraz był tylko kupą gruzu we wschodniej części miasta. Dodatkowo ponad dekadę temu Daugherty ufundował część budowy innego, ale pojawił się kryzys, potem recesja, a Nowy Ład wcale nie pomagał tak bardzo.

Świątynia ta znajdowała się na Green Street i była tylko pustą, niewykończoną skorupą.

W Świętym Janie przeciwnie. W środku było cicho i spokojnie. Pachniało kadzidłem, a w kościelnych ławach siedziało kilka osób. Ojciec Owens był jedną z nich i to właśnie do niego skierował się Harvey. Był pinkertończyk, ale ciągle detektyw, od razu przeszedł do sedna.

– Proszę księdza, może mi ksiądz pomóc?

– Oczywiście, od tego jestem.

– Co ksiądz wie o Patricii Flynt?

– Hm, niech no pomyślę. Wierząca, była w chórze, piękny głos. Rodzina z tradycjami. Zaginęła... – Zastanowił się kapłan. – Boże drogi, zaginęła na początku września. To minął już miesiąc?

– Na to wychodzi. Pearl czekała na mnie pod drzwiami – wyzalił się.

– Prosiła o pomoc w znalezieniu siostry, czyż nie?

– Ma ksiądz rację.

– Uparta dziewczynka z niej.

– Przekonałem się na własnej skórze – zgodził się rozbawiony. To głównie z tego powodu kogarzyła się z jego własną siostrą. – Zgodziłem się pomóc, ale nie wziąłem pieniędzy, nie obiecałem też za wiele. Szukałem pocieszenia w Piśmie, potem udałem się do „Axe”, by trochę zająć umysł i... – urwał zakłopotany.

– Coś cię trapi.

– Mam wrażenie, że Patty nie jest jedyną osobą, która zniknęła. Jakiś czarny się awanturował, bo niby i jego siostrę wciągnęło, więc... co może mi ksiądz powiedzieć o tej rodzinie? Jaka była Patricia? Jej rodzice? Gdzie mieszkają? Co z chórem? Dogadywała się z pozostałymi?

– Robisz dobry uczynek – podsumował po chwili milczenia ksiądz. – Patty była porządną dziewczyną, ludzie ją lubili, chyba nawet matkowała młodszemu od niej. Flynt to dobra rodzina, Harvey. Mieszkają niedaleko stąd. – Obrócił się, tak jakby chciał wskazać kierunek przez mury kościoła.

– To mi nic nie mówi, proszę księdza.

– Wiem, przepraszam, to przyzwyczajenie. Jakby to powiedzieć... Richard i Danielle mają dwie córki, Pearl i Patricję – zaczął, idąc w stronę drzwi prowadzących do zakrystii. – Są wierzącymi, praktykującymi katolikami, żyją zgodnie z Pismem. Richard pracuje... pracował w tartaku, teraz chyba w szpitalu sprząta, Danielle siedzi w domu. Obie córki nie sprawiały żadnych problemów, no, większych problemów niż każda dziewczyna w ich wieku. Patty uczęszczała nawet na próby chóru, jak mówiłem.

– Artystyczna dusza.

– Owszem. Głównie trzymała się z Florence Louis, najstarszą córką Kevina. Swoją drogą, to właśnie Kevin Louis zasponsorował pół roku temu wymianę drzwi, dasz wiarę?

– Brzmi, jakby spał na pieniądzach.

– Sprzedał udziały w tartaku – skwitował wzruszeniem ramion ksiądz. – No, ale wracając do tematu, Pearl była jej przeciwieństwem, choć równie wrażliwa, była też dość pyskata. O, Pearl poszła w matkę, Patty w ojca, tak powiem. Usiądź, zaraz poszukam wszystkiego, czego będziesz chciał... Świętej pamięci ojciec Hayden prowadził tak drobiazgową dokumentację...

– Mógłby mi też ksiądz napisać, kto jest w chórze? Chciałbym z nimi porozmawiać.

– Oczywiście, oczywiście.

Nie usiadł. Oparł się o ścianę, zwalczył chęć zapalenia papierosa. Przyglądał się, jak ojciec Owens znika za kolejnymi drzwiami i, mamrocząc pod nosem, przeszukuje kościelne archiwa. Nie trwało to zbyt długo i już po kilku minutach pojawił się z powrotem, niosąc kilka papierowych teczek. Sullivan zmarszczył brwi, zdziwiony, że byle klecha z malutkiego

kościółka na prowincji ma tyle dokumentów na temat parafian. Szybko się jednak zreflektował. Przecież Święty Jan to stary kościół! Wszystkie informacje o wiernych muszą być udokumentowane!

– I... czy Patty ostatnio się spowiadała? – zadał kolejne pytanie, które dopiero co przyszło mu do głowy. – Wyrażała jakiś niepokój, przyznała się do czegoś, nie wiem, złego? Wspominała o kimś? – Kolejne pytania sypały się jakby z rękawa. Sullivan spodziewał się odpowiedzi odmownej, znał tajemnicę sakramentu, doskonale wiedział, o co prosi księdza, ale musiał zapytać.

– Ostatnio... we wrześniu, znaczy? Chyba tak, chyba wyznała grzechy w niedzielę przed swoim zaginięciem, ale Harvey, wiesz doskonale, że nie mogę nic o tym powiedzieć. Wszystko, co mówiła, było przeznaczone dla Pana Boga naszego.

– Wiem, proszę księdza, wiem, ale mimo wszystko... Czy było tam coś, co mogłoby mieć jakikolwiek związek z jej zaginięciem? Nie pytam o szczegóły!

– Hm... dręczyły ją koszarne sny. Ale z drugiej strony to nic nad wyraz niepokojącego, Harvey. Każdy ma koszmary... To nic złego czy dziwnego. Tutaj masz listę chórzystek. – Wręczył detektywowi świstek papieru. – A teraz rodzina Patty. Richard Flynt, syn Carla i Diane Flynt z domu Baxter. Danielle Flynt, córka Roberta i Lydii Cowan z domu Brumley, małżeństwem są od zakończenia wielkiej wojny. Patricia, ich pierwsza córka, urodziła się rok później, a Pearl...

⁵ Typ kina; nazwa pochodzi od ceny biletu wynoszącej pięć centów oraz starogreckiego słowa oznaczającego zadaszony teatr.

Rozdział 5

Moses pobiegł do najbliższych sąsiadów, którzy mieli aparat telefoniczny i byli w miarę pozytywnie nastawieni do czarnoskórych. Grzecznie zastukał do drzwi i czekał niecierpliwie, martwiąc się o siostrę. Proste, chłopskie rozumowanie mówiło mu, że coś jest nie tak – Teddy nie zostawiłby swojego instrumentu, gdyby sprawa nie była bardziej niż poważna.

Sąsiad ledwo co uchylił drzwi i skrzywił się, czując alkoholowy odór bijący od Mosesa. W mało wyszukany sposób kazał biedakowi odejść i wytrzeźwieć.

Casey zaklął, ale się nie poddał. Dopiero przy trzeciej próbie udało mu się wybłagać rozmowę telefoniczną, aczkolwiek równie dobrze mogłoby jej nie być. W szpitalu Susquehanna General nikt nic nie wiedział o czarnoskórej kobiecie czy mężczyźnie.

Był tylko jakiś czarny dzieciak, którego pogryzł pies podczas próby kradzieży. Nie było więc sensu iść do szpitala, tym bardziej że wiedział, że w takim stanie nie wpuszczą go, jeśli naprawdę jest tam jego siostra. Szedł przed siebie skonsternowany, nie wiedząc, co robić.

Jeżeli pójdzie do szeryfa, to ten zamiast mu pomóc, pewnie wrzuci do aresztu za gorszenie społeczeństwa oraz pijaństwo. Walczył z myślami coraz bardziej zrozpaczony, aż w końcu podjął decyzję, by spróbować uderzyć do klubu, w którym pracował Teddy.

Może tam coś wiedzą?

Nie przeszkadzała mu nawet pogarszającą się pogoda. „White Elk Club” mieścił się prawie w centrum Pine Hills, ulicę od ratusza, kilka przecznic od biura szeryfa, tuż obok niewielkiego wzniesienia oddzielającego klub od biblioteki i tamtejszego osiedla.

Zdyszany Moses zwolnił kroku, opierając się o maskę zaparkowanego samochodu. Ford był może z dekadę młodszy od niego, ale z pewnością w lepszym stanie niż czarnoskóry pijaczyna. Lata życia wypełnionego alkoholem i brak troski o zdrowie zaczynały zbierać żniwa. Zakaszał. Splunął flegmą.

Casey podniósł wzrok znad lśniącej od mżawki maski i skupił się na piętrowym, bielonym budynku, przed którym na dwóch słupach wisały flagi stanu i kraju. Dwuskrzydłowe drzwi z hebanowego drewna były ozdobione jelenimi porożami, obok zaś widniała tabliczka „For whites only”.

Tylko dla białych.

Zaklął znów i przeszedł na tył budynku, gdzie mieściło się wejście dla pracowników i zespołu. Teddy w końcu był muzykiem, grywał tutaj nie raz i nie dwa, więc ktoś musiał coś wiedzieć.

Po kilku minutach spędzonych na łomotaniu w drzwi służbowego wejścia w progu pojawił się barczysty, znudzony kuchcik w zapaskudżonym fartuchu, z papierosem w ustach. Spojrzał z odrazą zmieszaną z czystą agresją na Mosesa i kazał mu się wynosić, bo „żebraków tu nie trzeba”. Niestety, nawet, gdyby ktoś istotnie coś wiedział na temat zaginięcia Ruth i Teddy'ego, to nie pozwolił Mosesowi zadać pytania.

Casey znów rzucił przekleństwem, ale się nie poddał. Dobijał się tak długo, aż kuchcik na nowo otworzył drzwi, zaklął głośno i pogroził mu palcem. Również i tym razem Mosesowi nie było dane zadać prostego pytania, bo mężczyzna, wściekły i zirytowany zarazem, po prostu pchnął czarnoskórego na mokry bruk.

W jego oczach płonął ogień wściekłości, dosłownie. Cisnął w niego niedopałkiem papierosa, burknął, że „nieczyste”, i zatrzaskał drzwi. W chwilowym przeblasku świadomości, wywołanym strachem o siostrę, Casey podjął dramatyczną decyzję: musi wytrzeźwieć. Już, teraz. Skręcił w najbliższą uliczkę prowadzącą na tyły jednej z nielicznych kamieniczek i rozejrzał się dokoła.

Widok beczki na deszczówkę sprawił, że odetchnął z ulgą i szeroko się uśmiechnął. Nie zwlekał, wziął głęboki oddech, wsadził do środka głowę i z trudem wytrzymał ostre, bolesne uderzenie zimna. Manewr ten, jeśli tak można nazwać szaleńcze zachowanie pijaka, powtórzył kilka razy, aż cały dygotał z zimna.

Chyba pomogło.

– Stevens! – zawołał Moses Casey ochrypłym głosem, wchodząc do biura szeryfa. Zataczał się mocno i był wściekły, do tego całym ciałem targały drgawki. Wpadł nawet na najbliższe biurko, budząc tym samym irytację dyżurnego zastępcy, który mógł sobie pogratulować refleksu. Podniósł filiżankę z kawą w chwili, gdy czarnoskóry zderzył się z meblem.

Stary Floyd jęknął, sapnął i pokręcił z niesmakiem głową.

– Panie Casey, proszę o spokój! – zawołał szeryf, prostując się i rzucając przeproszające spojrzenie dziennikarzowi, z którym rozmawiał. Szczupły szatyn z ciekawością przyglądał się awanturującemu się. Chwilę później przewrócił nawet stronę w notesie i zaczął coś zapisywać.

Choć siedział z szeryfem w jego w gabinecie, to drzwi zostawiono otwarte; widok na główną salę i wejście wystarczało. Pismak uśmiechnął się lekko; może jednak zdobędzie coś, co poprawi jego wizerunek w oczach redaktora naczelnego? Coś innego niż kolejny martwy jeleń, padnięta sarna czy wypatroszony wilk?

– Frank, sukinsynu, porwali mi siostrę! Ruszysz swoje dupsko, by coś z tym zrobić?

– Tę... jak jej tam, Ruth?

– Tak, kurwa! Ruth zniknęła! Teddy też, wróciłem rano i nikogo nie było! Ktoś się włamał, drzwi kuchenne były otwarte! Studebaker zniknął. Nie ma ich! Czekałem, by mieć pewność! Byłem w klubie! Dzwoniłem do szpitala! Nie ma ich! Zniknęli, cholera jasna!

– Może po prostu wyszli, panie Casey? Spokojnie. Są dorośli, są małżeństwem. Panie Bell, strasznie pana przepraszam. Nie sądziłem, że...

– Nie wyszli! Ona była w ciąży, do cholery.

– I była mężatką, jak dobrze pamiętam. Casey, cuchniesz jak bimbrownia. Znowu się schlałeś, co? – wtrącił się kolejny zastępca, przystojny brunet, podchodząc powoli do czarnoskórego awanturnika jak służbista. Jedną dłoń położył na kolbie służbowego rewolweru, drugą na rączce pałki.

– Nie piłem! – zachnął się czarnoskóry, zaciskając dłonie w pięści. – Chlapnąłem parę kieliszków na klina, ale to wszystko! Siedziałem na dupie, czekając na siostrę, czekając, aż wytrzeźwieję! – Nikt nie groził, nie krzyczał, ale ruchy były wystarczająco wymowne. Czekał tylko, by odpowiednio zareagować. Joe Bell, dziennikarz, przysłuchiwał się tej wymianie zdań z mieszaniną zakłopotania i ciekawości. Obrócił się na krześle, by wszystko lepiej widzieć. Och, jakże chciał, by doszło do rękoczynów!

– Teraz nie piłeś, ale wcześniej...

– Zróbcie coś! Szeryfie!

– Zrobię, jak tylko złożę pan zawiadomienie – zapewnił szeryf. – Ale ona jest dorosła. Ma swoje życie.

– Nie jesteś jej ojcem. Wróć, jak wytrzeźwiejesz – zawołał inny stróż prawa.

– Ciesz się, że dali sobie spokój z pomysłem Volsteada w trzydziestym trzecim. Za sam smród wpieprzyłbym cię do celi i wyrzucił klucz. – Brunet, zastępca-służbista, podszedł bliżej do pijanego. Szeryf wzruszył znowu ramionami, spojrzął wymownie na reportera.

Nie musiał nic mówić. Zabronił opisywać tę przykrą sytuację.

– Lawrence, uspokój się i ty. Panie Casey, niech pan wraca do siebie, porządnie się wyśpi. Zaraz pošlę Thomasa do domu pańskiej siostry, dobrze? Panie Bell, jeszcze raz przepraszam.

– Tom, ja pójde. – Od razu wtrącił się Lawrence. – I tak miałem jechać w tamtą stronę.

– Nie szkodzi, szeryfie – odparł spokojnie pismak. – Kim on w ogóle jest? Widywałem go tu i tam, jak się zataczał w sztok pijany, raz pyskował mi w „The Broken Axe” nawet, ale... – Bell zaryzykował, czując jedyną w swoim rodzaju szansę. Frank Stevens milczał przez chwilę, przyglądając się, jak czarnoskóry pijak ze złością opuszcza budynek.

– Szkoda strzepić język. To Moses Casey, panie Bell. Bezrobotny chlejus. Urodzony i wychowany tutaj, w Pine Hills. W czasie prohibicji nagminnie łamał prawo, szmuglując nielegalny alkohol przez pensylwańskie lasy. Fakt, że jest na wolności, zawdzięcza tylko temu, że zdradził, kto był jego dostawcą i komu sprzedawał – wyjaśnił ogólnie szeryf, nie kryjąc swojej odrazy względem takiego zachowania.

– Ominęło go więzienie?

– Och, nie. – Machnął lekceważąco ręką. – Zrozumiał, co mu grozi, wyśpiewał więc wszystko i tyle, i tak trafił do pierdła. Siedział od dwudziestego piątego lub szóstego do trzydziestego drugiego albo trzeciego roku. Potem z rozpaczyny zaczął się upijać i, niestety, upija się do teraz. Nie dziwię się jego siostrze, że go zostawiła... Pewnie razem z mężem wyjechali, skoro nie widział ich wozu – wyjaśniał cierpliwie, udzielając reporterowi informacji, które może i nie miały nic wspólnego ze sprawą recesji, ale rzucały światło na ostatnie wydarzenia w biurze szeryfa i wściekłość czarnoskórego pijaczyny.

Joe zapisał daty i zakreślił je w kółeczku, podobnie jak imiona rodzeństwa. Nigdy nie wiadomo, kiedy coś takiego może się przydać, zwłaszcza że gdzieś w głębi jego umysłu kiełkował pewien pomysł.

Moses stał na mokrym chodniku. Czuł się bezradny. Co gorsza, zaczynał też odczuwać skutki odstawienia, a nie minęło wcale tak dużo czasu. Musiał się napić. Musiał utopić swoje smutki. Musiał uspokoić tego przekłętego demona uzależnienia, który szarpał wnętrznościami i raz za razem doprowadzał go na skraj wytrzymałości.

Zrozpaczony wrócił do domu. Cóż innego mógł zrobić? Jedyne, co mu pozostało, to czekać na kogoś od szeryfa. Przetrzęsął jednakże kieszenie trencza, ale nie miał nawet pół dolara. Przy odrobinie szczęścia może wystarczy na jeden jedyny kieliszek czegoś mocniejszego, a w torebce siostry może znajdzie jeszcze...

Wzdrygnął się.

Nie. Nie mógł pić. Nie teraz. Postawił kołnierz płaszcza, gdy zaczęło mocniej padać. Gęste, stalowoszare chmury przesuwają się leniwie po niebie, a zimny, wilgotny wiatr nie pomagał. Można było odliczać do oberwania chmury, bo to, że rozpęta się ulewa, było oczywistością. Ten deszcz tylko to potwierdzał.

Gdy zatem Casey znalazł się już niedaleko domu, w oddali rozległ się pierwszy złowrogi grzmot. Potem kolejny, znacznie głośniejszy, a niebo przecięła zygzakowata błyskawica.

Moses nie mógł dłużej czekać. Krążył po domu bez celu, raz za razem robiąc przystanki przy oknach wychodzących na ulicę. Liczył, że zobaczy studebakera, szwagra i siostrę. Ucieszyłby się nawet z wizyty zastępcy szeryfa, ale ten – jak na złość – nie pojawił się w okolicy.

Gdy słońce zniknęło za linią drzew i dachów, zrozumiał, że nikt mu nie pomoże. Wyszedł. Wieczorem, po opróżnieniu flaszki księżycówki dla kurażu i wyżaleniu się kompanom od kieliszka, Casey udał się do Francisa Stevensa, tym razem do prywatnego domu, chcąc wymusić na nim jakiegokolwiek działania. Martwił się o siostrę, bo czas mijał, a dziewczyny i jej męża jak nie było, tak nie ma. Zostały ubrania, walizki, torebka, trąbka. To był przecież dowód, że nic sobie nie ubzdurał.

Że Teddy i Ruth naprawdę zaginęli.

Nie przejmował się deszczem. Szedł przed siebie, napędzany alkoholem i złością. Na podjeździe zaparkowany był ford A. Jeden z nowszych pojazdów, jak na warunki Pine Hills, ale ciągle poza możliwościami zwykłego mieszkańca.

Przed garażem stał zadbane, czerwony buick z końca lat dwudziestych, znacznie bardziej odpowiedni dla małego miasteczka w czasach recesji. Sam garaż był natomiast rozświetlony blaskiem żarówek, dobiegał stamtąd też jazzowy pomruk psującego się już radia, z trudem przebijający się przez szum deszczu. W domu jedynie w kuchni świeciło się światło.

– Frank! – zawołał zaczepnie Moses, robiąc krok do przodu. Gdyby nie automobil, to najpewniej by się przewrócił; księżycówka zaczynała zbierać żniwo. Mokra i śliska nawierzchnia chodnika także nie pomagała. Oparty o wóz raz jeszcze krzyknął, starając się przebić przez jazz płynący z radia.

– Moses? Moses Casey?

– A, kurwa, kto inny?!

– Nie krzycz, syn mi zasnął. Córki sąsiadów pewnie też już śpią. – Z garażu wyszedł szeryf. Bez munduru, za to w zwykłych, roboczych spodniach utyłanych smarem i w starym swetrze z podwinętymi rękawami. Mimo zimnej, wieczorowej pory był spocony i zmęczony.

– W dupie to mam.

– Jest pan pijany?

– A co mi zostało?! Wszyscy tylko obiecują, zapewniają i gówno robią. Miał pan posłać jednego ze swoich zastępców i co? I gówno! A biedna Ruth może już... może... – Odstąpił od automobilu, wzburzony i gotów rzucić się z pięściami na szeryfa, ale nie był w stanie powiedzieć tych kilku słów więcej. Nie chciał dopuszczać do siebie myśli, że jego siostra może nie żyć. Bo cóżby innego się z nią stało? Gdy wychodził z domu, była cała i zdrowa. Gdy wrócił...

Szeryf Stevens chyba to zrozumiał. To w końcu człowiek rodzinny, miał żonę, dziecko. Zrozumiał jednak, jak wielki błąd popełnił, każąc Thomasowi – Lawrence'owi znaczy – zająć się tą sprawą. Pokręcił z niesmakiem głową, zastanawiając się, w jaki sposób ukarać zastępcę.

– Moses, ona naprawdę mogła wyjechać.

– Nie mogła!

– Skąd możesz to wiedzieć, co?

– Teddy zostawił swoją trąbkę. Ruth nie wzięła torebki!

Szeryf westchnął. Podszedł bliżej i położył dłoń na ramieniu czarnoskórego, szykując się do długiej przemowy. Casey drgnął, niepewny tego, co nastąpi, ale w końcu dał za wygraną. Zaczął szlochać jak małe dziecko, obejmując mocno mężczyznę, wyrzucił z siebie stek

przekleństw, wyzywając wszystkich, rozpaczliwie błagał, by jego siostra wróciła. Był pijany, ale mówił szczerze.

Przynajmniej do czasu, bo już po chwili spróbował uderzyć szeryfa, wrzeszcząc, że jest świętą i to jego wina, że Ruth zniknęła, że nic nie robi, że ma gdzieś los ludzi takich jak Moses, Teddy czy Ruth właśnie. Bezradność i złość, wspomagane alkoholem, wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem.

Casey dał upust swoim emocjom.

Stevens to człowiek wysoki i szczupły, ale nie chuderlawy, który spędził lata życia w okopach wielkiej wojny i kolejne na służbie prawu. I chociaż teraz nie wyglądał na żołnierza, ba, z wąsem w stylu Clarka Gable'a mógłby udawać hollywoodzkiego amanta, to był jednak stróżem prawa. Jeśli ktoś próbuje go uderzyć, reaguje w jedyny odpowiedni sposób.

Nie miał innego wyjścia; Stevens westchnął. Uchylił się, odepchnął czarnoskórego i wyprowadził kontruderzenie w postaci celnie wymierzonego policzka. Potem kolejne, tym razem pięścią, miażdżąc mu nos i usta. Gdy Casey upadł na tyłek, na mokry od deszczu podjazd, szeryf chwycił go mocno pod pachy i odprowadził zaskoczonego pijaka do policyjnego samochodu. Usadził na tylnej kanapie i, zaszedłszy na moment do domu, poinformował żonę o swoich planach.

W biurze szeryfa dyżur pełnili, jak zwykle zresztą, Larry i Floyd. Z radością powitali Stevensa, myśląc, że przyjechał ich odwiedzić tuż przed końcem zmiany. Miny trochę im zrzedły, gdy wyprowadził z samochodu rozkojarzonego, czarnoskórego awanturnika. Wspólnymi siłami wrzucili biedaka do jednej z cel, zamknęli i przez kilka minut porozmawiali o problemie Mosesa.

Nikt nie traktował go poważnie.

Rozdział 6

Judy Bowyer, Patricia Flynt, Jean Forrest, Bertie Harell, Florence Louis, Mabel Ross, Mildred Turner, Sarah Wylde.

Osiem osób – no, siedem bez Patty. Dopiero po dłuższej chwili Harvey zorientował się, że zna te dziewczyny. Może nie do końca jest to odpowiednie słowo, ale ilekroć bywał w kościele i trafiał na msze z chórem, widział je. Nie mógł oczywiście skojarzyć imion i twarzy, nie mówiąc już o głosach, ale wiedział, kim są. Stanowiły nieodłączny element tła i to taki, który zauważa się dopiero, gdy go brakuje.

Plan miał względnie prosty. Zamierzał porozmawiać z każdym, kto mógłby cokolwiek wiedzieć na temat zaginionej. Od jej koleżanek z chóru, poprzez rodzinę i znajomych, a potem się zobaczy. Z doświadczenia wiedział, że takie podejście się sprawdza, choć bywa dość czasochłonne.

Resztę poniedziałkowego dnia spędził, łąząc po Pine Hills od domu do domu. Pierwsze trzy dziewczyny – panny Bowyer, Forrest i Harell – smuciły się z powodu zaginięcia koleżanki. Nie mówiły jednak nic, czego Harvey by nie wiedział od siostry wspomnianej. Patricia była wrażliwa, delikatna, troszczyła się, by nie rzec – matkowała im. Nie miała chłopaka, nie piła, kręciła nosem na papierosy. Liczył się tylko kościół, wiara, rodzina i śpiew.

Florence nie zastała w domu, w dodatku jej ojciec zagroził Sullivanowi, by nie nachodził jego córki z byle powodu, a Mabel rozplakała się, gdy tylko detektyw zadał pierwsze pytanie.

Dopiero później, gdy udało się ją uspokoić, wyjaśniła, że Flynt nie była typem imprezowiczki. Wolała siedzieć z rodziną albo w kościele, niż włóczyć się po Pine Hills bez celu (jak, nie przymierzając, robił to właśnie Harvey). Ale gdy chodziło już o spotkania ze znajomymi, to i owszem, brała w nich udział. Sama nawet parę organizowała, nigdy jednak nie kreowała się na jakąś wielką gwiazdę. Po prostu... była.

Tak brzmiały te słowa.

Patty po prostu była. Jej brak odczuwał każdy, a łzy na twarzy Mabel doskonale o tym świadczyły. Wrócił więc do siebie, uporządkował notatki – ilość zapisków rosła w zastraszającym tempie.

Panny Turner i Wylde zostawił sobie na następny dzień, podobnie jak rodzinę samej zaginionej. Błędym wtorkowym świtem skierował się więc do domu Mildred Turner. Przez blisko kwadrans przekonywał matkę, że nie ma złych zamiarów wobec jej córki i dopiero potem udało mu się porozmawiać z dziewczyną.

I chociaż ta pyzata szatynka o uroczej, acz obsypanej piegami twarzy, nie zalewała się łzami, to niezbyt mu pomogła. Jak i wcześniej Harvey wszystko skrupulatnie notował, budząc tym samym podziw dziewczyny.

– I nigdy nie wspominała o żadnym chłopaku? Jesteś tego pewna?

– Tak, proszę pana – powiedziała, nieznacznie się rumieniąc. – Ojciec Owens przestrzegał nas, abyśmy nie ulegały pokusom i Patty naprawdę wzięła sobie te słowa do serca.

– A jakieś prywatki? Spotkania z przyjaciółmi? Wizyty w „Axe” albo „Pine” na przykład? Potrafisz sobie przypomnieć, czy pojawiał się tam ktoś obcy, nieznajomy? A może udało się wam dostać do „White Elk”?

– Nie, skądże! Nigdy tam nie chodziliśmy – zapewniła gorliwie. – Ja, Florence i paru innych znajomych chcieliśmy odwiedzić „White Elk Club”, ale Patty nas przekonała, że nie warto, bo nie ma tam nic ciekawego, i mówiła, że ludziom tam źle z oczu patrzy czy coś. Parę razy byliśmy na prywatce u Lestera i Wayne’a, wie pan, na farmie Steinów, ale zawsze towarzyszył nam ktoś dorosły i pilnował. Patty o to dbała, chciała, by ktoś... no, ktoś dojrzalszy od nas był w pobliżu. Zwłaszcza teraz, gdy się czyta w gazecie o tych biednych zwierzętach.

– Godne pochwały – mruknął, notując jej słowa. Wzmiankę o martwych zwierzętach pominął; mało to myśliwych było w Pensylwanii? Czasy ciężkie, a upolowanie sarny, na przykład, dawało dość mięsa, by wyżywić rodzinę. Skupił się jednak na dalszych słowach; miał wrażenie, że już gdzieś słyszał podobne określenie. Nie wiedział tylko gdzie.

– Dziękuję?

– Nie ma za co. Co masz na myśli, że ludziom źle z oczu patrzy?

– No... – Zmieszała się.

– Patty nie lubi czarnych?

– Nie wiem, proszę pana, tak po prostu powiedziała, by nas chyba zniechęcić do klubu.

– Rozumiem... – mruknął, choć nie wydawał się przekonany. – Powiedz mi jeszcze, czy Patty wspominała coś o planowanym wyjeździe z Pine Hills? Może chciała jechać do Los Angeles, do Hollywood? Albo Pittsburgha? Philly, może? Odwiedzała kogoś, kto ma szpule z filmami? Tutejsze kino jest w końcu zamknięte, a ojciec Owens wspominał, że miała artystyczną duszę.

– Nie! Nigdy by tego nie zrobiła. No dobrze, lubiła oglądać filmy, słuchać audycji radiowych i w ogóle, ale nie poszłaby do kogoś obcego tylko dlatego, że ma taśmę z filmem. Zresztą pan Whiskers czasami organizuje pokazy, więc... – Wzruszyła ramionami.

– Ale kino jest zamknięte – zauważył.

– Tak, ale pan Whiskers ma szpule. I projektor w domu! W piwnicy robi pokazy, za darmo. No i Patty nie pojechałaby aż na Zachodnie Wybrzeże. W ogóle nie chciała wyjeżdżać z miasta, nie zostawiłaby rodziny. Mówiła, że nie może zawieść matki.

– Cóż, jeśli to wszystko, co masz mi do powiedzenia, Mildred... to będę się zbierał. Gdybyś coś sobie przypomniała, wiesz, gdzie mnie szukać – zakończył standardową już formułką i ruszył w stronę wyjścia.

Kolejnym przystankiem miał być dom państwa Wylde. Nieduża farma, ot co. Niedaleko znajdowała się też farma Steinów, postanowił więc upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, skoro już znalazł się w tej okolicy.

Lester i Wayne Stein okazali się być najzwyczajszymi młodymi chłopakami. Pomagali rodzicom na farmie, marzyli o tym, by się wyrwać z Pine Hills, ale zdawali sobie sprawę, że w obecnych czasach nic z tego – tutaj mieli przecież zapewniony dach nad głową, pracę, tutaj mieszkali ich bliscy. Podczas krótkiej męskiej rozmowy Harvey wyciągnął z nich tylko tyle, że szanowali Patty i tęsknili za nią, bo choć wszyscy byli w zbliżonym wieku, to jednak traktowali ją jako kogoś mądrzejszego.

No, Lesterowi wpadła w oko, ale wiedział, że Patty to za wysokie progi jak na jego nogi.

Nie wiedzieli jednak nic o jej zaginięciu ani o tym, co mogło być powodem jej zniknięcia, czy kto mógłby ją porwać. „White Elk” unikali, bo nie słuchali takiej muzyki. Sullivan modlił się w duchu, by Wylde wiedziała coś więcej.

Im jednak był bliżej, tym bardziej farma jawiła się jako zaskakująco skromna: raptem dwa budynki, z czego tym większym była stodoła. Dziedziniec natomiast okazał się bardziej niż obszerny, otoczony wysokim płotem z desek; półciężarówka forda stała zaparkowana między stodołą a parterowym domkiem z poddaszem i imponującą werandą.

Detektyw uzbrojony w notes wahał się, gdzie iść najpierw.

Wybrał stodołę. Stamtąd dobiegało końskie rżenie, więc albo spotka tam samą Sarę, albo jej ojca czy matkę. Miał szczęście i trafił na najmłodszą z rodziny; z rozmowy z dziewczyną dowiedział się niewiele na temat zaginionej. Znacznie ciekawsze były informacje o samej Wylde. Chórzystka była równie uzdolniona artystycznie jak Patty, a może nawet bardziej, bo dodatkowo rysowała kawałkami węgla, co tylko się dało.

Pokazała mu nawet kilka rysunków: Harvey musiał przyznać, że dziewczyna miała talent. Widać jednak było, że niektóre różnią się od pozostałych; tu widniały konie, zabudowania farmy, pola, tam natomiast znacznie bardziej ponure obrazy pensylwańskich lasów, rzeki Susquehanna czy spalonego kościoła.

Sarah wyjaśniła, że te malunki stworzyła na prośbę Patty dręczonej koszmarami. Flynt opowiedziała o swoich snach, a Wylde po prostu przeniosła je na papier. Harvey natychmiast to zanotował, bo koszmary mogły mieć jakieś znaczenie lub były po prostych zwykłymi, przykrymi snami. Nie mógł ich zignorować.

Sullivan zapytał, czy mógłby pożyczyć wspomniane dzieła, a Sarah ochoczo mu je oddała. Przyglądając się węglowym rysunkom, chciał się upewnić co do jednej rzeczy, zanim ruszy dalej, do rodziny Flynt.

Skierował się do biblioteki, a dzień wcale nie robił się młodszy... Kiedy zaś dotarł do celu, okazało się, jak wielkiego ma pecha. Krótka rozmowa z łysiejącym bibliotekarzem nie przyniosła absolutnie żadnych rezultatów. Detektyw liczył na przejrzenie archiwalnych numerów gazet, te jednak spłonęły w niedawnym pożarze. Na dowód tych wydarzeń biedak podniósł obandażowane, poparzone dłonie. Cóż więc innego mógł zrobić Harvey?

Ruszył do redakcji. Tylko tam mógł dorwać archiwalne gazety. Rodzina poczeka. Musi.

– Bell, dobrze, że jesteś! Petent do ciebie. – Pызaty łasuch, miłośnik słodczy, miał w ustach kawałek batonika. Obok niego stał niski, ponuro wyglądający brunet o zmęczonym spojrzeniu i niedbale ogolonej twarzy. Sullivan miał nietęgą minę. Fedorę trzymał w lewej dłoni, prawą miał w kieszeni płaszcza.

– Zaraz przyjdę! Dzięki, Clark! – zawołał z głębi redakcji Joe. Harvey nie miał wyjścia i musiał najbliższe chwile spędzić w towarzystwie grubego obżartucha.

– Więc mówi pan, że jakaś dziewczucha potrzebuje pomocy, tak? Dlaczego akurat przyszła do pana, a nie na policję na przykład?

– Jestem detektywem.

– Och, naprawdę? Policja? Policja stanowa? Federalny? Pinkerton? Prywatny?

– Pinkerton, teraz działam sam.

– Nie wiem, czy zazdrościć, czy współczuć.

– Po troszę i jedno, i drugie. Przepraszam, ale nie mam dużo czasu – dodał po chwili znużonym głosem, idąc do najbliższego stolika. Sullivan nie przepadał za dziennikarzami, ale byli niezbędni w jego pracy. Potrzebował ich, zwłaszcza teraz, gdy poprzedniego dnia spędził kilka dobrych godzin u księdza, a potem łąził po domach obcych ludzi i wypytywał Boga ducha winne dziewczyny.

Dziś zresztą kontynuował tę wędrówkę.

Rodzina zaginionej jak każda: porządna, wierząca, bez żadnych większych wad. Oczywiście nie odwiedzili ich, bo za mało wiedział, a nie chciał psuć sobie obrazu całości zeznaniami zrozpaczonej rodziny. Zamiast tego zmarnował czas w bibliotece. Oby tutaj było inaczej!

Joe odłożył notes i krytycznie przyjrzał się Sullivanowi. Harvey zrobił to samo. Znali się od dłuższego czasu, byli przyjaciółmi mimo dzielącej ich różnicy wieku: ponad dziesięć lat! Przez moment mierzyli się wzrokiem, aż w końcu uściśniły sobie dłonie.

– Cześć, Joe. Przepraszam, że zawracam głowę.

– Od tego jestem, Harvey. Wszystko jest lepsze niż rutyna.

– Jak Heather, dobrze znosi ciężę? – zaczął, zadając proste i przyjemne pytanie. Nie było sensu od razu rzucać się na głęboką wodę. Tym bardziej że dawno już nie widział ani Joe, ani jego żony.

– Och, łązi wszędzie, ale ma takie wahania nastroju... Raz chce się przytulać, a potem jest gotowa wydrapać mi oczy. – Machnął lekceważąco ręką. – Czym prasa może służyć? – Dziennikarz wskazał stojące w rogu biurko zavalone wycinkami z gazet, notatkami i dwiema filiżankami. Jedna pełniła rolę popielniczki, druga rozpaczliwie domagała się umycia.

– To... dość delikatna sprawa.

– Zamieniam się więc w słuch – odparł z uśmiechem Joe i, jak przystało na przedstawiciela prasy, przekartkował notes, gotów zapisać wszystko, co usłyszy. Harvey zmarszczył czoło niezbyt zadowolony z takiego zachowania; zwykle to on sam tak robił. Cóż, role się odwróciły.

– Chciałbym prosić o dostęp do archiwalnych numerów gazety.

– Po co? Są w bibliotece.

– Wiem, ale chodzi mi o starsze – odparł zrezygnowanym głosem. – Wiesz, niby był jakiś pożar w archiwum, czy coś takiego, kilka tygodni temu i wszystko poszło z dymem.

– Kilka tygodni... Ach, pamiętam, faktycznie, we wrześniu Ephraim marudził coś o niedopałkach i papierosach. No cóż, przykro mi, ale nie do mnie należy decyzja, kogo wpuścimy do archiwum. – Przepraszająco wzruszył ramionami. Harvey spodziewał się czegoś takiego, więc zdobył się tylko na westchnienie.

– Nic się nie da zrobić? Nie chciałbym zawracać głowy naczelnemu, to zajmie tylko chwilę. – Sullivan spróbował z innej strony, ale szybko zrozumiał, że to był błąd. Na twarzy dziennikarza pojawił się podejrzliwy grymas. Ołówek zaczął poruszać się po stronie notesu.

– Chyba mi czegoś nie mówisz.

– Nie muszę.

– Ja też nie muszę otwierać drzwi do archiwum.

Zapadło milczenie. Cisza po obu stronach. Potem obaj wybuchnęli śmiechem.

– Dobra, miejmy, to za sobą. – Harvey się poddał, by nie przedłużać niepotrzebnie rozmowy. – W poniedziałek rano, gdy wróciłem do domu, przed drzwiami czekała na mnie dziewczyna.

– Ha! Tak coś czułem. Niech zgadnę: nie spodziewałaś się jej?

– Otóż to.

– Mów dalej. – Zapisał kilka pierwszych słów. Harvey przekrzywił głowę, próbując odczytać koślawy charakter pisma, ale nie był w stanie.

– Co tu dużo mówić: poprosiła mnie o pomoc w odnalezieniu zaginionej siostry. Zgodziłem się i...

– Co? – Przerwał notowanie, patrząc na Sullivana szeroko otwartymi oczami. Harvey mrknął pod nosem przekleństwo i powtórzył kilka ostatnich słów, żałując, że w ogóle tu przyszedł. Gdy jeszcze pracował u Pinkertona, po prostu wystarczyło machnąć dokumentem potwierdzającym przynależność do agencji i już, po krzyku. A teraz? Musiał się męczyć!

– Zaginiona osoba.

– No patrz, co za przypadek? Jak byłem u Stevensa w interesach, to jakiś czarnuch rzucił się do zastępcy, bo mu siostrę wcięło.

– Chyba kojarzę, facet łązi po mieście i zawraca ludziom dupę. Wiesz, jedna zaginiona to przypadek, dwie... sam widzisz. Słuchaj, Joe, zgodziłem się pomóc, bo taka moja praca. Zacząłem trochę grzebać, popytałem tu i tam, i mam wrażenie, że coś tutaj śmierdzi. Dlatego muszę zajrzeć do archiwum.

– A byłeś u szeryfa? – Joe zniżył głos do szeptu i, o dziwo, odłożył ołówek. Ten gest, pozornie nie mający żadnego znaczenia, wydał się Sullivanowi bardziej niż podejrzany.

– Jeszcze nie, zamierzałem do niego iść, ale najpierw postanowiłem zajrzeć do biblioteki i wypytać rodzinę – wyjaśnił, zapalając papierosa za pomocą leżących na blacie zapalek. – Chciałem wiedzieć, na czym stoję, a skoro tam był tylko, no, popiół, to przyszedłem tutaj. Chodzi mi o dostęp do archiwalnych wydań z ostatnich miesięcy. Joe, mam podejrzenia, jak mówiłem, chcę się więc upewnić, że w ogóle jest sens ruszać tę sprawę – dokończył w dość niezadarny sposób, patrząc na płomyk zapalniczki. Machnął dłonią, ogień zgasł.

– Naczelnicy pewnie urwałyby mi głowę, gdybym wpuścił cię do piwnicy, sam rozumiesz. Ale skoro nie możesz iść do archiwum... to archiwum przyjdzie do ciebie. Poczekaj na mnie w socjalnym, zaraz przyjdę. Będziesz miał u mnie dług! – Bell odparł z uśmiechem, proponując niejawną współpracę. Sullivan nie miał wyjścia, więc skinął głową. Kiedy dziennikarz ruszył na tyły redakcji, Harvey, korzystając z okazji, przysunął sobie notes pismaka. Upewnił się, że nikt go nie widzi i szybko go przekartkował. Niestety, nie było tam nic nad wyraz ciekawego, przynajmniej na obecnym etapie śledztwa. Ot, krótkie notatki i pòsłòwka dotyczące wzrostu przestępczości spowodowanej kryzysem, recesją oraz – nie wiedzieć czemu – jesienią. Zdechła sarna. Martwa krowa u Loebbów. Parę nazwisk, które nic mu nie mówiły, ale były zakreślone kółeczkiem, do tego Joe dopisał tam kilka pytańników.

Jedynie wzmianka o awanturującym się czarnoskórym mężczyźnie skupiła uwagę Sullivana, ale nie na tyle, by coś z tym mógł zrobić tu, teraz. Potem udał się do pokoju socjalnego. Małego, ciasnego, ale idealnego do obecnych potrzeb.

Joseph Bell, dziennikarz „Hills Telegraph” z przerostem ego, zszedł do archiwum. Został poproszony o pomoc, więc pomocy udzieli – a nuż wyjdzie z tego jakiś materiał? Tym bardziej że zaginęły dwie osoby. Dwie kobiety, siostra czarnoskórego pijaka i siostra młodej, białej dziewczyny. Obie zniknęły nagle, niespodziewanie. I, jeśli dobrze pamiętał, zaginięcia dzielił tylko miesiąc.

Tyle wiedział i to, wedle jego wiedzy, powinno wystarczyć jako fundament artykułu umożliwiającego wybiecie mu się w dziennikarskim świecie. To w końcu mała miejscina w Pensylwanii, a nie jakaś metropolia... Jeśli jego nazwisko pojawi się przy sensacyjnym artykule, stanie się sławny.

Najpierw jednak musi przygotować materiały. Dla detektywa i dla siebie. Przeszedł wzdłuż regałów, wyciągnął odpowiednie kartony, przerzucił papierowe teczki, w których znajdowały

się archiwalne egzemplarze. Wybrał kilkanaście teczek, sięgając aż do lipca i z trudem wrócił na górę.

Harvey krążył po pokoju socjalnym, czekając na kolegę.

Nie upłynęło nawet kilka dni od zaginięcia. Może nawet mniej, a jedyne informacje miał od zrozpaczonego, pyskatego podlotka, księdza i od zapijaczanego mężczyzny o opinii, która nie była powodem do dumy. A nawet to nie było pewne, bo przecież słyszał wszystko z drugiej ręki.

– Pomóż mi, Harvey – powiedział zdyszany Bell, ściskając dość dużo teczek. Oddał część detektywowi, dopiero potem położył na blacie resztę. Usiadł obok, zapalił papierosa i odsapnął zmęczony. Wkrótce rozdzielił wszystko na dwie kupki: większą wziął dla siebie.

Nie wiedzieli zbyttnio, czego mają szukać.

Siedzieli tak prawie dwie i pół godziny, budząc pewne zainteresowanie pozostałych członków redakcji. Póki jednak wszystko odbywało się pod dachem, na oczach naczelnego niejako (a jak to mówią, pod latarnią najciemniej), nikt się nie czepiał. Ba, pan Wilfredson, najstarszy dziennikarz w mieście, pamiętający jeszcze czasy poprzedniej gazety, oferował nawet pomoc. Sullivan grzecznie acz stanowczo odmówił, nie chcąc, by ktoś przeszkadzał. Podczas tej pracy wypalono mnóstwo papierosów i opróżniono kilka filiżanek kwaśnej, słabej kawy.

Poszukiwania się jednak opłaciły.

Cofnęli się o półrocze. W przeciągu tych kilku miesięcy, od lipca aż do października trzydziestego ósmego roku, w okolicach Pine Hills w Pensylwanii zaginęło co najmniej pięć osób. Znacznie więcej, niż Harvey oczekiwał. Znów zaklął pod nosem.

Spośród tej piątki dwie były kobietami i to one przykuły uwagę Sullivana i Bella. Niestety krótkie, lakoniczne wręcz wzmianki pochodziły sprzed wielu tygodni i nie mówiły praktycznie nic oprócz samych oczywistości: dnia tego i tego zaginęła taka i taka osoba, rodzina i policja proszą o kontakt, bla bla bla.

I Joe, i Harvey zanotowali wszystko, co zdołali wydobyć z gazet.

Therese Buckfield zaginęła w pierwszej połowie lipca, natomiast Patricia Flynt na początku września. Obie były stąd. Ciemnoskóra Therese mieszkała niedaleko mechanika, jeśli Sullivan dobrze kojarzył adres. Była w domu, gdy mąż wychodził do pracy – gdy wrócił, już jej nie zastał.

Flynt, biała katoliczka, zniknęła dziewiątego września po południu, gdy szła do kościoła. Nie dotarła do celu, a szeryf przeprowadził krótkie śledztwo, szybko się jednak poddał i przekazał sprawę dalej, do policji stanowej. O tym już wiedział – ojciec Owens wszystko mu wytłumaczył, a znajomi dziewczyny tylko to potwierdzili.

Pozostała trójka zaginionych osób także pochodziła z miasteczka i jego okolic: czarnoskóry Richard Huffman zniknął pierwszy, na początku sierpnia, po awanturze w „Pine”. Wyszedł pijany i wkurzony, i nikt go więcej nie widział. Pozostali byli biali: pod koniec miesiąca Bruce Rosebud zniknął wracając z pracy na farmie Woodwellów. Hank Cooper zaginął jako ostatni, rzekomo podczas polowania na jelenie i sarny we wrześniu.

Ani Sullivan, ani Bell nie znali nikogo z tych ludzi, tym bardziej nie potrafili przypisać twarzy do nazwisk. Co gorsza, nic, co wyczytali w archiwalnych gazetach, nie wydawało się łączyć z jedną czy drugą dziewczyną. Ot, ludzie byli, potem zniknęli. Od razu też usunęli czynnik rasowy i płeć jako powody, dla których ktoś miałby porwać ludzi.

Chodziło o coś innego. Tylko o co?

– Jak na parę godzin roboty to chyba dobrze nam poszło.

– Niby tak.

– Wiesz, to są wycinki prasowe z ostatnich miesięcy. Dokładniejsze są tylko u szeryfa i u policji stanowej – uściślił Joe, gasząc kolejnego już papierosa.

– Bo Stevens mnie wpuści do archiwum, już to widzę.

– Jak ładnie poprosisz.

– Jasne – burknął. – Hm... Buckfield, Cooper, Flynt, Huffman, Rosebud – przeczytał Harvey, próbując dostrzec sens.

– I Smithee... – dodał dziennikarz.

– Smithee – zgodził się Harvey. – Coś mi to mówi.

– Theodor Smithee, gra w „White Elk”. Zniknął razem z żoną, Ruth. Jej brat... No, nie cieszy się szacunkiem, że tak powiem. Nerwus taki, furiat i choleryk w jednym.

– To o tym Murzynie pisałeś! – wyrwało mu się, ale Bell zaśmiał się krótko.

– Tak, Murzyn z mojego notesu. Też widziałeś, jak się awanturuje? Słuchaj, mam propozycję, taką, hm, zawodową. Nie będę ukrywał, że podsunąłeś mi pewien pomysł. Mam dość pisania o kolejnych upadających sklepach albo czymś takim. Zamierzam wysmażyć artykuł, który będzie na jedynce każdej gazety w Pensylwanii razem z moim nazwiskiem. Pomożesz mi, ja pomogę tobie. Umowa stoi?

– Czy ja wiem... To chyba nie jest zbyt etyczne? Młoda od Flyntów chciała, żebym jej pomógł, a nie latał do prasy.

– Przecież jej pomagasz...? – Obruszył się dziennikarz. – Zresztą, co jest etyczne w obecnych czasach? Ciągle czujemy skutki krachu z czarnego czwartku⁶, z Europy z kolei dociera coraz więcej niepokojących informacji. Harvey, chcesz pomóc tej biednej dziewczynie, prawda? – Joe pochylił się i powiedział to, co od dłuższego czasu dręczyło byłego pinkertończyka. Tak, chciał jej pomóc. Bał się tylko wrócić do poprzedniego życia, które, cóż, nie było ani miłe, ani grzeczne.

– Prawda – zgodził się w końcu.

– No i doskonale. Zaraz muszę jechać na farmę Loebba i trzasnąć tam parę zdjęć, a potem Whiskers ma jakąś sprawę. Chyba kończy z darmowymi pokazami w swojej piwnicy, ale ogólnie służę jednak pomocą i liczę na to samo, Harvey!

– Tak, oczywiście.

– No to... do zobaczenia, współniku. W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać.

– Ty mnie też, a jeśli nie, to wal do Neumanna. Do widzenia. – Nie wiedział, czy wskazanie dozorca czynszówki jako kontaktu było dobrym wyjściem, ale kto inny siedział cały czas na miejscu? No i Sullivana nie było stać na sekretarkę!

Padało. Mokre i zimne krople deszczu spływały z fedory prosto na kark dawnego pinkertończyka. Detektyw wzdrygnął się, postawił kołnierz grubego płaszcza i przyspieszył kroku. Przez moment żałował, że nie ma samochodu; ta piekielna machina dawała przynajmniej osłonę przed deszczem, a czekała go dość daleka droga.

Miał się spotkać z rodziną Patty. Pierwszy raz. Rozważał przez jakiś czas, czy nie zatelefonować, umówić się i nie przeprowadzić rozmowy oficjalnie, ale prędko zrezygnował z tego pomysłu. Wolał odwiedzić Flyntów niespodziewanie, nagle, tak, by nie mieli czasu uzgodnić zeznań i przygotować jakiegoś planu działania.

Szlag by tę pogodę!

Z ulgą powitał werandę przed domem. Zdjął fedorę, przeczesał włosy i odchrząknął parę razy, nim zastukał knykциями raz, drugi. Odczekał chwilę i znów zaatakował drewno. Ucieszył się nawet, widząc, jak w progu staje Pearl. Dziewczyna na widok detektywa rozpromieniła się jak nigdy i już, już miała rzucić mu się na szyję, gdy za jej plecami pojawił się jej ojciec.

Był to mężczyzna wysoki, ale chudy, o ogorzałej twarzy i zmęczonym spojrzeniu oczu zaczerwienionych od płaczu. Palił papierosa, a podciągnięte do łokci rękawy białej koszuli i zwisające po bokach szelki nadawały mu wygląd człowieka pocziwego, godnego zaufania. Harvey wyciągnął dłoń.

– Harvey Sullivan, detektyw – przedstawił się, mocno akcentując ostatnie słowo. – Mogę zająć panu chwilę? Chodzi o pańskie córki. – Specjalnie użył liczby mnogiej. Zerknął nawet na uśmiechniętą Pearl. Richard Flynt zaciągnął się leniwie papierosem, przetrzymał długo powietrze z dymem w płucach, ale w końcu ucisnął dłoń byłego pinkertończyka.

I zaprosił do środka.

– Nie zajmę panu dużo czasu – zaczął, siadając na zapadniętej sofie w skromnym salonie. – Pearl wynajęła mnie, żebym dowiedział się, co się stało z Patty. Wiem, że szeryf i policja stanowa już prowadzili śledztwo, ale... no, ja nie jestem policją. Podchodzę do takich spraw inaczej.

– Tak! – pisnęła z zadowolenia Pearl, stając w progu salonu. Jej ojciec spojrzał na nią ciężkim wzrokiem; młoda Flynt umilkła.

– Wnoszę, że to będzie mimo wszystko długa rozmowa. Niech pan zapali. – Wyciągnął paczkę lucky strike'ów.

– Dziękuję. Proszę mi powiedzieć, co się stało, jeśli pan oczywiście pamięta, w dniu zaginięcia córki, kilka dni przed. Jak się zachowywała, co robiła, czy o czymś... o kimś... wspominała. Narzekała na koszarne sny? Problemy? Traciła apetyt, cokolwiek? Wiem, że minął już miesiąc, ale, panie Flynt, wszystko może mieć znaczenie, nawet jakiś pozornie nieważny szczegół. – Zapalił. Wydmuchał dym. Rozsiadł się wygodniej i z papierosem w ustach sięgnął po swój notes. Potem zaczął pisać.

Idąc do biura szeryfa, starał się myśleć o zaginionych.

Pearl błagała, by pomógł znaleźć jej siostrę. Teraz okazało się, że Patty nie jest jedyna. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej się przekonywał, że coś naprawdę jest na rzeczy i kwestia zaginionych osób może być czymś zupełnie innym. Poważniejszym, niż się początkowo wydawało. Rozmowy z rodziną i znajomymi, ba, nawet z księdzem i znajomym dziennikarzem tylko utwierdzały w tym Sullivana.

– Szeryf jest? – zapytał dyżurnego tuż po przekroczeniu progu i otrzepaniu się z wody.

– Rozmawia przez telefon – odparł znużony i niewyspany zastępca, rudowłosy Thomas, bazgrząc po wczorajszej gazecie.

– Bogu dzięki – wyrwało się Sullivanowi.

– Chcesz pan, to wchodź. Najwyżej opieprz zgarniesz. – Zastępca wzruszył ramionami, zerkając na stojące pod ścianą krzesła. Harvey nie skorzystał z zaproszenia i zamiast tego stał

przy ścianie, podziwiając obrazy i fotografie. Większość z nich, jak można się było domyślić, przedstawiała stan, miasteczko i funkcjonariuszy.

– Pan Sullivan? Pan do mnie? – Głos szeryfa wyrwał detektywa z zamyślenia. Harvey obrócił się powoli. Widok doświadczonego stróża prawa działał kojąco na byłego pinkertńczyka.

– Tak, szeryfie, mam pewną sprawę i myślę, że mógłby mi pan pomóc. Chodzi o...

– Spokojnie, powoli. – Uspokoił go Stevens. – Jeśli to coś pilnego, to może pan jechać ze mną. Dzwonił Zoeller, znalazł padniętego jelenia przy dojazdówce do tartaku. Obawia się, że to kojoty albo wilki – wyjaśnił ogólnie szeryf.

– Och. Nie, to znaczy... chciałem tylko porozmawiać. Chodzi mi o zaginione osoby.

– Dobry Boże, pan też? – Stevens zatrzymał się gwałtownie.

– Słucham?

– Najpierw Casey drze się jak dzikus w biurze, potem nachodzi mnie w moim prywatnym domu, a teraz pan, panie Sullivan? A ja miałem pana za porządnego człowieka! Nie mam czasu, by to tłumaczyć, ale niech mnie pan posłucha. – Podszedł bliżej. – Ktoś wyjedzie na Zachód, nie zostawi adresu zwrotnego i tyle, jak kamień w wodę. Ktoś pójdzie na polowanie i nie wróci, bo dopadnie go zwierzyna albo inny myśliwy. Ktoś się przeprowadza do Filadelfii albo Pittsburgha na przykład. Po wojnie, panie Sullivan, ludzie migrowali po całych Stanach. Ilu było wtedy włóczęgów? W wielkich miastach aż tak tego nie widać, ale w mniejszych, jak Pine Hills właśnie... A gdy huknął kryzys, to na przełomie roku trzydziestego i trzydziestego pierwszego ludzie nie potrafili sobie poradzić. Pan, panie Sullivan, powinien doskonale o tym wiedzieć. Ileż to samobójstw odnotowano, ile morderstw, ile ucieczek...? Ludzie znikali ot tak! – Pstryknął palcami. Zaczął pobieżnie wyjaśniać, podając najbardziej oczywiste przykłady, z którymi Sullivan tylko trochę się zgadzał. Faktycznie, patrzył na wszystko z perspektywy mieszkańca wielkiego miasta, ale z biegiem lat wszystko się zmieniło. Pittsburgh zostawił za sobą.

– Rozumiem, ale coś się dzieje, szeryfie – zaczął ostrożnie. – Byłem w „Hills Telegraph”, przejrzałem ich gazety i...

– Nie ma żadnego „i”, proszę pana. To normalne. Jeśli stanie się coś poważnego, coś, co będzie ponad nasze siły, osobiście zawiadamiam Pennsylvania Motor Police i oddaję im sprawę. Jeśli... powtarzam, jeśli w ogóle jest jakaś sprawa.

– Może ma pan rację, szeryfie. – Sullivan podjął temat z drugiej strony. – Ale tutaj chodzi o Patty Flynt. Pamięta ją pan, prawda?

– Pamiętam. Sprawę oddałem stanowym, bo zrobiłem wszystko, co mogłem. A teraz pan wybaczy, muszę jechać sprawdzić, co z tym przeklętym jeleniem. Jeśli mimo to chce pan czegoś więcej dowiedzieć się na temat zaginionych, niech pan śmiało uderzy do Floyda albo Powella. Doskonale orientują się w archiwum, ale wątpię, czy pan cokolwiek tam znajdzie. Do widzenia.

Sullivan tylko skinął głową.

Bezradnie rozejrzał się po biurze, zatrzymując wzrok na mapie stanu wiszącej na jednej ze ścian, na fladze Stanów zawieszanej na honorowym miejscu i tych kilku fotografiach funkcjonariuszy, którzy stracili życie od początku istnienia formacji w Pine Hills.

Już miał iść do starego Cole'a, by poprosić o pomoc w uzyskaniu informacji z archiwum, gdy dostrzegł, że ktoś siedzi w celi. Błyskawicznie połączył fakty: słowa szeryfa, Carrie i tych

dwoch fanów sportu z „Axe”, notatki przyjaciela. Serce zabiło mu szybciej, gdy uświadomił sobie, że to nikt inny, jak czarnoskóry awanturnik. Ten, jak mu tam, Moses Casey. W ogóle nie pomyślał o tym, że po tak licznych awanturach mógł zostać aresztowany!

Obrócił się, by zwołać do szeryfa, czy mógłby porozmawiać z aresztowanym, ale policyjny ford już odjechał. Zostały po nim tylko ślady na błocie, rozedrgane kałuże i nikła chmura spalin, rozwiewana przez chłodny wiatr. Sullivan wahał się, czy skierować się do Cole'a i archiwum, czy do Powella, by podjąć próbę rozmowy z aresztowanym.

Wybrał i jedno, i drugie.

– Panie Powell?

– Słucham? – zapytał zastępca. Porządkował jakiś raport, przepisując odręczne notatki na maszynie

– Mógłbym prosić o wgląd w archiwum? Z ostatniego, bo ja wiem, półrocza, roku?

– Cię chyba Bóg opuścił, Sullivan.

– Nie, panie Powell, pan mnie źle zrozumiał. Nie chcę wchodzić i grzebać w waszych papierach, po prostu... Czy mógłby pan to dla mnie zrobić? Interesują mnie zaginione osoby.

– Sullivan, ty się słyszysz? Chcesz informacje o zaginionych osobach do zeszłego października? Ty zdajesz sobie sprawę, ile to jest papierów? A poszedł mi stąd! Jak Stevens wróci, to jemu zawracaj głowę! – Lawrence Powell w dość agresywny sposób odmówił. Harvey spodziewał się takiej reakcji, po cichu jednak liczył, że stary zastępca przystanie.

Przecież szeryf sam go do tego zachęcał! Zastępca z nerwów zrobił sobie przerwę, a ze srebrnej papierośnicy wyjął wąskiego papierosa.

– Można? – Podszedł w końcu do dyżurnego. Zrezygnowany, zmęczony. Zirytowany.

– Co znowu, panie Sullivan?

– Mogę porozmawiać z aresztowanym?

– Po cholere? Pijak rzucił się na starego, niech siedzi na dupie o chlebie i wodzie.

– A nie mógłbym... nie wiem, jakoś poręczyć finansowo za niego albo coś takiego? – Stare sztuczki i metody. Sprawdzały się w Pittsburgu, powinny więc sprawdzić się i tutaj. Sullivan nie miał wielu oszczędności, ale kilka dolarów zawsze się znajdzie. Właśnie na takie sytuacje. Pieniądz potrafił zdziałać cuda jeszcze przed kryzysem, a teraz...

– Pan chce zapłacić za czarnucha? Dobrze słyszę?

– Tak? – odpowiedział pytaniem.

– Panie Powell! Hej, Larry! Ile kosztuje Murzyn?

– Co?

– Ile za Murzyna? Pinkertończyk chce go wykupić.

– Nie jestem... – zaczął Harvey, ale dał sobie spokój. Ile można tłumaczyć to samo?

– A cholera wie, niech da, co ma w kieszeni i wynocha z czarnym. Mam dość smrodu taniej wody – odparł ze zgrozotą tamten. Dyżurny wzruszył ramionami, przesunął ciężki zeszyt i zapisał w nim kilka słów, po czym obrócił w stronę Sullivana.

– Pan da kilka dolarów, złożę podpis i gotowe.

– Mam... niecałe pięć dolarów. Wystarczy?

– Może być. Pańskie zmartwienie, nie moje. Niech pan chwilę poczeka.

– Trzy dolary i sześćdziesiąt trzy centy – odliczył dokładnie Harvey, uśmiechając się przy tym jak głupi. Położył trzy banknoty i garść monet na blacie z ciężkim sercem. To była naprawdę spora suma i zaczynał już żałować, że nie przyjął zapłaty od Pearl.

Casey wyglądał źle.

Bardzo, bardzo źle. Niewyspany, z podkrążonymi, przekrwionymi oczyma, z cieniem zarostu na policzkach. Włosy miał w nieładzie, a wysłużony trenecz był brudny i śmierdzący, do tego sam Moses cuchnął mieszkanką taniego alkoholu, moczu i wymiocin.

Patrzył spode łba na zastępcę szeryfa i na kompletnie obcego człowieka, nie wiedząc, co zrobić. Jak się zachować. Odepchnął nawet stróża prawa, gdy ten chciał poprowadzić go w stronę wyjścia z biura, i już, już mogło dojść do kolejnej awantury, gdyby nie Harvey.

– Panie Casey, na litość boską! Chcę panu pomóc.

– Zaszkoździć prędzej.

– Dobra, chodź czarnuchu, wyjdźmy stąd, zanim wszystko cholera weźmie.

Moses niechętnie przystał na te słowa. Rzucił jeszcze nienawistne spojrzenie dyżurnemu oraz drugiemu zastępcy i pocłapał za swoim wybawcą. Zmrużył oczy w reakcji na ostre światło dnia; noc spędzona w areszcie i kac nie pomagały, ale przynajmniej deszcz zmywał zmęczenie. Niebo było zachmurzone, a na tle widniejących hen daleko Appalachów widniała szarówka kolejnej ulewy. Pewnie pod koniec dnia burza dotrze i do Pine Hills.

Deszcz już padał.

Szli w milczeniu i dopiero po kilku minutach, gdy Sullivan zapalił papierosa i podsunął paczkę pod nos czarnoskóremu, ten się odezwał. Podziękował, ale nie wiadomo, czy za poczęstunek, czy uwolnienie z aresztu. Faktem było jednak to, że w ciągu paru chwil spalił całego lucky strike'a, a na jego twarzy pojawił się błogi uśmiech. Przed wejściem do „The Broken Axe”, gdy wypalili po kolejnym papierosie, Harvey znów zaczął przetrząsać kieszenie płaszczu. Gdzieś musiał mieć jeszcze kilka dolców, a teraz bardzo ich potrzebował.

– Pij – rzucił, przesuwając kieliszek najtańszej księżycówki w stronę Mosesa. Casey burknął coś w odpowiedzi i przechylił szkło. Harvey skrzywił się, ale nie skomentował. Pił kawę powoli, spokojnie. Starał się ignorować spojrzenia pozostałych bywalców „Broken Axe”; siedział w końcu w części przeznaczony dla czarnoskórych. Rozmawiał nawet z jednym z nich, ba, właśnie postawił mu drinka!

Rzecz niespotykana.

– Po cholere to zrobiłeś?

– Jak mówiłem, chcę pomóc.

– Gównu chcesz.

– Panie Casey!

– Bo uwierzę, białasiu. Bądź ze mną szczerzy albo tyle mnie zobaczysz – zagroził Moses, wskazując brodą na drzwi wyjściowe. Zyskał tym samym szacunek Sullivana. Harvey lubił takie zachowanie. Proste, szczerze. Prawdziwe.

– Szukam kogoś i sądzę, że może mi pan pomóc, panie Casey. To wszystko, taka przysługa za przysługę – ciągnął dalej Harvey.

– O, to mi się podoba, lubię jak chłop stawia sprawę jasno, a nie kręci jak gównu w kiblu.

– Słyszałem, że zaginęła pańska siostra, prawda?

– Szwagier też – dodał. – A postawisz kolejnego kielona? O suchym pysku nie będę się spowiadał.

– No dobrze, panie Casey. – Z ciężkim westchnieniem Sullivan się zgodził i sięgnął do kieszeni po portmonetkę. – Carrie, kieliszek, proszę! – Kelnerka skinęła tylko głową i już po

chwili postawiła przed byłym pinkertończykiem trunek. Moses wpatrywał się w szkło chciwie, jak sęp.

– Czego pan chce?

– Pana siostra i szwagier nie są jedyni – wyjaśnił Harvey.

– Nie? – zapytał zaskoczony Moses z kieliszkiem tuż przy ustach.

– Nie – potwierdził, wyjmując notes. – Oprócz nich są jeszcze dwie kobiety i trzech mężczyzn. Może coś panu mówią te nazwiska? Therese Buckfield, Hank Cooper, Patricia Flynt, Richard Huffman, Bruce Rosebud?

– Oż kurwa. Cooper... To jest aby ten facet z apteki na Hill Street?

– Zna ich pan?

– Ni cholery, ale z Cooperem parę razy piłem. Nie miałem pojęcia, że chłop zaginął.

– Nie on pierwszy, nie ostatni, panie Casey. Szukam kogoś i być może istnieje jakieś powiązanie między pana siostrą a zaginioną Patty Flynt. Niech pan mówi wszystko, co się stało od chwili zniknięcia pańskiej rodziny. Każdy detal się liczy.

– Sporo tego... no, dobra. Jakoś od niedzielnego ranka siedziałem u Marka, wiesz, Marka Nielsena. Był konowałem, za Volsteada schlał się, do pierdła trafił, takie rzeczy. Teraz czasem pomaga, jak jakaś krowa się cieli. No a potem chyba od południa byłem u Adewale Wessona – zaczął, a mówił powoli i spokojnie, nie chcąc pominąć żadnych szczegółów. Harvey wszystko skrupulatnie zapisywał.

– Rozumiem. U tego starego drwała? – zapytał Sullivan, bo choć nie był stąd, to trochę się orientował. Trochę to jednak zbyt mało, jak się miał zaraz przekonać.

– Nie, jego syna – sprostował Moses, unosząc kieliszek do ust. – Stary za kratkami w Lock Haven jest, bo jeszcze przed prohibicją pędził srogą księżycówkę, a jak Volstead zaczął się panoszyć, to go capnęli, stawiał opór i w ogóle. Młody jednak wie, co i jak, więc sobie popijamy i zjemy te jego kurczaki, bo skubaniec naprawdę umie je piec. No i jak się już narąbałem, nażarłem, to poszedłem spać, a potem jakoś po północy czy gdzieś pęcherz dał o sobie znać.

– Wielu ma podobnie – dodał Harvey.

– Ano. Zrobiłem swoje, posiedziałem u niego jeszcze trochę, bo mnie suszyło, a potem jakoś rano poniedziałkiem poszedłem do domu.

– Czyli do Ruth, pańskiej siostry.

– Tak, do niej, no bo gdzie? Świtało wtedy, automobil zniknął, a drzwi wejściowe zamknięte. Myślę sobie, że Teddy już poszedł do knajpy, a tu dupa, idę więc na tyły, coby przez okno wleźć. Patrzą, a drzwi kuchenne są otwarte.

– Może nie zamknęli drzwi? Zapomnieli? – dopytywał się Sullivan ku rosnącej irytacji czarnoskórego.

– Zawsze je zamykają, cholera! Ruth nie pójdzie do łóżka, póki nie sprawdzi frontu i tyłu. Spójrz na mnie, musimy zamykać drzwi przed białasami! – podniósł głos, ponownie skupiając na sobie uwagę niektórych gości baru. Moses uniósł dłoń w przeproszającym geście.

– No dobrze, zauważył pan brak samochodu i otwarte tylne drzwi. Co było dalej? – zapytał Harvey, próbując załagodzić atmosferę.

– Nic. O to właśnie chodzi. Wszedłem do środka przez kuchenne, od podwórza, a tu pusto, cicho, lodówka pełna żarcia, ubrania są, walizki są, nawet ta pieprzona trąbka jest. W sypialni bałagan, w kuchni też... ale tutaj to ja mogłem to po pijaku zrobić, więc w sumie nie wiem.

– Pytał pan może kolegów Teddy’ego, czy coś wiedzą?
– Cholera, masz mnie za idiota? – odparł po chwili wzburzony Casey. – Próbowałem. Nie wpuścili mnie do środka, kuchcik kazał spieprzać.

– A potem?

– A potem łąziłem jak głupi po mieście, szukając siostry. Dzwoniłem do szpitala, nic nie wiedzieli. Poszedłem do szeryfa, to samo, ale Stevens obiecał, że kogoś przyśle, więc wróciłem do domu.

– Zastępca o której przyjechał?

– O żadnej, kurwa! – wybuchnął. – Nikt nie przyjechał, nikt nie przyszedł, siedziałem sam w domu, wkurwiłem się, polazłem więc do Franka i wygarnąłem mu wszystko. Resztę znasz – zakończył gorzko i opróżnił kieliszek jednym haustem. Skrzywił się lekko i, nie pytając o pozwolenie, sięgnął do leżącej obok paczki papierosów Sullivana. Harvey usłużnie użyczył zapalniczki.

– Podejrzane trochę – odezwał się, patrząc nie na czarnoskórego, a na swój notes i zapisane tam strony. – Panie Casey, czy pańska siostra bądź szwagier mogli tak po prostu zniknąć? Bez żadnego słowa, zostawiając po sobie bałagan? Zachowywali się jakoś nietypowo w ostatnich dniach, dziwnie? Albo spotykali się z kimś bez wiedzy drugiego?

– Ty się prosisz o wpierdol chyba.

– Proszę odpowiedzieć.

– Nie. Wszystko było w porządku. Nie wiem tylko, co robił Teddy, gdy był w pracy.

– No to chodźmy tam. Gdzie grał?

– No przecież mówiłem, że w „Elk”, ale mnie tam nie wpuszczają.

– Mnie wpuszczają – stwierdził gorzko detektyw, wstając. To oczywistość. „White Elk Club” był knajpą tylko dla białych, a jedyni czarnoskórzy, jacy tam byli, to właśnie albo muzycy, albo kelnerzy, albo pomywacze na kuchni. Harvey Sullivan nie okłamywał czarnoskórego, wprost powiedział, że chce po prostu wyciągnąć z niego informacje – ale przy okazji mógł postarać się znaleźć i Ruth.

Co mu szkodzi?

– Poważnie pan mówi?

– Tak. Podsumujmy więc... – zabrał głos Sullivan. – Szeryf nie chce ruszać tej sprawy, bo, całkiem słusznie obiektywnie patrząc, nie ma absolutnie żadnego powodu, by to robić. Ja chcę odnaleźć siostrę młodej Pearl. Pan, panie Casey, chce odszukać swoją siostrę i szwagra.

– Ano – zgodził się czarnoskóry.

– Plan jest więc taki – ciągnął dalej Harvey. – Najpierw odwiedzimy „White Elk Club” i spytamy o szwagra. Potem pójdziemy tropem nazwisk, które Joe znalazł dla mnie w archiwum gazety.

– Joe?

– Bell. Dziennikarz i mój przyjaciel.

Podjęli zgodną decyzję, że do „Elk” udadzą się późnym popołudniem. Wieczorem prawie. Resztę dnia spędzili więc w typowy dla siebie sposób, czekając, aż zapadnie zmrok. Moses sprawdził, czy przypadkiem Ruth nie wróciła. Zrozpaczony walczył sam ze sobą, bo chęć opróżnienia butelczyny piwa była ogromna, a nie mógł sobie pozwolić na kilka kieliszków księżycówki. Udał się więc do Marka Nielsena, gdzie spędził dobrych parę godzin, dyskutując i popijając tanie piwo o smaku szczyn. Harvey musiał stawić czoła sąsiadom, marudzącym, że

sprowadza sobie dziewczynki. Przekłeta Polka widziała Pearl i od razu wysnuła błędne wnioski. Sullivan nie miał innego wyjścia, jak porozmawiać z dozorcą, wszystko mu wyjaśnić i zapewnić, że nie robi nic złego.

Neumann wspomniał tylko, że zna Flyntów.

6 W czwartek 24 października 1929 roku miał miejsce krach na Nowojorskiej Gieldzie Papierów Wartościowych, który dał początek wielkiemu kryzysowi.

Rozdział 7

Joe Bell pamiętał o umowie między nim a Sullivanem, miał jednak inne rzeczy na głowie. Był na farmie, zrobił swoje, zmęczył się, jak nigdy i szczerze współczuł ludziom, którzy muszą tak harować. Teraz jednak mógł skupić się na czymś przyjemniejszym, co pozwoli mu napisać artykuł i zabłysnąć w prasowym świecie.

Z rozmyślań o zaginionych wyrwało go zamieszanie w redakcji „Hills Telegraph” widoczne już z daleka. Zaciekawiony, ale i trochę zaniepokojony wszedł do biura naczelnego, prosto w burzę mózgów. Podekscytowani dziennikarze tłoczyli się wokół redaktora.

– ...dobrze? Weźmiesz ze sobą fotografa i masz wszystko opisać. Coś takiego ostatni raz wydarzyło się... dwanaście czy trzysta lat temu, gdy Maurice i Gerald Goodworth wkurzyli śledczych.

– Jezu, miałem wtedy piętnaście lat.

– Pomagałem na farmie Geralda. Fajną miał córkę.

– Ano, nie raz i nie dwa się chodziło na Oak Road wieczorem...

– Zaraz, przecież to wtedy stary Cole został ranny! To bracia Goodworth strzelali się wtedy przy „White Elk”?

– To nie był „White Elk”, tylko, zdaje się, teatr tej młodej Wicks – zachnął się inny.

– Zgadza się, korzystali z tuneli panny Wicks, szmuglując księżycówkę – przyznał naczelnicy. – A Floyd teraz siedzi jako dyspozytor.

– Straszne.

– O, pan Bell, doskonale! Pan Washington za kwadrans wyjeżdża, potrzebuje fotografa, a pan Welling jest w terenie – odparł Seymour, redaktor naczelny, widząc zmieszanego Joe. Joseph z jednej strony się cieszył, że coś się dzieje, że jest zamieszanie, jakaś akcja, z drugiej jednak odczuwał podskórny niepokój. Jak każdy normalny człowiek.

– Nie rozumiem. Co się stało?

– Strzelanina koło nieczynnego tartaku Daugherty’ego, są ofiary – wyjaśnił wspomniany wcześniej dziennikarz. – Szeryf jest na miejscu, a Pennsylvania Motor Police pewnie zjawi się w ciągu najbliższej godziny.

– Och, Boże! – wyrwało się dziennikarzowi. Nie zapomniał o Mosesie i jego zaginionej siostrze, o Sullivanie i wiążącej ich umowie, ale czując napięcie, że będzie jednym z pierwszych dziennikarzy na miejscu takiej zbrodni, nie mógł postąpić inaczej. Porwał swój kapelusz, pobiegł po aparat i już, już był w samochodzie i jechał na miejsce zbrodni.

Od razu tego pożałował.

Ledwo co wysiadł, a już czuł mdłości. W wilgotnym, deszczowym powietrzu unosił się nieprzyjemny, miedziany aromat przelanej krwi i smród prochu. Nie byłoby to wcale takie złe, ale połączenie tych ostrych przeciw zapachów z nie mniej wyraźnym aromatem żywicy i ściętego, acz gnijącego już drzewa sprawiało, że mało kto wytrzymał. Joe jęknął. Musiał oprzeć się o wóz, by nie zwymiotować – a przecież tylko raz zerknął na miejsce masakry!

Oscar Washington, smukły i przystojny brunet w wełnianym trenczu i fedorze, złote dziecinnie prasy niemalże, także miał trudności z opanowaniem swojego żołądka. W przeciwieństwie do

kolegi wytrzymał jednak i nie odwracał wzroku od czterech ciał leżących bezwładnie, niby lalki rzucone przez znudzone dziecko.

– Panie Bell. – Słowa Oscara nieco otrzeźwiły Joe. Pismo mruknął coś w odpowiedzi i niechętnie zrobił kilka kroków. Stał się skupiać wzrok na szeryfie, jego zastępcy i dwóch funkcjonariuszach policji stanowej. Służbowe, rządowe automobile stały blisko siebie, pod kątem, zasłaniając co drastyczniejsze szczegóły. W wyjeżdżonych przez koła koleinach zbierała się deszczówka.

Przygotował aparat.

Potrafił robić zdjęcia, nie tak dobre jak w pełni wykwalifikowany fotograf, ale redakcji nie stać na posadę i pensję dla takiego. Był jedną z dwóch osób pełniących takie obowiązki i coraz bardziej żałował, że to on, a nie Clark Welling musiał teraz walczyć z własnym żołądkiem.

Na głębokim wdechu Joe wykonał więc pierwszą fotografię starego tartaku. Stał się, by potężny napis na drewnianym, wysokim płocie z drutem kolczastym był jak najlepiej widoczny. Jednocześnie robił, co mógł, by radiowozy także miały swoje miejsce: płot z napisem znalazł się więc w jednej stronie kadru, a automobile w drugiej.

Bał się jednak zwrócić obiektyw w stronę ciał.

Chciał uwiecznić na kliszy zamordowanych, naprawdę, ale jednocześnie miał obawy. Z jednej strony instynkt dziennikarza robił swoje, z drugiej natomiast jego sumienie jako człowieka nie chciało brukać pamięci o tych ludziach. Przecież oni niedawno żyli!

Błysnął flesz, rozświetlając ponure twarze stróżów prawa. Przedstawiciele policji stanowej od razu zareagowali, wystawiając przed siebie dłonie, chroniąc wzrok. Szeryf wyprostował się, chcąc jak najlepiej wypaść na fotografii. Był przecież opoką społeczeństwa Pine Hills.

Oscar przedstawił się i od razu zaczął zadawać pytania, nie dając nikomu dojść do słowa; nie pozwalał, by ktoś mu przerywał. Dopiero potem, gdy zaczął notować, co zastał na miejscu zbrodni, szeryf zaczął opowiadać, co się właściwie wydarzyło.

Lub, co znacznie bardziej sensowne, co wedle niego miało tutaj miejsce.

Joe słuchał tylko jednym uchem, zajęty swoją robotą. Stał w miejscu, celując obiektywem to tu, to tam. Na początek wykonał zdjęcia płotu, automobilów, stróżów prawa i dziennikarza. Klisza była tania nawet mimo panującej recesji. Bell kucnął, fotografując ślady w błocie: odciski butów, koleiny, leżące łuski, porzucone rewolwery i strzelby.

Ręce mu drgnęły, gdy dostrzegł, że jedna kałuża zamiast zwykłego brudnego, brązowego koloru ma znacznie bardziej rdzawy, nieprzyjemny odcień. Wahał się tylko chwilę; zdjęcia robił w czerni i bieli. Kodak niby miał w tym roku wprowadzić błonę umożliwiającą kolorową fotografię, ale jakoś nic się nie zmieniło, więc...

– Panie Bell, można? – Szeryf Stevens skończył rozmawiać z dziennikarzem. – Proszę tutaj podejść. Najpierw ten jeleń, a teraz to... Zgroza. To funkcjonariusze pierwszej klasy, Stephen Brown i Willie Eastland z policji stanowej. Przejmują dochodzenie, bo... cóż, z pojedynczym zgonem bym sobie poradził, ale cztery trupy to za dużo jak na Pine Hills.

– Rozumiem, szeryfie.

– Niestety, nie wiedzieliśmy dokładnie, co nas czeka, więc nie wzięliśmy swojego aparatu. – Głos zabrał blondwłosa, szczupły mężczyzna palący papierosa. – Sądziłem, że to zwykłe porachunki bandytów, jakiś lincz albo co, ale... cholera, tego się nie spodziewałem. Może pan cyknąć parę fotek? Wystawimy rachunek w Lock Haven, rzecz jasna. – Jego kolega, wąsаты szatyn, najwyraźniej skończył rozmawiać z Oscarem i teraz kucał przy zwłokach.

– Panie Washington? Oscar? – zawołał Joe, nie wiedząc, jak się zachować. Chciał oczywiście pomóc władzy, bo to była też szansa dla niego, by jego nazwisko trafiło dalej niż do tych niecałych paru tysięcy mieszkańców Pine Hills. Potrzebował jednak czyjeś zgody, a skoro w pobliżu stał tylko Oscar... bo przecież aparat należał do redakcji.

– Oczywiście! Służymy pomocą. Panie Bell, proszę wykonać tyle zdjęć, ile będzie potrzeba. Ja jeszcze zamienię kilka słów z zastępcą. Panie Powell, można?

– No dobrze, chodźmy – odparł Bell, ściskając mocno aparat fotograficzny. Przeszedł powoli między stróżami prawa. Minął zaparkowane radiowozy, patrząc na ścianę drzew po jednej stronie i płot tartaku po drugiej. Patrzył wszędzie: na błotnistą ścieżkę, na zachmurzone niebo, tylko nie na ciała. Nie mógł jednak zwlekać.

Wziął głęboki oddech.

Trzech mężczyzn było białych. Jeden czarny. Wszyscy mieli na sobie najzwyczajniejsze ubrania: proste spodnie, wygodne i ciepłe swetry, płaszcze i kurtki. Fedory i meloniki. Twarze jednak zastęły w niemym wyrazie wściekłości, agresji tak strasznej i pierwotnej, aż Joseph poczuł dreszcze na plecach. Zimny pot spłynął mu po karku.

Błysnął flesz, raz, drugi. Kolejny. Jeszcze jeden. Martwe twarze, oświetlone nienaturalnym blaskiem, wyglądały upiornie. Niedawno jeszcze żywe oczy teraz były zakryte gęstą mgłą, niewyraźne, puste. Nieludzkie. Mimo to Joe miał nieodparte wrażenie, że patrzą wprost na niego i kotłują się w nich pierwotne emocje.

Wzdrygnął się.

– Tak, ma pan rację, są tutejsi. – Głos zastępcy szeryfa wyrwał wszystkich z zamyślenia i rozmów. – Znałem ich. To Scott Higley, syn George’a; biedak dostanie zawału, jak się dowie. Tam leży Johnny Barley, wiedziałem, że sukinsyn się doigra, ale nie myślałem, że aż tak... A obok jest Harold... nie, zaraz, Harry Weller. Obaj to kucharze z „White Elk”. Nie dziwię się, że próbowali jakoś zarobić, przez kryzys mało kto odwiedza klub. A ten czarnuch to Earl, grywał po knajpach. „Pine”, „Elk”, te sprawy. – Joe odwrócił się gwałtownie, nie wierząc własnym uszom.

Czy to przypadek? Zrządzenie kapryśnego losu? A może jednak było w tym wszystkim coś poważniejszego, coś, czego nikt nie dostrzegał oprócz zapijaczonego czarnucha, byłego pinkertończyka i podrzędnego dziennikarzyni? Przez głowę Joe przelatywały najróżniejsze myśli, a wszystkie z nich krążyły wokół ostatnich wydarzeń. Casey rzucał się jak wściekły, bo zniknęła jego siostra i szwagier pracujący właśnie w klubie!

Nie miał jednak pojęcia, czy ta dziewczucha, której szukał Harvey, była powiązana z klubem.

Lawrence Powell przerwał rozmowę ze stanowymi, podszedł do jednego z ciał i kucnął obok. Młody chłopak został postrzelony w brzuch; pośród strzępów swetra i koszuli widniały splecione trzewia. Zaschnięty strumyczek posoki przy ustach i pod nosem świadczył, że musiał cierpieć.

Czarnoskóry leżał na brzuchu, w brudnej kałuży będącej mieszanką deszczówki i jego własnej krwi, z rękoma rozrzuconymi na boki. Na plecach, tuż poniżej lewej łopatki, ziała mroczna otchłań wielkości pięści. Materiał taniego płaszcza z tweedu był osmolony, poznaczony dziesiątkami drobin po wystrzale z czegoś, co miało duży kaliber. Strzelba może.

Joe wziął kilka głębokich oddechów i wykonał kolejne zdjęcie, próbując odciąć się od wszystkiego. Nie słuchał rozmów stróżów prawa ani szumu wiatru w koronach drzew dokoła. Starał się skupić tylko na swojej robocie, chociaż myśli gnały jak szalone, a umysł podsuwał

coraz to dziksze teorie. Chciał, musiał zrobić te fotografie jak najszybciej, bo żołądek zaczynał mu się coraz bardziej buntować.

Dwóch kucharzy leżało blisko siebie. Jeden na boku, z licznymi ranami ramienia i torsu, a sweter miał mokry i czarny od krwi i błota. Sądząc po śladach, próbował się chyba czołgać, ale nie zdołał. Drugi poległ na plecach i najpewniej zginął od razu, ale zanim Bell zdołał uwiecznić ciało, przegrał walkę ze swoim organizmem.

Gdy spojrział na twarz szczupłego mężczyzny, poczuł, jak w gardle zbiera się kwaśna żółć. Widząc pusty, okrwawiony oczodół, miejsce, gdzie trafiła kula, nie wytrzymał. Odwrócił się, padł na kolana i – resztką swojej siły woli – odłożył trzęsącymi się rękoma aparat na błocko. Potem zaczął wymiotować. Długo, obficie, krztusząc się i dławiąc własnymi rzygowinami.

– Panie Bell, wszystko w porządku? – Od razu dopadł do niego szeryf. Zastępca przeciwnie, nie ruszył się z miejsca; dalej klęczał obok ciała i uważnie się im przyglądał. Zapalił nawet papierosa. Stanowi również nie zwracali szczególnej uwagi na chwilę słabości. Dyskutowali między sobą, by potem zamienić parę słów z zastępcą i dziennikarzem.

Oscar z troską spoglądał na Joe.

– Tak, już... już dobrze – sapnął Joe, ocierając usta drżącą ręką. Potem podniósł aparat, czując ukłucie lęku, czy przypadkiem nie został uszkodzony. Odetchnął z ulgą, widząc tylko ślady po błocie.

Ponownie błysnął flesz, uwidaczniając wszystkie szczegóły i detale.

Nie wiedział zbytnio, jak trafił do domu. Zapamiętała tylko widok przerażonej Heather, gdy ta otworzyła drzwi, a w progu – zamiast męża – czekał szeryf. Blondynka krzyknęła ze strachu, przeczuwając najgorsze, ale gdy chwilę później zza pleców Stevensa wyszedł Joe, z płaczem rzuciła się mu na szyję, mocno przytuliła i zwyzywała, że tak ją wystraszył.

Potem, gdy zamieniła kilka słów z szeryfem i zrobiła mężowi kawę, ze zgrozą siedziała na brzegu kuchennego krzesła i czekała, aż ukochany wyjdzie z łazienki. Frank Stevens stwierdził, że Joe potrzebuje długiej i gorącej kąpieli; napomknął, że jemu zawsze to pomaga w podobnych sytuacjach.

Szeryf opuścił dom państwa Bell dopiero, gdy Joe się położył. Poradził fachowo, dzieląc się doświadczeniem, co Joe ma robić i że może w każdej chwili do niego wpaść. Bell był zbyt młody, by brać udział w wielkiej wojnie, nie miał więc możliwości poznać, czym jest piekło wojny i nerwica frontowa.

Teraz, gdy skinął głową szeryfowi na pożegnanie, podszedł do żony. Mokry, w szlafroku, przytulił się do Heather. Obejmował ją mocno ramionami, wdychał zapach jej włosów i ciała. Nie chciał puścić.

– Joe? – zapytała cicho.

– Nic nie mów. Proszę. Nie teraz.

Milczeli więc. Stali w kuchni, wtuleni w siebie, ciesząc się swoją bliskością. Na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech; on przeciwnie, nie miał siły ani ochoty się uśmiechać. Nie po tym, co widział. Co czuł. Po prostu... chciał być z własną żoną tak długo, jak to możliwe. Wiedział aż za dobrze, że prędzej niż później będzie musiał znów spojrzeć na te po trzykroć przekłete obrazy śmierci przy tartaku Daugherty'ego.

Nie mógł jednak odwiekać tego w nieskończoność.

Wrócił do redakcji. Z ciężkim sercem skierował się do ciemni, próbując ignorować spojrzenia pozostałych dziennikarzy. Nawet Seymour nie krzyczał, nie czepiał się – rozumiał,

co się stało. Oscar o wszystkim powiedział i wstawił się za fotografem, aczkolwiek spore znaczenie mogła tu mieć obietnica stanowych dotycząca zapłaty. Pieniądze były niezbędne. Bez nich nie można funkcjonować. Joe zacisnął więc powieki, pozwalając sobie na ostatnią chwilę wytchnienia i przystąpił do pracy.

Starał się patrzeć na zdjęcia tylko pod kątem technicznym, ale miał za słabą wolę. Widział nie kompozycje kadrów, grę światła i cieni, tylko wykrzywione w strachu, cierpieniu i złości twarze. Oblicza należące nie do ludzi, którzy zginęli w strzelaninie, tylko kogoś – czegoś – gorszego. Widział ból i śmierć. Widział krew zmieszaną z błotem i deszczem. Widział prawdziwe, nieskrępowane niczym zło; miał wręcz wrażenie, że każda z twarzy uwiecznionych na kliszy wpatruje się prosto w niego. Wzdrygnął się, czując, jak serce bije mu coraz mocniej, a w twarz uderza fala gorąca. Czerwony blask ciemni pogarszał sytuację; nadawał każdej fotografii krwawą barwę, łunę przemocy niemalże wylewającą się z papieru fotograficznego.

Usiadł, chowając twarz w dłoniach. Pozwolił sobie na chwilę słabości, po czym – nie mając przecież innego wyjścia – wrócił do pracy. Spieszył się, chcąc mieć już to wszystko za sobą. Chciał być znowu z żoną, ale nie mógł. Harvey musiał wiedzieć, co się stało. Niewykluczone, że ta strzelanina łączyła się z zaginięciami. Nie wiedział tylko, w jaki konkretnie sposób.

Wsiadł do forda i pojechał do czynszówki, w której mieszkał Sullivan.

Wieczorem chmury kłębiły się na niebie, blokując ostatnie promienie jesiennego słońca. Chłodny wiatr niósł wilgoć i przenikał aż do kości. Sullivan otulił się szczelniej płaszczem, nasunął fedorę niżej na czoło i wcisnął dłonie do kieszeni. Krążył wokół jakiegoś zrujnowanego samochodu, czekając, aż przyjdzie Casey.

Mieli się spotkać niedaleko baru „Axe”, przy charakterystycznym, pozbawionym kół buicku. Nie wyznaczyli dokładnej godziny, więc Harvey marnował już kolejne minuty, tracąc resztki cierpliwości, ale w końcu się doczekał. Mężczyzna wyszedł zza zakrętu, nie przejmując się pogodą. Najwyraźniej ciągle ogrzewał go alkohol, a sądząc po zmęczonej twarzy, kac tylko pogarszał sytuację. Nasunął niżej tweedowy kaszkiet, kryjąc oblicze przed deszczem i wrokiem Sullivana.

– Pytałem kilka koleżanek Ruth. Żadna nic nie wie. Żadna! – jęknął, zatrzymując się przed samochodem. Na masce buicka leżało kilkanaście brązowych liści opadłych z drzew. Kolejny dowód, że nikt się nie przejmował starym wozem.

– To dobrze.

– Co ty mi pieprzysz, że dobrze?

– Dla nas dobrze, panie Casey – odparł. – To znaczy, że pańska siostra i jej mąż mogli faktycznie zostać porwani, a nie, że zniknęli.

– Od początku tak mówiłem!

– Wiem – przyznał. – Mamy jednak potwierdzenie od osób trzecich. Teraz, gdy tylko pracownicy „White Elk Club” zgodzą się, że pański szwagier nie mógł bez słowa zniknąć, będzie jeszcze lepiej. Chodźmy.

– Mamy jakiś plan? – zapytał Moses, idąc kilka kroków z tyłu.

– Ja mam – odparł krótko Harvey. – Szukam pańskiego szwagra, bo wisi mi kupę kasy. Ty czekasz na zewnątrz.

– Rozumiem. – Uśmiechnął się tamten rad z takiego obrotu spraw. Białas miał gadane, mówiąc oględnie. No i sam pomysł z długim pasował, więc Casey po prostu zaczął krążyć przy budynku, pozwalając, by Sullivan zajął się wszystkim.

Problem w tym, że „White Elk Club” wyglądał na opuszczony. Wnętrze, choć przestronne i eleganckie, nie zachęcało. Podobnie jak na zewnątrz, tak i w środku dominowały jasne barwy: biel ścian oraz wiszących draperii kontrastowała łagodnie z szarościami drewnianych elementów i mebli. Jedynie ciemne, hebanowe deski podłogi wybijały się z tła.

Pod ścianami znajdowały się nisze ze stolikami i kanapami, nieco mniejsze stoliki z krzesłami orbitowały zaś wokół środka sali, gdzie mieścił się parkiet do tańczenia (na którym, po dłuższej chwili, Harvey dostrzegł dwa jelenie stojące na tylnych nogach) oraz owalny, ozdobiony jelenimi porożami bar. Przy podwyższonej scenie, otoczonej teatralnymi kurtynami, widniał szereg drzwi prowadzących na tyły: do kuchni, piwnic, biur, zaplecza.

Było pusto.

Krzesła postawiono na blatach stolików do góry nogami. Nisze przykryto białymi prześcieradłami. Półki i regały w barze świeciły pustkami. Gdzieś w tle rozbrzmiewał stłumiony śmiech, słaby gwar, ale te dźwięki urwały się momentalnie, gdy Harvey trzasnął drzwiami.

Zrobił to umyślnie. Czekał tylko chwilę. Z zaplecza wyszedł zaciekawiony, postawny mężczyzna. Miał czystą, białą koszulę z podwiniętymi rękawami i taki sam fartuch upstrzony paroma starymi i kilkoma świeżymi rdzawymi plamami. Szeroka, nalana twarz nadawała mu wygląd pijaka po przejściach, ale bystre, ciemne oczy i krótko ścięte szpakowate włosy temu przeczyły.

– Czego? Dopiero za godzinę otwieramy. Kenneth nie zamknął znowu drzwi? – rzucił zaczepnie, wycierając dłonie w brudną, brunatną ścierkę.

– Jest ten sukinsyn Smithee? – zaczął od razu Sullivan, wchodząc w rolę.

Rozdział 8

Zagrzmiało. Dopiero teraz zaczęła się prawdziwa ulewa. Moses zżymał się w duchu, że nie było w pobliżu niczego, co mogłoby ochronić go przed gargantuiczną ilością wody. Płaszcz i kaskiet miał już przemoczone do suchej nitki. Czekał niecierpliwie, aż detektyw wyjdzie, ale póki co nic nie wskazywało na jego szybki powrót.

Stał w strugach deszczu, zły na wszystko. A potem usłyszał klakson.

Obrócił się zaniepokojony – brakowało tylko, by ktoś się na niego rzucił i spuścił mu lanie! Był czarnoskórym, który wieczorem stał sam w pobliżu klubu dla białych. Zacisnął już dłonie w pięści, gotów stanąć do ewentualnej walki, gdy rozległ się następny klakson. Moment później kolejny.

Moses zmrzył oczy przed blaskiem bijącym z reflektorów; miał wrażenie, że kojarzy kierowcę, nie wiedział tylko skąd. Jak się na szczęście okazało, za kierownicą starego forda siedział dziennikarz, którego widział w biurze szeryfa wcale nie tak dawno. Joe Bell znów nadusił klakson, a potem zatrzymał się tuż przy samotnym mężczyźnie, rozchlapując kałużę.

– Panie Casey? – zawołał, uchylając drzwi. – Pan wsiada, co będzie pan stał na deszczu?! – krzyknął Joe, rad, że siedzi w samochodzie i nie musi się o nic martwić; wsłuchiwał się w krople uderzające o dach, maskę, szyby. Spróbował się rozluźnić, ale myślami cały czas krążył wokół zdjeć i strzelaniny.

Czarnoskóry niechętnie przystał na tę propozycję. Wolał jednak być suchy.

– Dziękuję – burknął.

– Sullivan jest w „White Elk”?

– Skąd pan wie?

– Dziennikarska intuicja, można powiedzieć. Muszę mu coś powiedzieć. Miała miejsce strzelanina, parę osób stamtąd nie żyje.

– Och. – Tylko na tyle zdobył się Casey. Nie obchodził go zbytnio los tych ludzi. To znaczy żałował ich, oczywiście, ale martwił się przede wszystkim o siostrę. Zaczynał już tracić cierpliwość. Gdyby nie to, że został już raz aresztowany, pewnie znowu rzuciłby się z pięściami na szeryfa i wygarnął mu, jakim frajerem jest i jak bardzo się opieprza.

Kolejne minuty spędzili na grzecznej, acz wymuszonej rozmowie o zaginionych. Dopiero potem, gdy otworzyły się drzwi klubu, Joe zatrąbił i zamrugał światłami. Sullivan od razu pospieszył w stronę forda, chociaż nie przepadał za samochodami.

– Zmarnowałem tylko czas, że tak powiem – odezwał się, siadając na miejscu z przodu.

– I? Wiedzą coś? – zaczął się dopytywać Casey. – Gadaj, no!

– A co tu gadać? – uciął Sullivan. – Sami są wkurzeni, że pański szwagier zniknął. Zespół nie może grać bez trębacza, a niejaki Foster, właściciel klubu, jest srogo wkurzony i grozi wypowiedzeniem mu umowy – kontynuował, ocierając deszczówkę z twarzy.

– Jakiej umowy...? O Boże, Teddy, ty skurwysynu... – Moses z początku wydawał się bardziej niż zagubiony i dopiero po chwili dał upust złości, uderzając pięścią w skórzaną kanapę.

– Panie Casey? – zapytał z troską Bell, obracając głowę. – Harvey? O co chodzi? Foster jest porządnym facetem, to weteran, walczył we Francji. Raz robiłem z nim wywiad.

– Dom nie jest na niego! Teddy dostał chałupę tylko dlatego, że gra w zespole! Boże, na zbity pysk nas wyrzuca...

– Spokojnie, nic się jeszcze nie stało, nikt nikogo nie wyrzuca z domu. Niech się pan uspokoi!

– Jak się mam, kurwa, uspokoić?! Siostrę gdzieś wciąło, szwagier leci w chuja, a ja dach nad głową mogę stracić!

– Nie straci pan – zapewnił go Harvey. – Nie w takiej sytuacji. Joe, co, u licha, tutaj robisz?

– Szukałem cię. Neumann powiedział, że będziesz w „White Elk”, więc przyjechałem. Mam dość przykrą wiadomość.

– To znaczy?

– Miała miejsce strzelanina – wyjaśnił krótko tamten. – Stanowi przejęli sprawę, zrobiłem zdjęcia, ale... ofiarami są pracownicy klubu.

– Powiedziałeś „ofiarami”?

– I co z tego? – wtrącił się Moses.

– No, koło tartaku się strzelali.

– Nie, chodzi mi... skąd pewność, że są ofiarami? – pytanie zawisło w powietrzu. Nikt nie potrafił na nie odpowiedzieć. Moses, bo po prostu go to nie obchodziło. Joe, bo sama treść go zaskoczyła. Harvey miał pustkę w głowie, chociaż to on zadał pytanie. Był jednak najbardziej doświadczony z całej trójki i wiedział, że należy wszystko kwestionować, by uzyskać jakieś w miarę zadowalające wyjaśnienie.

– No... zostali zastrzeleni? – spróbował wyjaśnić Joe.

– Tak, ale dlaczego? Byli ofiarami napaści? A jeśli tak, to co, do diabła, robili przy tartaku? Jeśli to oni na kogoś napadli, to kto ich zastrzelił? I dlaczego ten gość z „White Elk” tak się rzucał o Teddy’ego, skoro nie żyją inni? Chyba zgodzicie się, że ta sprawa coraz bardziej cuchnie.

– No dobra, śmierdzi i co dalej? W jaki sposób to wyjaśnia, gdzie jest Ruth? – rzucił wściekły Moses, nachylając się do siedzących z przodu mężczyzn.

– I tego musimy się dowiedzieć. Coś łączy Patty i Ruth... i, najwyraźniej, „White Elk Club”. Jedźmy do mieszkania Tessy – powiedział spokojnie Sullivan. Bell burknął coś nieprzyjemnego w odpowiedzi. Wykręcił na ulicę i zaczął się oddalać od klubu, nie wiedząc, co myśleć o sytuacji. Wiedział jedno: będzie miał o czym pisać!

– Kogo znowu? – warknął Moses rozwścieczony nie na żarty.

– Kolejnej zaginionej – wyjaśnił dziennikarz, skręcając. W przednią szybę automobilu uderzyła kolejna fala wody. Deszcz przybierała na sile, dalej niż kilkanaście metrów nie było widać nic, tylko szarą ścianę wody i gęstniejący mrok. Z rzadka błyskały reflektory innych pojazdów.

Jechali ostrożnie. Wspierając się notatkami, dyskutowali o podejrzeniach oraz teoriach. Dotarli do domu zaginionej kilka minut później. Taki to urok małego miasteczka. Wszędzie blisko. Joe zaparkował swojego forda niedaleko, po przeciwnej stronie ulicy, nie chcąc wzbudzać niczych podejrzeń ani nieumyślnie prowokować czarnoskórej społeczności.

Chociaż niedaleko znajdował się warsztat mechaniczny, to ta część Pine Hills była zamieszкана właśnie przez mniejszość: różnice rzucały się w oczy aż za bardzo. Przed budynkami, na lichych trawnikach, chodnikach, nawet zaparkowane tu i tam stareńkie fordys świadczyły, że ludziom się nie przelewa.

– Boże, żebym się mylił i nie potrzebował pomocy... – Harvey szepnął, wysiadając. Rozchylił poły płaszcza, ukazując prostą, tweedową marynarkę. Rozpiął guziki i sięgnął pod pachę, gdzie w skórzanej kaburze spoczywał pistolet. Colt, wojskowy model, ciężki, ale wygodny.

Wyjął go, odsunął zamek i sprawdził magazynek, po czym ciężko westchnął.

– Pistolet? Naprawdę? – odparł wyraźnie zszokowany dziennikarz.

– Nawyk, zawsze noszę broń podczas śledztwa – stwierdził krótko pinkertończyk, wsuwając magazynek na miejsce. – Lepiej mieć, a nie potrzebować – podsumował, chowając pistolet do kabury. Zapiął marynarkę i, wciskając ręce do kieszeni płaszcza, ruszył do budynku. Bell był tuż za nim.

Joe chuchnął w dłonie, kierując się w stronę niskiego, piętrowego domu. Harvey prowadził, a Moses czekał w wozie. Nie była to kamienica, Boże broń, w Pine Hills oprócz ścisłego centrum nie było takich budynków, ale jako niska i tania czynszówka sprawdzał się doskonale. Dziennikarz wziął głęboki oddech i wszedł do środka, do mrocznego, ciasnego korytarza.

Nie było tutaj żadnego źródła światła. Jedyne słaby blask ulicznych latarni padający przez wejściowe drzwi pozwalał mniej więcej zorientować się, gdzie co jest. Bell nie wiedział dokładnie, gdzie mieszka mąż zaginionej, więc zdał się na Sullivana – ten natomiast podszedł do przypadkowo wybranych drzwi i zapukał. Czekał chwilę, a potem powiedział wprost, kogo szuka, podziękował i życzył miłego wieczoru.

Obaj doskonale zdawali sobie sprawę, że mąż zaginionej – Franklin Buckfield – może być w pracy. Dziennikarz podszedł do drzwi wskazanych przez jednego z sąsiadów, a tymczasem detektyw trzymał się na uboczu, w cieniu schodów. Niewidoczny.

– Kto tam? Nie mam czasu, do roboty idę! – zawołał znużony, zachrypnięty głos zza drzwi. Moment później zgrzytnął zamek, a w szczelinie pojawiła się mokra twarz ciemnoskórego mężczyzny ze śladami mydlanej piany na twarzy i ręcznikiem na ramieniu. W dłoni miał brzytwę. Sullivan, stojąc obok, od razu sięgnął do kabury. Nie wyjął jednak pistoletu, czekał.

– Pan Buckfield? Franklin Buckfield?

– Zależy kto pyta.

– Joseph Bell, „Hills Telegraph”. Jestem w trakcie pisania artykułu o...

– A spieszaj pan. – Zatrzasnął drzwi.

– Cholera – syknął Joe, ale nie przeszkodziło mu to. Znów uderzył knykciami o drewno, tym razem dłużej i mocniej.

– Powiedziałem, wynocha! Prasy mi tu brakuje tylko, ja się do roboty spieszę!

– Wiem i przepraszam pana, ale chodzi o pańską żonę – zaryzykował, podchodząc bliżej i wsuwając but między drzwi a framugę. Najwyżej złamie stopę. Albo dostanie brzytwą w twarz, jeśli wkurzy ciemnoskórego.

– Tessa? Znalazła się? Boże drogi, gadaj pan, o co chodzi! – Otworzył szerzej drzwi. Joe poczuł ukłucie wstydu, że nie ma żadnych dobrych wiadomości dla tego człowieka. Widok nadziei w jego ciemnych oczach był bolesny.

– Niestety – zaczął powoli. – Pani Buckfield ciągle jest zaginiona, ale...

– To co mi pan dupę zawracasz?

– Ale mam solidne podstawy, by podejrzewać, że nie jest jedyna – kontynuował. – W noc z niedzieli na poniedziałek zniknęła Ruth Smithee i jej mąż Theodor, a wcześniej, wraz

z pańską żoną, cztery inne osoby. Hank Cooper, Patricia Flynt, Richard Huffman, Bruce Rosebud...

– Nie znam. Nie wiem, czego pan ode mnie chce.

– Domyśliłem się, ale... czy mógłby mi pan powiedzieć, co się wtedy wydarzyło? Tak dokładnie? To nie zajmie dużo czasu, przysięgam. A potem mogę pana podrzucić do pracy, mam automobil – dodał pospiesznie. Franklin zmieszał się i przez moment bił z myślami. Joe widział to aż za dobrze na jego twarzy.

Sullivan zrobił krok do przodu, chcąc lepiej słyszeć.

– A co tu mówić? Rano poszedłem do roboty, wtedy jeszcze w tartaku robiłem. A jak wróciłem wieczorem, to Tessy nie było. A ona ciężarna, na dniach miała rodzić! Boże jedyny, aż mi się serce kraje, a przecież drzwi zamykamy zawsze, sąsiedzi nic...

– Co pan powiedział? – przerwał mu ostro Joe.

– No, że serce mi się kraje.

– Nie, wcześniej. Pani Buckfield była w ciąży?

– Tak, rodzić miała. To dlatego jej rodzina zerwała ze mną kontakt, że to niby moja wina, że dałem dupy, nie dbając o ich córeczkę, że fatalną robotę mam i nie stać mnie na nic i w ogóle.

– O Boże...! – szepnął, cofając się o krok.

– Ano. Coś jeszcze? Bo się spieszę.

– Czy pana żona zachowywała się jakoś inaczej, zanim zniknęła? Mówiła, wspominała o czymś dziwnym, o kimś, kto ją dręczy, niepokoi? Cokolwiek?

– Nie, nie przypominam sobie. Chociaż... raz czy dwa zaczepiał ją jakiś pijak, taki dziobaty, jakby ospę przeszedł, ale to było dawno.

– Dziękuję. Bardzo panu dziękuję za te kilka słów, to... naprawdę ważna informacja. Nie wiem, jakim cudem została przeoczona. Gdzie pan pracuje? Obiecałem, że pana podwiozę, słowa dotrzymam! – To, co wzięli początkowo za zwykłe zaginięcie lub serię zaginięć, nagle jawiło się jako coś większego.

Począł czekać parę minut, aż Buckfield się ogarnie, przebierze i szybko odwiózł go do sklepu wielobranżowego. Był trochę zaskoczony, że oprócz niego i dziennikarza są jeszcze dwie inne osoby – a nawet przerażony, że miał wsiąść do wozu z dwoma białymi mężczyznami. Kiedy jednak dostrzegł Mosesa, wyraźnie się uspokoił.

Ufał komuś o tym samym kolorze skóry, po prostu.

Harvey wyjaśnił nawet pracodawcy, panu Walkerowi, że wszystko jest w porządku i to nie jest wina Buckfielda. Dopiero potem przedyskutowali wszystko, na spokojnie. Sami. Kolor skóry najwyraźniej nie wchodził w grę, skoro ginęli i biali, i czarni.

Ale ciąża? To z pewnością miało jakieś znaczenie.

Ruth i Tessa miały niebawem rodzić. Bell upierał się, że to coś ważnego i trzeba iść tym tropem, ale Sullivan był przeciwny. Argumentował to osobą Pearl: podłotek nie wspominał nic o tym, by siostra była w ciąży. A brzuch trudno ukryć! Nie zamierzał oczywiście zapominać o tym szczególe, ale na razie ten nie grał wielkiej roli. Zapisał swoje przemyślenia, gdy udawali się pod adres rodziny zaginionej.

Buckfield wyjaśnił, gdzie mieszka rodzina Barnhand – tak bowiem brzmiało panieńskie nazwisko jego żony. Ni to klasyczne przedmieścia, ni to obrzeża miasta, tylko ten dziwny teren leżący na samej granicy. W oddali widać było farmy, kilka mniejszych domów i znacznie dalej, na wzniesieniu, jedną rezydencję z połowy zeszłego wieku, należącą oczywiście do rodziny

Daugherty. Robiło się coraz ciemniej, niebem wstrząsały grzmoty. Co jakiś czas lśniły zygżaki błyskawic.

Spory kawałek dalej, oddzielone pasem klonów i dębów, pól i pastwisk, znajdowały się mniejsze domy i domki. To tam właśnie mieszkała rodzina zaginionej Theresy. Bell zaparkował forda pod jednym z drzew.

– Joe, pójdziesz sam. Ja będę udawał, że próbuję naprawić wóz. Panie Casey, pan poczeka gdzieś pod drzewami, tak by nikt pana nie widział. Mam wrażenie, że rodzina tej kobiety niechętnie pogada z pismakiem, ze mną tym bardziej, dlatego stanowi pan nasz plan awaryjny, dobrze?

– Że co?

– Jak mnie pogonią, to pan pójdzie z nimi pogadać – wyjaśnił rozbawiony Joe. Harvey kiwnął głową. Po chwili, rozglądając się dokoła, zaczęli działać. Moses burczał coś pod nosem, ale nie mając innego wyjścia, poszedł za dziennikarzem. Zatrzymał się jednak niedaleko masywnego, pochylonego dębu. Nie chciał podejść bliżej.

Był tym ludziom coś winien, to prawda; Sullivan zapłacił i wstawił się za niego w areszcie. Bell pomagał, jak tylko mógł. A teraz, gdy stał w cieniu drzewa i patrzył na niski budynek przytulony do stodoły, niecierpliwił się coraz bardziej. I chciało mu się pić.

Och Boże, jak bardzo chciało mu się pić!

– Dzień dobry wieczór! – zawołał Joe, gdy tylko otworzyły się drzwi. – Pan Barnhand? Joseph Bell, „Hills Telegraph”. Czy można... – Nie było mu jednak dane powiedzieć nic więcej. Gdy tylko wspomniał, że jest z redakcji lokalnego tygodnika, barczysty czarnoskóry mężczyzna o siewających włosach zmierzył go nienawistnym wzrokiem i zatrzasnął drzwi. W pierwszej chwili Joe miał wątpliwości, czy trafił pod właściwy adres, ale szybko się opanował.

Sullivan miał rację. Odszedł kawałek, tak by nikt nie mógł wypatrzeć go przez okna, i przywołał do siebie Mosesa. Casey trzymał się cały czas na dystans, nie do końca mu ufając. Nie miał jednak wyjścia, a detektyw zdawał się doskonale wiedzieć, co robi.

– No, do dzieła. Bądź sobą, panie Casey. Niech pan powie, że mnie widział i w ogóle, że się zmartwiłeś; potem, że szukasz swojej siostry, a dowiedziałeś się... nieważne skąd i jak... że ich córka też zniknęła. Zasyj ich pytaniami, tak by nie mieli szansy palnąć jakiejś głupoty albo zamknąć drzwi. Będę czekał w wozie. – Klepnął czarnoskórego w ramię, dodając mu w ten sposób otuchy, i odszedł.

Moses stał jeszcze przez chwilę w miejscu, skołowany i zaskoczony.

Bell podszedł do samochodu i, doskonale zdając sobie sprawę, że teraz jest bardzo dobrze widoczny z okien budynku, zaczął niby pomagać Sullivanowi. Casey z kolei pokręcił z niesmakiem głową i ruszył niechętnie do drzwi; w myślach non stop powtarzał sobie pytania, jakie ma zadać, cały plan rozmowy; zastanawiał się, jak najlepiej będzie się zachować i tak dalej, i tak dalej.

Uderzył knykciami we framugę.

– Panie, wszystko w porządku? Widziałem jakiegoś białasa, jak się dobija! – zawołał, konspiracyjnie rozglądając się wokoło. Nie musiał długo czekać na odpowiedź. Zgrzytnął zamek, skrzypnęły zawiasy, a w progu pojawiła się ta sama, chmurna twarz mężczyzny. Teraz jednak usta wykrzywił lekki uśmiech. Mężczyzna przyjrzał się Mosesowi i otworzył szerzej drzwi, zapraszając go do środka.

Joe również się uśmiechnął, widząc, jak ten znika w budynku. Nie zamierzał jednak sterczeć z boku, dlatego wsiadł za kierownicę i dodał gazu tak, by silnik zaczął ryczeć, a z rury coś strzeliło. Potem, mimo ulewnego deszczu, zakasał rękawy, udając, że coś naprawia, sprawdzając razem z Sullivanem. Musieli grać na czas. Nie wiedzieli przecież, jak długo Moses zostanie w domu.

Minęło pół godziny. Przemoknięci i zmarznięci mężczyźni nie mieli wyboru – nie można w nieskończoność udawać, że ford jest zepsuty. Zrezygnowani wsiadli do samochodu, drżąc z zimna. Sullivan chuchał i dmuchał w dłonie, próbując je rozgrzać. Bell wyciągnął z bagażnika niedużą skrzyneczkę. Oprócz narzędzi w środku leżał ręcznik, koc. Rzeczy, które jego żona uznała za równie ważne, jak śrubokręt, młotek czy płaski klucz. Wytrzeł ręce i twarz, podał ręcznik koledze, a potem nakrył się kocem, by choć odrobinę opanować drgawki.

Harvey skorzystał z ręcznika w nieco inny sposób – owszem, wytarł dłonie, ale potem zajął się swoim pistoletem. Colt był w skórzanej kaburze, wyczyszczony i naoliwiony, szanse na zamknięcie były wręcz nikłe. Nic jednak nie zaszkodziło sprawdzić.

A jakoś musieli spożytkować ten czas, czekając na powrót Mosesa.

– Jak myślisz, poradzi sobie?

– Już sobie poradził. Nie wyrzucili go na zbity pysk – odparł Harvey, odsuwając zamek. Potem sprawdził magazynek. Nie zawilżał na szczęście.

– Ufasz mu?

– Nie. On mi też nie ufa, ale ma u mnie dług.

– I chce znaleźć siostrę.

– Prawda. – Rozmowa się nie kleiła, jakby każdy z nich wypowiadał oderwane słowa, zdania. Bardziej przypominało to monologi, przynajmniej do czasu, aż nie wrócił Moses. Casey wyszedł bowiem dopiero po kolejnych kilkunastu minutach i pośpiesznie oddalał się od budynku.

Znów zagrzmiało. Następna błyskawica przecięła niebo.

– Psia mać, co za pogoda! – warknął, siadając na tylnej kanapie.

– Jesień w końcu.

– Lepiej pan powie, co tam usłyszał. Joe, ruszaj.

– Już. – Bell uruchomił silnik. Fordem lekko zatrzęsło, gdy cofał i zakręcał, ale potem wszystko się unormowało. Światło bijące z reflektorów oświetlało tylko niewielką część jezdni, musiał więc jechać wolno. Latarnie niedostatecznie rozбивały zapadający zmierzch; ulewa dezorientowała. Mocny wiatr ciskał mokrymi liśćmi w przednią szybę. Na całe szczęście po ulicach Pine Hills krążyło tylko kilka samochodów.

Ford, którym jechała ta trójka. Klasyczny model T, toczący się leniwie z naprzeciwka. Oldsmobile sprzed pięciu czy sześciu lat na najbliższym zakręcie. Poobijany plymouth, jakiś stary buick i jeszcze jeden ford, tym razem jako półciężarówka.

Jeśli chodzi o ludzi, to pojedyncze, pochylone sylwetki ścisnęły rozpaczliwie parasole, spiesząc się do domów.

– Rodzina tej Buckfield to nieźle pieprznięci ludzie. Bradley, ojciec znaczy, prawie cały czas pomstował na męża córki, że to głupi czarnuch, że z białasami się kumpluje, że zamiast zapierdzielać u Luthera na farmie, to woli u białego pracować, że nie troszczył się o Tesse, wiecie, takie tam brednie. Matka tylko potakiwała, ale synalek zdawał się wiedzieć coś więcej.

– Mają syna? – zapytał zainteresowany Joe. Harvey walczył tymczasem z mokrym ołówkiem i notesem, próbując zapisać wszystko, co mówił Moses.

– Ano. Pyskaty gówniarz, wtrącał się co i rusz, aż ojciec pasa zdjął.

– Skuteczna metoda – wyrwało się dziennikarzowi. – Mój tatko też używał pasa i ja też będę, jak już Heather urodzi.

– Coś więcej? Coś o ciąży Tessy? Jej zaginięciu? Znajomych, zwyczajach, miejscach, które lubiła, odwiedzała? – Harvey machnął ręką, chcąc skierować rozmowę z powrotem na właściwe tory. Moses zasępił się i zaprzeczył ruchem głowy.

– Cholera.

– Chyba myślą, że to mąż ją zabił.

– Franklin? No niby wyskoczył na mnie z brzytwą, ale się golił przed robotą, więc...

– Nie, on jej nie zabił. Mordercy inaczej się zachowują – wyjaśnił Sullivan.

– A ty niby skąd to wiesz? – spytał Casey.

– Widziałem kilku.

– W Pittsburghu? Nie mówiłeś, że...

– Bo to nie jest ważne! Liczy się Patricia, Tessa i Ruth. Ktoś je porwał. Jestem tego pewien.

– Ale tylko dwie z trzech były w ciąży – zauważył Joe, skręcając do centrum. – Gdzie was wysadzić? Harvey? Panie Casey?

– Się głupio pytasz, pismaku – burknął Moses.

– Kościół Świętego Jana. Joe, spróbuj poszukać jeszcze w archiwum, dobrze? Panie Casey, mógłby pan jeszcze raz popytać znajomych siostry? Ja spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej od Flyntów. Muszę też pogadać z przyjaciółką Patty. W razie czego... spotkamy się w południe w domu pana Casey'a.

Rozdział 9

Deszcz przestał padać późną nocą, zostawiając po sobie niezliczone kałuże oraz strumienie. Ranek przywitał więc Pine Hills nie tylko mokre i zimne, ale nade wszystko zamglone. Gęsty jak mleko opar wisiał wszędzie i ograniczał widoczność tak bardzo, że ulice wypełniał przeraźliwy dźwięk klaksonów. Uliczne latarnie wspólnie z reflektorami automobili bezskutecznie próbowały przebić się przez szarawą zasłonę.

Dom państwa Flynt był, jak należało się spodziewać, pogrążony w swego rodzaju żałobie. Rodzina, a przynajmniej jej część, pogodziła się z zaginięciem córki i teraz tylko ją wspominała. Jedynie Pearl, ta nastoletnia, pyskata dziewczucha, nie chciała dać za wygraną.

Harvey już z daleka widział podlotka. Początkowo jako słaby, niewyraźny zarys widniejący we mgle, ale z każdym kolejnym krokiem Pearl stawała się coraz prawdziwsza. Siedziała na werandzie i paliła papierosa, naburmuszona, zirytowana.

Poprawiła duży i ciężki płaszcz, którym się owinęła, chroniąc przed porannym chłodem. Sullivan dziękował sobie w duchu, że zdecydował się przyjść tak wcześnie. Nie wiedział, czy Pearl chodziła jeszcze do szkoły, czy może jednak wołała już pracować. Liczył się po prostu fakt, że zastał ją w domu.

– Pearl? – zapytał na powitanie, chyląc fedory. Dziewczyna zamarła bez ruchu z papierosem przy ustach. Dopiero gdy zorientowała się, kto ją woła, nieznacznie się rozluźniła. Zdobyła się nawet na uśmiech!

– Pan Sullivan... – Skinęła mu głową.

– Mam... pewne informacje.

– Znalazł pan Patty? – Poderwała się, pełna nadziei. Och, jak bardzo Harvey nie chciał jej mówić prawdy! Przekazywanie złych wieści, a przecież tylko takie miał teraz, nie należało do przyjemnych zadań. Wziął głęboki wdech i pokręcił powoli głową, szykując się już na wybuch złości podlotka. Ominął sporą kałużę i, chcąc czymś zająć ręce, zapalił papierosa.

– Przykro mi – zaczął. – Ale ona nie jest jedyna. Sądzę, że oprócz niej zaginęły też inne kobiety.

– O mój Boże – szepnęła Pearl, przyciskając wolną dłoń do ust.

– Chciałbym porozmawiać z twoimi rodzicami. Są w domu?

– Mama jest. Tatko wyszedł do pracy. Jest sprzątaczem w szpitalu – dodała pospiesznie, tak jakby to miało jakieś znaczenie.

– Pearl? Z kim rozmawiasz, kochanie? – Zmęczony, nieco zachrypnięty głos dobiegał ze środka. Sullivan od razu zorientował się, co jest powodem takiego stanu: pani Flynt z pewnością opłakiwała córkę. Odchrząknął więc i zrobił krok przed siebie.

– Pani Flynt? Nazywam się Harvey Sullivan. Chodzi o pani córkę, Patty, i...

– Boże jedyny, nie! Ja wiem, kim pan jest! Mąż mi opowiadał. – Danielle była niską, chudą kobietą. Dawniej, to znaczy przed zaginięciem córki, pewnie można byłoby ją określić jako osobę przy kości czy puszystą wręcz, ale stres i lęk o dziecko powodowały między innymi utratę wagi.

Podkrążone i zaczerwienione od płaczu oczy wyrażały nieskończony wręcz żal, pośród którego Harvey dostrzegał jednak cień czegoś, co można byłoby uznać za nadzieję. Za błagalną

prośbę, by ten koszmar w końcu się zakończył. Detektyw doskonale jednak wiedział, że do końca jest bardzo daleka droga. Uśmiechnął się więc łagodnie do kobiety. Chciał ją uspokoić.

Tym bardziej że miała takie same włosy jak Pearl, może tylko trochę w nieładzie.

– Mamo!

– Proszę pani, Pearl wynajęła mnie, żeby...

– Wiem! – syknęła. – Mąż wszystko powiedział. Pearl, do domu. Porozmawiasz sobie z ojcem, gdy wróci ze szpitala. Boże, kto to widział, do obcego faceta łądzić!? Jeszcze gdyby to był jakiś porządny człowiek, a nie... i pewnie jeszcze mu zapłaciłaś! A wiesz dobrze, że się nie przelewa! Pan wybacz, panie Sullivan, ale nie życzę sobie, by ktoś taki jak pan miał do czynienia z moją rodziną.

– Nie przyjąłem pieniędzy, pani Flynt – odpowiedział zirytowany. – Chcę pomóc. Tak po ludzku. – Wiedział, jaką ma opinię. Nie pochodził stąd, obcy, inny, mimo że mieszkał w Pine Hills pół dekady. Zdobycie zaufania okazywało się bardziej niż trudne, ale gdy już się to udało, wszystkie trudy zostawały zwykle wynagrodzone.

Zwykle.

– Mamo, proszę – jęknęła Pearl, wyrzucając niedopałek papierosa. – On może nam pomóc! Naprawdę! To detektyw! Pinkerton, rozumiesz? – Matka zmroziła ją wzrokiem, ale w końcu się poddała. Kochała swoją rodzinę bardziej, niż nienawidziła obcych. A jeśli pojawił się cień szansy, że może jednak uda się odnaleźć Patty...

Harvey już chciał wyjaśnić, że z Agencją Pinkertona od dobrych kilku lat nie ma nic wspólnego, ale zdecydował się milczeć. Wszedł powoli do środka. Pearl kroczyła obok niego, zadowolona z siebie. Jej matka prowadziła do kuchni, skąd dobiegał zapach świeżo wypieczonego chleba oraz bulgotanie gotującej się wody.

Kobieta bez słowa wskazała detektywowi krzesło przy wyszorowanym stole. Potem podsunęła popielniczkę; Sullivan natychmiast skorzystał. Strzepnął popiół wprawnym ruchem.

– Rozmawiałem już z pani mężem, więc przejdę od razu do rzeczy... Czy znane są pani nazwiska Hank Cooper, Richard Huffman, Bruce Rosebud, Theodor Smithee?

– Pierwsze słyszę.

– A Therese Buckfield i Ruth Smithee?

– Przykro mi.

– Rozumiem. Co może mi pani powiedzieć o córce? Jaka była, gdzie bywała? Czy ostatnio zachowywała się inaczej? Spotykała się z kimś, wychodziła o dziwnych porach, zaczęła pić?

– Co to za pytania? – Obruszyła się. – Patricia to porządna dziewczyna! Dbała o siebie, o dom i o swoich znajomych, nigdzie nie chodziła bez wyjaśnienia! Jej usta nie tknęły alkoholu! Nie paliła nawet! – wypowiadając ostatnie słowa, spojrzała na młodszą córkę. Pearl spłonęła rumieńcem, ale wytrzymała wzrok matki.

– Cóż, pani Flynt, mam podejrzenie, że pani córka nie jest jedyną, która zaginęła. Sądzę nawet, że nie jest pierwszą, ani, co gorsza, ostatnią. W nocy z niedzieli na poniedziałek zaginęła Ruth Smithee, natomiast w lipcu Tessa Buckfield, a to są tylko dwie kobiety, o których mam stuprocentową pewność, że zniknęły. Wszyscy wymienieni przeze mnie mężczyźni... oprócz Theodora, rzecz jasna... również znikali w taki czy inny sposób, ale to właśnie te kobiety zdają się być jakoś ze sobą powiązane.

– Co pan sugeruje? – zapytała ze zgrozą w głosie matka Patty. Harvey niemal słyszał jęk Pearl stojącej u wejścia do kuchni. Teraz musiał zadać najważniejsze pytanie, od którego być może zależy wszystko.

– Jeszcze nic – zaczął ostrożnie.

– Jeszcze? O co pan chodzi? Boże, niech pan mówi!

– Proszę wybaczyć śmiałość, ale... czy Patricia była w ciąży?

– Jak pan śmie!

– Nie chciałem urazić pani ani pani córki. – Wstał, chcąc w ten sposób zaakcentować szczerze zamiary.

– Wynocha! Precz, powiedziałam! Nie będę gościła w domu człowieka, który rzuca takie oszczerstwa! Pearl, ty się lepiej módl, żeby ojciec wrócił zmęczony, bo inaczej...

– Mamo!

– Nie odzywaj się, młoda damo!

– Pani Flynt, ja naprawdę chcę jak najlepiej. Jeśli Patricia była w ciąży, to może oznaczać, że...

– Wynoś się! Jak śmiesz mówić takie rzeczy?! Wstydu nie masz! – krzyczała, wzburzona jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Podeszła nawet bliżej Sullivana, czerwona na twarzy, wściekła jak osa. Uderzyła nagle. Celnie.

Spoliczkowała go ze łzami w oczach. Harvey drgnął, cofnął się o krok, by w końcu unieść dłoń do twarzy. Dotknął ostrożnie policzka, czując, jak pulsuje z bólu. Skinął głową i bez słowa wyszedł z kuchni. Spojrzał jeszcze tylko na Pearl i nasunął fedorę na głowę, czując żal, że niczego się nie dowiedział.

– Przepraszam – rzucił na odchodne Harvey, chyląc czoła. Wycofał się powoli, rzucając kolejne spojrzenie dziewczynie. Modlił się w duchu, by zrozumiała aluzję i, na szczęście, tak właśnie było.

– Panie Sullivan! – zawołał podłotek.

– Wracaj lepiej do matki, dzieciно – odparł równie głośno, by pani Flynt to słyszała. Zwolnił jednak kroku. Zatrzymał się, prawie.

– Dlaczego pan pytał o ciążę Patty? Ona taka nie jest! Nie miała chłopaka! Ona...

– To tylko podejrzenie – przerwał jej, zniżając głos niemal do szeptu. – Zaginęło sporo osób, ale z tych trzech kobiet tylko dwie były w ciąży... Jeśli wszystkie trzy są ciężarne, jest to ważny trop. Ale skoro twoja matka ani ty nie wiecie... czy też może nie chcecie powiedzieć, jak było naprawdę, mam związane ręce. Chyba, że mi pomożesz. – Ostatnie słowa wypowiedział już szeptem, cicho, na granicy słyszalności.

– Proszę? – spytała Pearl, nie bardzo rozumiejąc. – Och! – Rumieniec oblał już całą jej twarz i zaczynał wchodzić na uszy. Sullivan uśmiechnął się.

– Poszukaj jej pamiętnika. Na pewno jakiś miała. Jeśli... jeśli go znajdziesz, możesz go dostarczyć panu Neumannowi. – Zrobił krótką przerwę, mocniej akcentując kilka słów. – A jeżeli go nie będzie albo Neumann nie zechce go przyjąć, cóż, wiesz, gdzie jest Susquehanna Lane? Najpewniej tam będę. Pod numerem trzy jeden trzy. Jeśli i tam mnie nie będzie, to idź do redakcji i pytaj o Bella. Zapamiętasz, dzieciно?

Może ta wizyta nie będzie wcale taka tragiczna... Co prawda Harvey nie zdołał nic wyciągnąć od matki zaginionej, ale przynajmniej jej druga, młodsza córka zgodziła się pomóc. Sullivan wątpił, czy Patty miała pamiętnik. Chodziła do kościoła, była religijna, wierząca, ba,

należała do chóru, a taki profil nie pasował raczej do kogoś, kto notuje wszystkie swoje przemyślenia i troski na papierze.

Prędy wyrzuca z siebie wszystko w modlitwie lub podczas spowiedzi. Jak Harvey. Musiał jednak spróbować. A nuż się uda? Może warto zaryzykować? Zresztą czekała go jeszcze wizyta u Florence. Poprzednio, gdy odwiedził dom Louisów, ojciec i głowa rodziny – Kevin – pogonił go, używając niewybrednych słów, no i nie zastał córki.

Teraz, gdy Sullivan zbliżał się do okazałego, piętrowego domu na przedmieściach, w bogatszej dzielnicy Pine Hills (jeśli w ogóle tak można było powiedzieć o tej miejscinie), liczył na łut szczęścia. Przez całą drogę od Flyntów powtarzał w myślach pytania i gdy zastukał kołatką, modlił się w duchu, by zastać Florence w domu.

I, co ważniejsze, żeby nie spotkał jej ojca.

Los się na szczęście do niego uśmiechnął. W progu stała mała dziewczynka, uroczą brunetka w wieku może dziesięciu, dwunastu lat. Moment później za jej plecami pojawiła się dorosła już kobieta i wprawnym ruchem pogoniła dzieciaka. Harvey od razu zorientował się, że miał do czynienia z najmłodszą córką Kevina, a teraz stała przed nim jego żona.

Przedstawił się. Wyjaśnił, kim jest i po co przyszedł. Przeprosił, że zawraca głowę i zajmuje czas. Wyciągnął swój nieodłączny notes, przekartkował go i odczytał imiona i nazwiska zaginionych, a potem...

– Może pan powtórzyć? – zapytała słabym głosem kobieta. Siedziała ze złączonymi w kolanach nogami, lecz dłonie przyciskała do piersi, do serca, wyraźnie zszokowana jednym z wypowiedzianych przez Harveya nazwisk.

– Tessa Buckfield, Hank Cooper, Richard Huffman, Bruce Rosebud, Theodor i Ruth Smithee?

– Boże jedyny, Hank...

– Znała go pani. – To było stwierdzenie, nie pytanie.

– Tak, panie Sullivan – przyznała natychmiast. – Byłam blisko z jego bratem, Henrym. Gdy byłam młoda... cóż, sam pan rozumie. Moja pierwsza miłość, zaraz na początku prohibicji, to był dwudziesty pierwszy, dwudziesty drugi rok, jakoś tak. Gdyby nie Volstead, pewnie w ogóle bym nie poznała Henry'ego, a co dopiero mówić o Hanku!

– Pani mąż o tym wiedział?

– Och, oczywiście. – Machnęła ręką, uśmiechając się. – On sam nie jest świętoszkiem, zresztą wtedy byliśmy sobie obcy. Ani Kevin, ani ja nie myśleliśmy o małżeństwie, dzieciach. Sami byliśmy dziećmi na dobrą sprawę. Ileż to czasu spędzaliśmy na prywatkach!

– A skoro o dzieciach mowa, to Florence jest w domu? Chciałbym z nią porozmawiać na temat Patricii Flynt. – Skierował rozmowę na właściwe tory. Zrozumiał, że ciągnięcie tematu dawnej miłości nie miało żadnego sensu. Nie chciał tracić czasu, dlatego tylko podkreślił, że Hank Cooper i Laura Louis byli kiedyś parą.

Chodziło mu o przyjaciółkę Patty.

– Florence! Skarbie, możesz tu przyjść? To ważne. – Nie minęła chwila, jak w progu pojawiła się smukła, ciemnowłosa dziewczyna w skromnej, ciemnej sukience. Wyglądała niemal tak samo jak matka, tylko młodsza. Bez zmarszczek wywołanych wiekiem i kryzysem, stresem. W takiej samej modnej fryzurze, z identycznym, lekko zadartym nosem, jasnymi oczami i wąskimi ustami.

– Tak, mam? – zapytała cicho, stając z boku. Nawet głos miała podobny, aczkolwiek Harvey słyszał w nim młodzieńczą energię, werwę. Nic dziwnego, że Florence śpiewała w chórze.

– Chodzi o Patty Flynt.

– Och.

– O jej zaginięcie – poprawił Harvey, uśmiechając się do dziewczyny. – Nie zajmę paniom dużo czasu, naprawdę. Florence, co możesz mi o niej powiedzieć? Jak długo znałaś Patty? Czy mówiła coś niepokojącego, dziwnego? Była czymś zmartwiona? Bała się kogoś? Spotykała się z kimś, to znaczy z chłopakiem? – Zasyłał ją pytaniami, ale nie sugerował żadnej odpowiedzi. Wystarczyło proste „tak”, „nie”, „nie wiem”; zależnie od tego, co mogła powiedzieć Florence, cała ta rozmowa mogła się inaczej potoczyć.

Tym bardziej że tuż obok siedziała jej matka.

– Nic takiego sobie nie przypominam, proszę pana – zaczęła, siadając bliżej niej.

– Nic? – dopytywał Harvey, ale Florence pokręciła głową

– Ja... znam Patty, odkąd pamiętam. I ona, i ja lubimy śpiewać, lubimy muzykę. Tak szczerze, to chyba właśnie z powodu muzyki się zaprzyjaźniłyśmy.

– Florence dostała na dziesiąte urodziny gramofon. Nie było dnia, żeby jazz i blues nie rozbrzmiewał w naszym domu – uściśliła Laura. Harvey natychmiast zapisał, że zaginiona nie tylko była artystyczną duszą, ale uwielbiała muzykę. Być może to właśnie za sprawą Florence tak bardzo się przywiązała do sztuki, śpiewania.

– No właśnie. A kościelny chór to jedyna okazja, żebyśmy mogły śpiewać. Kiedyś... kiedyś marzyłam... Patty pewnie też... żeby śpiewać w klubie, takim prawdziwym, jakie są w Los Angeles albo Nowym Jorku, ale teraz wystarczy mi kościół. Jest... no, tak jest lepiej. Trudniejszy repertuar, o! Rozumie pan? – zakończyła dość koślawo Florence, płonąc rumieńcem. Harvey skinął głową; sam był wierzący, chodził do kościoła i potrafił zrozumieć, co chciała mu przekazać dziewczyna.

– Rozumiem.

– No i Patty nie miała chłopaka! – stwierdziła stanowczym głosem, zerkając ukradkiem na matkę; Harvey od razu zanotował ten fakt. – Mildred i Sarah mają, ale oni nic, naprawdę, nie mogliby muchy skrzywdzić, zresztą Wally to takie chuchro, że sama mogę go przewrócić, a Dick świata nie widzi poza Sarą i... ja... ja odrzuciłam dwóch, bo Patty tak mi doradziła, gdy zaczęłyśmy śpiewać, że coś takiego mogłoby zasmucić matkę. – Kolejny raz zerknęła na Laurę. Coś ukrywała, ale Sullivan przypuszczał, że chodziło o najzwyklejszego absztyfikanta. Jakiegoś młodego chłopaka, który nie przypadnie matce do gustu.

– Mów dalej.

– Zresztą trochę na początku się obawiała, że źle wypadnie, że nikomu się nie spodoba jej śpiew i w ogóle, ale ojciec Owens przekonał ją, że warto spróbować. Spróbowała i... śpiewała. Pięknie. Cudownie. Była taką duszą, sercem nas wszystkich. Miła, grzeczna, każdego by przutyliła, zawsze miała jakieś rady. W sumie to tak jakby nam matkowała.

– Była nadopiekuńcza?

– Nie, to nie tak. Widzi pan, Patty jest... była...

– Dojrzała – odpowiedziała za córkę Laura.

– O, właśnie!

– Zgaduję, że to kwestia jej wychowania – uzupełniła matka, ale to wszystko. Milczała, pozwalając, by Florence mówiła dalej. Harvey wszystko skrupulatnie notował, nie wiedząc, co może się przydać, a co jest tylko nic niewartym tłem.

– Patty wybijała nam z głów różne głupie pomysły, pilnowała, żebyśmy nie zrobiły czegoś złego, a jak chciałyśmy iść do „White Elk Club”, to mówiła, że nie warto, że to nie jest miejsce dla nas.

– Wiesz może dlaczego? – Klub, który nie pierwszy i być może nie ostatni raz przewijał się w tej sprawie. Coraz więcej wskazywało na jakieś powiązanie, tylko jakie? Dlaczego? Sullivan znów dopisał nazwę ekskluzywnego klubu do swych notatek. Florence niestety tylko wzruszyła ramionami.

– Nie, proszę pana. Patty po prostu mówiła, że nie warto tam chodzić. Wolała prywatki.

– U Steinów.

– Tak, skąd pan wie? Zresztą nie tylko u nich odbywały się prywatki. Każdy pomysł, by iść gdzie indziej, nie wiem, „Pine” albo „Broken Axe” czy właśnie „Elk” spotykał się z jej sprzeciwem. Bawiliśmy się więc u Steinów, u młodego Myersa, u Sary, Mildred, tutaj... Trochę śmieszne mi się to wydawało, że Patty tak nalegała, żebyśmy nie chodzili do „White Elk”, ale teraz, gdy jej nie ma... – urwała zasmucona.

– Florence, cały czas mówisz, że Patty nalegała, by nie chodzić do „Elk”. Domyślasz się może, dlaczego? Co się stało, że aż tak nie chciała tam iść? Znała kogoś z tego klubu? Była w nim? Ktoś związany z tym miejscem ją skrzywdził?

– Nie mam pojęcia, proszę pana. Nic mi nie mówiła, a ja znałam ją chyba najlepiej, oprócz rodziny oczywiście.

– Szeryf Stevens sprawdził wszystko, panie Sullivan.

– No tak, szeryf... rozumiem. Czy Patty wspominała może o kimś? O czymś? O czymkolwiek, co odbiegało od normy? Co wydawało się choć trochę dziwne? Naprawdę wszystko ma znaczenie.

– Marudziła, że nie może spać? – odpowiedziała pytaniem Florence. – Nie wiem, naprawdę. Wszystko wydawało się być w porządku. Narzekała, że ma koszmary, marudziła mi o tym raz i drugi.

– Nie może spać – powtórzył, zapisując te parę słów. – Cóż, jeśli to wszystko... nie będę zajmował więcej czasu. Jeśli jednak coś się paniom przypomni, cokolwiek, proszę się do mnie odezwać, dobrze? – Kolejna wymiana uprzejmości, adresów, zapewnień co do współpracy. Każdy chciał pomóc. Każdy znał Patty. To w końcu małe miasteczko, jedynie Harvey był tu obcy.

Jedno wiedział. Ta wizyta nie poszła na marne. A już na pewno poszła lepiej niż starania czarnoskórego Mosesa.

Rozdział 10

Zgodnie z prośbą Sullivana szukał pomocy u znajomych i przyjaciół siostry. Był więc u Davida Myersa, pracodawcy Ruth, swojego kumpla od kieliszka Adewale Wessona, odwiedził także koleżanki siostry: Arethę (aczkolwiek ta nie wpuściła go do domu, tylko pogoniła od razu), Marthę i Lucille, również szwaczki. Nic tym nie osiągnął, niestety. Nikt nic nie wiedział. Pan Myers groził nawet wywaleniem Ruth „na głupi, czarny pysk”, jeśli nie stawi się w pracy.

Teraz jednak, gdy Casey był u Anne Dawes, cóż... właśnie zatoczył się i upadł na błotnistą ścieżkę, przyciskając dłonie do obolałego krocza. Kopniak był straszliwy i niemal pozbawił go przytomności; ból rozchodził się falami i sięgał podbrzusza. Co gorsza, gdy próbował sięgnąć po kaszkiet leżący w pobliskiej kałuży i odczołgać się od miejsca kaźni, na plecy spadły kolejne ciosy.

Zawył z bólu, gdy sękaty kij – trzonek szpadla najpewniej – raz za razem łądował na jego grzbiecie. Gdy trafił w okolicę nerek, ten jęknął, obawiając się, że będzie sikać krwią przez długi, długi czas.

– Dość... – wyszeptał, ale w zamian dostał tylko kopniakiem w twarz. Brudny but zmiażdżył mu wargi i wybił przynajmniej jeden ząb. Czarnoskóry pijaczyna zalał się krwią i padł na bok, gdzie ledwo co zdążył splunąć krwawą plwociną, a już po chwili został skopany przez kilku mężczyzn. Jeden z nich nawet złamał kij, z furią atakując bark ofiary.

Moses ze zgrozą zdał sobie sprawę, że nie tylko drewno zostało złamane. Gdy poruszył ramieniem, zawył z bólu.

– I żebyś tu, kurwa twoja mać, nie wracał!

– Anne to porządna dziewczucha, nie kurwi się tak jak twoja siostra, czarnuchu!

– Ciesz się, że ojczulek strzelby nie wzięął!

– No, już! Wynocha, bo psem poszczuję! Poszedł mi stąd, wracaj do swojej siostry-kurewki!

– Ruth nie jest kurwą – jęknął Moses, próbując się podnieść. – Kurwi to się twoja matka – dodał, podnosząc się z kłęczek. Splunął krwawą śliną pod nogi jednego z oprawców, ale natychmiast tego pożałował. Moment później znów ktoś go kopnął, a gdy próbował podnieść swój kaszkiet, brudny i mokry, chudy i wysoki szatyn grożący psem, nadusił mu obcasem dłoni. Zachrzęściła kość. Czarnoskóry znów zawył z bólu, ale powstrzymał odruch szarpnięcia ręką.

Nie chciał pogarszać swojej sytuacji.

Zataczał się bardziej niż za najgorszych pijackich czasów. Wtedy jednak ilość wypitej księżycówki skutecznie tłumiła ewentualny ból i zobojętniała na wszystko. Teraz jedyne, co Moses czuł, to tępe pulsowanie na twarzy i w kroku oraz palący ból lewej dłoni, prawego barku oraz obite żebra i plecy. Ale żył. Dobre i to.

Zadał tylko parę pytań, tak jak wcześniej. Czy Anne słyszała coś od Ruth? Czy ostatnio się z nią widziała? Czy o czymś wspominała, o kimś, mówiła, jakie ma plany, lęki, obawy? Cokolwiek. Nie uzyskał żadnej konkretnej informacji, ot, Ruth rozmawiała jeszcze tego samego dnia z Anne, ale temat był banalny, niemający żadnego związku z jej zaginięciem.

Bo jak inaczej nazwać dyskusję szwaczek o jedwabiu, bawełnie? Nowych ściegach, modnych sukienkach, spódnicach? Najbliższej dostawie materiału do sklepu starego Jamesona? Plotkach dotyczących Joan Crawford, Clarka Gable'a i innych hollywoodzkich gwiazd?

Z trudem otworzył drzwi domu siostry. Nie wiedział, jakim cudem zdołał tu dotrzeć, ale dziękował Bogu, że biali oprawcy nie przetrząsnęli mu kieszeni. Drżącą dłonią dopiero za którymś razem trafił kluczem do zamka, a gdy ten w końcu ustąpił, zrobił parę chwiejnych kroków przed siebie.

Kątem oka dostrzegł niewyraźny zarys sylwetki w lustrze i przeraził się nie na żarty: nie wierzył, że ten skatowany człowiek to on. Zrobił kolejny krok i padł na korytarzu, przeklinając wszystko i jęcząc z bólu.

Zdobył się na nadludzki wysiłek, by doczołgać się do łazienki i tam spróbować obmyć rany, ale gdy tylko przekroczył próg i poczuł przyjemny chłód łazienkowych kafelków, zemdłał.

Ocknął się parę dobrych godzin później.

Ktoś chlusnął mu lodowatą wręcz wodą prosto w twarz. Poderwał się gwałtownie, potem krzyknął, czując ostre ukłucia bólu w zbyt wielu miejscach. Opadł na plecy i dyszał ciężko, patrząc w sufit łazienki.

– Widzisz, żyje. – Rozpoznał ten głos. Należał do dziennikarza. Pamiętał go.

– I dobrze. – Ten głos także znał. – Panie Casey, słyszy mnie pan? – Detektyw. Pinkerton. Ten niechlujny, niski chudzina. Zamazane, niewyraźne obrazy zaczynały się z wolna wyostrzać i już po chwili Moses mógł spojrzeć na swoich... hm, przyjaciół? To może słowo na wyrost, ale przynajmniej tych dwóch zdecydowało się pomóc mu odnaleźć siostrę.

I nie bili go.

– Ruth... – wyszeptał, krzywiąc się z bólu. Zlepione zaschniętą krwią usta zapiekły.

– Tak, pańska siostra. Przykro mi, ale ciągle nie wiemy, gdzie jest – odparł Sullivan. Moses zamrugał parę razy i zauważył lekkie zaczerwienienie na policzku mężczyzny. Spróbował się uśmiechnąć, ale skrzywił się z bólu. Cóż, tyle dobrego, że nie tylko on dostał w twarz.

Joe pomógł czarnoskóremu wstać. Żebra dały o sobie znać. Przez plecy przeszedł spazm niemal paraliżującego bólu. Zakręciło mu się w głowie, rozpaczliwie wyciągnął ręce i wsparł się na dziennikarzu, dysząc ciężko.

Moment później zwiłotował.

– Boże.

– Może pojedziemy do szpitala? W Susquehanna General dadzą mu jakieś proszki, nie wiem, nastawią złamania... – zasugerował pismak, gestem wskazując na lewą dłoń i prawe ramię pijaczyny. Parę palców pokrywała skrzepła krew, ale nie wyglądały na złamane. Barku nie mógł dostrzec pod brudnym płaszczem, rzecz jasna, ale sam fakt, że ręka bezradnie zwisała u boku, wydawał się bardzo wymowny.

– Nie – wydusił z siebie Moses. – Nie szpital. Nielsen. Ruth...

– Dostał w łeb. Bełkocze.

– Nielsen to jego kumpel – wyjaśnił Harvey. – Wspominał o nim. Był lekarzem, teraz pomaga przy zwierzętach, jak są chore albo coś.

Moses znów osunął się w ciemność. Nie miał pojęcia, ile czasu minęło – to wybudzał się, to znów zapadał w mrok. Słyszał czyjeś rozmowy, widział twarze. Ostatnia rzecz, którą słyszał nim na dobre pochłonęła go nicość, to stukanie do drzwi. Ciche, nieśmiałe, niepewne. Nie wiedział, co się z nim dzieje, gdzie jest. Do jego rozkojarzonego, na wpół przytomnego umysłu docierały tylko coraz słabsze strzępy rozmów, fragmenty, które nic mu nie mówiły. Różne głosy. To z bliska, to z daleka.

Głos męski, należący bez wątpienia do Sullivana, ale także kobiecy, który choć brzmiał obco, kojarzył się z jego siostrą. Próbował coś powiedzieć, wstać, ale mrok – bolesny w swój dziwny sposób – uparcie go trzymał i nie chciał puścić.

Powtarzało się jednak imię jego siostry, więc się tego kurczowo trzymał. A potem, gdy znów chlusnęła na niego woda, zmywając wszelkie troski i boleśnie przywracając go do rzeczywistości, ujrzał trzy niewyraźnie sylwetki.

Właściciele dwóch z nich, Sullivan i Bell, stali plecami do niego. Trzecia sylwetka, Mark Nielsen, pochylała się nad półprzytomnym pijakiem. Krótkie, grube palce badały uważnie poobijane ciało, a bystre, niebieskie oczy zerkwały na rany.

Nielsen nawet w najlepszych latach nie był przystojniakiem, ale odkąd zaczął pić, stoczył się. Wyłysiał i teraz miał tylko kępki szpakowatych włosów przy skroniach i potylicy. Również i masywne, sumiaste wąsiska zdołał ten kolor, a nalaną twarz i zgrzybiałe ręce miał upstrzone plamami wątrobowymi.

– Przeżyje – odezwał się zachrypniętym, zmęczonym głosem. – Słyszysz, Moses? Twardy z ciebie sukinkot!

– Ruth?

– Wiadomo, kto go tak urządził? – zapytał po chwili Harvey, odwracając się w stronę pijaka.

– Czy to ważne?

– Wbrew pozorom, tak. Poprosiłem go, by popytał jeszcze znajomych siostry. Kiedy dojdzie do siebie?

– Nie wiem. Za godzinę, wieczorem, jutro? – odparł dyplomatycznie konował, bo tak zresztą sam Moses określał Nielsena.

– Szlag! – zaklął Harvey. – Panie Casey, słyszy mnie pan? – W odpowiedzi Moses znów zaczął jęczeć. Sullivan machnął ręką i, nie widząc innego wyjścia, usiadł w najbliższym wolnym fotelu. Z kieszeni płaszczka (obok leżały jego szelki z coltem) wyjął mały, skórzany zeszyt: pamiętnik. Pearl zrobiła swoje, przeszukała pokój siostry i, gdy matka była zajęta, wymknęła się z domu.

Och, jaka była szczęśliwa!

Uśmiech na jej zarumienionej od wiatru i podniecenia twarzy naprawdę ucieszył byłego pinkertończyka. A teraz, gdy Nielsen zakładał gipsowy opatrunek skatowanemu pijaczynie, mógł w spokoju przejrzeć prywatne zapiski zaginionej dziewczyny. Rozpiął marynarkę, zapalił papierosa. Rozsiadł się wygodnie w fotelu i czytał. Czytał, czytał i jeszcze raz czytał.

Jak się obawiał, większość to typowe dla młodej kobiety relacje dotyczące codzienności. Potwierdziło się też wszystko, czego dowiedział się od jej bliskich, znajomych; Patty naprawdę była porządną dziewczyną, nad wyraz dojrzałą jak na swój wiek, o bardzo artystycznej duszy.

Ojciec Owens i pozostali, choć zgodnie twierdzili, że Flynt rozmiłowała się w muzyce, sztuce, nie mieli pojęcia, jak wiele to wszystko dla niej znaczyło.

Tu i tam Harvey widział słowa piosenek, których nigdy nie słyszał, ale domyślał się, że ich autorem jest właśnie młoda Patty. Wszystkie, a było ich z tuzin, krążyły wokoło tego samego tematu: natury, życia, wiary, matczynej miłości. Wielokrotnie wspominała, jak szanuje swoją matkę, jak nie może się doczekać, aż spełni wszystkie jej zachcianki i sprawi, że ta będzie dumna ze swego dziecka.

O ojcu nie pisała, a przynajmniej Harvey nic takiego nie znalazł. Wspominała tylko matkę.

Co ważniejsze, w kilku miejscach przewijały się też szczerkowe informacje dotyczące obiektu jej uczuć, ale mimo usilnych prób Sullivan nie zdołał wydobyć nic ważnego oprócz inicjału imienia.

„J” mogło oznaczać wszystko i nic, tym bardziej że po raz pierwszy tajemniczy „J” pojawił się we wpisie z końca marca, tuż po tym, jak Patty spędziła „cudowny” wieczór w towarzystwie jakiejś Dory – jej imię przewijało się kilka razy, ale Harvey nie potrafił go z niczym połączyć. Potem w miarę regularnie Patty wspominała o „J” raz, może dwa razy na miesiąc, aż do chwili zaginięcia.

Parę razy pisała coś o złych snach, dręczących ją koszmarach, kto jednak ich nie miał? Z każdego zwierzała się przyjaciółkom, Sarze i Florence, ale także tajemniczej Dorze. Kim ona była?! Nikt, z kim Harvey rozmawiał, nie wspominał o takiej osobie.

Odsunął pamiętnik. Zapisał swoje spostrzeżenia. Póki co Sullivan miał przed sobą nudną, obyczajową lekturę, stawiającą więcej pytań niż odpowiedzi. Czytał jednak dalej, zgłębiając coraz więcej i więcej tajników umysłu zaginionej dziewczyny.

– Joe, podjedziesz do szpitala? – odezwał się po kilkunastu minutach, zadowolony, że w końcu znalazł coś wartego uwagi, ale jednocześnie przerażony treścią. Dziennikarz uniósł pytająco brwi, gasząc resztkę papierosa. Nielsen skończył usztywniać ramię i opatrywać dłoń rannego i teraz, obmywając ręce w miednicy z wodą, mruczał coś pod nosem. Kilka razy zerkał w stronę regału, gdzie stały butelki.

– Żaden problem, miałem tam jechać już wczoraj, bo Seymour chce parę zdjęć. O co chodzi?

– Patricia Flynt była w ciąży – oznajmił cicho głosem detektyw. – Pojechałbym z tobą, ale chcę w spokoju przeczytać resztę. Mamy już trzy młode kobiety w ciąży, które zniknęły w dziwnych okolicznościach. Patty, Ruth i Tessa... Sprawdź, proszę, czy coś z nimi działo od strony medycznej, nie wiem, chodziły do tego samego lekarza, ta sama pielęgniarka się nimi opiekowała, jako ojca podały tego samego mężczyznę, coś takiego, rozumiesz. – Bell zgodził się natychmiast: wizyta w szpitalu i sprawdzenie u źródła, co się działo z ciężarnymi, to rozsądne posunięcie.

Inną rzeczą było to, czy w ogóle uda mu się uzyskać takie informacje.

Susquehanna General Hospital stanowił niedużą i jedyną w okolicy placówkę. Raptem dwa piętra i piwnica, a łącznie z chorymi znajdowało się tam może z kilkanaście osób. Kryzys, recesja i dramaty powiązane z krachem sprzed blisko dekady nie miały tutaj prawie żadnego odzwierciedlenia, dzięki Bogu. Najbliższy szpital z prawdziwego zdarzenia był w Lock Haven. Szpitale w Pittsburghu czy Filadelfii znajdowały się za daleko, więc mieszkańcy tych okolic znajdowali się pod opieką lekarzy z Pine Hills i Lock Haven.

Joe nie miał więc za wiele do roboty. Bell szybko uwinął się z obowiązkami, dokumentując na kliszy fotograficznej znużonych pielęgniarzy i pielęgniarki czy zadufanych lekarzy i zmęczonych pacjentów, zanim skierował się do jedyne go doktora, któremu mógł zaufać. Cały czas jednak zastanawiał się, jak zadać fundamentalne pytanie o kobiety w ciąży.

Nie chodziło nawet o to, że się peszył, wstydził. Był dorosłym mężczyzną, a jego żona w ciągu najbliższych tygodni urodzi. Po prostu... było coś niewłaściwego w wyciąganiu takich informacji na wierzch. Ludzka przyzwoitość walczyła w nim z instynktem dziennikarza.

Chwilę spacerował korytarzami, niby szukając czegoś, co warto uwiecznić na kliszy. Po prawdzie szukał jednak zaufanego lekarza: doktor Joshua Hush był jedynym, który mógł mu

pomóc. Mimo zaawansowanego już wieku oraz coraz liczniejszych siwych włosów umysł miał nadal sprawny, a nadto był szanowany w miasteczku jak nikt inny.

Joe wziął więc głęboki wdech i podzielił się swoimi obawami o żonę, zdradził, że nie spał całą noc i martwił się o nienarodzone jeszcze dziecko. Nie kłamał. Mówił prawdę, a że akurat idealnie pasowała do zleconego mu zadania...

Lekarz poklepał dziennikarza po ojcowsku, uśmiechnął się i poczęstował własnym papierosem.

– ...Joseph, synu, to normalne. Jeszcze przed wielką wojną miałbyś wszelkie prawo się zamartwiać, ale teraz? Gdy medycyna wykonała taki wielki skok naprzód?

– Czyli to normalne?

– Oczywiście – podkreślił. – Gdy Gertrude rodziła mojego pierworodnego, a ja zaczynałem dopiero uczyć się na lekarza, byłem przerażony. Gdy na świat miała przyjść moja pierwsza córka, czułem ekscytację i lęk, a gdy rodził się drugi syn, czułem już tylko zniecierpliwienie, że tak długo to trwa. Trzeci syn, a czwarty dzieciak, był formalnością.

– A... a te wahania nastroju? Czasem boję się odezwać do żony, by jej nie urazić, nie sprowokować.

– Panie Bell, to normalne. Psychika ludzka stanowi niezbadany ląd; cały czas uczymy się o umyśle, a im więcej wiemy o ludzkich hormonach, tym więcej dowiadujemy się o zmianach w organizmie – mówił powoli, jak nauczyciel tłumacząc skomplikowane zagadnienie. – Denerwuje się pan, bo pierwszy raz zostaje pan ojcem. Heather jest w dobrych rękach. Mamy tutaj profesjonalistów. Nawet mimo tej przekłetej recesji udało nam się niedawno zatrudnić nową pielęgniarkę!

– Naprawdę? Kogo? Gdzie ona jest? – Joe w jednej chwili przestał myśleć o swojej żonie i potrzebie informacji o ciężarnych. Instykt dziennikarski dał o sobie znać: nie sądził, że w Susquehanna General zatrudniono nowego pracownika. Pielęgniarkę w dodatku!

Szybko się jednak opanował. Nie po to tu przyjechał.

– To panna Darrow. Jej rodzinne miasto wypadło mi z pamięci, ale nie była to jakaś duża miejscina... Pochodzi w każdym razie z Luizjany, a referencje miała wystarczające. O, pan Stanley właśnie z nią rozmawia. – Wskazał ręką w głąb korytarza. Stanley Kelly, znany jako Stan, był koszmarnym plotkarzem, źródłem paru artykułów, które Joe swego czasu napisał. Uśmiechnął się w duchu, bo kto jak kto, ale to właśnie z przedstawicielem prasy ludzie najchętniej rozmawiają.

Zwłaszcza tacy plotkarze!

Bell podziękował więc lekarzowi i, zerkając co i rusz w stronę pielęgniarzy, przygotował aparat. Z daleka zrobił im kilka zdjęć, a potem pomachał wolną ręką. Kelly oczywiście rozpromienił się, ale nie można tego powiedzieć o towarzyszącej mu niskiej kobiecie o ciemnych, kręconych włosach. Rzuciła fotografującemu ją mężczyźnie nienawistne spojrzenie, obróciła się na pięcie i pospieszyła w dół korytarza.

– Dziękuję – odparł weselszym już głosem Joe. – I, doktorze, jeszcze jedna taka sprawa: wie pan, piszę teraz taki jeden artykuł... – zaczął, konspiracyjnie zniżając głos. Miał nadzieję, że kupi tym samym uwagę lekarza. Nie pomylił się.

– Zamieniam się w słuch.

– Chodzi mi o kobiety w ciąży.

– Tak? Co z nimi?

– Czy... w ostatnich miesiącach były przypadki, że nagle urywał się z nimi kontakt? Albo, nie wiem, miały rodzić i zniknąć? – Dwa, pozornie niemające żadnego większego znaczenia pytania. Musieli jednak wiedzieć! Sullivan dostał pamiętnik od siostry zaginionej, w którym jasno napisała, że była w ciąży, chociaż – o zgrozo – nie napisała, kim był ojciec jej dziecka. „J” to z mało, by cokolwiek z tym zrobić, na litość, przecież nawet doktor Hush ma imię na tę literę! I sam Bell!

Lekarz zafrasował się.

– Och, panie Bell... – zaczęła powoli. – To niecodzienna prośba. Zdaje sobie pan sprawę, czego pan ode mnie żąda? Ile to jest materiału?

– Oczywiście, wiem! Po prostu zależy mi na samych informacjach. Suche fakty, doktorze. Czy takie osoby w ogóle były, ile... wie doktor, naczelnym się dowiedział, że pani Smithee zniknęła, jej bliscy się zamartwiają, redakcja chce tekst, rozumie pan – zaczął się tłumaczyć, szybko, gorliwie, zanim lekarz mógłby cokolwiek zakwestionować. Dla lepszego efektu poprawił też torbę wiszącą na ramieniu; szybko wyjął notes i ołówek. Nie wiedział, czy dobrze zrobił, wyciągając na wierzch nazwisko siostry Mosesa, ale nie miał innego wyjścia. Doktor Hush zasepił się rozdarty między lojalnością wobec pacjentów a solidarnością z mieszkańcami miasta.

W końcu skinał głową.

– No dobrze – zgodził się. – Porozmawiam najpierw z ordynatorem. Jeśli on wyrazi zgodę, to zaprowadzę pana do archiwum. Nie dam panu dokumentacji, sam ją przejrzę i sam udzielię panu tych informacji. Jeśli, rzecz jasna, w ogóle coś takiego jest na rzeczy...

– O nic więcej nie proszę, doktorze. – Joe był zadowolony. Obserwował, jak Hush odchodzi i po chwili sam pospieszył do pielęgniarki. Stanley aż przebiegał nogami, nie mogąc się nacieszyć nadchodzącą rozmową z przedstawicielem prasy.

Sullivan zapalił kolejnego papierosa. Odkąd Joe pojechał do szpitala, każdą chwilę spędzał na lekturze pamiętnika Patty, czasem tylko zerkał na leżącego Mosesa. W kawowych i tytoniowych oparach starał się wyciągnąć jak najwięcej informacji z prywatnych przemyśleń zaginionej. Jego własny notes leżał obok, tak samo jak kilka wyrwanych i pogniecionych stron.

Co jakiś czas uzupełniał swoje notatki.

– Co tu się dzieje, panie Casey... – szepnęła do śpiącego pijaczyny.

– Mówił pan coś? – zapytał Nielsen, wchodząc do pokoju. W dłoniach trzymał dwie filiżanki.

– Ta sprawa śmierdzi coraz bardziej, panie Nielsen – odrzekł, kiwając głową w podzięcie za kawę. Upił łyk i skrzywił się; była gorąca, gorzka. Tego właśnie potrzebował, dodatkowej odrobiny goryczy w swym życiu. Strzepnął popiół do podstawionej popielniczki i po chwili wahania podał pamiętnik dawnemu lekarzowi.

Nielsen podrapał się po czubku czerwonego nosa, zmrużył oczy i przeczytał wskazany fragment.

– Ta Flynt bywała w szpitalu. Nieregularnie, to prawda, ale odwiedzała Susquehanna General... nic dziwnego, skoro jest w ciąży. Nie pisze, u kogo, ale jeśli miałbym zgadywać, panie Sullivan, to pewnie zajmował się nią Young albo Hush. Chociaż nie, Hush będzie chyba za stary, a Young jest tak obłożony, więc może... Muggs?

– Niech pan czyta dalej.

– Och... – jęknęła po chwili. – Spotkała tam Ruth.

– I jakąś Dorothy, która...

– ...namawiała je obie na wizytę w „White Elk Club” – dokończył słabym głosem Nielsen. – Boże.

– Mogę się założyć, że Dorothy to pełne imię Dory, z którą Patty się już raz spotkała – przyznał gorzko Sullivan.

– Nie kojarzę, niestety. Myśli pan, że ta Dora... Dorothy... pracuje w „White Elk”?

– Może. Nie wiem, nie widziałem tam żadnej kobiety. Może na zapleczu, w kuchni...

– Może.

– Byłem w tym pieprzonym klubie! – mówił dalej, kartkując pamiętnik. – Smithee tam pracował, a Ruth zaginęła. Patricia ostrzegła swoje koleżanki przed „White Elk”, aż w końcu sama zniknęła. Jeżeli i Tessa Buckfield będzie jakoś powiązana z „White Elk Club”... – urwał, kręcąc głową. Zaciągnął się głęboko papierosem i przetrzymał dym przez kilka chwil, delektując się jego duszącym aromatem i gęstością wypełniającą płuca.

– Panie Sullivan, dokąd pan idzie? – zawołał Nielsen, widząc, jak Harvey bierze łyk kawy i zarzuca na ramiona płaszcz. Nie przejmował się marynarką czy nawet bronią. Był zły na siebie, że nie poświęcił więcej uwagi klubowi.

– Do męża Tessy, a potem do szeryfa. Jeśli wróci Joe, niech na mnie czeka. Jeśli pan Casey się obudzi, proszę go wypytać, czy kojarzy jakąś Dorę albo Dorothy. – Złapał fedorę i wyszedł, zanim były lekarz zdołał zareagować w jakikolwiek sposób. Sullivan cisnął niedopałkiem papierosa zły na siebie, że nie zdołał wcześniej zauważyć pewnych, oczywistych niemalże, elementów.

Rozdział 11

Pine Hills miało jedną niewątpliwą zaletę.

To małe miasteczko. Bardzo małe nawet. Wszędzie można dotrzeć relatywnie szybko. Przy dobrych warunkach obejście całej miejsciny mogło zająć nie więcej jak pół godziny, góra trzy kwadranse. Harvey przyspieszył kroku, chcąc zaoszczędzić jak najwięcej czasu.

Wiedział, że Franklin Buckfield będzie teraz w domu. Zamierzał wykorzystać fakt, że pracował wieczorami i nocami, a w dzień odsypiał. Nie chciał jednak niepotrzebnie zwlekać. Nie mógł dłużej się objąć.

Przechodząc przez ulicę, uważał na kałuże, które po nocnych deszczach ciągle straszły Pine Hills, a gdy wreszcie dotarł do czynszówki, pozwolił sobie na krótki postój. Był zdyszany, zmęczony i spocony mimo niskiej temperatury. Nie mógł sobie pozwolić, by jego rozmówca zobaczył go w takim stanie. Otarł pot z czoła. Wziął głębszy oddech.

Spieszył się.

– Panie Buckfield! – zawołał, uderzając o drzwi. – Franklin! – ponowił próbę, ale jak na złość odpowiedziała mu cisza. Zaklął pod nosem. Czyżby się pomylił i Buckfield wyszedł? Już miał łapać za klamkę, gdy zgrzytnął zamek. Skrzypnęły zawiasy, drzwi nieco się uchyliły, ukazując zaspaną, ciemną twarz. Franklin Buckfield spał. Został brutalnie obudzony, a teraz, tłumiąc ziewnięcie, próbował skupić półprzytomne spojrzenie na niechlujnym detektywie.

– Czego pan chce...

– Panie Buckfield – zaczął zadowolony. – Harvey Sullivan. Prywatny detektyw. Spotkaliśmy się wcześniej.

– No i?

– Chodzi o pana żonę.

– Co? Co znowu? Znalazła się?

– Niestety – zaprzeczył, nie kryjąc swego żalu. – Mam parę pytań, bardzo ważnych. Czy Tessa była kiedykolwiek w „White Elk Club”? Wie pan, w tym klubie?

– Przecież to miejsce dla białasów – odrzekł po chwili skonsternowany. – O co panu chodzi?

– Hm... a może sama tam pracowała? Jako pomoc kuchenna, na przykład, albo знаła kogoś stamtąd? Jakiegoś pracownika? Dorę? Dorothy, może? – spytał Harvey, czując, jak grunt usuwa mu się spod nóg. Udało się przecież znaleźć jedną rzecz, jaka łączyła zaginione, ale to ciągle za mało. Musiało być coś poza ciążą!

– Nie, nie pracowała tam, unikała takich miejsc, nie czuła się w nich dobrze. Nie chciała nawet do „The Broken Axe” chodzić.

– Rozumiem. A nazwisko? Smithee? Flynt?

– Flynt... – powtórzył w zamyśleniu. – Nie, nie znam. Smithee też nie, ale przecież już mnie pytaliście o to – odpowiedział po chwili namysłu.

– Jest pan pewien? Nic panu nie mówią te nazwiska? A może inicjał „J”?

– Nie wiem, co to jest inicjał.

– Pierwsza litera imienia, nazwiska – wyjaśnił szybko Harvey.

– Nie. Nic nie kojarzę. A jak pan teraz tak pyta, to pewności nie mam, ale Tessa chyba chodziła kiedyś z jednym z muzyków, zanim się poznaliśmy. Raz mi wspominała, że jej były grał na tej takiej fikuśnej, długiej trąbce, ale czy to był facet z „Elk”, to nie wiem. Nie pomogę panu.

– Boże... – wyrwało się Sullivanowi. – Mimo wszystko ma pan na myśli trąbkę czy saksofon?

– To się saksofon nazywa? – Buckfield uniósł brwi, szczerze zdziwiony. Sullivan odetchnął z ulgą; w pierwszym odruchu był przerażony, bo myślał, że chodziło o męża Ruth. Na szczęście, jak się okazało, to był „tylko” inny członek zespołu.

– Saksofon, takie... długie. – Nieporadnie zademonstrował, jak się gra na wspomnianym instrumencie. Franklin potwierdził kiwnięciem głowy, że chodzi właśnie o coś takiego. Dodał także, że to miało miejsce dawno, bardzo dawno i nie ma pojęcia, o co może teraz chodzić detektywowi. Harvey nie skomentował; nie miał w zwyczaju dzielić się własnymi przemyśleniami i szczegółami toczącego się przecież dochodzenia.

Były pinkertończyk podziękował czarnoskóremu, uściśnął mu serdecznie obie dłonie i przeprosił, że obudził.

Nie czekał już na kolejne słowa. Zbiegł po schodach, a już po chwili szybkim krokiem zmierzał do biura szeryfa. Zyskał niejaki potwierdzenie, że trzecia zaginiona kobieta, oprócz ciąży rzecz jasna, także miała powiązania z klubem. Musiał porozmawiać z szeryfem. Stevens tym razem musi dać mu wgląd do akt.

Joseph Bell z kolei nie miał takiego problemu. Doktor Hush z łatwością uzyskał zgodę od ordynatora (to była formalność praktycznie) i teraz, prowadząc dziennikarza do części archiwalnej szpitala, dzielił się doświadczeniem ojca. Udzielał przyszłemu tacie rad i wskazówek, często uciekając się do anegdot i zwyczajnych żartów. Jako mężczyzna starej daty udzielał porad, które nie miały zbyt wielkiego znaczenia, ale i tak miło się ich słuchało. No, może oprócz rady dotyczącej ciężkiej ręki i pasa.

A gdy w końcu zasiedli przy niskim, acz rozległym stole i rozłożyli stopy dokumentów, Joe zmarkotniał, gdyż niewiele rozumiał z medycznej terminologii.

– No, panie Bell, w bieżącym roku mamy ponad tuzin przyszłych matek. Pośród nich jest pańska żona i, jak dobrze patrzę, na przełomie października i listopada powinna urodzić.

– O Boże... – jęknął Joe, chowając twarz w dłoniach. – A ile z nich... ile przestało chodzić na wizyty? Z iloma się urwał kontakt, doktorze? – Ta liczba, której przecież jeszcze nie znał, przerażała go równie mocno, co fakt zbliżającego się nieubłagane porodu Heather. Obawiał się, ile z tych ponad dwunastu kobiet zniknęło.

– Już patrzę. – Medyk zaczął kartkować dokumenty, mamrocząc coś pod nosem. Poślinił palec, przewracał strony, przesuwając tym samym palcem wzdłuż rubryczki z datami, powtarzał wszystko kilkakrotnie. Bell zaczynał tracić cierpliwość.

Z rozmowy z pielęgniarzem nie dowiedział się w sumie nic ciekawego. Może tylko informacja o wypadku podczas polowania wydawała się intrygująca, bo ranny awanturował się ponad miarę i dopiero dwóch pielęgniarzy zdołało tego przysadzistego chłopca spacyfikować. Potencjalne romanse między pracownikami go nie interesowały, a nic więcej nie zdołał wyciągnąć z Kelly’ego. Miał za mało czasu, po prostu.

– Więc?

– Pięć, panie Bell – odparł ze zdziwieniem w głosie. Zmarszczył czoło, nachylił się nad dokumentami i raz jeszcze zaczął je przeglądać. Joe czuł, jak serce łomocze mu w piersiach:

coś naprawdę było na rzeczy! Wyciągnął szyję, by dostrzec nazwiska. Nie spodziewał się, że aż tyle kobiet zniknęło. Lekarz w sumie też czuł niepokój. Może nie tak jak dziennikarz, ale w jakimś stopniu na pewno.

– Prawie pół tuzina? – dopytywał się. – To normalne?

– Nie wydaje mi się... – stwierdził z wahaniem w głosie lekarz. – Pięć kobiet nie stawiło się na wizyty lub zerwało kontakt ze szpitalem w ciągu... moment, niech no... w ciągu ostatniego półroczka. Dziwne, muszę panu przyznać.

– Ale czy to jest typowe? Normalne? Panie doktorze, ja muszę wiedzieć. Naczelny mi łeb urwie, jeśli wydrukuje coś, co wcale nie jest odstępstwem od normy. – To po części prawda. Seymour to furiat, ale Bell musiał mieć absolutną pewność, że za tymi zdarzeniami stoi coś więcej niż zwyczajny poród i niechęć względem szpitala albo coś podobnego.

– Och, zwykle każdego roku ze dwie czy trzy kobiety rodzą same, w domach – zaczął lekarz. – Dawniej, panie Bell, coś takiego było na porządku dziennym. Przed wojną, nie wielką, tylko tą na Filipinach, może nie większość, ale część porodów miała miejsce w domach. Im bardziej medycyna idzie do przodu, tym wszystko toczy się sprawniej, szybciej, wygodniej. Co więcej, jak tak patrzę, to nie były to żadne pilne przypadki czy coś, a doktor Young, nasz położnik, jest profesjonalistą... Ale ta piątka wydaje mi się dość dziwna.

– A jednak.

– A jednak, panie Bell – zgodził się Hush.

– To... wiem, że nie może mi pan podać nazwisk tych kobiet, ale może coś więcej? Kiedy, na przykład, urwał się kontakt? Bo to, dlaczego nikt się nimi nie zainteresował, to już zrozumiałem.

– Hm... synu, to może być zależne od wielu czynników. Zgadzam się, że coś tutaj jest nie tak, ale nie szukaj niczego na siłę. Young miał wyznaczone kolejne terminy, aż do dnia porodu, tak patrzę – ostrzegł, nim zabrał się do pracy. Joe niecierpliwie zaglądał mu przez ramię, próbując dostrzec cokolwiek. Starszy lekarz spędził kolejne minuty, wertując dokumentację i sporządzając notatki, którymi mógł się podzielić z dziennikarzem.

– I? – Bell nie mógł wytrzymać.

– Pomijając panią Smithee, bo o niej pewnie pan już wszystko wie, daty to dziesiątego czerwca, ósmego lipca, dziewiątego sierpnia i dziewiątego września. Ciężarne nie stawiły się we wskazanym terminie ani w żadnym kolejnym. Nie zostawiły wiadomości dlaczego, ale nie jest to konieczne. Nic więcej niestety nie mogę panu powiedzieć, choćbym naprawdę chciał. – Rozłożył bezradnie ręce, by po chwili zamknąć teczki z dokumentami. Joseph siedział bez ruchu zszokowany tym, co właśnie usłyszał.

Oprócz Ruth zniknęła Patricia i Tessa, a także – jeśli wszystko dobrze zinterpretowali – dwie inne ciężarne kobiety, o których nikt nie wiedział. Lekarzowi wydało się to podejrzane, oczywiście, lecz niewystarczająco, by zwrócić się do władz o wszczęcie śledztwa.

Dla dziennikarza jednakże...

– Po jednej na miesiąc – odezwał się po chwili, dokonując szybkich obliczeń. – Boże, przecież... – Już miał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Dziewiąty września to dzień, kiedy zniknęła Flynt!

– Rzeczywiście – przyznał mu rację lekarz, patrząc w dokumenty.

– To nie jest przypadek, doktorze. Coś tu się dzieje. Coś... coś brzydkiego.

– Polecę jednej z pielęgniarek skontaktowanie się z rodzinami tych biednych kobiet.

– Dziękuję – odparł dziennikarz, wstając. – Porozmawiam z naczelnym i pewnie odwiedzę szeryfa, bo to mi się nie podoba.

– Upewnij się najpierw, że istotnie jest tutaj jakiś problem, Joe.

– Tak zrobię. To... chyba będzie ode mnie wszystko, doktorze. Raz jeszcze dziękuję i nie zapomnę tego panu.

– Nie przesadzaj, synu. Zaopiekuj się lepiej żoną, a nie staremu medykowi będziesz dziękował. Ale jeśli wspomnisz o szpitalu ciepło w tym artykule, to będę wdzięczny.

– Dobrze. I proszę się o Heather nie martwić. Nie chciałem być na miejscu tego, kto stanie jej na drodze. Do widzenia! – pożegnał się z uśmiechem i przyspieszył kroku, ale już po kilku metrach zatrzymał się. Korytarzem szła ta niska pielęgniarka. Wcześniej mu czmychnęła, zanim zdołał cokolwiek sensownego powiedzieć, ale teraz...

Skoro już znajdował się w szpitalu, to dlaczego miałyby nie skorzystać z okazji? Będzie miał jakąś podstawę do ewentualnego artykułu. Aż dziwne, że ta kobieta przyjechała do Pine Hills właśnie. I to w czasach takiego kryzysu, recesji! Braku stabilności finansowej!

Podbiegł do niej.

– Panno Darrow... można na moment? Joseph Bell, „Hills Telegraph”, przygotowuję bazę pod materiał do kolejnego wydania tygodnika. Jedenaście lat temu uderzył w nas kryzys, a skutki tej wielkiej depresji odczuwamy do dziś. Ponadto odniosłem wrażenie, że pacjenci i pracownicy tego szpitala w sposób niezależny od warunków socjoekonomicznych panujących obecnie w Stanach...

– Spiesz się – weszła mu w słowo. – Przepraszam pana – odparła niemal natychmiast, nie odwracając się. Joe nie zamierzał się jednak poddać i prędko ją dogonił. Delikatnie ujął ją pod ramię; szarpnęła się, złapał ją więc mocniej. Wyglądała na naprawdę niską kobietę, niższą od jego żony, o ciemnych i gęstych włosach, skromnie upiętych. Podejrzliwie spojrzała na dziennikarza.

– Ja też się spieszę, nie zajmę dłużej niż parę chwil, proszę, to ważne. – Zniżył głos do szeptu, łudząc się, że w ten sposób choćby odrobinę ją zaciekawi.

– To boli – wycedziła, patrząc na zaciśnięte palce mężczyzny. Miała wyraźny akcent z południa, z tym charakterystycznym zaciąganiem. Joe odsunął się i z zawstydzieniem patrzył, jak pielęgniarka masuje prawe przedramię. Lewą dłoń miała zabandażowaną.

– Przepraszam, naprawdę – skłonił lekko głowę zawstydzony. – No dobra, nie będę kłamał ani marnował pani czasu, panno Darrow, przepraszam za swoje zachowanie. Jestem dziennikarzem, to wszystko. Pomoże mi pani? Zapłacę. – Zaryzykował, mocniej akcentując ostatnie słowo. Pieniądze rządzą i będą rządzić tym światem. Próby przekupstwa, choć haniebne, często są niezbędne i teraz Bell modlił się, by tak pozostało.

– Jak pan śmie! Myśli pan, że dla kilku dolarów sprzedam swoje wartości i zaufanie ludzi? Żegnaj! – syknęła rozwścieczona nie na żarty. Joe zaklął pod nosem zły na siebie. Liczył, że może uda mu się przekonać tę kobietę, ale źle ocenił ryzyko. Może to wina pochodzenia pielęgniarki? Południe w końcu różniło się od północnych Stanów tak bardzo, jak to tylko możliwe... Zdał sobie sprawę, że popełnił głupi błąd. Źle ocenił sytuację. Być może zmarnował jedyną szansę na wywiad z tą kobietą!

Westchnął i wyszedł ze szpitala. Nie zamierzał iść do redakcji czy do biura szeryfa; musiał jak najszybciej zdać raport Sullivanowi. Nie dostrzegł też, jak kobieta sięga po aparat telefoniczny i gdzieś dzwoni, nerwowo się rozglądając.

Cofnął się. Niemal wbiegł do Susquehanna General i po kilku chwilach zdołał zlokalizować znanego plotkarza – odetchnął z ulgą, widząc, jak pielęgniarz jest zajęty papierami. Na to liczył.

– Panie Kelly, można? Stan, mam sprawę, a kto jak kto, ale ty na pewno mi pomożesz...

Dobrego nastroju nie popsuała mu nawet walka z silnikiem forda.

Niedawna zabawa w usterkę i jej naprawę podczas ulewnego deszczu musiały coś popsuć, bo automobil zaczął kaszelec i dusić się, ale w końcu obudził się do życia. Bell wykręcił spod szpitalnego parkingu i już jechał do domu Nielsena, gdzie tymczasowo przebywali. Zdołał wyciągnąć listę nazwisk ciężarnych, słodząc pielęgniarzowi. Stanley był w porządku, miał może tylko za długi język.

Na skrzyżowaniu nie zobaczył pochylonego Sullivana spieszącego w stronę biura szeryfa. Był zbyt zszokowany informacjami uzyskanymi od lekarza. Nic więc dziwnego, że gdy dojechał do celu i niby burza wpaść na korytarz, Nielsen aż się poderwał z wrażenia.

Moses, niestety, nadal nie odzyskał przytomności. Albo spał mocnym, głębokim snem. Trudno stwierdzić, patrząc na jego opuchniętą twarz.

– Bój się Boga, panie Bell – jęknął były lekarz. – Najpierw pan Sullivan wybiega jak oparzony, mija trochę czasu i pan tu wpadasz, jak nie wiem kto.

– Harvey wyszedł?

– Ano – skinął głową. – Do męża tej biednej Tessy poleciał. Pamiętnik młodej Flynt przejrzeliśmy, wszystko zdaje się prowadzić do „White Elk”. Dziewucha miała tam chyba śpiewać albo co. – Odstawił pustą filiżankę po kawie i sięgnął po pamiętnik otwarty na fragmencie dotyczącym wizyty w szpitalu, Ruth i Dorothy oraz rozmowy o matczynej miłości. Joe nerwowo przeleciał wzrokiem obie strony, potem przekartkował tam i z powrotem, aż w końcu usiadł w fotelu i powoli pogrzążył się w lekturze.

– Jezu, nie. To już jest ponad nasze siły. Harvey mówił, kiedy będzie?

– Nie, panie Bell. Kazał na siebie czekać, bo potem miał do szeryfa iść.

– Do Stevensa... – powtórzył w zamyśleniu dziennikarz. Ścisnął nasadę nosa, nie wiedząc, co dalej robić.

– Jak to, do Stevensa? – odrzekł wzburzony, acz podstarzały zastępca szeryfa, Floyd Cole. Siedzący kawałek dalej Lawrence Powell był zajęty, otoczony raportami dla Pennsylvania Motor Police w sprawie strzelaniny, a teraz jeszcze rozdzwonił się telefon. Ze znużeniem podniósł słuchawkę, przedstawił się i wysłuchał rozmówcy. Natychmiast spowaźniał.

Cole natomiast, znudzony i wyraźnie zniesmaczony obecnością detektywa, nie chciał współpracować.

– To ważne, Floyd.

– Panie Cole.

– Panie Cole! – powtórzył ze złością. – Cholera, tu nie chodzi już o głupiego czarnucha, rozumiesz? W ciągu ostatnich miesięcy w Pine Hills zginęło kilka kobiet w ciąży! Stevens musi się o tym dowiedzieć!

– Nie ma go. Szeryf, Doug i Tom pojechali na cmentarz przy Świętym Janie, bo ktoś zbezczeszczył kilka grobów – wyjaśnił powoli, starając się opanować drżenie głosu. Harvey nie wiedział tylko, czy głos zastępcy drży ze złości, czy ze strachu. Przyszedł tu z poważną sprawą. Zwykły zastępca mógł sobie nie poradzić z czymś takim.

– Kiedy wróci?

– Nie wiem, naprawdę.

– Szlag by to! – krzyknął, uderzając dłonią w blat biurka.

– Floyd, dokończysz? – odezwał się niespodziewanie Powell, odkładając słuchawkę.

– Słucham? – zapytał zdziwiony zastępca.

– Zajmę się nim. Panie Sullivan – wyjaśnił Lawrence. – Wstęp do archiwum mamy tylko my. Gdyby miał pan legitymację Pinkertona... – urwał. Detektyw, który w Pittsburghu mógł sobie pozwolić na bardzo, ale to bardzo wiele... no, może nie aż tak, jak pod koniec zeszłego wieku, ale jednak, tutaj musiał zdać się na łaskę i niełaskę władz.

– Kupa gówna z ciebie, Larry, wiesz o tym? To nie jest mój kaprys, żeby grzebać w papierach, tylko...

– Za te słowa mogę pana wrzucić do aresztu – odparł z wymuszonym uśmiechem. – Zresztą, zanim mi pan przerwał, chciałem powiedzieć, że mogę panu towarzyszyć w archiwum. Stoї pan, mimo wszystko, po naszej stronie i jak sam pan powiedział, tu już nie chodzi o czarnucha.

– Och.

– Głupio teraz panu, co?

– Przepraszam.

– Przeprosiny przyjęte. Czego mamy tak w ogóle szukać? – zawołał jeszcze Powell, sygnalizując, dokąd zmierza. Ze srebrnej papierośnicy leżącej na jego biurku wyjął papierosa. Zapalił i gestem zaprosił byłego pinkertończyka na tyły biura szeryfa. Przeszli wąskim korytarzem obok cel i skręcili przy tylnym wyjściu do małego pomieszczenia wypełnionego szafkami i regałami aż po sam sufit.

Sullivan milczał przez chwilę, nie do końca ufając tej nagłej przeciw zmianie zachowania zastępcy. Nie tak dawno Powell mógł wyrzucić go na zbity pysk za samą sugestię wglądu do akt, a teraz razem z nim otwierał szafki i przetrząsał teczki. Coś było nie tak, ale Harvey nie wiedział co. Nie mógł jednak zawieść zaufania Pearl oraz skatowanego Mosesa.

Obiecał im pomóc.

– Flyntówna szuka swojej siostry. Casey też. Buckfield podobnie, aczkolwiek w jego przypadku chodzi o żonę. Wszystkie trzy ciężarne, wszystkie trzy jakoś związane z „White Elk”. Żona Buckfielda chodziła kiedyś z grajkiem, siostra Casey’a jest żoną pracownika, a Patty Flynt ostrzegła każdą swoją znajomą przed klubem. Sam pan przyzna, że coś tu faktycznie śmierdzi. Zajrzałem do tej budy, ale nic tam nie znalazłem, szybko też mnie wyprosilili, więc... pomoże pan, panie Powell? Chcę też wiedzieć, czy zaginęły jakieś inne kobiety. Młode, ciężarne, w ciąży ostatnich miesięcy.

– Spore ma pan wymagania, panie Sullivan – odparł po chwili namysłu zastępca, ale spełnił prośbę detektywa. Przeszedł przed regałami, szafkami.

– Takie życie.

Przebicie się przez dokumentację sięgającą ostatniego półrocza nie należało do prostych zadań. Harvey nie spodziewał się, że w małym, prowincjonalnym przeciw miasteczku aż tyle

się dzieje. Z miejsca odrzucali wszystko, co dotyczyło mężczyzn bądź wiązało się z typowo męskimi przestępstwami. Jedynie kilka razy zatrzymywali się przy zgłoszeniach dotyczących prześladowania, dręczenia i nękania, bo to mogło wskazać potencjalnego porywacza bądź porywaczy.

W końcu, po blisko półgodzinie udało im się znaleźć wykaz osób zaginionych, jeśli tak można nazwać tę sporawą teczkę. Sullivan szybko przekartkował zawartość raz, drugi i trzeci, nie chcąc wierzyć swoim oczom.

– Musi pan wiedzieć, że mnóstwo osób opuszcza Pine Hills bez słowa – dodał Powell, patrząc detektywowi przez ramię.

– Tak, wiem, szeryf już mi o tym mówił, ale... tutaj jest sześć kobiet. Siedem, licząc siostrę Mosesa. Wszystkie w ciąży. Jedna na miesiąc. To nie może być przypadek.

– I nie jest, panie Sullivan – powiedział cicho tamten, wyjmując służbowy rewolwer. Obrócił broń, zaciskając dłoń na lufie i wziął potężny zamach, atakując Harveya. Były pinkertończyk zdążył się tylko obrócić, gdy został trafiony w skroń. Zatoczył się, unosząc dłoń w rozpaczliwym, obronnym geście, a wtedy spadł kolejny cios i następny.

Sullivan padł na podłogę nieprzytomny.

– Larry? – zawołał z daleka Cole. – Co się stało? Słyszałem jakiś hałas?!

– Zemdlał po prostu. Widziałeś, jaki był błydy i jak dyszał? – odrzyknął Lawrence, chowając rewolwer. Szybko uprzątnął dokumenty, tak by nikt przypadkiem nie zauważył, co dokładnie znaleźli, i złapał nieruchome ciało Harveya. Detektyw żył, oczywiście, po prostu dostał kilka razy w głowę i stracił przytomność.

Powell złapał Sullivana pod ramiona i powoli, niespiesznie zaczął ciągnąć na korytarz.

– Chryste, co z nim? – Podbiegł starszy zastępca. – Mam dzwonić do szpitala?

– Nie, sam go tam zawiozę – wyjaśnił krótko Powell. – Pomóż mi wsadzić go do wozu – sapnął, chwytając nieprzytomnego, byłego pinkertończyka za nogi. Cole, starszy i znacznie mniej sprawny, zaklął pod nosem i robił, co tylko mógł, by podnieść mężczyznę. Wspólnymi siłami udało im się ułożyć Sullivana na tylnej kanapie forda.

Sprawdzili jeszcze, czy oddycha, czy ma puls, czy nie jest rozpalony.

Tego tylko brakowało, by ktoś im zmarł podczas pełnienia obowiązków! Lawrence nie zwlekał, nie tracił czasu. Biegiem dopadł miejsca kierowcy, uruchomił silnik i dodał gazu. Spod kół forda wystrzeliły fontanny błota i żwiru, a tyłem nieco zarzuciło.

Cole odprowadził go wzrokiem, patrząc jak znika za zakrętem – nie widział jednak, że Powell zamiast wjechać na Main Street prowadzącą prosto do szpitala, zjechał w jedną z mniejszych uliczek wiodących w zgoła odmiennym kierunku. Zwolnił też trochę, by nie zwracać nadmiernej uwagi innych uczestników ruchu czy przechodniów. W końcu skręcił w Oak Road.

Zmierzał na obrzeża miasteczka. W stronę rzeki i tamtejszych lasów.

Rozdział 12

Moses otworzył oczy. Zamrugał kilkakrotnie, próbując rozeznaczyć się w swoim położeniu. Znał te ściany, meble, wiedział, gdzie jest – logicznie więc doszedł do wniosku, że znów się upił. Ból, jaki zawładnął jego ciałem, początkowo uznał za naturalny efekt ostrej popijawy; łomotanie w czaszce brał za jeden z objawów nadchodzącego kaca, a nadmierny ciężar wiązał z wyczerpaniem.

Dopiero gdy próbował usiąść, zrozumiał, co się stało.

Wszystko do niego wróciło. Jęknął zawstydzony i obolały, po czym opadł z powrotem na płaską, wysłużoną poduszkę. Kanapa, na której leżał, zaskrzypiała mocno. Joe i Mark natychmiast zareagowali; zaprzestali czytania pamiętnika i dopadli do rannego. Nielsen przyłożył dłoń do czoła: było rozpalone.

– Panie Casey? – zapytał cicho Bell.

– Jeśli zapyta o siostrę, to znaczy, że wszystko z nim porządku.

– Ruth?

– Mówiłem – odparł weselszym głosem były lekarz i z ulgą wyszedł do kuchni. Wrócił po chwili ze szklanką wody i słoiczkiem z jakimś syropem. Etykieta była na wpół zerwana, więc Joe nie wiedział dokładnie, co jest w środku. Mógł to być faktycznie syrop Doktora Jakiegoś Tam na Wszelkie Dolegliwości, jak i zwykła księżycówka.

– Gdzie... – spróbował znów zapytać Moses, ale Mark podsunął mu szklankę pod nos. Czarnoskóry upił kilka łyków wody, zakrzusił się.

– Nie wiemy, gdzie jest – odpowiedział Joe. – Harvey ruszył w teren, ja wróciłem niedawno ze szpitala.

– Pojęcia nie mam, co wy knujecie, ale ta sprawa cuchnie – kontynuował temat Nielsen, odkręcając wieczko słoiczka. W powietrze uniósł się mocny, miętowo-czosnkowy zapach. Bell się skrzywił.

– Przepraszam. Dałem dupy – jęknął Moses, przymykając na moment powieki.

– No trochę – zgodził się dziennikarz, podnosząc pamiętnik. Przekartkował go do odpowiedniego miejsca i podał czarnoskóremu. Ten, mrużąc oczy i poruszając ustami, odczytał wskazany fragment.

– Och.

– Moses, gadaj, co wiesz o „White Elk Club”. – Głos zabrał Nielsen, odstawiając i szklankę, i słoiczek.

– A co tu, u diabła, gadać? – Poprawił się i skrzywił z bólu. – Knajpa dla białasów, tyle wiem. Teddy gra tam od kwietnia czy marca chyba, wcześniej rzępolił w „Pine”, ale dostał w pysk i już. No i chałupa nie jest na niego, ale to przecież wiecie. Reszty zespołu nie znam, kojarzę może ze dwóch gości, pracowników to już w ogóle nie rozróżniam, a szefostwa to na oczy nie widziałem. O co chodzi? – zakończył pytaniem, a głos, choć ciągle słaby i drżący, zaczynał powoli odzyskiwać dawne mocne brzmienie.

Przesunął się nieco na kanapie, tak by móc oprzeć się plecami. Z trudem przełknął łyżeczkę śmierzącego syropu. Zakrzusił się, popił wodą. Znów zmrużył oczy i wczytał w pamiętnik,

szukając kolejnych informacji na temat siostry. Poruszał przy tym ustami – niestety, prócz lakonicznej wzmianki o szpitalu nie było tam nic więcej.

– Obstawiam, że porywacz... albo porywacze... siedzą właśnie tam. Harvey poszedł do Buckfielda, potem miał iść do szeryfa, więc póki co czekamy.

– Mamy związane ręce. Jakoś wątpię, by Stevens się ucieszył, gdybyśmy wszyscy weszli mu na głowę.

– A skoro o tym mowa, panie Nielsen, nie ma pan telefonu, prawda?

– Nie. Nigdy nie potrzebowałem.

– Tak sądziłem. No cóż, panowie, muszę jechać. Żona czeka, a ma teraz nastrój jak wściekły borsuk, więc... wrócę w każdym razie. Pewnie nawet wieczorem, może też coś ciepłego do żarcia przywiozę. Tutaj macie mój adres, gdyby się coś stało. – Nabazgrał na kartce szybko nazwę ulicy i numer domu, po czym pożegnał się i już miał zabrać pamiętnik Patty Flynt, gdy w ostatniej chwili się opamiętał. Nie należał do niego.

Trzasnęły zamykane drzwi.

– Mark, masz coś mocniejszego? Na rozgrzanie.

– Ano, mam coś specjalnie na taką okazję. – Uśmiechnął się tamten i znów zniknął, a chwilę potem dało się słyszeć brzęk szkła. Nie oni jedni raczyli się alkoholem; za miasteczkiem, niedaleko błotnistej brzozy rzeki Susquehanna, zatrzymał się ford będący na wyposażeniu biura szeryfa. Lawrence Powell wyciągnął z kufra bagażnika piersiówkę i pociągnął duży łyk, ciesząc się palącą goryczą oleistego płynu. Otarł pot z czoła, bo spocił się mimo zimnej, październikowej pogody.

Upewnił się, że rewolwer, trzydziestka ósemka w wersji official police, leży w kaburze i ma do niego łatwy dostęp. Sprawdził, czy pierwsze dwie komory bębna są puste: najprostszy sposób zabezpieczenia broni przed niepowołanymi rękoma. Dopiero potem otworzył drzwiczki prowadzące na tylną kanapę, gdzie leżał ciągle nieprzytomny Harvey.

– Niepotrzebnie pan przyszedł, panie Sullivan – szepnęła, wyciągając mężczyźnę. Trochę mu to zajęło, bo raz, że był sam, a dwa – nogi i buty ślizgały mu się na błocie i liściach. W końcu jednak udało mu się przenieść nieprzytomnego na mokrą ziemię. Przeturlał Sullivana w stronę rzeki tak, by chłodna bryza i szum wody prędzej czy później go obudziły.

Nie zamierzał go zabijać ani krzywdzić.

Musiał się go tylko pozbyć, pogonić, by nie przeszkadzał, a czyż jest lepsze ku temu miejsce, niż nieprzebyte gąszcz pensylwańskich lasów wczesnym październikiem? Panowało zimno, wilgotne powietrze i mgła lepiły się do ubrania, a coraz więcej chmur pokrywających niebo zwiastowało niechybne ulewy.

Sumienie będzie czyste. W najgorszym wypadku to nie on dokona mordu; jeśli już, to zrobi to sama natura. Zastępca szeryfa wrócił do kufra, znów napił się z piersiówki i dopiero po chwili wsiadł za kierownicę. Ostrożnie wykręcił, tak by zostawić jak najwięcej śladów w błocie celem zdezorientowania byłego pinkertończyka i powoli dodał gazu. Moment później zniknął za ścianą drzew, pozostawiając leżące niby trup Sullivana.

Harvey ocknął się z potwornym bólem głowy parę godzin później.

Panował mrok, ale nie wiedział, czy to wieczór, czy noc. Czubki strzelistych brzozy, sosny i dębów, jakie rosły w tej części stanu, drżały lekko w podmuchach zimnego, jesiennego wiatru. Ciemniejące coraz bardziej niebo pokrywały gęste chmury; gdzieś dało się słyszeć

złowrogi, basowy pomruk nadciągającej burzy. Nad ziemią przesuwał się leniwie mleczny opar mgły.

Sullivan podniósł się do pozycji siedzącej. Zadrzał, czując jak październikowy chłód wgrzyza się w jego ciało. Bliskość rzeki i bijąca zeń bryza tylko pogarszały sytuację. Detektyw otulił się szczelniej mokrym, ubłoconym płaszczem, chuchnął w zmarznięte dłonie i na chwiejnych nogach podszedł do brzegu.

Ochlapał twarz wodą, pozbywając się w ten sposób śladów zmęczenia i senności.

Co prawda zamiast tego czuł teraz ostry ból, zarówno ten mający swe źródło w zimnie, jak i tępy pulsowaniu u podstawy czaszki i przy skroni, ale cóż, nie można mieć wszystkiego. Rozejrzał się uważnie dokoła, szczególną uwagę poświęcając koleinom na błocie.

– Powell – wyszeptał do siebie, łącząc fakty i wyciągając właściwy wniosek. – Och, ty sukinsynu. – Odruchowo sięgnął pod pachę, ale nie miał tam bronii. Colt, ba!, całe szelki z kaburą i marynarka zniknęły. W pierwszej chwili pomyślał, że to zastępca mu je zabrał, ale szybko się opanował.

Broń i reszta ubrania zostały u Nielsena. Zbyt szybko wtedy zareagował, nie biorąc pod uwagę okoliczności. Działał w afekcie, pod wpływem emocji, nie myśląc logicznie, trzeźwo. To jego wina.

Przespacerował się brzegiem rzeki, chcąc rozgrzać zmarznięte ciało. Wspominał wszystko, co się stało, odkąd przeczytał pamiętnik i wyszedł z domu Nielsena. Wizyta w mieszkaniu Buckfielda. Pobyt w biurze szeryfa. Przeglądanie akt. Cios w głowę, od tyłu.

Akta.

Co w nich było? Co tam takiego zauważył? Zatrzymał się, patrząc w spienioną wodę Susquehanna obmywającą błotnisty brzeg. Dopiero po dłuższej chwili przypomniał sobie, co przeczytał. Szczegóły, oczywiście, znikają za mgłą zapomnienia i wstrząsu, jakiego doznał, ale ogół informacji znał.

Zaginęło siedem ciężarnych kobiet. Jedna na miesiąc. Patty to tylko jedna z wielu!

– Cholera! – zaklął, obracając się wokół osi. Nie był stąd, ale w miarę dobrze znał miasteczko i najbliższe okolice. Problem w tym, że w rejonu rzeki zapuścił się może ze dwa, trzy razy w ciągu tych paru lat. Nie wędkował, nie lubił też spacerować po lasach. Nie wiedział, gdzie jest. Którędy ma iść, by wrócić do Pine Hills, a koleiny wcale nie pomagały.

Spojrzał na niebo. Słońce zniknęło dawno za ścianą drzew, przy odrobinie wysiłku mógł dostrzec ostatnie promienie, jak z trudem przebijały się przez gałęzie i korony. Ciemna, fioletowoczerwona barwa nieba szybko ustępowała miejsca czerni, by już po chwili zrównać się z mrokiem reszty nieba.

Zapadał zmierzch.

Wiedział przynajmniej, gdzie jest zachód, nie miał więc wyboru. Wejście w las o tej porze byłoby głupotą i niemalże samobójstwem. Ruszył brzegiem West Branch Susquehanna River, przez Hrabstwo Clinton, na wschód. Gdzieś w końcu trafi. Lock Haven oczywiście odpadało, było za daleko – jakieś kilkanaście kilometrów od Pine Hills, trochę mniej do jednego z wielu małych miasteczek, a pojedyncze wioski czy farmy mogły znajdować się zarówno tuż obok, jak i hen daleko. Prędzej czy później Harvey gdzieś dojdzie.

Musi.

Albo... nie dotrze nigdzie. Taka myśl pojawiła się po kilkunastu minutach męczącego marszu. Nieustający szum wody ukoił zszargane nerwy detektywa, ciągły ruch pozwolił też

zapomnieć o zimnie, ale to jedyne plusy obecnej sytuacji. Sullivan był spocony, zmęczony i obolały, robiło się coraz później, a mgła zaczynała już oblepiać jego ciało. Widoczność miała bardziej niż ograniczoną i gdyby nie sąsiedztwo rzeki, Harvey najpewniej by się zgubił. Teraz mniej więcej orientował się, gdzie jest, zawsze mogło być gorzej.

Poklepał się po kieszeniach, szukając papierosów. Wsunął jednego do ust, potem sięgnął po zapalniczkę. Nie zapalił jej jednak, tknięty nagłym impulsem opuścił dłoń. Rozejrzał się, wyraźnie zaniepokojony.

Chlupot i szum wody zdominowały okolicę, skutecznie maskując inne dźwięki, ale teraz, gdy Harvey odszedł na parę kroków od rzeki, by zapalić papierosa, coś go tknęło. Było za cicho. Nie chodziło nawet o fakt, że nie słyszał silników pędzących samochodów, ich klaksonów, dzwonek czy syren fabrycznych albo ujadania kundli bądź zwyczajnego gwaru, jak to zwykle bywa w miastach.

Przyzwyczał się, że w Pine Hills jest inaczej, ciszej i spokojniej, a odgłosy urbanizacji ustępują miejsca naturze. Problem w tym, że teraz nawet i te dźwięki gdzieś zginęły. Nie słyszał pohukiwania sów, powarkiwania wilków lub kojotów ani łagodnego szelestu krzewów wywołanego przemykającymi jeleniami.

Docierał do niego tylko słaby szum przepływającej wody i upiorna, nienaturalna cisza, a mimo to Harvey miał coraz silniejsze wrażenie, że gdzieś tutaj, w pobliżu, jest ktoś jeszcze. Z pewną obawą pstryknął zapalniczką, mrużąc oczy przed ostrym blaskiem rozedrganego płomienia. Gdy jednak wzrok przyzwyczał się już do nagłego światła, Harvey momentalnie pożałował, że w ogóle po nią sięgnął.

– Jak to, nie wrócił? – zapytał zszokowany Joe. Mark i Moses rozkładali bezradnie ręce; czas mijał, a Sullivan najwyraźniej gdzieś zniknął. Nikt nie powiedział tego głośno, ale wszyscy, cała trójka, obawiała się najgorszego. Nikt też nie tknął kolacji, jaką przygotowała Heather. Wszyscy momentalnie stracili apetyt. Potrawka z mielonki leżała nietknięta na talerzach i w półmisku.

– No nie ma go i tyle – wyjaśnił pokracznie Moses, wstając z kanapy. Jęknął, a potem zdrowszą rękę przycisnął do lewego boku. Ostrożnie poszedł do kuchni, zostawiając Marka i Joe samych. Zadudniła woda w rurach.

– Myśli pan, że...

– Tak – skinął głową Bell. – Albo coś zatrzymało go po drodze, może u Buckfielda, może u szeryfa. To wszystko wygląda coraz gorzej.

– To co, jedziemy? – odezwał się nagle Moses, sięgając w kierunku fotela, na którym siedział Harvey. Uśmiechnął się, trzymając w jednej ręce szelki Sullivana, a w drugiej jego pistolet. Colt wyglądał dziwnie złowrogo w jego dłoni, ale być może właśnie tego potrzebowali. A już na pewno on sam tego potrzebował, zapewnienia, że nikt mu znowu nie obje twarzy.

Wieczorny mrok na moment rozjarzył się palącą bielą.

Niebo przecięła błyskawica, uderzając gdzieś w pobliskim lesie; para mężczyzn przyspieszyła kroku, by znaleźć się w bezpiecznym, ciepłym wnętrzu forda. Bell znów chwilę walczył z silnikiem, nim ten zgodził się współpracować.

– Po jaką cholerę wziął pan ten pistolet, panie Casey? – zapytał Joe, zerkając na siedzącego obok niego mężczyznę. Gipsowy opatrunek utrudniał mu poruszanie się, więc Nielsen pomógł mu założyć prostą chustę; ramię miał zawieszony na temblaku. Płaszcz był tylko zarzucony na ramiona.

– Dla bezpieczeństwa – burknął, spoglądając na leżącą na kolanach broń.

– No dobrze, ale niech pan nie wymachuje tą spluwą, dobrze? Ja będę mówił.

Moses Casey nie odpowiedział.

Nie pojechali do czynszówki, w której mieszkał Buckfield. Bell wiedział, gdzie mieszka, ale wiedział też, gdzie pracuje i w jakich godzinach: zdecydowali, by wieczorem udać się właśnie do jego miejsca pracy. Poprosił nawet, by Moses został w samochodzie i sam, idąc przez zacinający już deszcz, zaczął dobijać się do sklepu.

Po dłuższej chwili drzwi otworzył sam właściciel, pan Walker. Casey widział tylko zarys sylwetek na tle rozświetlonego wnętrza; nie słyszał, o czym mówią. Rozumiał jednak, że rozmowa nie szła po myśli dziennikarza; tym bardziej że wkrótce dołączyli do nich ktoś trzeci, najpewniej Buckfield.

Joe zaczął gestykulować, wskazywać na swój samochód i na ciemne, deszczowe niebo. Do wozu wrócił z marsową miną, przemoczony. Siedział za kierownicą przez długą chwilę, milcząc.

– No i? – zapytał w końcu Moses.

– Buckfield potwierdził, że był u niego Harvey. Pytał go o żonę, o „Elk”, o pańską siostrę, różne takie rzeczy, a potem polecił jak oparzony do szeryfa.

– No mów, człowieku! – zawołał czarnoskóry, ponaglając dziennikarza.

– Tessa Buckfield znała przynajmniej jednego członka zespołu. Tego, co grał na saksofonie.

– Carla?

– Pan go zna?

– Głuchy jesteś, pismaku? Przecież jeszcze u Nielsena mówiłem, że nie znam nikogo z zespołu. Kojarzę tylko, że był jeden taki, co na saksofonie gra. Carl jakiś tam, pyskаты kurdupel. Teddy niezbyt go lubił.

– Coś jest na rzeczy z tym klubem... – mruknął, zwalnając przed zakrętem. – Pańska siostra i szwagier zniknęli. Kolejne kobiety... kobiety w ciąży dodam, w taki czy inny sposób są powiązane z tym miejscem. W strzelaninie brali udział ludzie z „Elk”.

– Przypadek?

– Nie wydaje mi się, panie Casey – oznajmił ponuro, po czym zmienił bieg i dodał trochę gazu. Resztę drogi do biura szeryfa spędzili w milczeniu, a gdy w końcu dotarli do celu, czekała ich dość przykra niespodzianka. Przed budynkiem stał zaparkowany tylko jeden samochód, w środku zaś siedział tylko samotny zastępca.

Lawrence Powell. Zapisywał coś w dużym notesie i ziewał raz po raz.

Czarnoskóry miał opory przed opuszczeniem pojazdu. Nic w tym dziwnego, w końcu spędził zdecydowanie zbyt dużo czasu w areszcie w tym właśnie budynku. Mimo to nie zamierzał zostawiać dziennikarza samego i teraz, chowając pistolet Sullivana do kieszeni wysłużonego, brudnego płaszcza, ruszył krok za nim.

– Dobry wieczór, panie Powell!

– Panie Bell. – Zastępca skinął głową, odstawiając filiżankę z resztką kawy. – Czy mogę służyć prasie? – Mina mu nieco zrzedła, gdy dostrzegł przycajonego z tyłu przemokniętego

pijaka, ale nie skomentował obecności mężczyzny. Jeszcze nie.

– Był tutaj Harvey Sullivan?

– Był i poszedł – odpowiedział szczerze zastępca, budząc tym samym zaskoczenie zebranych. Moses spojrział podejrzliwie na stróża prawa, Joe natomiast milczał, nie wiedząc, jak zareagować.

– Jak to poszedł? Kiedy? Dokąd? – odezwał się dopiero po chwili.

– Nie jestem jego ojcem, nie pytałem. Przyszedł, poprosił o wgląd do akt, przejrzał trochę papierów, a potem sobie poszedł. Nie wiem, gdzie jest teraz. Cole poświadczy, ale pojechał na wezwanie. Tu jest jego notka. – Wskazał odręcznie zapisaną kartkę: awantura domowa na Hill Street.

– A szeryf?

– Stevens i pozostali są w domach, na cmentarzu była jakaś afera, że ktoś grób rozwalił i kości chciał ukraść, czy coś, nie wiem. Ja mam dyżur tutaj, nie opuszczałem biura nawet na moment; Cole pojechał, a Munsey ma się pojawić niebawem, wtedy wracam do domu. – Zastępca odpowiadał na pytania w bardzo, może nawet za bardzo wyczerpujący sposób. O ile Casey nie potrafił poznać się na takich detalach i szczegółach i po prostu przyjął to do wiadomości, tak Bell wydawał się nieprzekonany.

Skinął głową i odstąpił na krok. Dziennikarz od razu zorientował się, że coś jest nie tak.

Nie wiedział jeszcze, co dokładnie, instykt podpowiadał mu nie pierwszy już raz, że ta sprawa jest poważniejsza, niż się początkowo mogło wydawać.

– Cmentarz, mówi pan... Może Sullivan tam poszedł. No cóż, dziękuję. Dobranoc, panie Powell.

– Panie Bell... – Pożegnali się w dość suchy i chłodny sposób. Czarnoskórego ignorował z wzajemnością. Z chwilą, gdy zamknęły się za nimi drzwi, Joe złapał towarzysza pod ramię i odszedł kilka metrów, nie przejmując się padającym deszczem.

– Panie, co pan? – warknął Moses.

– On wie coś więcej.

– No co ty nie powiesz.

– Kłamie! Harvey był tutaj, to pewne, ale słyszał pan, co mówił? Że pozwolił mu ot tak zajrzeć do akt? Że potem sobie poszedł? Że stary Floyd był świadkiem? Że nie wie nic, w ogóle?

– W sumie.

– Panie Casey... jedziemy do szeryfa – zdecydował w końcu Joe. Cóż innego mogli zrobić? Przecież nie wpadną do środka z bronią w gotowości, żądając jakichkolwiek informacji! Zastępca Powell także nie marnował czasu i, gdy tylko ucił dźwięk oddalającego się samochodu, podbiegł do aparatu telefonicznego. Z niecierpliwością czekał na nawiązanie połączenia, a gdy w końcu usłyszał przy uchu kobiety, nieco zachrypnięty głos z południowym akcentem...

– Oni wiedzą, Kathryn. – Po tych trzech słowach w słuchawce zapadła cisza. Lawrence zamknął oczy, wyczekując wybuchu wściekłości kobiety, lecz nic takiego nie nastąpiło. Przeciwnie, zamiast litanii przekleństw i gróźb otrzymał niemal płaczącą prośbę, by się nie poddawał i trwał na posterunku tak długo, jak to tylko możliwe. Kathryn roztrzęsionym głosem wspomniała jednak o cenie, a te słowa sprawiły, że przez plecy zastępcy przeszły dreszcze.

Podziękował, przeprosił raz jeszcze i dopiero potem, gdy usłyszał kolejne zapewnienia, że to nie jest jego wina i że nie wszystko jest stracone, że musi tylko zapłacić odpowiednią cenę, rozłączył się. Westchnął ciężko, zrozumiał, co musi zrobić. Zapalił papierosa, jednego z ostatnich ze swojej papierošnicy, usiadł na krześle i zapłakał, szykując się na najgorsze.

Lubił to miasto, mimo wszystko.

– Ja... może lepiej zostanę w wozie – odezwał się nagle Moses, gdy Joe skręcał w uliczkę prowadzącą do domu szeryfa Stevensa. Casey aż za dobrze pamiętał, jak zakończyła się ostatnia wizyta.

– Proszę bardzo – zgodził się dziennikarz, zwalniając. Zatrzymał się przy krawężniku, zgasił silnik i wziął parę głębszych oddechów. Uśmiechnął się do uzbrojonego czarnoskórego, chcąc go uspokoić i zapewnić, że nic złego się nie stanie (bo tylko wkurzonego pijaka ze spluwą brakowało!) i wyszedł.

Od razu się zachwiał. Deszcz i wiatr przybrały na sile.

W domu paliło się pojedyncze, samotne światełko. Rodzina Stevensa pewnie już spała, nie jest też wykluczone, że i on sam udał się na spoczynek, ale musiał zaryzykować. Zastukał knykciami do drzwi. Odczekał chwilę i gdy nic się nie zmieniło, uderzył trochę mocniej.

Drzwi, o dziwo, otworzył nie szeryf, tylko jego żona. Niska, tęga szatynka w ciemnym szlafroku, z papierosem w dłoni. Wspięła się na palce i zerknęła za dziennikarza, w stronę jego automobilu; na szczęście nie dostrzegła siedzącego weń człowieka. Zaciągnęła się więc papierosowym dymem i na wdechu zadała fundamentalne pytanie.

– Pan do męża?

– Tak, pani Stevens. Przepraszam, że tak późno, ale coś wypadło i...

– Zaraz zawołam. – Strzepnęła popioł. – Pan się nie obraża, ale nie zaproszę do środka. Błota mi naniesie, a ja już sprzątałam – dodała przeproszającym tonem, znikając we wnętrzu. Bell uśmiechnął się lekko. Obrócił głowę i uniósł kciuk ku górze, tak by Casey mógł zauważyć. Drobnym gest, ale wymowny.

– Panie Bell, błagam pana, jest późno, a ja prawie cały dzień na cmentarzu spędziłem... Owens żyć mi nie daje, nigdy nie widziałem go tak wkurzonego. – Rozległ się zmęczony, słaby głos szeryfa. Stevens, przecierając oczy, szedł w podkoszulku i spodniach od pidżamy. Stłumił ziewnięcie, podał prawicę na powitanie.

– Panie szeryfie, przepraszam, ale sprawa jest poważna i chodzi o...

– Jak mi pan powie, że ktoś znowu zaginął, to przysięgam, Bell, nie ręcę za siebie.

– Harvey Sullivan – odpowiedział po chwili wahania dziennikarz.

– Słucham? On? – zapytał zaskoczony szeryf, w mig zapominając o zmęczeniu.

– Tak! Młoda Pearl Flynt go wynajęła, ja mu trochę tak pomagam, a teraz zniknęła. Był w pańskim biurze, pan Powell powiedział, że wyszedł i...

– Moment, chwila – przerwał mu Stevens.

– Słucham?

– Jak to wyszedł? Cole powiedział, że Sullivan zemdłał, a Powell odwiózł go do szpitala. – Zmarszczył brwi zagubiony. Bell zbladł; nie spodziewał się takich informacji. – Co pan mi tutaj sugeruje? Że moi ludzie kłamią?

– Nic nie sugeruję!

– Och, Boże. Niech pan wraca do domu. Zadzwoń do Susquehanna General i, panie Bell, lepiej dla pana, by Sullivan tam leżał – oznajmił powoli. Nie groził, po prostu uprzejmie poinformował o możliwych skutkach, gdyby dziennikarz kłamał. Zostawił go na progu, w deszczu, samemu znikając w głębi domu; nie zamknął jednak drzwi.

Joe znalazł się w takiej samej sytuacji jak Moses.

I jeden, i drugi mogli tylko obserwować i czekać, nie wiedząc dokładnie, co się dzieje. Czarnoskóry miał jednak tyle szczęścia, że siedział w samochodzie, nienarażony na zimny, jesienny wiatr i ulewny deszcz. Przedstawiciel prasy przestąpił z nogi na nogę, chcąc się trochę rozgrzać. Chuchnął nawet w dłoń.

– Panie szeryfie? – zapytał grzecznie Joe, gdy rozległ się głos odkładania słuchawki. Głośniejszy, niż można się było spodziewać. Chwilę później pojawił się wkurzony Stevens, paląc papierosa.

– Nic nie wiedzą.

– O Boże.

– Tak, to była moja reakcja – przyznał.

– To co się stało?

– Powell nie zawiózł Sullivana do szpitala. Zaraz jadę do biura, tylko się przebiorę, a pan, panie Bell, niech wraca do domu. Zajmę się tym. – Dziennikarz miał wrażenie, jakby został spoliczkowany. Rozważał mnóstwo opcji, nawet tę, że Powell go okłamał i wykorzystał, ale czegoś takiego się nie spodziewał. Ufał stróżom prawa, uważał ich za podstawę istnienia porządku społecznego i tak dalej.

Sama świadomość, że ktoś taki mógłby się dopuścić czegoś podobnego...

Nie czekał na szeryfa. Odwrócił się i pognął do swojego forda; Moses przyglądał mu się z zaciekawieniem, rzadko bowiem widzi się bladego jak śnieg dziennikarza. Nie pytał też, jak poszła rozmowa; może i nie miał wykształcenia, ale głupcem nie był. Potrafił wyciągać wnioski.

– Po cholere się tak spieszysz?

– Chcę pogadać z Larrym, zanim zrobi to Frank.

– I ty serio myślisz, że coś nam powie? – zakpił sobie tamten.

– Tak – odparł twardo. – Mówił, że zaraz kończy pracę, więc powinien być w domu.

– W sumie, pismaku, mamy argument w postaci pistoletu.

Szeryf Stevens wyszedł z domu i skierował się do swojego samochodu.

Rozdział 13

Sullivan opierał się o porowaty pień rosnącego i nieznacznie pochylonego dębu, dysząc ciężko. Odkąd zaczęło padać, ucieczka stała się prawdziwą męczarnią. Do tego zgubił się już całkiem i wszystko wskazywało na to, że po prostu zakończy swój żywot w tych lasach. Albo organizm sam się podda, zmęczony wyczerpaniem i zimnem, albo dopadnie go to coś.

Otarł wodę z twarzy i nie marnując więcej czasu, ruszył przed siebie.

Oddalał się od rzeki, ale nie miał innego wyjścia. Instynktownie czuł, że to właśnie tutaj, wśród drzew, będzie choć trochę bezpieczniejszy. Sam miał problem, by podczas panicznej ucieczki nie obijać się o pnie i gałęzie, a co dopiero mówić o... o tym czymś. Wzdrygnął się na samo wspomnienie.

Niebo przecięła kolejna błyskawica, rozświetlając na moment nieprzebytą czerń nocy. Las na jedną chwilę rozjarzył się upiorną bielą, uwidaczniając szponiaste gałęzie i krzywe sylwetki często nagich drzew. Sporo listowia już opadło, ściółka była wypełniona mokrymi, gnijącymi odpadkami; nieliczne, zbrązowiałe liście drżały w porywach słabego wiatru.

Każdy krok, ruch wręcz groził utratą równowagi. A na to Harvey nie mógł sobie pozwolić. Nie teraz. Sullivan zamarł, przerażony, gdy pobliskie drzewo się poruszyło. Jego umysł krzychał przeraźliwie, wyrażając niemy sprzeciw wobec rzeczywistości. Coś takiego wydawało się niemożliwe. Zmysły jednak nie kłamały.

To, co detektyw początkowo wziął za cherlawy, łysy już dąb, okazało się czymś znacznie, znacznie gorszym.

Czymś nazbyt rzeczywistym, ale także i na poły sennym majakiem. Smukła, wysoka na ponad dwa metry sylwetka była przeraźliwie chuda, z monstrualnym, poskręcany jak kora wiekowego drzewa pyskiem i gałęziastym, niby jelenim porożem wieńczącym pochylony łeb. Chwilę później, węsząc jak pies, zwróciła się w stronę mężczyzny i rozchyliła szerokie szczęki, wydając niemy wrzask.

Sullivan zrozumiał, że nie słyszał krzyku, a mimo to doskonale wiedział, jak brzmi ten nieludzki, przenikający do trzewi skrzek.

Co gorsza, Harvey widział ten bluźnierczy obraz tylko przez chwilę, przez dosłownie jedno uderzenie serca podczas mignięcia błyskawicy, ale nie mógł się go pozbyć z umysłu. Ilekroć zamykał powieki, przed sobą widział kościstą, wysoką sylwetkę przywodzącą na myśl człowieka, ale człowieka nienaturalnie wysokiego, chudego, w dodatku z porożem i pyskiem, o zaburzonych proporcjach.

– Jezu... – jęknął Sullivan, nie spodziewając się, że bestia będzie już tak blisko. Obrócił się i pognął na oślep, w gąszcz, potykając się o korzenie. Rozdarł płaszcz w kilku miejscach, ostre gałęzie drapały mu skórę, ale nie mógł zwolnić. Wiedział, że jeśli teraz się zatrzyma, będzie po nim.

Potwór go dopadnie.

Prawdziwy potwór, realny aż do bólu. Gdy detektyw zaczął się w końcu wspinać po łagodnym wzniesieniu, w myślach i duszy dziękował, a jednocześnie przeklinał zapalniczkę. Gdyby nad brzegiem Susquehanna nie zechciał zapalić papierosa, pewnie padłby już trupem.

Pstryknął wtedy zapalniczką. Wątyły płomień oświetlił najbliższą okolicę, odbijając się słabo w spienionej wodzie rzeki i w pustych, czarnych jak najczarniejsza noc ślepiach monstrum przycupniętego kawałek dalej. Zareagował natychmiast, wypluwając papierosa i wciskając zapalniczkę do kieszeni. Pobiegł w przeciwnym kierunku, poddając się panice. Nie myślał, działał.

Nie oglądał się, tylko uciekał. Biegł co sił w nogach, aż dotarł tutaj. Ale dokąd miał uciekać teraz? Znalazł się na jakimś niewielkim wzgórzu, których przecież pełno w tej okolicy. Wyżej i tak nie wejdzie, bo deszcz zmienił teren w grząskie, lepkie błocko, na którym można się tylko ślizgać i przewracać. Tyle dobrego, że skoro on miał problem z poruszaniem się, to i jego przesładowca – jeśli tak można nazwać to coś – również doznało takich... niedogodności.

Nie wiedział, jak długo uciekał po lasach i wzniesieniach.

Teren to wznosił się, to opadał, a za jedynego towarzysza tej męczącej podróży miał szum deszczu i nieprzyjemny, zwiastujący nadchodzące zło szelest gałęzi; raz bliżej, raz dalej. Ustał dopiero, gdy Sullivan się przewrócił, upadł i objął się o kamienie, korzenie i pnie drzew, sturlał się z jednego z wzniesień do małej niecki.

Cudem nie stracił przytomności, chociaż uderzył głową o powalony pień brzozy. Leżał bez ruchu, ledwo łapiąc oddech i ciesząc się kroplami wody na twarzy, ale szybko się poderwał. Walcząc z mdłościami, biegł dalej, aż trafił na brzeg jakiejś polany, niedużej, zabłoconej jak nigdy, z masywnym pniakiem w centralnej części.

Krępujące, nieprzyjemne uczucie bycia obserwowanym zniknęło.

Detektyw zrobił pierwszy, nieśmiały krok, potem drugi. Nasłuchiwał, wyteżał wzrok, ale wszystko wskazywało na to, że faktycznie jest sam. Cokolwiek go ścigało, czymkolwiek było to cholerstwo rodem z koszmarnego snu, zniknęło. Odeszło. Zaryzykował nawet sięgnięcie po zapalniczkę, bo mimo wszystko panowała ciemność, choć oko wykol.

Pstryknął. Wątyły, niewielki płomyk zaczął tańczyć na wietrze, sycząc, gdy trafiały weń krople deszczu. Sullivan zmrużył oczy przed bolesnym blaskiem, czekając, aż wzrok przyzwyczai się do nowego źródła światła.

Dopiero potem zaczął się rozglądać po polanie. Masywny, potężny pień był ciemny, czarny wręcz od wody, a ziemia wyglądała jak najzwyklejsze lepkie, gęste błoto. Kucnął, sprawdzając, co naprawdę pokrywa ten teren, i z zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że to coś w rodzaju popiołu, ciemnego i sypkiego. Teraz oczywiście klejącego się przez deszcz. Zafrasowany wytarł dłoń o mokre i brudne spodnie.

Przeszedł dalej, oddalając się od ściany drzew. Duży pień wyglądał podejrzanie. Obszerniejszy niż wszystkie inne w okolicy, do tego niski, równy, ale... Harvey zamarł, dostrzegając szczegóły, które wcześniej mu umknęły. Podeszedł bliżej, przerażony. Kucnął, nie bacząc już na to, że brudzi sobie płaszcz i spodnie.

Pień nie szerniał od wody.

To zasługa krwi. Posoki, która wsiąkała i wyschła, zostawiając rdzawe – teraz ciemne – ślady. Detektyw cofnął się, czując jak serce podchodzi mu do gardła. Zapalniczka wypadła mu z dłoni, zgasła z sykiem, upadając w błoto. Walcząc z paniką, rzucił się na kolana, rozpaczliwie jej poszukując. Brak światła wywołał u niego lęk, jakiego się nie spodziewał.

Odetchnął z ulgą, czując pod palcami metal swojej zapalniczki. Próbując opanować rosnące napięcie i stres, ruszył w stronę ściany drzew po przeciwnej stronie polany, wolną dłonią chroniąc płomyk przed deszczem i wiatrem. Większość z sosen i świerków była łysa,

wyschnięta na wiór, martwa niby toczona jakąś plagą. Z dębów i brzoź pełnych nagich gałęzi płatami odchodziła kora. Żywica wypływająca z pni wydawała się nienaturalnie rzadka i ciemna.

Ponadto niektóre z gałęzi ozdobiono dziwacznymi figurkami z patyczków, sznurków. Ich kształt, choć na pozór zwyczajny, geometryczny, miał w sobie coś obcego, niezrozumiałego. Niepokojącego. Sposób, w jaki kołysały się na wietrze, także nie nastrajał optymistycznie.

– Co, do diabła... – szepnął Harvey, wyciągając dłoni ku jednej z figurek. Wahał się tylko moment, po czym szybko zdjął konstrukcję z patyczków. W tej samej chwili zerwał się potężny wiatr, niosąc za sobą falę deszczu niemal zwalającą z nóg. Sullivan nie czekał dłużej. Schował zapalniczkę i figurkę, i wszedł w leśny gąszcz, idąc na spotkanie ze śmiercią... lub ocaleniem.

Przyspieszył. Biegł tak, jakby sam diabeł go ścigał – szybko też zdał sobie sprawę, że to, co uważał za trywialne powiedzenie, stało się ponurą i bolesną prawdą. Walcząc z deszczem i wiatrem, z gałęziami orającymi twarz i ubranie, z korzeniami i kamieniami pod nogami, uciekał, by dotrzeć do cywilizacji.

Do Pine Hills.

A przynajmniej taki miał zamiar, kiedy jednak znów zagłębił się w las i ciemność przybrała na sile, zwątpił, czy dotrze do upragnionego celu. Widok polany, monstrialnego pniaka i rozwieszonych na gałęziach geometrycznych figurek napawał go lękiem wcale nie mniejszym niż niedawne spotkanie monstium.

Zwolnił kroku, aż w końcu zatrzymał się, łapiąc oddech. Nerwowo rozejrzał się dokoła, wypatrując oznak czyjejs obecności, nim ponowił szaleńczy marsz w obranym wcześniej kierunku. Prędzej czy później dokąds dojdzie. Nie mógł zostać na miejscu, musiał iść dalej.

Z racji tego, że nie miał przy sobie broni, wykonał znak krzyża. Wiara czasem jest równie skuteczna jak colt, a skoro pistolet został hen, daleko... nie miał wielkiego wyboru. Z cichymi słowami Modlitwy Pańskiej na ustach kontynuował szaleńczą ucieczkę przed czymś, czego nie potrafił zrozumieć, wytłumaczyć.

Poczuł bolesne klucie w boku, tak charakterystyczne dla każdego, kto nie przywykł do długiego wysiłku. Starał się ignorować ból, wiedząc doskonale, że alternatywą może być cierpienie nieporównywalnie większe.

Zaklął, potykając się o korzeń i ślizgając na mokrej ściółce.

Bell dodał gazu. Silnik ryknął mocniej, gdy ford mknął pustą, deszczową ulicą na północ miasta. Improwizował, miał tylko ogólny zarys planu działania: jeśli Powell wrócił do domu, to zapyta, gdzie jest Harvey. Jeśli jednak sam padł ofiarą porywacza, który najpewniej dręczy Pine Hills od dłuższego czasu, albo uciekł lub stało się z nim coś jeszcze gorszego, to... no cóż, wtedy będą się zastanawiać, co dalej.

Ford zwolnił dopiero na skrzyżowaniu Clinton Lane i Penn Street; dom zastępcy znajdował się mniej więcej w połowie ulicy nazwanej na cześć De Witta Clintona. Już z daleka widać, że się wyróżnia na tle innych, parterowych budynków: przed werandą zawieszono flagi. Niechlujnie zaparkowany automobil, brązowy buick sprzed mniej więcej dekady, stał na podjeździe.

Z rury wydechowej wydobywały się spaliny. Drzwiczki prowadzące na tylną kanapę stały otworem, podobnie jak drzwi wejściowe do rozświetlonego domu. Nie trzeba być detektywem, by zrozumieć, co się właśnie działo.

Powell zamierzał uciec.

– Mamy chyba szczęście, sukinsyn mógł lada moment odjechać. Ale mu niespodziankę zrobimy! – odparł Moses, obracając się na kanapie. Syknął, nadwyrężając okutane w gips ramię. Drugą rękę wcisnął do kieszeni, do colta. Bell zaparkował po drugiej stronie ulicy tak, by w razie czego można szybko odjechać. Pierwszy też wysiadł.

– Pan spojrz, panie Casey! – zawołał Joe, zaglądając ostrożnie do buicka. W środku widział dwie nieduże walizki. Z jednej wystawał fragment koszuli. Na przedniej kanapie, obok miejsca kierowcy, leżała niedbale rzucona teczka i kartonowe pudełko wypełnione osobistymi drobiazgami.

– Ja pieprzę, chciał uciec – zawołał czarnoskóry pijaczyna, patrząc przez ramię dziennikarza. – Jak pieprzony tchórz!

– Chodźmy, panie Casey, póki jeszcze jest. – Bell wziął głębszy oddech, bo ryzykował nie tylko swoim, ale także życiem towarzysza. Jeśli podejrzenia okażą się prawdziwe.... Niewykluczone, że Powell przywita ich ogniem. Dziennikarz zastukał kołatką otwartych drzwi parę razy i niecierpliwie czekał na odpowiedź.

Ta, niestety, nie nadeszła.

– Przecież musi być w domu. Zobacz, pismaku, błoto jest na podłodze.

– Panie Powell? – zawołał Joe. Wszedł do środka, ostrożnie i powoli. Nie zauważył jednak nic niepokojącego, przynajmniej z początku. Ot, normalne domostwo samotnego mężczyzny, który parę miesięcy temu pochował ojca; nekrolog pisał zresztą sam Bell. Dopiero gdy dziennikarz zmienił pozycję, dostrzegł otwarte drzwi w kuchni, podobnie jak kolejne ślady ubłoconych butów.

Drzwi prowadzące na tyły posesji. Uśmiechnął się. Nie czekając na czarnoskórego, pobiegł za dom. Moses zaklął i ruszył za nim, rzucając jeszcze jedno, ostatnie spojrzenie na ulicę. W oddali lśniły reflektory automobilu, ale czy to wóz należący do szeryfa, czy do kogoś innego, nie wiedział.

Dopięli jednak swego. Wyszedszy z domu, dostrzegli zastępcę.

Lawrence Powell siedział na tyłach, na podwórzu, obok otwartej szopy na narzędzia. Nie wydawał się przejmować padającym deszczem. W jednej ręce trzymał swoją odznakę, w drugiej papierosa. Nie zauważył dwóch mężczyzn.

– Panie Powell? – zapytał Joe, stojąc w blasku światła padającego z domu. Moses odszedł na bok i przeczuwając najgorsze, wyszarpał colta z kieszeni. Korzystał z faktu, że miał ciemną skórę, padał deszcz i panował mrok. Modlił się, by zastępca szeryfa nie zobaczył broni.

– Zostaw mnie, Bell – odrzekł tamten. – Odejdź. Sam zresztą zaraz wyjeżdżam. Nie wiem, może do Maine pojadę. Wyoming też brzmi dobrze. Gdziekolwiek, byle nie tutaj, nie teraz.

– Gdzie jest Harvey? – Nie dawał za wygraną dziennikarz, robiąc krok za krokiem. Powoli przybliżył się do stróża prawa; uzbrojony czarnoskóry znajdował się obok.

– Czy to ważne? – Obrócił się. – Nie ma go tutaj. Nie będzie przeszkadzał i... wybac, Bell, ale nie zrozumiesz. Sam ledwo to rozumiem. Po prostu przyjmij do wiadomości, że są rzeczy ważne i ważniejsze, dobrze? Zapomnij o wszystkim. Tak będzie najlepiej.

– O czym ty, u diabła, mówisz?

– O czym... cholera, Joe, sam tego nie wiem.

– Co?

– Och, żebyś wiedział, ile razy zadawałem sobie to pytanie – westchnął. – Chciałem być dobrym gliną, rozumiesz? Marzyłem, by mój ojciec czuł dumę, patrząc na syna.

– Panie Powell, o czym pan...

– Zbudował ten dom z moim dziadkiem. Mieszkał tu całe życie, a ja... Ja teraz uciekam. Jak tchórz.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi, panie Powell. Chodzi o Harveya? Coś mu pan zrobił?

– O Sullivana? – odpowiedział na pytanie zaskoczony zastępca.

– Ktoś jedzie – odezwał się nagle Moses. – Cokolwiek zamierzasz, pismaku, streszczaj się – warknął, poprawiając chwyt colta. Zastępca spojrzął w kierunku czarnoskórego, uśmiechając się kątem ust. Tyle z ewentualnego zaskoczenia.

– Chwila, panie Casey.

– Nie, kurwa! – warknął tamten. – Ty, Powell, ruszaj dupę. Jedziesz z nami, dawaj gnata. – Wycelował pistoletem w zastępcę. Lawrence w pierwszym odruchu był gotów wyciągnąć swoją broń, ale już po chwili dał za wygraną. Spojrzął na trzydziestkę ósemkę, ciągle w kaburze u pasa. Moment później, przy pomocy kciuka i palca wskazującego, wyrzucił rewolwer i dalej trzymając w garści lucky strike'a, wstał.

– Uważaj, gdzie celujesz, czarnuchu – wycedził, mijając Mosesa. Joe był nieco skonsternowany, bo nie tak sobie to wszystko zaplanował, ale cóż, nie zawsze i nie wszystko idzie zgodnie z planem. Nawet z tym improwizowanym. Pospieszył więc i wyprzedzając wspomnianą dwójkę, uruchomił silnik forda.

– Panie Powell, gdzie jest Harvey?

– Poszedłem z wami, bo czarnuch we mnie celował. Nie mówiłem, że będę się spowiadał...

– Gadaj.

– Bo co, zastrzelisz mnie? Wtedy już w ogóle nic nie powiem. W sumie to chyba tak będzie lepiej. Prościej.

– Larry, na miłość boską, przestań. Znamy się od lat, daruj sobie te gadki i po prostu powiedz, o co tu chodzi.

– Nie zrozumiesz. – Rozsiadł się wygodniej na tylnej kanapie. Zamilkł, podczas gdy Joe sunął kolejnymi ulicami Pine Hills, aż w końcu skręcił w stronę wyjazdu z miasta. Na jednym ze skrzyżowań mignęły światła samochodu szeryfa. Dopiero ten widok przykuł uwagę pogrążonego w smutku zastępcy. Powell poruszył się raz, drugi.

– Spróbuj – rzucił dziennikarz, zmieniając bieg. Nie chciał przyspieszać, nie przy takiej pogodzie, nie w takich warunkach. Casey jęknął, próbując podrapać się pod gipsem.

– Och, co mi szkodzi... Słuchaj, Joe, Sullivan żyje, jest nad rzeką. Za kogo ty mnie masz, co? Dałem mu w łeb, bo zaczął za bardzo węszyć, i tyle. Jeśli jest mądry, to pewnie dalej tam siedzi i marznie, ale jeśli jest idiotą... jak wy, bo w sumie nie wiem, po co pchacie swoje nochale w te sprawy – urwał, kręcąc z niesmakiem głową. Naprawdę nie chciał skrzywdzić detektywa bardziej, niż uznał za niezbędne.

– Jak to, nad rzeką? Coś ty mu zrobił? Larry? O co tu chodzi? No mów! – zawołał wściekle Joe, gwałtownie hamując. Ostrożnie wykręcił, korzystając z pustki na drodze i dociskając pedał gazu, pojechał w przeciwnym kierunku.

W stronę rzeki.

– Śpiewaj, białasie. Ja nie żartuję. Mam kaca, ramię mnie napieprza i jestem wkurwiony, bo gdzieś mi wcięło siostrę. Gadaj! – burknął Moses, odwracając się na tył samochodu. Wycelował w zastępcę szeryfa, a ten tylko westchnął i potrząsnął głową. Po chwili po jego policzkach zaczęły płynąć łzy.

– Ona nie żyje – odparł cichym głosem Powell.

– Coś powiedział?

– Boże, nie teraz... – jęknął Joe, zbliżając się do zakrętu.

– Twoja siostra nie żyje, czarnuchu.

– Nie mów tak. Kurwa, nie mów tak, bo inaczej... bo ja... – Moses był wściekły. Głos mu się łamał, jak jeszcze nigdy i Joe widział kątem oka, jak jego ciałem zaczynają targać drgawki. Balansował na skraju wybuchu.

– Opuść broń, to wszystko... no, prawie wszystko... wyjaśnij. Obiecacie tylko, że nie będziecie się dalej w to pchać. Proszę.

– Co? Kurwa, ja ci zaraz łeb odstrzelę, ty biały skurwysynie!

– O czym ty...? – zaczął Joe, ale przerwał mu Larry.

– Tu chodzi o coś naprawdę ważnego, dobra? Sam nie rozumiem zbyt wiele: ja miałem tylko zapewnić wsparcie, być mięśniakiem, nic więcej. To ona wszystkim kieruje i to ona wszystko wie!

– Ona? Kto? Och Jezu, masz na myśli Dorothy?

– Pieprzysz bez sensu – wycedził Moses, cały czas celując w zastępcę. – Jeśli naprawdę Ruth nie żyje, to zaraz do niej dołączysz.

– Dorothy? Nie, skąd wam w ogóle... och, rozumiem – przerwał na moment, kręcąc z irytacją głową. – Jasna cholera, ja myślałem, że... A zresztą. Skręć tu, w Oak Road, a potem prosto do Susquehanna, tam go zostawiłem. Słuchajcie, coś jest w tych lasach, a ja... no, między innymi ja... my staraliśmy się to powstrzymać. Za wszelką cenę i... – urwał, biorąc głęboki oddech. Potem rzucił się do przodu i złapał za rękę Mosesa, tę samą, w której czarnoskóry trzymał colta. Doszło do szarpaniny, wulgarnej, brutalnej i nagłej.

– Chryste, Larry, co ty robisz! Przestań!

– Puszczaj, białasie! Kurwo jedna, puszczaj!

– Nie mogę. Obiecałem.

– Pierdolisz! – warknął Moses, próbując się obrócić.

– Dotrzymam słowa i zapłacę każdą cenę, byle zachować tajemnicę.

– Larry, nie!

– Cholera, nie widzieliście tego, co ja! Zrozumcie, ja to robię dla waszego dobra! Dla was! – Joe zakręcił kierownicą, patrząc z przerażeniem na szarpaninę tuż obok. Zwolnił, zjechał na pobocze. Zaparkował kawałek za miastem, przed nim rozpościerała się gęsta ciemność październikowej nocy. Strugi deszczu lśniły w blasku reflektorów. Asfalt i widniejące nań kałuże błyszczały.

Gdy zatrzymał forda, padł strzał.

Huknęło boleśnie głośno. Rozbłysk ognia z lufy kaleczył oczy, a smród spalonego prochu przyprowadził omdłości. Przez dobrych parę chwil w uszach całej trójki gwizdało, a gdy w końcu opadł dym, oczom dziennikarza ukazał się przerażający widok. Na tylnej kanapie siedział Larry, krztusząc się własną krwią. Na piersi, pod prawym obojczykiem, widniała szkarłatna

plama. Powiększała się z każdą chwilą. Z każdym jego oddechem, uderzeniem serca rozpaczliwie pompującego krew.

– Boże, Moses, coś ty zrobił!

– To nie ja! To on, to ten sukinsyn. Gdyby siedział na dupie...

– Och, zamknijcie się – wyduśił z siebie ranny. – Po prostu stulcie mordy. A najlepiej... najlepiej to... wyjedźcie z Pine Hills. Póki... póki jeszcze... macie czas. Oni są... oni są niebezpieczni.

– Larry? Lawrence? Jezu, on nie żyje?! Zabiłeś go, głupi czarnuchu! Zamordowałeś zastępcę szeryfa! W moim wozie! – Joe panikował. Raz jeszcze spojrzął na tył swojego samochodu, błądy i spocony, a potem wybiegł na deszcz. Padł na kolana i zwymiotował, nie dając sobie rady z widokiem zastrzelonego stróża prawa.

– Nie... ja... nie chciałem... – Mosesowi zaczął się łamać głos. – To twój pomysł. Ty chciałeś z nim pogadać, pismaku, i co? I gówno z tego masz! Pierdolił tylko bez sensu, że Ruth nie żyje! A jeśli mówił prawdę, to dobrze, że chuj nie żyje!

– Jak możesz tak mówić... – jęknął Joe, ciągle klęcząc.

– Mogę i będę! To jego wina!

– Zabiłeś go!

– Zasłużył! Chodź, musimy go wyrzucić. Nie chcesz chyba z trupem jeździć, co?

– Zaraz.

– Kurwa, sam go nie wyciągnę!

– Zaraz, do cholery! – rzucił wściekły Bell, ale po chwili podniósł się z klęczek. Otarł usta i, trzęsąc się ze strachu i zimna, otworzył drzwiczki. Współ z czarnoskórym mężczyzną wyciągnął zwłoki, rad, że kula utkwiała w ciele. Wzdrygnął się na tę myśl. Skarcił się, że bardziej troszczy się o wóz niż o człowieka, która znał przez większość swego życia.

Ciało porzucili w krzakach, kilkanaście metrów od jezdni, z nadzieją, że kojoty zajmą się resztą. Podobnie wyglądała sytuacja z jego samochodem; wóz został na chodzie, więc pierwszy lepszy łobuz mógł po prostu usiąść za kierownicę i odjechać. Och, jak na to liczyl!

– Co myśmy zrobili... co ty zrobiłeś... Boże, co ja powiem Heather... Frankowi...

– Gówno im powiesz.

– Ale... tak nie można.

– I? – zakpił Moses.

– I? Boże. Zabiliśmy człowieka.

– Mnie powiesz albo na krześle posadzą. Ciebie poklepią po plecach. Morda w kubeł, rozumiesz? – warknął, wyciągając z kieszeni pistolet. Colt Harveya. Rewolwer Larry'ego porzucili koło zwłok.

– Panie Casey – zaczął ostrożnie Joe, cofając się.

– Nikomu ani słowa, dobra? Chuj się na mnie rzucił. Bronilem się. To jego wina.

– Dobrze, panie Casey – rzekł przerażonym głosem.

– Zresztą mógł kłamać. Sullivan może być martwy. Może być nad rzeką. Może być gdzieś w lesie, cholera, może być nawet w tej jego pieprzonej szopie! Nie zawracajmy sobie nim dupy, rozumiesz? Chcę odnaleźć swoją siostrę i jeśli będę musiał, to zastrzelę każdego białasa w hrabstwie!

– Dobrze! Jezu, dobrze! Pomogę panu tak, jak Harvey, ale...

– Ale on może być trupem, tak?

– No tak. Proszę, niech pan we mnie nie celuje, dobrze?
– Dobra, już, spokojnie. Spieprzajmy stąd, zanim ktoś tu przylezie.
– Tu się z panem zgodzę.
– I... lepiej ty to weź. Nie sądzę, by ludzi cieszył widok czarnego pijaka ze spluwą. Zwłaszcza teraz. No, głupio zrobiłem – powiedział przeproszającym tonem. Joe spróbował się uśmiechnąć, ale nie mógł. Zastrzelili gliniarza! I to wtedy, gdy miał im coś powiedzieć! Przyjął mimo wszystko broń i włożył do schowka. Wzdrynął się nawet, dotykając zimnego metalu.

Resztę drogi spędzili w ciszy, wsłuchani w deszcz uderzający o szyby i dach samochodu; Mosesa wysadził przed domem siostry i szwagra, a kiedy zaś Bell – zestresowany i przerażony – wrócił do swojego domu, najpierw przytulił żonę. Długo, mocno, nie chciał jej wypuścić z ramion.

Bał się. Miał wyrzuty sumienia. Czuł mdłości.

Minęła godzina, potem kolejna, podczas których Joe wszystko opowiedział Heather. Od samego początku, od zaginięcia Ruth i szaleńczych poszukiwań przez Mosesa, poprzez młodą Pearl i jej wizytę u Sullivana, aż po zniknięcie Harveya.

Śmierć zastępcy pominął milczeniem, nie chcąc niepokoić żony. Cały motyw wizyty u Powella i jego porwanie oraz morderstwo zachował dla siebie. Żle się z tym czuł, że w ogóle pojechał do Lawrence'a, miał bowiem wrażenie, że to przede wszystkim jego вина. Moses tylko pociągnął za spust.

Dopiero potem, gdy położyli się do łóżka, spróbowali zasnąć. Sen przychodził niechętnie, a gdy już nadszedł, urywał się, tak jakby Morfeusz nie zamierzał wcale wysłać łaski, tylko sobie z nich pokpiwał. Miotali się w pościeli, półprzytomni, półśpiący, dręczeni wizjami nieskończonego, mrocznego nieba, przecinanego miriadami spadających gwiazd. Każdej z nich towarzyszył słaby, dobiegający z oddali płacz i huk wystrzału z broni palnej, urywający się nagle i gwałtownie z chwilą, gdy gwiazda zniknęła z pola widzenia.

Później, w tej przeklętej godzinie, gdy kończyła się noc, ale jeszcze nie nadchodził świt, Heather została wyciągnięta z krainy snów, z dłońmi zaciśniętymi na prześcieradle. Lękliwie spoglądała w stronę okna, o które bez ustanku uderzały krople deszczu, wybijając ciche staccato. Noc wydawała się taka, jak zwykle: zimna, wilgotna, ciemna i mroczna. A jednak czuła, że coś jest nie tak, coś wyrwało bowiem kobietę ze snu.

Joe burknął coś pod nosem i przekręcił się na drugi bok, wkrótce zaczął chrapać.

Nie zaznał jednak luksusu długiego snu. Blondynka uderzyła śpiącego w ramię raz, potem drugi i z cichym syknięciem zmusiła go, by wstał. Sama nie miała zamiaru opuścić łóżka.

– Chryste panie, Heather, co się stało... przecież to z rury wydechowej komuś strzeliło. Wiesz, jakie te stare fordys są.

– To nie był ford! – zachnęła się. – Coś huknęło! Naprawdę, Joe, no wstań!

– Kobieto, litości – wymruczał Joe, odrzucając grubą pościel i koc. Wzdrynął się, gdy dotarł do niego chłód październikowej nocy. Przeciągnął się i podniósł leżący na nocnej szafce zegarek; przez kilka chwil wpatrywał się w tarczę, próbując dostrzec, która jest godzina. Ziewnął potężnie i zwlókł się z łóżka, zabierając koc.

Zadrżał, gdy dotarł do niego koszmar rzeczywistości. Był współwinny morderstwa.

– Joe? – zapytała cicho Heather, gdy jej mąż stał przy oknie. Odgarnęła niesforne kosmyki z twarzy i podciągnęła pościel wyżej. Bell otarł łzy ciekące z oczu. Stał w milczeniu, patrząc na skąpaną w mroku ulicę. Nic nie wyglądało w żaden sposób podejrzanie. Domy sąsiadów

pogrążone w mroku, te bliżej i również te w oddali. Jedynie w pojedynczych miejscach można było dostrzec słaby blask żarówek.

Zwierzęta ujadły jak szalone; psy szczekały i wyły, warczały i piszczały na przemian, tak jakby naprawdę coś się stało. Joe przysłuchiwał się uważnie, ale nic nie słyszał. Nic nietypowego, w każdym razie. A potem usłyszał ten sam dźwięk, który wybudził jego żonę.

Głuche, słabe łupnięcia gdzieś blisko, na zewnątrz.

– Boże – oznajmił, czując narastające napięcie. Zanim blondynka zdołała zaprotestować, narzucił na siebie szlafrok, przykrył się kocem i sięgnął do szuflady, w której leżał colt Harveya. Przeklęta broń, śmierdząca prochem, dymem i krwią. Cuchnąca śmiercią i grzechem.

Heather chciała zaprotestować, ale widok pistoletu skutecznie ją uspokoił. Broń miała takie działanie: albo straszyla, albo uspokajała. Zależnie od tego, po której stronie lufy stałaś. Blondynka naciągnęła wyżej pościel, patrząc na męża i wsłuchując się w odległe wycie psów oraz, po chwili, kroki męża zmierzającego do drzwi wyjściowych. Nie nacieszyła się długo tym dźwiękiem.

– Joe? – szepnęła zaniepokojona nagłą ciszą. – Kochanie?

Dziennikarz czuł, jak zimny pot oblewa mu plecy. Drżał po trosze ze strachu, po trosze z chłodu jesiennej nocy. Szedł powoli, ostrożnie, z bronią w trzęsącej się prawicy. Lewą przytrzymał koc, niepewny tego, co może na niego czekać w domu. Wziął głębszy oddech, zbliżył się do drzwi i przekreślił klamkę.

Ku jego uldze, drzwi nie drgnęły.

A potem znowu coś huknęło, stuknęło. Dziennikarz odskoczył od drzwi jak oparzony i wycelował w nie z pistoletu. Ktoś znajdował się po drugiej stronie i najwyraźniej próbował dostać się do środka. Wahał się tylko moment; sięgnął po klucze, nie bacząc już na to, że koc opadł na podłogę. Zgrzytnął zamek. Skrzypnęły zawiasy, wpuszczając do środka wilgotne, lodowate wręcz powietrze i ostre, zacinający deszcz.

– O mój Boże! Heather! – krzyknął, wybiegając z domu.

Nie przejmował się deszczem i wiatrem; przejął się bowiem faktem, że na progu leżał Harvey. Brudny, błydy, mokry od wody i krwi. W pierwszym odruchu Joe był przekonany, że jego przyjaciel po prostu skonał, ale słabe ruchy klatki piersiowej oraz ledwo widoczne dreszcze temu przeczyły.

Żył. Tylko to się liczyło. Jego przyjaciel żył!

Heather pojawiła się chwilę później i zobaczywszy znajomą twarz leżącego mężczyzny, krzyknęła. Bell zdołał jakoś zapanować nad spanikowaną żoną i nadludzkiem niemal wysiłkiem wciągnął Sullivana do domu.

– Leż spokojnie – szepnęła delikatnie Heather, zmieniając okład. – Już dobrze. Jesteś bezpieczny. – Wycisnęła szmatkę nad miednicą, chwilę później zanurzyła ją w drugiej i ostrożnie przyłożyła do rozpalonego czoła Sullivana. Mężczyzna leżał w ich sypialni złożony gorączką. Ciałem targały drgawki, a wykrzywiona w grymasie bólu twarz wydawała się starsza o dobrych kilkanaście lat.

Heather nie miała pojęcia, co się stało. Joe, przerażony, chciał pędzić po szeryfa, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Coś go tknęło, by jednak tego nie robić; w końcu to

wszystko zaczęło się właśnie od biura szeryfa. Bał się też, że Stevens jakoś odkryje, że Joe brał udział w morderstwie jego zastępcy. Szpital także odpadał, bo cała sprawa zaginięcia Ruth, Patty i innych zdawała się mieć jakieś powiązania.

Zamiast tego Bell wsiadł do forda i pojechał do jedyne go człowieka, któremu mógł w miarę ufać. Do zapijaczego, byłego lekarza, Marka Nielsena. Modlił się tylko, by w miarę trzeźwego Nielsena zastał w domu.

Miał dość użerania się z jednym pijakiem, Mosesem.

– Już dobrze – szepnęła znów Heather, ściskając dłoń nieprzytomnego mężczyzny. Jej mąż przeniósł biedaka sprzed drzwi do sypialni, rozebrał do bielizny, przyniósł miski z wodą, szmatki i ręczniki, zostawił pistolet pod ręką ciężarnej, pozamykał wszystkie drzwi i okna i obiecał jak najszybciej wrócić.

Harvey drżał. Heather po kilku kolejnych minutach ponownie zmieniła okład i nie mając nic innego do roboty, sięgnęła po brudne ubranie. Chciała je uprać, wyczyścić, ale najpierw musiała opróżnić kieszenie.

Uśmiechnęła się na widok zapalniczki i papierosów, szybko jednak mina jej zrzędała.

W pustej, wewnętrznej kieszeni płaszczka znajdowały się jakieś patyczki, gałązki przewiązane Bóg jeden wie czym. Gdy ciężarna zdała sobie sprawę, czego dotknęła, z piskiem na ustach upuściła geometryczną, przestrzenną figurkę na podłogę. Kilka mniejszych drewniaków odpadło pod wpływem uderzenia, ale całość zachowała się mniej więcej w tym samym kształcie.

Kobieta kucnęła, tyleż przerażona, co zaintrygowana. Ostrożnie dotknęła tej osobliwej konstrukcji, starając się dociec, co tak naprawdę przedstawia. Bez wątplenia była to jakaś prosta sylwetka, bo Heather rozpoznawała tułów, kończyny... rogi wieńczące głowę. Czując irracjonalny niepokój, szybko się cofnęła i przykryła patyczki płaszczem Sullivana.

– Harvey... – Usiadła na brzegu łóżka, z jedną ręką na swoim brzuchu, drugą zaś ścisnęła dłoń nieprzytomnego mężczyzny.

Nielsen przyjechał kwadrans później; Bell streścił mu, co się stało, podzielił wątpliwościami dotyczącymi stróżów prawa i szpitala. Były lekarz niechętnie zgodził się z tymi słowami, a gdy ujrzał leżące, nieprzytomne ciało detektywa, westchnął ciężko.

Od razu przystąpił do pracy.

Rozdział 14

Świat wirował. Krążył z zawrotną prędkością, zataczając coraz szersze kręgi. Gdzie nie spojrzeć, Sullivan widział niskie, pochylone drzewa, łyse, nagie, z gałęziami zwisającymi niby ręce starca tuż przed upadkiem. Gdy się poruszył, z każdą chwilą czuł się rozrywany od środka. Harvey miał nieodparte wrażenie, że znowu biegnie przez las, a jego ciałem szarpią to gałęzie, to łapy tego dziwnego stwora.

Drżał toczony gorączką, jednocześnie było mu duszno i gorąco, ale także strasznie zimno. Pocił się, a pot, klejący się do ciała i lepki, tylko pogarszał sytuację. W głowie huczały mu urywki rozmów, fragmenty słów, których znaczenia nie rozumiał, aczkolwiek rozpoznawał poszczególne głosy.

Była w tym jakaś poetycka prawidłowość, że w ciągu paru dni nie jeden, a dwóch mężczyzn legło złożonych chorobą. Najpierw Moses, pobity. Teraz Harvey, wyczerpany tak fizycznie, jak i psychicznie.

Wiedział, że gdzieś obok są Heather i Joe. Słyszał głosy małżeństwa, ich rozmowy, kłótnie. W końcu, nie wiadomo po jak długim czasie, zdołał dojść do siebie – dreszcze dalej dręczyły jego ciało, a nieprzyjemny, pulsujący ból w skroniach i u podstawy czaszki nie dawał spokoju. Sullivan rozchylił jednak zaropiałe powieki i od razu tego pożałował, poczuwszy ostre światło żarówki. Z trudem uniósł nieludzko ciężką dłoń, próbując ochronić się przed blaskiem.

– Ile... – wyszeptał. – Ile czasu byłem...

– Harvey! – zakrzyknął z radości Joe. – Heather! Panie Nielsen! Ocknął się!

– Co ty...

– Leż, nie rzucaj się. Minęło trochę czasu – odparł Bell. – Byłeś nieprzytomny dłużej niż Moses.

– Dłużej... jak długo ja...

– Mamy piętnastego października.

– O Boże. – Ukrył twarz w dłoniach. Bezwrotnie stracił parę dni. Tyle czasu spędził na leżeniu bez życia, powalony gorączką. Przypuszczał, że to nie tylko czysto fizyczna choroba go pokonała, lecz coś znacznie poważniejszego. Stał się świadkiem czegoś, czego żaden człowiek nie powinien widzieć; dostrzegł obecność tego, co nie miało prawa istnieć.

Nic dziwnego, że jego ciało i umysł broniły się w jedyny możliwy sposób.

Nielsen szybko go zbadał, ale już po chwili odszedł od łóżka z bezradnie rozłożonymi rękoma. Nie mógł mu pomóc, bo w sumie to nic poważnego mu już nie dolegało. Przeziębił się, oczywiście, ale nic nie wskazywało na suchoty czy coś gorszego. Wizyta w lesie wyczerpała go, ale żył. Kontaktował.

– Harvey! – Głos pełen emocji należał do Heather. Blondynka wpadła jak burza do pokoju. Uśmiechnęła się na widok leżącego, ale przytomnego już mężczyzny. Grzecznie przycupnęła na brzegu łóżka i ujęła jego dłoń. Zdobyła się na westchnienie ulgi, tak jak przystało na przyjaciółkę. Może nie tak bliską, ale jednak.

Nie rzuciła mu się na szyję, nie wyczoławała. To uznano by za niestosowne, ba, czegoś takiego mógł oczekiwać tylko jej mąż. Ciepły uśmiech i serdeczny uścisk dłoni w zupełności wystarczały, by Sullivan zrozumiał jej intencje.

– Heather – odparł słabym głosem. – Joe, co jest? Ruth się odnalazła? Patty? Tessa?
– Przykro mi. – Padła przecząca odpowiedź. – Co pamiętasz? Wiem, że odwiedziłeś Buckfielda, a potem poszedłeś do biura szeryfa, ale...

– Powell dał mi w łeb. Wywiózł do lasu, zostawił... – Już miał mówić, że został porzucony jak śmieć, jak ochłap mięsa na łaskę dzikich zwierząt, gdy się powstrzymał. Nie chciał mówić o takich rzeczach, gdy obok siedziała Heather. Lubił tę blondynkę, nie chciał, by musiała wysłuchiwać okropieństw.

Wzmianka o zastępcy sprawiła, że na twarzy Bella pojawił się trudny do określenia grymas.

– No cóż, chyba się pan ucieszy, bo Powell zniknął – odrzekł Nielsen, sprawdzając puls na nadgarstku Sullivana. Nieznacznie przyspieszył, gdy padły te znamienne słowa.

– Jak to? Co się stało? Ktoś go porwał?

– Nie wiadomo, Harvey – wyjaśniła Heather.

– Nie wiadomo? – Nie dowierzał.

– Zniknął bez słowa – wytłumaczyła. – Nie ma samochodu, walizek, ubrań. Stevens jest wkurzony, ale wszystko wygląda w porządku. No wiesz, gdyby Larry'ego ot tak wciągnęło, to może i coś by zrobił, ale nie ma i jego wozu, i walizek, i zdjęcia z ojcem, nic. Pewnie przejął się strzelaniną przy tartaku i nie wytrzymał. Od śmierci ojca nie czuł się dobrze, wiesz.

– To nie jest teraz ważne. Zresztą później ci wyjaśnię – odrzekł Joe. – Czujesz się na siłach? Możemy pogadać o sprawie? Na czym teraz stoimy? – Zmienił temat. Uśmiechnął się do żony; ta bez słowa zrozumiała intencje męża. Nie chciał nadmiernie męczyć przyjaciela.

– Joe, zanim Powell dał mi w łeb, przejrzałem trochę dokumentów. Co najmniej siedem kobiet zniknęło w tym roku.

– O mój Boże – wyrwało się ciężarnej. Przyłożyła dłoń do ust, zszokowana i przerażona zarazem. Nielsen gwizdnął także pod wrażeniem tej liczby. Joe zmrużonymi oczami wpatrywał się w detektywa.

– Jesteś tego pewien?

– Jak amen w pacierzu.

– Cholera. Nie wychodzisz sama z domu – zwrócił się do żony ku wyraźnemu zaskoczeniu Sullivana.

– Co? Dlaczego? – wyrwało się detektywowi.

– Wczoraj ktoś mnie śledził. W czwartek też.

– Boże.

– Albo tak się jej wydaje. To mógł być ktokolwiek, może po prostu jakiś facet chciał o coś zapytać. Wszyscy wiedzą, że jesteś żoną dziennikarza. Albo chciał się upewnić, czy sobie poradzisz sama. Chodzisz przecież z brzuchem.

– No dzięki – odparła bez przekonania.

– Harvey, wiesz, solidnie oberwałeś, a potem Bóg jeden wie, jak długo łąziłeś po lesie i...

– Wiem, co widziałem.

– Ale... aż siedem?

– Tak. Mają papiery na co najmniej pół tuzina osób, do tego dochodzi jeszcze siostra Mosesa. To wszystko się jakoś łączy. Powell był w to cholerstwo zamieszany, jestem tego pewien. Ktoś ze szpitala też.

– I z „White Elk” – dodał Bell. Rozmowa toczyła się między tą dwójką. Heather i Mark milczeli, przysłuchując się jedynie. Wymieniono spostrzeżenia, sugestie i pomysły. I Joe,

i Harvey streścili, co ostatnio robili, aczkolwiek to dziennikarz wiódł tutaj prym. Sullivan leżał nieprzytomny.

Joe zdołał w jakiś sposób przekonać redaktora naczelnego, by ruszyć z cyklem reportaży na temat zaginięć oraz samobójstw spowodowanych recesją, więc mógł teraz bez przeszkód prowadzić swoje śledztwo, czerpiąc garściami z informacji uzyskanych przez innych dziennikarzy, a także Mosesa i Harveya.

Sullivan z kolei opowiedział wszystko, do czego się dokopał. Pomiął tylko wątek tego czegoś w lesie, bo sam nie wiedział, czy naprawdę widział chudą, gałęziastą sylwetkę z rogami przemykającą pomiędzy drzewami, czy może tylko mu się przywidziało. Och, chciałby, żeby to miało źródło w jego zmęczonym umyśle!

– Nie wiem, gdzie to jest, przepraszam – dodał w końcu, opisując polanę z potężnym pniakiem czarnym od krwi i deszczu.

– Gdzieś za tartakiem może? – zasugerowała Heather. – No skoro widziałeś pieniek...

– Nie, kochana, to nie był taki pieniek, jaki zostaje po wyrębie. Ten wyglądał... no, inaczej. Jak... jak specjalnie przygotowany. Duży, szeroki, płaski i niski, tak by można było tam coś albo kogoś położyć. To nie był typowy wyrąb lasu, na pewno.

– A to cholerstwo wisiało na drzewach? – zapytał Nielsen, podnosząc ostrożnie figurkę z patyczków. Na twarzy miał grymas obrzydzenia, nie wiedzieć czemu; to mimo wszystko tylko gałązki, drewnienka, powiązane szmatkami i sznurkami. Heather jęknęła. Odwróciła wzrok.

– Tak – przyznał Sullivan, poprawiając się na łóżku. – Na gałęziach wisiało tego pełno, małe i duże, złapałem pierwsze lepsze i spieprzyłem stamtąd, bo... – urwał, rumieniąc się.

– Bo?

– Harvey, jesteś wśród swoich – zachęciła go Heather.

– Panie Sullivan, pan się nie boi – dodał Nielsen.

– Coś jest w tych lasach – wyjaśnił w końcu. Harvey mówił powoli, wahając się, czy w ogóle dobrze robi, wyrzucając z siebie ból i grozę, których doświadczył w pensylwańskich lasach. Kluczył wokoło sedna, mówił o rzece i drzewach, o zimnie i deszczu, ale w końcu – nie mając już wyjścia, zaczął się spowiadać.

Joe zbladł; niemal identycznych słów użył Powell, zanim zmarł. Nie, wróć. Zanim został zamordowany.

Sullivan szczerze wszystko opowiedział. Od chwili przebudzenia nad brzegiem Susquehanna River gładko przeszedł do chwili, gdy chciał zapalić papierosa. Wtedy głos mu się załamał i gdyby nie Heather, która ścisnęła mu dłoń i uśmiechem uspokajała, pewnie by przerwał. Wziął głębszy oddech, zakaszał.

Opisał, czyje oblicze ujrzał. Kilka razy zastrzegął, że to mogła być jego wyobraźnia, dzieło zmęczonego umysłu oraz wyczerpania, ciosu w głowę, późnej pory i jesieni, że faktycznie mógł widzieć tylko gałęzie poruszane wiatrem, ale im dłużej tak mówił, tym mniej w to wierzył. Miał dobry wzrok. Nie pił. Nie sięgał po narkotyki. Czuł się tylko troszeczkę oszołomiony, ale...

Ale naprawdę coś widział. Słyszał jęklivy wrzask monstrum huczący w jego uszach – a raczej w samym umyśle, bezpośrednio w środku czaszki. A kiedy wspomniął o polanie i wiszących na drzewach patyczkach... Gdy jeden z tych geometrycznych kształtów zabrał ze sobą... Wzdrygnął się. Dreszcze, które właśnie targały jego ciałem, nie miały źródła

w chorobie, wychłodzeniu organizmu. Były czymś innym. Reakcją obronną organizmu; przastarym, pierwotnym zrywem szykującym ciało do ucieczki.

Moses Casey siedział na małżeńskim łóżku swej siostry i ostrożnie masował obolałe ramię. Opatrunki gipsowe zdjął sam, zamieniając je na zwykłe bandażę i opaski. Też pomagały, może trochę mniej, ale za to nie krępowały tak bardzo ruchów, a w połączeniu z temblakiem dawały namiastkę swobody. Nie obchodziło go, że zniknęła Teddy, szwagier i mąż najbliższej mu osoby.

Liczył się sam fakt, że Ruth wcięła i nikt, absolutnie nikt się tym nie interesował.

Nie chciał wierzyć, że nie żyje. Powell musiał kłamać. Wiedział, że jest na przegranej pozycji, chciał sprowokować czarnego. Tak rozmyślał Moses, siedząc sam w domu. Sam. Wszyscy go opuścili.

Nawet pismak i detektyw, którzy niby obiecali mu pomóc, nagle dali sobie spokój! Co prawda rozumiał zachowanie dziennikarza, w końcu nie każdego dnia bierze się udział w morderstwie, ale mimo wszystko mógł dać jakiś znak życia. Cokolwiek. Nawet: „Nie, panie Casey, nie pomogę panu” albo „Spieprzaj czarnuchu” byłoby lepsze niż milczenie.

Detektywa spał na straty. Uciekł, umarł, nie miało to znaczenia.

Czarnoskóry wstał, ze złością uderzył w ścianę raz, drugi i trzeci, aż na knykciach pojawiły się krwawe wybroczyny. Nie przejmował się tym i dalej dawał upust swej furii, by ostateczne zakląć głośno z bólu.

Dłoń ciągle go bolała po pamiętnym miażdżeniu przez białych oprawców, przy każdym mocniejszym i gwałtowniejszym ruchu eksplodowała ognistym bólem, ale teraz musiał po prostu wyrzucić z siebie całą tę agresję i bezradność.

W zamyśleniu parzył na krew, siniaki.

Potem przeniósł wzrok na ścianę, którą atakował. Oprócz wgniecenia i plam na taniej tapecie nie było nic szczególnego, ale gdy podniósł wzrok nieco wyżej, w stronę obrazka przedstawiającego zdjęcie Jezusa z krzyża, coś zauważył. Zmrużył oczy, przyglądając się malowidłu; widział je praktycznie za każdym razem, gdy wchodził do tego pokoju, ale nigdy nie poświęcał mu dość uwagi.

Teraz, gdy obrazek wisiał krzywo, zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak. Krzyż, na którym skończył Syn Boży, wyglądał inaczej. Casey nie był wierzącym praktykującym, ba, do kościoła ostatni raz zawiątał chyba na ślub siostry, ale nawet taki laik mógł dostrzec różnicę między krzyżem chrześcijańskim a tym, który widniał na obrazie.

Był skrzywiony, nienaturalnie wygięty – to, co wcześniej można wziąć za zwykłą perspektywę czy twórczą interpretację, teraz zyskało nową głębię. Moses mruknął coś pod nosem i po chwili wahania zdjął obraz ze ściany. Moment później zszokowany zrzucił go na podłogę.

Patrzył na dziurę w ścianie. Schowek był niewielki, mały, ciasny. Zerwana niedbale tapeta. Tynk i cegła zostały wykruszone i wydłubane nożem oraz dłutem. Casey patrzył i patrzył, ale nie wierzył własnym oczom – mieszkał tutaj już trochę i nigdy, ale to nigdy nie widział tej dziury. Fakt, to sypialnia jego siostry i jej męża, ale mimo wszystko to też i jego dom.

Ze zdziwieniem przyglądał się schowanym tam przedmiotom.

Podniósł garść monet i banknotów. Pobieźnie je przeliczył, uśmiechając się mimo woli; to było prawie dziewięć dolarów. Majątek, biorąc pod uwagę obecne czasy. Szybko wepchnął pieniądze do kieszeni i skupił się na pozostałych bibelotach zalegających nad małżeńskim łóżkiem. Nie przejmował się nawet tym, że wysypuje drobinę cięgieł i tynku na pościel.

– Co do... – wyrwało mu się, gdy podniósł pogniecione zdjęcie siostry i jej męża. Potem sięgnął dalej, po rewolwer, smith & wesson M1917. Poczł dziwne ukłucie w brzuchu, że cały czas miał pod ręką broń i nic o niej nie wiedział. Odchylił powoli bębenek i poczuł, jak pot perli mu się na plecach. Były tylko cztery kule. Z łękiem odłożył broń i sięgnął dalej, głębiej.

Dotknął skórzanej pochwy na nóż z wypalonymi, trudnymi do rozszyfrowania symbolami. Nie budziła jednak takiego szoku, jak dziwaczna konstrukcja z patyczków obwiązana sznurkiem i wciśnięta w najdalszy kąt.

W pierwszym odruchu miał wrażenie, że to jakaś zabawka albo coś takiego, ale gdy poczuł nieprzyjemny dreszcz na plecach, czym prędzej odłożył figurkę z gałązek na miejsce. Wiedziony instynktem wytarł dłoń o spódnie, ale nie odszedł od dziury.

Musiał istnieć jakiś powód, dla którego Teddy wydułbał tyle cegły i zamaskował wszystko obrazem – bo to musiał być Smithee. Moses nie wierzył, by coś takiego mogła zrobić jego siostra. Znał ją od urodzenia, nie należała do ludzi, którzy chowają po ścianach... no, takie patyczki. Broń, pieniądze mogła gdzieś ukryć, ale to? Nie pasowało do niej. Nie miała zresztą talentu do takiego rzeźbienia, składania, budowania.

Pieniądze oddawała do banku albo chowała, jak każdy porządny człowiek, w skarpacie pod materacem. Ale to? O bronii nie wspominał. To nie pasowało do niej, ba, coś takiego rzucalo zdecydowanie nowe i niepokojące światło na całą sprawę. Na zaginięcie – lub ewentualną śmierć, jeśli Powell nie kłamał – Ruth, jej męża, na bełkotliwe, trudne do zrozumienia słowa zastępcy szeryfa.

Na jego morderstwo.

Moses czuł coraz większy niepokój. Wszystko, co do tej pory wiedział na temat swojej rodziny, stanęło pod znakiem zapytania. Przez głowę przeleciała mu przerażająca myśl: a jeżeli nie kłamał? Jeżeli Ruth naprawdę zmarła albo została zamordowana, a szwagier zniknął, bo próbował ją ocalić?

– Nie – warknął, zły na siebie, że w ogóle tak pomyślał. – Nie, kurwa! – krzyknął, ponownie atakując ścianę. Z dziury wysypało się trochę tynku. Nie przejmował się bólem aż tak bardzo, napędzała go teraz furia; musiał jednak coś zrobić. Wybrał więc jedyną sensowną drogę wyjścia z obecnej sytuacji.

Przerzucił cały dom do góry nogami w poszukiwaniu podobnych schowków. Po trosze liczył na to, że znajdzie pieniądze – stanowiły mimo wszystko podstawę egzystencji – ale przede wszystkim miał nadzieję, że odkryje jakiś ślad, wskazówkę. Cokolwiek, co przybliży go do odnalezienia siostry. Od dnia jej zaginięcia nie posunął się nawet o krok dalej.

W końcu, gdy skończył zdzierać tapetę ze ścian w korytarzu, poddał się. Sapał zmęczony, bolało go ramię, dłonie, wszędzie panował nieopisany bałagan. Miał dość. Założył płaszcz i rzuciwszy kolejne spojrzenie w stronę sypialni, wyszedł. Musiał się napić, a skoro miał trochę grosza, to weźmie Nielsena i razem odwiedzą „The Broken Axe”.

A co? Stać go teraz!

Pierwszy szok przeżył, gdy kolejną już minutę dobijał się do drzwi Marka. Ramię zaczynało go boleć coraz bardziej, ale nie zamierzał się poddawać. Poczekał więc jeszcze trochę i gdy

nikt nie utworzył, dał sobie spokój. Miotając pod nosem przekleństwa, udał się do „The Broken Axe”, gdzie – dzięki nieoczekiwanemu zastrzykowi gotówki – mógł sobie pozwolić na coś więcej niż najtańszą wódkę.

Przy trzecim kieliszku, gdy zaczynał już odczuwać pierwsze skutki miłego szumu i ośpienia, rozejrzał się dokoła. Carrie, kelnerka, obsługiwała właśnie łysiejącego mechanika, Edwina. Przy barze siedziała jedna ze szpitalnych pielęgniarek, Veronica albo Victoria. Moses nie pamiętał dokładnie jej imienia. Znał ją, bo raz zszywała mu nogę. Tam, przy oknach, miejsce zajmował Daniel i chyba Jack albo James. Obok nich młodzi od Steinów, ale imion nie znał. Tu siedziała tłusta Aretha pochłaniająca kolejną porcję ciasta. Czarnoskóra, niegdyś piękna i szczupła, teraz otyła i brzydka. Skąd miała pieniądze, by tak się roztyć?!

Oprócz stałych bywalców zauważył dwie twarze, które dotychczas nie kojarzyły mu się z barem.

Tych dwóch czarnoskórych mężczyzn siedziało w najdalszym kącie nad kufkami piwa. Prawą rękę niższy miał w temblaku, podobnie jak Moses, a tani tweedowy płaszcz obejmował luźno ramiona. Drugi, znacznie większy i postawniejszy, poprawiał leżący na czubku łysej głowy kaszkiet, a skórzana kurtka skrzybiała mu na plecach przy każdym ruchu.

Przed nimi, oprócz kufki z jasnym piwem, stały małe talerzyki z resztkami jedzenia. Musieli siedzieć tutaj od dłuższego czasu i, na ile nie do końca już trzeźwy umysł Casey’ego mógł zrozumieć, teraz wyrażali niechęć obawę o Teddy’ego. Mówili szeptem, rzecz jasna, ale imię było na tyle charakterystyczne, że od razu skojarzył, o kogo chodzi.

To członkowie zespołu grającego w „White Elk”! Znał ich z widzenia, to wszystko, ale może pora poprawić tę znajomość. A nuż wyjdzie z tego coś wartościowego?

Moment później Moses z niekrytym zaciekawieniem przysłuchiwał się ich dyskusji – może wiedzą coś na temat szwagra? Albo Ruth? No i dlaczego jeden z nich ma usztywnioną rękę, tak jak on sam? Co prawda w jego przypadku wynikało to z zatargu ze wściekłymi białasami, jak to zwykł mawiać, ale oni?

To byli muzycy. Płuca i ręce to ich narzędzia pracy.

Po kolejnym kieliszku zaryzykował przesiadkę do ich stolika i rozpoczęcie rozmowy. Jak można się było spodziewać, powitali go niezbyt przyjemnie, ale gdy wspomniał, że sam dostał srogi łomot (i pokazał swoje opatrunki), atmosfera się nieco rozluźniła. A gdy powiedział, że Teddy to jego szwagier i sam się martwi, wszystko poszło z górki.

Najpierw dyskutowali o samym klubie, o występach, o niskich płacach i wygórowanych wymaganiach. Potem zmienili temat na zaginionych, współczując Mosesowi i przeklinając władze miasta, stanu. Nie sposób powiedzieć, czy bardziej jest im żal jego siostry, czy szwagra – Ruth mogli na oczy nie widzieć, Teddy natomiast przecież z nimi grał.

Kiedy Casey postawił im kolejkę, bo miał przecież parę docłców, rozmowy zaczęły toczyć się jak między starymi znajomymi. Mówili o dziewczynach, miłościach, podbojach. O tym, kto komu obił mordę, gdzie i jak. Wspominano czasy prohibicji, gdy grano przede wszystkim w tak zwanych speakeasach, czyli barach znanych tylko nielicznym, w których nic nie robiono sobie z ustawy.

Przy tych słowach Moses zamarł zszokowany, bo padło imię Teddy’ego, wtedy młokosa, który dopiero co przekroczył osiemnasty rok życia, a już dał się poznać jako wirtuoz.

– Nie wiedziałem – wyrzucił z siebie.

– Ano, Teddy to cwaniak, na trąbce takie cuda robił, że James Miley mógłby się od niego uczyć, a sam Armstrong pękałby z zazdrości! A kto wie, może nawet grał lepiej od niego?

– No bez przesady, do Louisa to nikt nie miał, nie ma i nie będzie miał startu. Ale Muggsy Spanier! Tutaj można dyskutować. Albo Bolden, świec Boże nad jego duszą – zachnął się drugi, ten niższy. – Fakt faktem, Teddy miał talent. Siedział nawet w Nowym Jorku! Wiedział pan o tym? Grał na przykład w „Cotton Club”!

– Nie, skąd – odrzekł Moses. – Ruth nic nie mówiła... W ogóle nie miałem pojęcia, że grał w Nowym Jorku. Dlaczego tu wrócił? Po co?

– A kto go tam wie? Zwiedził trochę kraju, no. Tak jak i my. Gdyby nie pieprzony kryzys, to pewnie byśmy trafili do Nowego Orleanu albo nie wiem, Los Angeles może. Takie czasy, rozumie pan.

– Pańska siostrzyczka dużo rzeczy o nim nie wiedziała, ha! I w sumie dobrze, bo jak raz sprowadził tę blondynę...

– Carl – upomniał kolegę muzyk. – Nie. Nie czas i miejsce. Gdyby Teddy siedział tu z nami, to co innego, ale skoro zniknął...

– Cholera by to, ale ja tak zawsze po gorzałce mam. No dobrze, przepraszam. Biorąc pod uwagę okoliczności...

– Nic się nie stało – odparł Moses, siląc się na uśmiech. – Naprawdę. – W rzeczywistości jednak stało się, dość dużo nawet. O jakiej blondynie mówili? Ruth przecież miała ciemne włosy. Czy Teddy miał kochankę? Moses poczuł, jak buzuje w nim gniew, jeśli to prawda.

Casey resztę tego spotkania spędził, robiąc dobrą minę do złej gry. Trochę plotkowali o strzelaninie, o rozpaczach Daugherty’ego, który będzie musiał sprzedać tartak, o przyszłości zespołu... Tematów mieli mnóstwo, a im więcej alkoholu w siebie wlewali, tym bardziej skakali z jednego na drugi.

Gdy w końcu Moses miał dość popijawy, pożegnał się. Nie musiał nawet silić się na jakąś wymówkę; ba, to on do nich dołączył, więc teraz po prostu skierował się do wyjścia. Zataczając się, próbował strawić to, co usłyszał. Coś wiedzieli. Coś, co dotyczyło Teddy’ego i być może jego siostry. W krótkim przebłyску trzeźwości Moses skierował się do domu pismaka, by wszystko mu wygarnąć.

Kto mógłby bowiem wyciągnąć dokładniejsze informacje z muzyków, jak nie przedstawiciel prasy?

Znał adres Bella, więc całkiem szybko i sprawnie – biorąc pod uwagę ilość wypitego alkoholu – dotarł do celu. Załomotał pięścią do drzwi, nie bacząc na to, że może obudzić ciężarną; minęło już popołudnie. Niebo znów przykryły szare, postrzępione chmury, a z lasów wypływała leniwie gęsta mgła. Nie padało jednak, a lekki, choć zimny wiatr nie doskwierał tak bardzo.

Drzwi otworzył Nielsen, o dziwo. Moses zamrugał kilka razy, pewien, że zabłądził i wrócił do kompana, więc obrócił się na pięcie i już, już miał odejść, gdy Mark go zatrzymał i siłą niemalże wciągnął do budynku. Potem, nie wiedząc czemu, rozglądał się po okolicy przez dobrą chwilę.

W końcu zatrzasnął drzwi i upewnił się, że zostały zamknięte na klucz.

– Mark, cholera, gdzieś ty był? – wybełkotał Moses, czując się zagubiony i porzucony.

– U siebie, tutaj. Mniejsza z tym, słuchaj...

– Nie! – krzyknął czarnoskóry. – To ty mnie słuchaj. Mam w dupie tego pismaka i detektywa. Gówno zrobili, sam się dowiedziałem... no dobra, przypadkiem... przypadkiem się dowiedziałem, że coś śmierdzi w tym klubie! Chcę, by pismak tam poszedł i...

– Co? Moses, nie...

– A gówno! Teddy jeździł po kraju! Miał dupę na boku! I taki schówek nad łóżkiem! A muzycy z „White Elk Club”...

– Co to za krzyki, panie Nielsen, kto... – Joe wyszedł z głębi domu, wycierając dłonie w nieduży ręcznik. – Pan Casey! – Na widok czarnoskórego zamarł, ale już po chwili na twarzy dziennikarza pojawił się szeroki, acz wymuszony uśmiech. Uderzyło weń wspomnienie wspólnie popełnionego morderstwa.

– Czego, pismaku?

– Pan jesteś pijany – jęknął Bell, czując smród alkoholu. – Boże, nie teraz. Panie Nielsen, nie da się jakoś... nie wiem, otrzeźwić go?

– W szpitalu pewnie by się dało. Kiedyś stosowano lodowate kąpiele na przykład.

– Co? – wymamrotał Casey, nie rozumiejąc, co się dzieje. Przyszedł tutaj w jednej prostej sprawie, a został praktycznie stłamszony przez dwóch mężczyzn. Co więcej, z sypialni docierały do niego ciche, stłumione odgłosy rozmowy; wiedział, że Joe ma żonę, ale nie sądził, by już urodziła i rozmawiała z maleństwem.

Mieli gościa?

Niechętnie ruszył z miejsca. Joe i Mark niby coś mówili, ale nie słuchał ich uważnie; docierały do niego poszczególne słowa, ale brzmiały tak dziwnie i nienaturalnie, że po prostu je ignorował. Kiedy jednak wszedł do sypialni i ujrzał siedzącego na łóżku bladego Sullivana, wszystko stało się jasne.

Poczuł się głupio. Coś musiało się stać, skoro wszyscy znajdowali się tu, w tym domu, a detektyw poszukujący zaginionych – tej Flynt oraz Ruth – wyglądał jak sama śmierć. Harvey uśmiechnął się słabo na widok czarnoskórego. Siedząca obok niego ciężarna także uniosła kąciki ust w pozdrowieniu.

– Dzień dobry, panie Casey – powiedziała uprzejmie.

– Muszę wszystko od nowa opowiadać? – zapytał zmęczonym głosem detektyw.

– Tak będzie najlepiej. Zwłaszcza że pan Casey ma pewne... hm, informacje na temat klubu.

– O co, u licha, chodzi? Co jest? Pismaku, co ty... – zaczął mamrotać czarnoskóry.

– Pan usiądzie, panie Casey – westchnął Harvey. – Mam nadzieję, że już pan się napił? Bo na trzeźwo, Bóg mi świadkiem, tego się nie da słuchać... – Przymknął oczy na moment, gdy tamten parsknął śmiechem. Moses spojrzął na towarzyszących ludzi i najwyraźniej zrozumiał, jak wielką gafę popełnił. Burknął coś pod nosem, co miało być najpewniej przeprosinami i zamilkł, słuchając spowiedzi słabowitego detektywa.

Chłonął jego słowa jak gąbka, na którą wylała się woda.

Rozdział 15

Słuchał wszystkiego. Od wizyty w biurze szeryfa i przejrzenia akt, poprzez haniebną atak zastępcy i wywiezienie za miasto, aż po ocknięcie się w nieznanym miejscu. Casey nie przerywał opowieści Sullivana; Heather ścisnęła dłonie męża i przyjaciela, gdy Harvey opowiadał, jak chciał zapalić papierosa i co ujrzał w nikłym blasku ognia.

Nielsen pokiwał smętnie głową, wsłuchując się w opowieść o panicznej ucieczce przez lasy, zakończonej na złowrogiej polanie, wokół której drzewa ozdobiono upiornymi figurkami. Szybko też przeszedł do kuchni, gdzie w szafce pod zlewem, zawinięta w stary ręcznik, spoczywała zdobytą przez Sullivana konstrukcja z patyczków.

Gdy Mark wrócił z zawiniątkiem, Harvey zbliżał się ku końcowi. Nielsen zdążył załapać się na streszczenie szaleńczego biegu ze wzgórza zwieńczonego upadkiem i solidnym obiciem żeber, a także długą wędrówką przez uśpione ulice Pine Hills.

– Kurwa mać – zaklął Moses, widząc patyczki i gałązki obwiązane sznurkiem.

– Trochę wulgarnie, ale zgodzę się – odrzekł zmęczonym głosem Harvey.

– Coś takiego mam w chałupie! Teddy, ten sukinsyn, chował to nad łóżkiem!

– Nie... – pisnęła z niedowierzaniem przerażona Heather.

– Może to gdzieś znalazł po prostu?

– W dupie chyba.

– Panie Casey! – zawołał Joe zniesmaczony wulgarnym językiem czarnoskórego. W głębi duszy jednak musiał mu przyznać rację. To wszystko wydawało się zbyt szalone, by uwierzyć, a jednak...

– W lesie jest tego pełno – powtórzył Harvey.

– Chore gównno – warknął czarnoskóry, kręcąc głową.

– Co teraz? – zapytał Joe, zerkając na swoją żonę. – Panie Casey, przyszedł pan tutaj w jakiejś sprawie?

– Ano, żebyście tylko słyszeli, co te grajki z „White Elk” mówiły! Teddy woził się po całych Stanach, miał w cholerę tajemnic przed własną żoną, rozumiecie? On... och, rozumiem! To pewnie on ją porwał! I te inne dziewczuchy też!

– To jest możliwe, panie Casey – zaczął Harvey. – Wiem, brzmi to jak wymysły szaleńca, ale po tym, co widziałem w lesie... Joe! Nie możemy tracić więcej czasu. Patty i Ruth... no, z żalem to mówię, ale one mogą już nie żyć.

– Nie obchodzi mnie ta twoja Patty, ale grajek chlapnął trochę za dużo i wypaplał, że Teddy jakąś blondynę sobie sprowadzał.

– Mój Boże... – szepnęła przejęta Heather, gdy zrozumiała wagę tych słów. Chwilę później pozostali zorientowali się, o co chodzi.

– Smithee miały porwać Flynt?

– A czemu by nie? Ta sprawa śmierdzi coraz mocniej. Musimy działać, a ja chyba wiem, jak... Ty i pan Casey pojedźcie, proszę, do mnie do mieszkania. Pod łóżkiem mam mały drewniany kuferek. Weźcie z niego wszystko, dobrze?

– Ale... po co? Co ty...

– Co ja? Joe, ja chcę się włamać do biura szeryfa i zabrać akta. Ty wyciągniesz z redakcji, co się da. Potem... jeśli potwierdzą się podejrzenia... ruszymy do klubu.

Słowa detektywa wisiały w powietrzu. Nikt nie brał ich serio; wszyscy mieli wrażenie, że Harvey po prostu bełkocze w gorączce. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie na jego zmęczoną, bladą twarz, by zrozumieć, że mówi absolutnie świadomie. Obiecał dotrzymać słowa, jakie dał i młodej Pearl, i pijanemu Mosesowi.

Znajdzie Patty i pomoże odszukać Ruth.

Żywe, martwe – to nie miało już wielkiego znaczenia. I tak szanse na odnalezienie tych kobiet całych i zdrowych oscylowały w granicach zera. Dziennikarz skinął więc głową, pocałował żonę na pożegnanie, wziął klucze od detektywa i razem z pijakiem wyszedł z domu. Nie cieszył się z takiego obrotu spraw – w końcu za towarzysza miał mordercę! Zwyrrodnialca! – ale nie widział innego wyjścia.

Chwilę później jechali już w stronę czynszówki, w której mieszkał Sullivan. Milczeli, nie wiedząc, czy trzymać język za zębami, czy komentować to, co zostało powiedziane. Czego byli świadkami. Czego dokonali.

Kiedy jednak wspinali się po schodach na ostatnie piętro, z góry zbiegła młoda, zropaczona dziewczyna w przydużym płaszczu. Na widok dwóch mężczyzn westchnęła z zalem i odstąpiła na bok, umożliwiając im przejście.

– Przepraszam – odezwała się po chwili, gdy zrozumiała, że Bell i Casey idą do mieszkania Sullivana. – Panowie do detektywa? Nie ma go.

– Wiem. Dał nam klucze, mamy zabrać parę rzeczy.

– O Boże, coś się stało? Pearl Flynt. Wynajęłam pana Sullivana, by znalazł moją siostrę i...

– Pearl? – powtórzył Moses, patrząc na dziewczynę spode łba. – Współczuję – odrzekł po chwili. Młoda Flyntówna spłonęła rumieńcem i cofnęła się o krok.

– Spokojnie, Harvey żyje, ma się dobrze, ciągle szuka Patty – odpowiedział krótko, acz rzeczowo Joe, nie chcąc zdradzać za dużo. – Wracaj do domu, dziewczyno. Nie powinnaś o tej porze włóczyć się po mieście.

– Nic mi nie będzie!

– Zostaw ją, pismaku, jak chce, by ktoś obił jej buźkę, to jej wybór – skomentował żartobliwie Casey, wchodząc do mieszkania detektywa. Z ciekawością rozglądał się po wnętrzu i w typowy dla siebie sposób skierował się do kuchni. Buszował chwilę po szafkach i lodówce, ale nie znalazł nic, co mogłoby mu pomóc. Zaklął pod nosem.

– Mam! – odparł Joe, wyciągając kuferek spod łóżka. Miał wielkość maszyny do pisania; w środku znajdowało się drewniane pudełko wyściełane czerwonym aksamitem, gdzie najpewniej Harvey przechowywał swojego colta i magazynek: ta przeklęta broń była u dziennikarza. Niestety.

Spędził jednak chwilę, przyglądając się medalom, również leżącym w pudełku.

Srebrna Gwiazda oraz Medal Zwycięstwa, tak samo jak dwie metalowe blaszki identyfikacyjne, jasno świadczyły o wojennej przeszłości Sullivana. Harvey jednak mało co o tym mówił; ba, Joe nie pamiętał, by kiedykolwiek wspomniał coś więcej niż to, że walczył we Francji.

Obok znajdowała się skórzana portmonetka, w której zamiast pieniędzy widniał okazały zestaw drucików i pręcików różnej długości i grubości, a także coś, co wyglądało jak małe

dłuto, łom, przyrząd zwieńczony niewielkim haczykiem. Parę książek i albumów ze zdjęciami pominął. Nie sądził, by właśnie o to chodziło Sullivanowi.

Wziął jednak dodatkowy notes oraz małą teczkę, a gdy zajrzał do środka, znalazł tam narysowany węglem obrazek autorstwa Wylde. Rysunek przedstawiał las i coś, co zmroziło mu krew w żyłach – figurki z patyczków.

– Co panowie robią? – Głos należał do Pearl stojącej na korytarzu i zaglądującej do mieszkania. Nie przekroczyła progę; została zbyt dobrze wychowana, ale ciekawość wzięła górę.

– Nie twoja sprawa. Zmykaj stąd.

– Poszła won – dodał Moses, zatraskując kolejną szafkę.

Nastolatka burknęła coś w odpowiedzi, ale ostatecznie spełniła prośby i groźby mężczyzny. Powoli, niechętnie zeszała po schodach, robiąc przystanek co kilka stopni; odwracała głowę i spoglądała w stronę mieszkania, ciekawa, co tak naprawdę robi tych dwóch.

– Głupia dziewczucha.

– Szuka siostry, tak jak pan. Proszę mi pomóc. Trochę ubrań dla Harveya weźmiemy jeszcze.

– Ale łązi sama. Jeszcze kto ją dorwie – burknął.

– Kazaliśmy jej wracać do domu, panie Casey. Nic więcej nie możemy zrobić.

– A w sumie, pismaku, to możemy – zagał nagle Moses.

– O czym pan mówi?

– No Sullivan chciał się włamać do szeryfa, nie? Po papiery i w ogóle.

– Zgadzam się, ale dalej nie rozumiem, o co panu chodzi, panie Casey.

– Chryste, niby w gazecie robi, a nie potrafi wyciągać wniosków... Sami się włamiemy. Sullivan ledwo chodzi przecież – wyjaśnił w końcu Moses wyraźnie zirytowany zachowaniem dziennikarza. Trudno stwierdzić, czy przez czarnoskórego przemawiała prawdziwa troska o detektywa, czy po prostu wypity alkohol.

Mało to bzdur ludzie wygadują, gdy trochę popiją?

– Pan jesteście pijany – stwierdził oczywistość tamten.

– A jestem! I chuj ci do tego, pismaku, skoro się nie przewracam i nie wszcynam burd. Mamy te wytrychy, mamy twój wóz, jest późno, możemy sobie chwilę poczekać, aż jakiś zastępca pójdzie kimnąć i zwiniemy, co trzeba, z archiwum Stevensa. Ty frajer jesteś, jeśli myślisz, że facet z gorączką da radę to zrobić lepiej niż pijak. A może mam przypomnieć, co już ze mną robiłeś? – zakończył z perfidnym uśmiechem. Widmo morderstwa znowu się pojawiło. Joe zbladł.

– No z takimi argumentami nie będę dyskutował... – odparł cicho Bell, zmusił się też do uśmiechu. Casey miał jednak rację; Harvey nie miał tyle siły, by samodzielnie przejść do toalety, a co dopiero mówić o próbie włamania i kradzieży.

Dziennikarz szybko sprawdził mieszkanie, czy niczego nie pominęli, potem zamknął je na klucz i niespiesznie zszedł po schodach. Na parterze, przy drzwiach pana Neumanna, dozorcy, stała Pearl. Uśmiechnęła się do przechodzących mężczyzn i gdy ci wyszli z budynku, poszła ich śladem.

Moses pogonił ją wulgarnym gestem. Potem pojechali.

Ford zatrzymał się niedaleko biura szeryfa. Joe zgasił silnik, rozsiadł się wygodnie i czekał, bo cóż innego mógł zrobić? Z kieszeni wyjął portmonetkę i kilka metalowych patyczków; nie

miął pojęcia, jak się nimi posługiwać, ale nie powinno to być takie skomplikowane.

Czarnoskóry nie zamierzał jednak nudzić się w samochodzie i już po chwili wyszedł, kierując się do najbliższego drzewa. Rzucił tylko, że „musi się odlać”. Nie chciał też siedzieć obok dziennikarza, na co ten ochoczo przystał. Nie czuł się komfortowo w towarzystwie mordercy.

Robiło się coraz ciemniej. Chmury przykrywały popielate niebo, zwiastując niechybnie nadejście kolejnej tej jesieni ulewy – Casey pospiesznie wrócił pod dach pojazdu i wytarł mokre od moczu dłonie o spodnie. Bell skrzywił się z odrazą, ale nie skomentował. Wolał milczeć, niż wdawać się w bezsensowne kłótnie z pijaczną.

Siedzieli więc w ciszy przez długie, wlekące się minuty. Potem przez kolejne kwadransy, a w końcu i godziny, czekając. Cierpliwość się jednak opłacała; nie dość, że Moses nieznacznie wytrzeźwiał, to i okolica biura szeryfa się wyludniła. A i sam szeryf wraz z zastępcami najwyraźniej skończył na dziś pracę: w budynku mógł zostać jeden, może dwóch mężczyzn.

Oni zresztą też długo nie zabawią.

Placa nie zachęcała do siedzenia po nocach i pilnowania porządku. I właśnie to zamierzali wykorzystać przestępcy, bo tymiż się właśnie stali. Moses miał już wcześniej na pierśku ze stróżami prawa; niedawno zresztą zastrzelili zastępcę szeryfa, ale Joe? On był przykładnym obywatelem... Może w dzieciństwie zdarzało mu się ukraść jakieś drobiazgi. Teraz jednak miał dokonać pierwszego poważnego przestępstwa. No, drugiego, jeśli za pierwsze uznać współudział w morderstwie.

W końcu wszystkie samochody sprzed biura odjechały.

– Panie Casey – zaczął Joe. – Na pewno chce pan tam iść?

– Weź mnie nie wkurzaj.

– Tylko pytam. – Uniósł dłonie w obronnym, przeproszającym niemalże geście i wysiadł jako pierwszy. Postawił kołnierz płaszcza, chroniąc się przed wilgotnym wiatrem. Spojrzał w niebo, na chmury, ale nie zapowiadało się na deszcz. Szeptem przedyskutowali plan; chociaż trudno to nazwać planem.

Casey pierwszy dopadł do budynku i ostrożnie spoglądał do środka przez okna. Panował tam mrok i spokój, co odczytał jako dobry znak. Machnął ręką do dziennikarza, by ten do niego dołączył. W ciągu kilku minut, wspierając się słabym blaskiem zapalniczki, metodą prób i błędów udało im się sforsować zamek w drzwiach wejściowych. Radości Mosesa nie dało się opisać; cieszył się jak dziecko, że udało mu się czegoś takiego dokonać.

Do środka wszedł jednak drugi; ciągle znajdował się pod wpływem. Wolał iść po śladach dziennikarza, niż samemu obijać się o meble. Bell natomiast, przyświecając sobie zapalniczką, zatrzymał się przy pierwszym biurku. Przez dobrą chwilę wpatrywał się w ciemną, czarną przestrzeń przed sobą.

– No? – zapytał szeptem Casey.

– Przy tamtym biurku pracował Powell.

– Chuj z nim – skwitował w obraźliwy sposób. – Mógł się nie rzucać na mnie. Idziemy dalej! – syknął głośniej, popychając nieco dziennikarza, który przyspieszył kroku. Znał rozkład biura; bywał tutaj wiele razy, ale w nocy, po ciemku wszystko wydawało się inne, obce.

Trochę trwało, nim udało się zlokalizować drogę do archiwum. Jeszcze więcej czasu zeszło im na walce z zamkiem, ten bowiem – o dziwo – wyglądał na znacznie bardziej skomplikowany niż wejściowy. Joe zaklął pod nosem raz i drugi, aż w końcu złamał jeden z drucików. Naprawienie tego błędu kosztowało go niemal kwadrans wyłożonej pracy.

Kolejne minuty wlekły się powoli, gdy wreszcie zgrzytnęły ostatnie zapadki.

Weszli do środka, zamknęli za sobą drzwi i zapalili światło – a potem zgodnie jęknęli. Szafek, regałów i leżących luzem akt było aż nadto. Przeszukanie tego wszystkiego i odnalezienie materiałów powiązanych z zaginięciem Ruth i Patty (nie wspominając o innych ciężarnych) mogło zająć im mnóstwo czasu, a takiego luksusu nie mieli.

– Szlag by to... – stwierdził słabym głosem Bell.

– Nie marudź, pismaku. Ty się na tym znasz, nie ja. Powiedz tylko, czego mam szukać, to pomogę... bo za cholerę nie będę tu siedział do rana.

– Szukamy wszystkiego, co się wiąże z zaginięciami kobiet w ciąży, panie Casey. Tylko to nas interesuje.

– Tylko? – zakpił sobie czarnoskóry, spoglądając na piętrzące się dokumenty.

– No tak – odparł tamten.

W milczeniu zabrali się do pracy. Co jakiś czas pozwalali sobie na krótką przerwę, nasłuchując, czy nikt się nie zbliża; w budynku panowała cisza, nie mieli co do tego wątpliwości, ale lepiej dmuchać na zimne.

Otwierali i zamykali kolejne papierowe teczki. Czytali pierwsze kilka słów, by upewnić się, co do treści. Raz czy dwa trafili na intrygujące dokumenty, dotyczące znanych im osób, ale nijak nie wiązało się to z tematem ich poszukiwań. Tu i tam przewijały się papiery dotyczące wypadków myśliwskich, znajdowania martwych jeleni i saren czy nawet wilków, kojotów. W jednej teczce znaleźli informację o włamaniu do domu Fostera i próbie kradzieży. W innej widniały raporty z wypadków w tartaku Daugherty'ego.

Wiedzieli przecież, że w Pine Hills i bezpośrednim sąsiedztwie zniknęło w takich czy innych warunkach przynajmniej siedem ciężarnych kobiet, więc robota szła dość sprawnie. Wystarczyło tylko kartkować dokumenty i patrzeć na parę pól dotyczących płci oraz informacji, czy dana kobieta spodziewała się dziecka.

Wkrótce przekopali się przez znakomitą większość papierów i zaczęli odczuwać piasek pod powiekami, tak charakterystyczny dla długotrwałego wgapienia się w drobne pismo. Czas płynął wolno, acz nieubłaganie, i gdy Moses zaczynał już marudzić, przeklinać i po prostu kręcić się tam i z powrotem, Joe aż krzyknął z wrażeń.

– Mam! Boże jedyny, mam!

– Co żeś znalazł, pismaku?

– Pan spojrzy, panie Casey! – Rozłożył kilka papierowych teczek i drżącą od emocji dłonią wskazywał na szereg nazwisk. – Na to musiał trafić Harvey, zanim Powell go zaatakował. Szybko, nie traćmy czasu, jedźmy do domu! – Teczek było sześć (a licząc z Ruth liczba zaginionych wzrosła do siedmiu osób, tak jak Sullivan mówił). Nie mieli jednak czasu, by dokładniej zgłębić zapisane tam informacje, więc po prostu zgarnęli te dokumenty i inne, które mogły mieć jakieś znaczenie, wcisnęli je za pazuchę i czym prędzej opuścili biuro szeryfa.

– Cieszy się pan – zauważył Moses, gdy wsiedli do forda.

– Słucham?

– No cieszysz się pan jak pies, co zwąchał sukę. Łamanie prawa ma swój urok, no nie, pismaku?

– Pozwoli pan, że nie skomentuję, panie Casey.

– A pozwolę, ale ja swoje wiem, ha! – Zaśmiał się gromko, gdy automobil ruszył w drogę. Nie jechali jednak w stronę domu i Moses od razu to zauważył, nawet mimo coraz późniejszej pory. Alkohol niemal całkowicie wywietrzał z jego organizmu: szybko połączył fakty. Joe zauważył zaniepokojone zachowanie czarnoskórego.

– Jedziemy do redakcji – wyjaśnił. – Harvey prosił, bym poszukał jeszcze czegoś w archiwach, a skoro mamy jego wytrychy... a jutro jest niedziela... dopiero w poniedziałek ktoś może się zorientować, co zrobiliśmy.

– Pan się robi przestępcą, panie Bell – zakpił ponownie Moses, z trudem panując nad śmiechem. Wesoły nastrój, tak przecież odmienny od dość ponurej atmosfery, jaka jeszcze niedawno udzielała się wszystkim, utrzymywał się aż do chwili walki z redakcyjnym zamkiem.

Joe tracił już cierpliwość, gdy w końcu rozległ się upragniony zgrzyt i cichy trzask zapadek. Drzwi do redakcji „Hills Telegraph” stały otworem – dwóch włamywaczy czym prędzej przemknęło przez budynek do archiwalnej części. Bell wiedział już, czego i jak szukać, więc tylko wskazał czarnoskóremu, prawie że trzeźwemu towarzyszowi kartony i pudła z archiwalnymi wydaniem gazety.

Sam także nie próżnował.

Casey nie czuł się pewnie, przeglądając stare numery; znacznie lepiej szło mu w biurze szeryfa – tam wszystko miało swój surowy, funkcjonalny styl i było bardzo czytelne. Tutaj przeciwnie, należało się napocić, by dotrzeć do jakichkolwiek interesujących informacji.

Co go obchodził cielak bez ogona urodzony na farmie Wallcotte’a? Albo konfiskata arsenału z wielkiej wojny w przydrożnym motelu między Pine Hills a Lock Haven? Jackman znalazł osieroconego jelonka i go przygarnął, cudownie. Młody Miller natknął się na czaszkę wilka i indiański toporek podczas polowania, brawo. No dobrze, artykuł o skradzionej na początku stycznia furgonetce forda odnalezionej nad brzegiem Susquehanna River przykuł jego uwagę za sprawą opisanych okropieństw (na pace leżały zakrwawione narzędzia typu siekiera, młotek, obcęgi, a maska automobilu rozwalona jak po kraksie), ale to wszystko. Reszta nie przedstawiała żadnej wartości.

Ze złością cisnął precz gazetą.

– Tu nic nie ma! Same pierdoły!

– Właśnie o takie pierdoły chodzi!

– To sam sobie szukaj! Ja mam dość czytania o głupich białasach – burknął, podnosząc rzuconą wcześniej gazetę. Przekartkował ją bez przekonania, wzdychając ciężko.

– Masz, sprawdź lepiej ten numer. – Joe podał złożony na pół tygodnik. Moses niechętnie go przyjął i, podobnie jak wcześniej, przekartkował. Leniwie, bardziej z obowiązku niż ze zwykłej przyzwoitości.

– Ej, pismaku, jakaś Carlson dała ogłoszenie, że szuka przyszłych matek do pogawędek czy czegoś takiego.

– Co? Pokaż!

– No spójrz sam. O coś takiego chodzi? W sumie to jakieś pieprzenie bez sensu, bo kogo by interesowało, o czym tam baby sobie plotkują...

– Może się przydać. Lepiej to weźmy – odparł po chwili Bell, odkładając gazetę na bok. W ciągu kolejnych kilkadziesiąt minut podobnie postąpili z kilkoma kolejnymi wydaniem, a gdy dotarli do początku roku, dali sobie spokój. Przejrzeli pobieżnie materiały z dziesięciu miesięcy, wybierając to, co być może naprawdę ma jakąś wartość. Resztę odrzucili.

Do domu wrócili późną nocą, co niezbyt spodobało się Heather.

Ta drobna, niepozorna blondynka wydarła się na męża, że niepotrzebnie „naraża niewinnego Murzyna” i „ma gdzieś własną żonę” oraz „przyjaciela w potrzebie”. Gdyby nie słowa Sullivana, że sam go o to prosił, oraz zawstydzone spojrzenia Nielsena, pewnie nie skończyłoby się na ostrych słowach i w ruch poszedłby wałek do ciasta albo coś gorszego.

Znaczną część nocy spędzili więc na przeglądaniu wykradzionych dokumentów, archiwalnych gazet oraz tworzeniu własnych notatek. Wszyscy – i to naprawdę wszyscy, czyli Harvey, Heather, Joe, Mark i Moses – zajęli wygodne dla siebie pozycje, czy to w sypialni, czy w maleńkim salonie, i zagłębili się w lekturę.

Najpierw porównywali treści.

Oficjalne zeznania świadków, rodziny, zapiski detektywa, dziennikarza, chwilę dyskutowali nad słowami chórzystek. Dyskutowali, kim były zaginione: Patty Flynt, Ruth Smithee z domu Casey, Therese Buckfield i pozostałe. Sullivan przestrzegł też każdego, by na siebie uważali i zwracali uwagę na wszystko, co choćby odrobinę odbiega od normy.

Coś było w końcu nie tak. Za dużo przypadków, za dużo zbiegów okoliczności, za dużo osób powiązanych w taki czy inny sposób. Choćby sam fakt, że jeden z zastępców szeryfa zaatakował detektywa!

Harvey, Joe i Moses, jako najbardziej zaangażowani w sprawę, skupili się na dokładnym zapoznaniu z treścią policyjnych akt (Bell dodatkowo kopiował co ciekawsze fragmenty do swojej pracy). Heather i Mark mieli za zadanie przejrzeć gazety i sporządzić zwięzły skrót wszystkiego, co tam się znajdowało i co mogłoby pomóc w odnalezieniu Ruth oraz Patty.

W teorii brzmiało to miło, łatwo i przyjemnie. W praktyce jednakże...

– To nie ma sensu! – zawołał Moses, odrzucając papierową teczkę. – Co mnie obchodzi, że jakaś baba wysyłała listy? Albo że podejrzany za nadmierny odstrzał dziczyzny to Arthur Murphy? Ja go nawet nie znam! – Stronice rozsypały się na podłodze. Po chwili, czując na sobie spojrzenia pozostałych mężczyzn, burknął pod nosem przekleństwo i podniósł dokumenty. Przez chwilę spoglądał na czarno-białe zdjęcie młodej kobiety, dziewczyny właściwie, uśmiechającej się uroczo do obiektywu aparatu fotograficznego.

– Nic nie ma sensu, panie Casey – podsumował cicho Harvey, odkładając jedną teczkę i sięgając po drugą. – Ale być może właśnie o to chodzi... Co z tymi listami? Jest tam coś ważnego?

– Luizjana jest ważna? Bo tu pisze, że jakaś Carlson wysyłała i odbierała listy w maju, czerwcu.

– Coś mi mówi to nazwisko.

– Przewija się w papierach... – burknął Harvey.

– Ej, to ona ogłoszenie dała do gazety!

– Hm, maj, czerwiec... Joe, pamiętasz kiedy zaginęła Tessa?

– W lipcu. Zaraz, gdzieś miałem zapisane dokładnie.

– Panie Casey, a Ruth?

– Nigdy nie zapomnę. Dziewiątego, w niedzielę.

– Mam! Wtorek, dwunastego lipca.

– Różne dni, różne miesiące...

– Jedna babka na miesiąc – wtrącił Moses.

– Właśnie. W sumie to pański wybuch, panie Casey, pomógł nam. Patty zniknęła w piątek, dziewiątego września. Tutaj mam Peggy Waynes... z czternastego maja, to była sobota.

– Bonnie Rutheford, jedenastego sierpnia. Czwartek.

– Panowie, moment, chwila. – Bell uniósł ręce, prosząc o chwilę spokoju, bo wszystko zaczynało wymykać się spod kontroli. – Uporządkujmy je chronologicznie, bo tak to nic nie osiągniemy. W sensie, według daty zaginięcia – podsunął, na co tamci ochoczo przystali.

W ciągu parunastu kolejnych minut wszystko było już odpowiednio opisane, a obok miesięcy i dni widniały same nazwiska. Czarnoskóry patrzył chwilę na świeże notatki pustym wzrokiem, nie wiedząc, co o tym myśleć. Nic konkretnego mu to nie mówiło. Lista jak lista. Detektyw, ciągle niedomagający po przygodzie w lesie, spoglądał zmrużonymi oczami, czując, jak serce bije coraz szybciej.

– Hm. Joyce Allen z kwietnia, Peggy Waynes z maja, Shirley Carlson, czerwiec. Tessa Buckfield, lipiec. Bonnie Rutheford, sierpień. Patty Flynt wrzesień i Ruth październik – odczytał zmęczony Sullivan i przyłożył dłoń do czoła, zamysłony.

– Każda w ciąży – dodał Moses. – Każda z nich czekała na bachora.

– Prawda, ale nie każda ciężarna zaginęła – uściślił Joe, sięgając po szpitalne notatki. Zerknął na jedną i drugą listę. – Doktor Hush pomógł mi przetrząsnąć tamtejsze dokumenty, a Stan podpowiedział nazwiska.

– I dobrze zrobili – żachnął się czarnoskóry. – W życiu bym się nie zgodził babrać w szpitalnych papierach!

– Mają tam porządek, panie Casey. Muszą mieć. W tym roku w ciąży są: Therese Buckfield, Judith Chapparo, Linda Harker, Corinne Ross, Ginger Sinclair, Ruth Smithee, Patricia Flynt, Cornelia Roberts, Bonnie Rutheford, Shirley Carlson i Winona Simmons. No i moja Heather. Tylko niektóre z nich zniknęły.

– Tu jest napisane, że były pod opieką doktora Younga i pielęgniarek. Culbertson, Lubbock, Darrow.

– Znam Lubbock, raszpla jedna, a z Culbertson byłem na randce zanim poznałem Heather. Darrow też kojarzę. Chwilę z nią rozmawiałem nawet. Nie wydaje mi się podejrzana, chociaż trochę szorstka. Chamska, o!

– Powell też taki był – przyznał gorzko Harvey.

– Z drugiej strony... Hush mówił, że została niedawno zatrudniona.

– A co z... moment, gdzie to ja... o, jest. Dora. Dorothy. Patty wspominała o niej w pamiętniku. Kojarzycie imię? Albo znacie nazwisko? – zapytał Sullivan, patrząc na zebranych wokół, chociaż znał już odpowiedź. Wszyscy zaprzeczyli zgodnym ruchem głów, ale Moses i Joe wymienili znaczące spojrzenia.

Pamiętali, jak zareagował Powell na to imię.

Prędzej czy później będą musieli powiedzieć o tym, co zrobili. Przyznać się do morderstwa i ponieść jego konsekwencje – Casey pewnie zostanie stracony, jak sam prorokował, Joe może trafić za kratki. Ale teraz nie miało to znaczenia, więc znów pogrążyli się w lekturze akt, notatek. Czas płynął.

– Niektóre z nich wydawały się też powiązane z „White Elk” w taki czy inny sposób – odezwał się nagle Sullivan.

– Niektóre? – zapytał Joe.

– Albo... wszystkie? – odparł po chwili wahania Harvey, gorączkowo kartkując dokumenty. Przelatywał wzrokiem po aktach, wyszukując charakterystyczne słowa. Widząc coraz więcej szczegółów wskazujących na klub, czuł rosnące napięcie. Czyżby w końcu udało mu się trafić na jakiś właściwy trop?

– No wszystkie – odrzekł nagle Casey. – Albo tam bywały, albo kogoś znały, albo pracowały, albo cholera wie co.

– Flynt przestrzegała swoje koleżanki i kolegów przed klubem – stwierdził Harvey, wczytując się w swoje własne notatki. – A ten rysunek zrobiła dla niej jedna z koleżanek. Wszystko, co tu widzicie, powstało wedle słów Patty. Czy tylko ja widzę w tych znaczkach te figurki?

– Wolę nie odpowiadać, Harvey.

– Jest jeszcze coś... – zaczął nieśmiało Moses.

– To znaczy?

– Powell... no... – kontynuował, patrząc w stronę drzwi. Mark i Heather rozmawiali w salonie.

– Boże, panie Casey, nie teraz – jęknął Joe.

– Ja i pismak tak jakby... pogadaliśmy sobie z Powellem, jak żeś łąził po lesie. Mówił coś, że jest jakaś baba, której coś obiecał, która czymś kieruje, coś takiego, chciał się przyznać, o kogo chodzi, bo i tak miał wyjechać.

– I jest nią ta Dorothy? – Sullivan od razu skojarzył i zaczął szukać w notatkach tego imienia oraz wszystkiego, co się z nim wiąże.

– No właśnie nie, zapierał się, że to nie ona.

– To o co panu chodzi, panie Casey? – dopytywał się Harvey.

– Powell przyznał się, że Ruth nie żyje.

– Co?

– Harvey, to prawda.

– Skąd o tym wiecie? Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówicie, cholera? Musimy iść do Stevensa! Musi powiadomić stanowych!

– To nie jest ważne! – rzucił Joe, zerkając nerwowo w stronę czarnoskórego. – Byliśmy u niego, jak pan Casey wspominał. Nie mogliśmy przecież siedzieć bezczynnie. – Ledwo co powiedział te słowa, a sam się zdziwił, jak łatwo przychodzi mu kłamanie. Być może przestępczy żywot nie jest wcale taki zły? Miał niewątpliwy urok, jak Moses swego czasu wspominał.

– No – zgodził się tamten. – Ważne, że chłop mówił o jakiejś kobiecie, ale nie o Dorothy.

– Szlag by to. Domyślacie się chociaż, o kogo mogło mu chodzić? – zapytał detektyw, na co i czarnoskóry, i dziennikarz tylko wzruszyli ramionami.

– Nie. Ale zareagował... no, dziwnie, gdy powiedzieliśmy o Dorothy.

– Jak nie ona, to kto?

– Boże, nie mam pojęcia.

– Przecież to jasne! – rzucił opryskliwe Casey, zadowolony, że wniósł wkład w śledztwo. – Kto został niedawno zatrudniony w szpitalu, co? Kto miał kontakt z ciężarnymi? – Chcąc zmazać złe wrażenie związane z Powellem, wyrzucał z siebie kolejne pytania, chcąc podsunąć inny temat do rozmów.

Podobnie było w przypadku Heather i Marka; ci, zajęci gazetami, mieli równie trudne – jak nie trudniejsze – zadanie. Ponowne wczytanie się w artykuły, ogłoszenia i notki prasowe zajmowało znacznie więcej czasu niż przejrzenie w miarę zwięzłych, oficjalnych akt. Nielsen starał się, jak mógł, ale jako jedyny ze wszystkich nie był aż tak zainteresowany sprawą i po prostu nie wiedział, czego tak naprawdę ma szukać.

Starał się więc wyłuskać wszelkie podejrzanе informacje, ale oprócz znanego już ogłoszenia dotyczącego spotkania ciężarnych, nic nie osiągnął. Co innego Heather; ona dostrzegła, że w ostatnich tygodniach lutego i pierwszych marca pojawiało się coraz więcej ogłoszeń z „Elk” dotyczących poszukiwania chętnych do pracy, bo zbliżało się – i tu cytata – „wielkie otwarcie”.

Szukano kucharzy, kelnerów, sprzątaczy, kierowców, oczywiście muzyków i grajków wszelkiego rodzaju... w tym piosenkarzy i piosenkarek. A Patty była chórzystką. I przestrzegła swoje znajome przed lokalem. Dlaczego? Przecież nie odwiedzała klubu, prawda? Blondynka niezwłocznie pospieszyła do męża, by podzielić się tą informacją, ale gdy tylko stanęła w progu i zobaczyła grobowe miny mężczyzn, zamarła w bezruchu.

Panowie utknęli w martwym punkcie, pogrążeni w dyskusji na temat Darrow.

– Joe, kochanie, ja i pan Nielsen... no, chyba na coś trafiliśmy – zaczęła niepewnym głosem. – Znaleźliśmy kilka ogłoszeń o poszukiwaniu pracowników do „Elk”. Pan Foster szukał każdego, kto tylko by się nadał do pracy... Spójrz. – Podsunęła mężowi własnoręczną notatkę. Zapisała ogłoszenia i daty niemające żadnego znaczenia, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Kiedy jednak Joe zerknął do swoich własnych zapisków, aż jęknął. Wskazał na pierwszą zaginioną. Potem na ładne, równe pismo żony. Zebrani natychmiast skojarzyli fakty, poczuwszy grozę całej sytuacji. Casey zaklął przerażony, gdy zrozumiał, co powiedziała właśnie blondynka. Sullivan natomiast zamknął oczy, zmęczony i wystraszony.

Jakies dwa tygodnie po otwarciu „White Elk Club” zaginęła pierwsza kobieta w ciąży.

Rozdział 16

Ta upiorna informacja okazała się zbyt dużym ciężarem. Nie mieli oczywiście ostatecznego potwierdzenia, że to ten ekskluzywny klub jest winny całego zła, ale wszystkie poszlaki czy ślady, ba, nawet i teorie wskazywały właśnie na „White Elk Club”. Jedyne, co trochę psuło tę narrację, wiązało się z Ruth i jej mężem.

Jeżeli Teddy był powiązany z klubem i złem, jakie się tam zaległo, to dlaczego zniknął? Przypadek, zbieg okoliczności czy coś więcej? Moses nie wiedział, jak to ugryźć, jak do tego podejść, co zrobić z tą informacją. Tym bardziej, że ciągle walczył w sercu ze świadomością śmierci swej siostry, więc po prostu się poddał. Pożegnał się i wraz z Nielsenem udał do domu konowała, by utopić smutki w alkoholu.

Wszyscy go rozumieli.

Harvey Sullivan, ciągle zbyt słaby, leżał pogrążony w myślach. Martwił się o Patty i jej siostrę, wiedział już bowiem, że nawet jeśli ją znajdzie, to będą to już tylko zwłoki. Liczył się oczywiście z taką możliwością od samego początku, ale im więcej czasu mijało, tym bardziej zdawał sobie sprawę, że poszukuje nie żywej dziewczyny, młodej kobiety, a po prostu trupa.

Heather i Joe z kolei, wtuleni w siebie, milczeli, nie wiedząc, jak zareagować. Padła nawet kolejna sugestia poinformowania stróżów prawa, ale Harvey – po długim namyśle – stanowczo się temu sprzeciwił. Nie chodziło nawet o to, że miał uraz do władzy po ataku Powella.

Jeżeli Lawrence miał powiązania z tą sprawą, możliwe, że pozostali zastępcy, a być może i sam szeryf Stevens, wiedzą więcej, niż są skłonni przyznać. Pennsylvania Motor Police znajdowała się w Lock Haven, miała zresztą na głowie strzelaninę koło tartaku i zaginięcie zastępcy szeryfa. Joe milczał, ale czuł, jak zimny pot spływa mu po karku. Wiedział na ten temat więcej, niż mógł wyznać. Kolejną noc spędził więc dręczony wyrzutami sumienia.

Ranek powitał ich pochmurny i mglisty, jak wiele tej jesieni – tym razem jednak Pine Hills zaatakował pierwszy tak potężny mróz. Temperatura spadła bardzo gwałtownie, termometry wskazywały ledwie kilka stopni powyżej zera. Gęstniejąca mgła sunęła nad ziemią, a srebrzysta szadź pokrywała większość powierzchni, nadając dość upiorny, nienaturalny wygląd miasteczku.

W domu Bellów zostało tylko małżeństwo i z wolna wracający do zdrowia detektyw. Joe musiał nagle jechać do pracy: jako przedstawiciel prasy nie mógł ot tak pozwolić sobie na długotrwałą nieobecność, nie w obecnych czasach. Zwłaszcza że rankiem przyjechał po niego Oscar i przepaszając, wyjaśnił, jak poważna jest sytuacja. Harvey czuł się dość nieswojo, zostając sam na sam z ciężarną żoną przyjaciela.

Miał dość siły, by iść do toalety i z powrotem, by zajrzeć do kuchni lub wyjść przed dom, ale to wszystko. Heather zresztą nie chciała go puścić do jego mieszkania – może gdyby mieszkał na parterze, ale na samą wzmiankę o wspinaczce reagowała agresją i furią znaną tylko kobietom, które spodziewają się dziecka.

Siedział więc teraz na krześle w kuchni, pochylony nad filiżanką parującej kawy. Heather krzątała się tu i tam, sprząając po skromnym, acz dostatecznie sycącym śniadaniu. Sullivan upił łyk gorzkiego płynu i znów przekartkował notatki sporządzone minionej nocy. Coś ciągle mu nie pasowało, nie wiedział jednak, co dokładnie. Rozważał nawet powtórna lekturę

skradzionych z biura szeryfa akt, ale nie czuł się aż tak dobrze, by samemu podjąć się tego zadania... ani żadnego innego, a przecież mieli sprawdzić bibliotekę, przesłuchać świadków, bliskich...

Bell miał przed sobą coś równie trudnego. Gdy przyjechał do redakcji wraz z Oscarem i chuchając w zmarznięte dłonie, wszedł do środka, zastał nieludzkie wręcz zamieszanie. Powodem nagłego chaosu okazały się ślady błota w budynku, niewątpliwie pozostawione przez czarnoskórego pijaka. Seymour, redaktor naczelny, czerwony na twarzy i plujący z wściekłości na Bogu ducha winnych dziennikarzy, miotał się z miejsca na miejsce i oczekiwał przyjazdu szeryfa.

Joe całkiem sprawnie udał, że nie ma pojęcia, o co chodzi i zaczął wypytywać, czy zginęło coś ważnego – gdy padła odpowiedź, że tylko okradziono archiwum, odetchnął z całkiem niezłe udawaną ulgą. To tylko papiery. Gazety, nieważne dokumenty!

Stres pojawił się, gdy w progu zawitał szeryf Stevens i jego zastępca, Munsey.

Bell obawiał się, że szeryf zaraz do niego podejdzie i zacznie zasypywać pytaniami. Z fragmentów rozmowy z naczelnym wywnioskował tylko tyle, że wiedzą o wydarzeniach dnia poprzedniego. O włamaniu do archiwum redakcji, o kradzieży dokumentów z biura. Natychmiast powiązano te dwa wydarzenia i przedstawiciele prasy wraz ze stróżami prawa skierowali się do gabinetu naczelnego, gdzie dyskutowali nad potencjalnymi motywami takiego zachowania.

W zamyśleniu zaczął wertować pocztę, odkładając na odpowiednie kupki poszczególne listy. Od razu pożałował, że nie zgłosił się na ochotnika do biblioteki; Harvey zasugerował jeszcze poprzedniego wieczora, by ktoś wpadł do wypożyczalni i poszukał informacji na temat tych „patyczków”, jak nazywał figurki z gałązek i sznurków znalezione nie tylko w lesie i domu państwa Smithee, ale także widniejące na rysunku wykonanym przez koleżankę Patty na podstawie jej własnych słów. Chciał iść tam sam, ale – z racji swojego stanu – nie miał siły.

Nielsena i Casey’a dręczył zbyt mocny kac, by podjęli się wykonania tak skomplikowanego zadania. Dość powiedzieć, że po świcie Moses zdołał tylko przynieść figurkę z patyczków znaną w sypialni siostry i wrócił do siebie, bełkocząc, że musi „się przespać”.

Sullivan czuł złość; ba, wściekłość nawet, że nie może nic zrobić. Już miał wstać i skierować się do wyjścia, gdy zatrzymała go Heather. Choć w ciąży, to jednak była zdrową, młodą kobietą.

Sama zdecydowała, że odwiedzi bibliotekę.

Nic nie powinno się jej stać. W niedzielny poranek, wszyscy porządni ludzie szli do kościoła albo siedzieli z rodziną. Pijacy leżeli złożeni kaczem. Cóż mogło jej grozić? Tym bardziej że biblioteka jest publiczna i każdy ma do niej wstęp za darmo, siedem dni w tygodniu (aczkolwiek w niedzielę otwarte tylko do południa).

Co prawda należało się liczyć z faktem, że czarnoskórzy musieli korzystać z wydzielonej części, gdzie zalegało tylko parę książek i starych gazet, ale to drobnostka. Heather mogła tam wejść i nikt by jej nie wygonił, a skoro jest w ciąży, to pewnie będzie mogła liczyć na pomoc.

Sullivan nie czuł się do końca przekonany, w końcu nie tak dawno sama Heather mówiła, że ktoś ją obserwował, śledził i tak dalej, ale przysła matka machnęła tylko na to ręką. „Jest dzień”, mówiła, „niedziela, nic mi nie grozi, połóż się, odpocznij” – prosiła, błagała.

A potem wyszła.

Widziała tylko kilku mężczyzn spacerujących ulicami Pine Hills, wszyscy się do niej uśmiechali, uchylali kapeluszy. No, prawie wszyscy, ale panowało zimno, więc można przymknąć oko na ten brak kultury. Heather nie miała w każdym razie wrażenia, że ktoś ją śledzi czy obserwuje.

I to ją cieszyło.

– Dzień dobry, panie Holland! – zawołała grzecznie, chyląc niedużego kapelusza. Bibliotekarz, przysadzisty jegomość w okularach, o zmierzwionych, ciemnych włosach i cieniutkim, niedawno zapuszczonym wąsie uzupełniającym bokobrody, spojrział na nią uprzejmie. Nie uściśnął wyciągniętej dłoni kobiety nie dlatego, że gardził kobietami albo coś takiego, o nie. Obie dłonie miał ciasno owinięte bandażami, tak jakby niedawno doznał uszczerbku na zdrowiu, co nie powinno dziwić. Wszyscy wiedzieli, że w bibliotece wybuchł pożar. Aż dziwne, że do tej pory biedak musiał się męczyć z oparzeniami.

– Dzień dobry, dzień dobry. Zimno dziś, prawda? – odparł zmęczonym głosem, porządkując karty biblioteczne. – Mogę w czymś pani pomóc? Przepraszam, że jest taki bałagan, ale dopiero co otworzyłem... Zamek zamarzył i się męczyłem z dobry kwadrans, pani Bell.

– Interesuje mnie... jakby to ująć... lokalne rękodzieło, panie Holland. Takie, nie wiem, jak to dobrze wytłumaczyć, przeplatanki z gałązek? Może to są jakieś religijne albo historyczne rzeczy, nie wiem za bardzo, od czego zacząć... Chciałabym się czymś zająć, gdy już urodzę, rozumie pan. Nie będę mogła opuszczać domu – tłumaczyła, wyjaśniała, w duchu przeklinając samą siebie za głupotę. Mogła przecież wziąć tę przekłętą figurkę!

Przecież to tylko bibliotekarz.

– Chyba rozumiem, o co pani chodzi – odezwał się po chwili mężczyzna. – Nie mogę jednak zagwarantować, że cokolwiek uda mi się znaleźć. Pani Bell, musi pani zrozumieć, Pine Hills to nie Pittsburgh, a tym bardziej nie Filadelfia, nie ma tutaj aż tylu książek. Jesteśmy w jedynej bibliotece w okolicy. Tędy, proszę, zaraz poszukam... Historia stanu to zbyt ogólny temat, ale może coś... o, tutaj. Tak, to będzie chyba dobry krok – mruczał pod nosem, przesuwał palcem po grzbietach kilku książek. Heather zmrużyła oczy, odczytując nic niemówiące jej tytuły; nie miała jakiegoś szczególnego wykształcenia, a historia to nie jej konik.

– Indianie? – zapytała w końcu ciężarna. – Co oni mają z tym wspólnego?

– To rdzenni mieszkańcy tych terenów, pani Bell. Delaware, Lenape, Susquehannock i inni mieszkali tutaj, zanim pojawili się pierwsi osadnicy, nie jest więc niczym dziwnym, że jakiś farmer znajdzie na polu fragment tomahawka albo dzieciak podczas zabawy w lesie trafi na grot strzały. Drwale od Daugherty'ego parę razy natrafiali w lesie na resztki totemów nawet.

– Nie miałam o tym pojęcia.

– To nasza historia mimo wszystko. Przybyliśmy tutaj z Europy, wtargnęliśmy na ich teren, zaczęliśmy się rządzić. Proszę, to jedyna książka, jaką mamy w bibliotece, ale może pomóc w sprawie tych... rękodzieł.

– Dziękuję – skwitowała krótko, odbierając gruby i sfatygowany tom w szarawej okładce. Tytuł, „Kultura i sztuka w religii i historii stanu Pensylwania” nie mówił zbyt wiele, ale już stan książki przeciwnie. Ktoś musiał z niej korzystać i to wiele razy.

Zresztą potwierdzenie tej tezy było kwestią czasu. Heather, dokonując ostatnich formalności bibliotecznych, po prostu zerknęła do papierów i zobaczyła długą listę osób wypożyczających wspomniany tom.

Nie była pewna, ale mignęło chyba tam nazwisko Flynt. Przypadek? Kolejny?

Pewnie większość z nich to byli uczniowie albo miłośnicy historii czy sztuk właśnie. Przekartkowała jeszcze „Kulturę...” i uśmiechnęła się, widząc, że są w niej ryciny. Lubiła obrazy w książkach. Sądziła, że będzie miała co czytać do porodu, ale ledwo co zdołała zapoznać się z kilkoma pierwszymi stronami, gdy do domu wrócił Joe.

I to w paskudnym nastroju.

Miał tylko chwilę wolnego, bo wraz z Oscarem musiał jechać do szeryfa złożyć zeznania. W kilku prostych słowach wyjaśnił, że wszyscy już wiedzą o włamaniach do redakcji i biura szeryfa; podejrzanych oczywiście nie ma, ale jest kwestią czasu, nim na kogoś padnie oskarżenie.

Porwał więc przygotowane przez Heather kanapki i zniknął, zostawiając żonę i przyjaciela w grobowych nastrojach. Nielsen i Casey najpewniej leczyli kaca, więc całe śledztwo spoczywało na barkach dwóch kompletnie nienadających się do tego osób: kobiety w ciąży i chorego, słabowitego mężczyzny. Sullivana zresztą dręczył kaszel, co niebezpiecznie kojarzyło się z suchotami. Tego tylko brakowało!

Cóż więc innego mogli zrobić, jak nie przysiąść nad książką?

Większość przeczytanego materiału dotyczyła niezbyt ciekawych i mało przydatnych informacji dotyczących społeczeństw, komun oraz federacji ludzi zamieszkujących tereny stanu od siedemnastego wieku aż do ostatniej dekady wieku dziewiętnastego. Indianie z plemion Lenape, Susquehannock, Petun i wielu, wielu innych, do tego Holendrzy i Anglicy, a nawet Szwedzi po prostu odcisnęli swoje piętno na tych ziemiach.

Kultura i sztuka wspomnianych nacji spotykała się, mieszała i ewoluowała, często w dość brutalny sposób, aż w końcu powstała swoista mieszanka niespotykana nigdzie indziej w Stanach czy nawet na świecie.

Większość książki napisano w takim tonie. Skupiała się nie na tym, co naprawdę interesowało detektywa. Mimo to Harvey czuł – instynktownie wiedział – że jest tu coś, co mu pomoże rozwiązać sprawę zaginionej Patty. A te paskudne figurki z drewna, którą znalazł w lesie Harvey i którą przyniósł Moses, były jakoś z tym powiązane. Nie jest więc wykluczone, że to, co znaleźli w lesie i w domu państwa Smithee, było po prostu powiązane ze stanem, z jego historią. Ze zniknięciem Ruth, Patty i innych.

Same drewnianki spoczywały oczywiście bezpiecznie schowane. Było coś w tych patyczkach, gałązkach, co wywoływało ciarki na plecach i nieprzyjemne uczucie czyjejś obecności, nawet jeśli to wszystko brzmiało absurdalnie. Nikt nie chciał na nie patrzeć, dlatego gdy podczas kartkowania „Kultury...” Heather trafiła na rycinę czegoś podobnego, aż pisnęła.

Wcześniej wspomniała o podejrzaniach, że jedna Flyntówna była w bibliotece i wypożyczyła tę właśnie książkę, ale Harvey nie przykładął do tego wielkiej wagi. Bez imienia ta informacja była nic niewarta – gdyby to zrobiła Patty, to owszem, można by uznać to za ważny ślad, ale Pearl?

Przysunął książkę. Przez moment wpatrywał się w czarno-biały, niewyraźny obrazek przedstawiający przestrzenny trójkąt z gałęzi obudowany wokół humanoidalnej figurki. Zamiast szmatek, które widział na własne oczy, były tutaj pnącza i trawy, słoma i korzenie. Parę piór nawet.

Sama natura.

– Obrzydliwe – skomentowała słabym głosem ciężarna.

– Ale całkiem sprytnie – odrzekł tamten. – Spójrz, jak wszystko połączyli. Nigdy bym na to nie wpadł, a to zrobili przecież zacofane dzikusy.

– No dobrze, oni mieli te swoje religie i w ogóle. Ale te dwie figurki? Ta, którą ty zabrałeś z lasu, i ta, którą znalazł pan Casey? Kto to zrobił? W jakim celu? Po co?

– Żebym to ja wiedział, Heather... – sapnął Sullivan, sięgając po swój notes. Do i tak już ogromnej ilości informacji dopisał, że faktycznie indiańskie plemiona konstruowały podobne figurki. Blondynka powróciła do przeglądania treści „Kultury...”.

– Tutaj jest napisane, że to jest... łapacz.

– Co?

– Łapacz – powtórzyła, czytając ponownie. – Autor, pan Percy Otis Everett, pisze: „w przeciwieństwie do klasycznych łapaczy snów, łapacze obudowane wokół konkretnej figurki swą moc czerpały z księżycy, a ich zadaniem było fizycznie chronić posiadacza tudzież teren przed daną osobą bądź zwierzęciem, których wyobrażenie widniało w postaci wspomnianego aw... awa... awatara. Częstokroć łapacze owe tworzone były z gałęzi pozyskanych z ciągle żywego, ale umierającego już drzewa, co miało wzmacniać moc i stanowić symbol przejścia między jednym a drugim planem. Pełnia księżycy oraz nów, jako dwie strony tejże samej monety, także miały wielkie znaczenie, aczkolwiek bardziej symboliczne niż fizyczne i rzeczywiste, przynajmniej w stosunku do plemion...”.

– Nie rozumiem. Pokaż – przerwał jej.

– No sam zobacz – odparła, podając książkę. Harvey wczytał się we wskazany fragment, co chwilę zerkając na ryciny. Niewiele mu to wszystko mówiło. Nie rozumiał, jak gałązki miały chronić ludzi przed innymi albo przed zwierzętami. Poczł jednak dreszcz na plecach, gdy zdał sobie sprawę, że rogate coś, przed którym uciekał, nie ośmieliło się wtargnąć na teren polany.

Wszędzie tam wisiały te drewniane konstrukcje. Łapacze.

– Ale to nie ma sensu. Przecież to brzmi tak, jakby ktoś specjalnie... och, nie.

– Harvey?

– Chyba... chyba wiem, o co chodzi – powiedział po chwili, znów zerkając do notesu. Milczał przez kilka chwil, czasem tylko mrucząc coś pod nosem. Co chwilę spoglądał do książki i notatek sporządzanych przez siebie, Joe i pozostałych. Mruknął coś pod nosem, zapisał parę słów na nowej, czystej kartce wyrwanej z notesu. Heather grzecznie czekała, trzymając dłoń na nabrzmiałym brzuchu.

– Powiesz mi w końcu? – zapytała z lekkim uśmiechem.

– Jeszcze nie – odparł cicho i podniósł się, by podejść do wiszącego na ścianie kalendarza. Uśmiechnął się, widząc, że był to kalendarz Old Farmer's, zawierający wszelkie niezbędne informacje dla ludzi mieszkających na prowincji i związanych w taki czy inny sposób z naturą. Szybko zdjął wiszącą na haczyku książeczkę i, wróciwszy do notatek, zaczął kartkować i porównywać dane.

– Harvey! – powtórzyła zirytowana.

– Tak, przepraszam. Posłuchaj, mam wrażenie, że ktoś... powiedzmy, że porywacz albo inny zwyrodnialec z „White Elk”, naczytał się tych historycznych i religijnych tekstów i teraz, chcąc zapewnić sobie spokój oraz bezpieczeństwo, porozwieszał gdzie się dało te gałązki, by go chroniły przed złem.

– No dobrze...

– Teddy, to znaczy mąż Ruth, był z tym jakoś związany. Nie chciał, by coś się stało żonie, ale nie mógł... och, jakby to powiedzieć... działać zbyt otwarcie, więc schował jedną z tych figurek w sypialni.

– To chyba ma jakiś sens – zgodziła się, ale nie wydawała się do końca przekonana. Harvey również, tym bardziej że nie powiedział jeszcze wszystkiego. Bał się wyrzucić z siebie kolejne słowa, bo teoria, którą wymyślił, była tak szalona i nieprawdopodobna, że mało kto by w nią uwierzył. Odkasznął.

– Ma. Pomyśl: „Elk” został otwarty na początku roku, prawda? A mamy ten przekłety kryzys, recesję, szorujemy po dnie właściwie. Otwarcie takiego biznesu to czyste szaleństwo, Heather. Dwie knajpy już szlag trafił w tym tylko roku, a „Elk” od dawna świeci pustkami i mimo to jakoś się trzyma. Dlaczego?

– Może... może mają zaplecze finansowe?

– Jakoś w to wątpię. Sądzę, że właściciel klubu zrobił coś złego.

– Foster – podsunęła nazwisko.

– Tak, on.

– Ale Joe go poznał! To porządny człowiek, Harvey. Weteran jak ty, dorobił się majątku i pomaga wszystkim, i w ogóle.

– Wojna zmienia ludzi – szepnął Sullivan. – Wiesz, że jestem wierzący, prawda? Wierzę w Boga, objawienia i inne tego typu rzeczy, które większość ludzi mogą śmieszyć. Jeszcze tydzień temu sam bym się śmiał z tego wszystkiego, ale jak niewierny Tomasz na własne oczy... – urwał, nie potrafiąc powiedzieć nic więcej. Nie musiał tego zresztą robić, bo Heather sama już skojarzyła. Zrozumiała, o co chodziło detektywowi.

– Myślisz, że Foster jest kimś w rodzaju czarownicy? – zapytała cicho, chcąc usłyszeć potwierdzenie. Lub zaprzeczenie.

– On albo ktoś z „White Elk Club”. Cholera, Heather, to może być nawet sam Daugherty! Albo nie wiem, Teddy!

– Ale... to brzmi...

– Wiem, jak to brzmi. Masz jednak inne wytłumaczenie? Spójrz, tutaj jest napisane, że te figurki... łapacze... biorą siłę z księżyca, cokolwiek to znaczy. Jest wzmianka o pełni, o nowiu. A teraz porównaj daty. Kiedy była pełnia, kiedy zniknęły te biedaczki.

– O mój Boże – szepnęła, pochylając się nad zapiskami. Wszystko zaczynało nabierać sensu; dziwnego, na pozór głupiego czy wręcz absurdalnego, ale jednak sensu. Blondynka spojrzała na detektywa, na jego bladą, zmęczoną twarz. Mimo tego Harvey wydawał się być bardziej niż podekscytowany, znów dał się porwać w wir pracy.

– Ostatnia pełnia była dziewiątego – odezwał się po chwili.

– Wtedy zniknęła siostra pana Casey’a!

– Patty, Bonnie, Tessa, Shirley... – detektyw wymawiał imiona zaginionych, porównując daty – ...wszystkie zniknęły w czasie pełni. A najbliższa... będzie siódmego listopada. Aż się boję to powiedzieć, ale chyba wtedy zniknie kolejna kobieta.

– Nie! Nie mów tak, Harvey!

– Wszystko na to wskazuje.

– I co, chcesz czekać kolejny miesiąc? Na co? Po co?

– Nie zamierzam czekać – powiedział cicho. – Chcę porozmawiać z rodzinami pozostałych. Allen, Rutheford... mogą coś wiedzieć. Muszą coś wiedzieć.

– No to... pomogę ci. Joe jest zajęty, a pan Nielsen i pan Casey... – urwała, oblewając się rumieńcem. Została dobrze wychowana, nie chciała powiedzieć wprost, że to alkoholicy, ludzie z marginesu. Że nie można na nich liczyć w potrzebie. Harvey uśmiechnął się słabo, widząc determinację bliskiej mu osoby.

Och, jaki z Joe szczęściarz! Nie zamierzał jednak walczyć, by przekonać Heather do pozostania w domu. To uparta kobieta, a on ciągle nie czuł się zbyt dobrze. Znajdował się na przegranej pozycji.

Ktoś zastukał do drzwi.

Moses był skacowany i zmęczony, ale niegłupi. Po ostatnich wydarzeniach doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Sięgnął więc po rewolwer Teddy'ego, sprawdził, czy w bębenku są naboje (bo coraz mniej ufał sobie pod wpływem alkoholu) i powoli ruszył w stronę drzwi. Broń wcisnął do kieszeni spodni tak, by móc w razie czego szybko sięgnąć; jednocześnie postronni obserwatorzy nie powinni zauważyć, że jest uzbrojony.

Uchylił drzwi i poczuł, jak po plecach sływa mu stróżka potu. Przed domem stał zastępca szeryfa, ten o słomianych włosach, Appleton. Na imię miał Douglas, jeśli Moses dobrze pamiętał. Casey zmusił się do uśmiechu i uchylił szerzej drzwi.

– Pan Casey? Brat Ruth Smithee, żony Theodora Smithee? – zapytał znudzonym głosem jasnowłosy mężczyzna w mundurze. Patrzył na Mosesa z czystą odrazą, trudno jednak było stwierdzić, co było powodem tej niechęci. Smród alkoholu i potu? Kolor skóry? Fakt, że niedawno Moses rzucił się z pięściami na szeryfa?

– To ja. – Skinął głową. – Znaleźliście moją siostrę?

– A zgłosił pan zaginięcie? – parsknął. – Mamy porzucony samochód. Zielony studebaker commander z dwudziestego ósmego.

– Samochód? – spytał oszołomiony, nie rozumiejąc zbytnio, o co chodzi.

– Automobil, panie Casey. Znaleźliśmy ten wóz kawałek za kościołem. Zarejestrowany na Theodora, ale, jak rozumiem, on też jest nieobecny, prawda?

– Kurwa, co się głupio pytasz!

– Nie tym tonem, czarnuchu – wycedził tamten. – Mieszkańcy się skarżą, trzeba go odholować albo odjechać, cokolwiek. Ma pan czas do wieczora, potem trzeba będzie płacić. A to nie są tanie rzeczy, panie Casey. I, przy okazji, ogarnij się człowieku, bo śmierdzisz. Żegnam – zakończył z cwany uśmieszkiem i zanim Moses zdołał cokolwiek powiedzieć, odwrócił się i odszedł do sąsiada. Zastukał do drzwi, a potem wdał się w krótką rozmowę.

Wkrótce odjechał.

Casey, stojąc przy oknie, patrzył jeszcze przez chwilę na oddalający się automobil, potem zaklął. Wściekły, ale i zrozpaczony – otrzymał przecież potwierdzenie, że coś się stało z jego siostrą! – zarzucił na grzbiet sfatygowany płaszcz i wybiegł, zmierzając prosto do domu Bellów.

Czuł, jak rewolwer obija mu się w kieszeni spodni, ale nie chciał go gdzieś chować. Czuł się pewniej z bronią u boku. Zdyszany, walczył z mdłościami i ledwo dotarł przed dom dziennikarza. Już miał zacząć się dobijać do drzwi, gdy te stanęły otworem. W progu stał blady detektyw, tłumiący kaszel. Ogolony, aczkolwiek na lewym policzku miał małą, świeżą jeszcze

ranę po brzytwie. Zza niego wychyliła się nieco skonsternowana blondynka, żona pismaka. Oboje ubrani, mieli na sobie płaszcze, kapelusze, a Heather nawet parasolkę!

– Pan Casey?

– Sullivan!

Rozdział 17

Dobrych kilkanaście minut spędzili w kuchni Bellów. Heather, jak przystało na gospodynię i przyszlą matkę, od razu zaparzyła kawę. Z szafki wyciągnęła nawet herbatniki, bo nie dała panom dojść do słowa, że Casey przyszedł tylko na chwilę, a sama miała przecież wychodzić z Sullivanem, chociaż ten był temu przeciwny.

I tak dobrze, że nie zaczęła pichcić czegoś więcej.

Czarnoskóry pijak streścił szybko wizytę jednego z zastępców. Harvey pokiwał smutno głową, przyjmując do wiadomości, że Ruth jest martwa. Słowa Powella, wypowiedziane swego czasu do Mosesa, zyskały dodatkową wagę.

Wszyscy prychali ze złością. Minęło już dość czasu, a stróże prawa nie zrobili praktycznie nic, by ruszyć ze śledztwem. Dopiero zaparkowany niedbale automobil zmusił ich do działania, a i tak wszystko rozbijało się o pieniądze.

– Wiem! – wybuchł nagle Casey. – Wiem, cholera, że ona może być... że może już nie żyć. Powell sam mi o tym powiedział i chyba nie kłamał. Chcę po prostu wiedzieć, gdzie jest. Co się z nią stało. W dupie mam Teddy'ego, dla mnie może i leżeć nad brzegiem Susquehanna.

– Niech pan tak nie mówi, panie Casey – wtrąciła się Heather.

– Nie pomogę z automobilem, nie potrafię nim kierować. Musi pan czekać na Joe, a nie wiem, kiedy wróci... Zresztą, zanim pan przyszedł, miałem iść z Heather do rodzin pozostałych zaginionych, a raczej ona chciała iść ze mną, a potem znowu miałem spróbować wyciągnąć coś z „Elk”.

– Z nią? – zapytał zdziwiony Moses. Spojrzył krytycznie na ciężarną kobietę; była niska, drobna, z wielkim brzuchem. Wydawała się być delikatna i gdyby nie charakter oraz ośli niemalże upór, Harvey by dał sobie spokój i zgodził się ze wszystkim. Milczał jednak i zdobył się tylko na lekki uśmiech.

Poszli każdy w swoją stronę.

Casey wrócił do siebie, by czekać na powrót siostry. Wiedział, że jest martwa, ale jednak gdzieś w sercu ciągle tliła się nadzieja, że może wszyscy się mylą i Ruth żyje. Cóż innego mógł zrobić? Miał kaca. Był czarnoskóry. W Pine Hills znali go jako niegodnego zaufania pijaka, który wykorzystywał dobre serce siostry i po prostu u niej mieszkał. Nikt mu nic nie powie, zresztą ostatnia próba wydobycia informacji zakończyła się pobiciem.

Biorąc pod uwagę najświeższe informacje oraz fakt, że ktoś – być może – śledził Heather, Harvey zdołał jakoś ubłagać blondynkę, by została w domu i czekała na męża. Ktoś musiał mu powiedzieć o automobilem Teddy'ego; zresztą, gdyby Joe wrócił z przesłuchania i nie zastał w domu żony, wpadłby w histerię łamane przez panikę i szal. W furię nie mniejszą od tej Mosesa. Sullivan był więc zdany na samego siebie.

Zakaszła znowu. Poluzował krawat, postawił kołnierz płaszczka, nasunął niżej fedorę, chcąc osłonić się trochę od wiatru. Skorzystał z okazji, że oprócz zimnego, jesiennego wiatru nie padał deszcz, i zerknął do notesu: wszystkie ważne informacje zostawił oczywiście u Joe i Heather, ze sobą miał tylko parę stron.

Zapisał adres rodzin Allen, Carlson i Rutherford. Daty, kiedy zaginęły Joyce, Shirley oraz Bonnie. Parę informacji o każdej dziewczynie; krótkie podsumowanie całej sprawy; to była

tylko formalność, potwierdzenie podejrzeń. Nie liczył na nic więcej. Nie teraz, nie po takim czasie, ale nie mógł też tego ot tak zostawić.

A kto wie, może się mylił i dowie się jednak czegoś nowego?

U Allenów spędził tylko kilkanaście minut. Jej rodzice okazali się być bardziej niż konserwatywni i niechętnie otwierali się przed obcym człowiekiem – a Harvey przecież był tak obcy, jak to tylko możliwe. Nie pochodził z Pine Hills, nijak nie można go powiązać z Joyce.

Dowiedział się jednak kilku rzeczy. Po pierwsze, nikt nie miał pojęcia, kim jest Patty ani inne dziewczyny. Po drugie, spodziewała się dziecka, ale ojca nikt nie znał. I wreszcie po trzecie: klub.

– Jeśli jeszcze raz wspomni pan „White Elk Club”, Bóg mi świadkiem, wyrzucę pana za drzwi – odrzekł ojciec, gdy Harvey napomknął o potencjalnym powiązaniu córki z tym miejscem.

– Nie rozumiem – odrzekł szczerze, kartkując coraz cieńszy notes, gotów zapisać wszystko, co usłyszy. Matka zaginionej westchnęła głośno i wyszła ze skromnego salonu, gdzie siedziała razem z mężczyznami.

– Joyce chciała tam pracować – wyrzucił z siebie tamten. – Jako tancerka. Kelnerka. Bezbożnica, powiem panu wprost. Gdyby nie to, że diabli ją wzięli, sam bym ją wyrzucił z domu! – Jego słowa ociekały goryczą, ale też i bólem. Kochał swoją córkę, oczywiście, był jednak wychowany w taki sposób, że nie mógł tego powiedzieć wprost.

Nie przed obcym mężczyzną.

Harvey zapisał parę kolejnych słów. Zastanawiał się przez moment, ile z tego to kwestia wychowania pana Allena, a ile prawdy – czy Joyce naprawdę chciała pracować w „Elk” jako kelnerka, czy może jako ktoś inny? Heather niby znalazła ogłoszenia, w których poszukiwano do pracy, ale...

– Powiedział pan „bezbożnica”... Proszę wybaczyć śmiałość, ale co konkretnie ma pan na myśli?

– Dziwkę. Kogoś, kto się kurwi za parę groszy. Nie dość, że z brzuchem była, to jeszcze smarkuła miała czelność szukać takiej pracy? Boże, co za wstyd – warknął, po czym zapalił papierosa. Ręce mu się trzęsły, ale Harvey nie wiedział, czy z nerwów, czy tak po ludzku, ze złości. Użyczył mu jednak swojej zapalniczki: drobny gest pozwalający zyskać trochę czasu i wyciągnąć nieco informacji. A to było najważniejsze.

– Przykro mi – powiedział cicho detektyw. Nic innego nie przychodziło mu do głowy. Sam był wierzący i gdyby, jakimś cudem, miał córkę, reagowałby pewnie w identyczny sposób.

– Co mi po pańskich słowach? Joyce pewnie kurwi się gdzieś w Maryland albo Ohio, jeśli w ogóle żyje. Proszę, niech pan już sobie pójdzie. Dość rozdrapywania starych ran. – Wstał. Podziękował za ogień, za troskę i odprowadził Sullivana do wyjścia. Harvey czuł na powrót drapanie w gardle, sam zapalił więc papierosa i idąc niespiesznym krokiem na wschód miasta, pogrążył się w myślach.

Znów wszystko zaczynało wskazywać na ten przeklęty klub.

Bonnie Rutheford, jak się okazało, mieszkała z babcią w taniej czynszówce, trochę poza centrum Pine Hills. Problem w tym, że sędziwa, nieco przygłucha staruszka była jedynym żywym członkiem jej rodziny i nie miała bladego pojęcia, o co chodzi byłemu pinkertonczykowi. Chociaż Harvey spędził u niej w mieszkaniu ponad pół godziny, nie uzyskał

żadnych konkretnych informacji. Nic, co choćby odrobinę przybliżyło go do rozwiązania sprawy.

A przede wszystkim do odnalezienia Patty.

Dwa wypalone lucky striki później stał przed ostatnim domem na liście. Do tej pory odwiedził chyba każdego, który mógłby cokolwiek powiedzieć – znajomych i bliskich Flynt, rodziny pozostałych zaginionych kobiet, grzebał w archiwach, miał dostęp do materiałów ze szpitala. Został tylko dom Carlson oraz sam „Elk”.

Wyrzucił niedopałek i wszedł na werandę piętrowego domku na przedmieściach Pine Hills. Zbliżało się wczesne popołudnie. Nieznacznie się roz pogodziło, gdzieś pośród niezliczonych, kłębiastych chmur pojawiał się skrawek nieba; wiatr jednak dął coraz mocniej i przenikał aż do kości.

– Dzień dobry, Harvey Sullivan, detektyw. Mogę zająć panu chwilę? – Przedstawił się, uchylił fedory i stłumił kaszel. Stojący w drzwiach wysoki i chudy szatyn w kamizelce, pod muszką, cofnął się o krok; uniósł dłoń, by poprawić włosy. Na palcu lśniła obrączka.

– Miałem zaraz wychodzić, wie pan? Cóż, zapraszam. W czym mogę pomóc? – Gestem zaprosił go do środka. Harvey odetchnął z ulgą i wszedł do budynku, małego, przytulnego, w którym czuć kobiecą rękę. No, może teraz czuć ją znacznie mniej, bo wystarczyło rzucić okiem na uschnięte kwiaty i kurz zalegający na półkach, ale mimo wszystko...

– Chodzi o pana żonę, Shirley. Zostałem wynajęty przez młodą Pearl Flynt celem odnalezienia jej siostry i w wyniku śledztwa natrafiłem na dość niepokojące tropy. Jeden z nich prowadzi do pańskiej żony. Możemy porozmawiać? To nie zajmie długo. – Uśmiechnął się, ale kłamał. Spędził tam najwięcej czasu. To właśnie ta, ze wszystkich tego typu rozmów, jakie Harvey przeprowadził w ostatnim czasie, trwała najdłużej.

John, bo tak miał na imię mąż zaginionej Shirley, pracował jako księgowy. Miał doskonałą pamięć i świetnie kojarzył fakty, nie chcąc przecież podpaść IRS⁷. To chyba dlatego tak dokładnie i szczegółowo wszystko relacjonował.

W ciągu pierwszych kilkunastu minut, gdy Harvey opowiadał o zaginionej Patty, jej ciąży i tym, jak się to łączy z resztą kobiet, które zniknęły w tempie jednej na miesiąc od prawie roku, pan Carlson bladł coraz bardziej. Gdy wspomniany został „Elk”, czara goryczy się przelała. Mąż zaginionej przeprosił, oddalił się do toalety i – sądząc po mało przyjemnych dźwiękach – zwymiotował.

Dopiero potem powiedział coś, co zmroziło krew w żyłach Sullivana.

– Tak też sądziłem, wie pan? – przyznał, ocierając usta chusteczką. – Shirley, moja kochana Shirley... mówią, że coś jest nie tak, ale ja głupi nie chciałem jej słuchać. Była raz w tym klubie, potem bała się zasnąć przez kilka dni, a ja to wszystko, cholera, ignorowałem! – jęknął, kryjąc twarz w dłoniach. Harvey szybko dopisał parę słów do notatek, żałując, że nie wziął albo nie kupił kolejnego notesu. W tym miał już mało miejsca.

– Co konkretnie mówiła, panie Carlson? To ważne. Przepraszam, że tak naciskam, wiem, ile już minęło czasu, ale... no, tutaj chodzi o życie i zdrowie innych kobiet.

– Bredziła coś o napastliwych zachowaniach tych grajków, że się na nią gapili, jak na kawał mięsa, że źle im z oczu patrzy i w ogóle. Miała tam pracować jako kucharka, wie pan, ona świetnie gotuje. Jaki ja byłem głupi, że jej wtedy nie słuchałem! No, ale przynajmniej miała komu się wyzalić, wie pan? Do przyjaciółki z dzieciństwa się odezwała. Kathryn... Kathryn coś tam, przepraszam, ale nazwiska nie pamiętam.

– Kathryn? – powtórzył powoli. Imię dość oryginalne, niespotykane, a mimo to miał wrażenie, że już gdzieś, kiedyś je słyszał albo widział zapisane. Podobnie jak tę wzmiankę o złowieszczym spojrzeniu. To nie mógł być przypadek, że tyle osób o nim wspomniało. Zmarszczył czoło, zastanawiając się.

– Tak. Nazwisko było pospolite, nie tak jak imię, wie pan. Shirley wysłała do niej raptem parę listów, zanim... – urwał. Głos zaczął mu drżeć, a w końcu zacisnął mocno powieki. Choć od zniknięcia pani Carlson minęło kilka dobrych miesięcy, poczucie straty wcale nie malało. Wystarczyło, że Harvey spojrzał na jego twarz, oczy. Ból po stracie tak bliskiej osoby może nie narastał, ale cały czas istniał. Stanowił część istnienia tego człowieka.

– Przykro mi. – Wyświechtana formułka, ale lepsze to niż milczenie. – Przepraszam, że pytam, ale mógłby mi pan pokazać listy, które otrzymała żona od tej... tej Kathryn? Wiem, że minęło dużo czasu i pewnie policja też się nimi interesowała, ale mimo wszystko... może coś przeoczyli? – mówił powoli, ostrożnie lawirując pomiędzy tym, co chciał powiedzieć, a co chciał usłyszeć John Carlson.

Sullivanowi zależało na tych listach i musiał je dorwać. Pamiętnik Patty wyjaśnił trochę spraw, teraz mogło być podobnie. Co prawda w policyjnych aktach pojawiła jakaś wzmianka o listach (i ogłoszeniach, wystawionych właśnie przez Carlson), ale to wszystko. Żadnych szczegółów.

Księgowy skinął głową, przeprosił detektywa i zniknął w głębi domu. Moment później zaskrzypiały schody prowadzące na piętro; Carlson najpewniej udał się do sypialni. Ewentualnie do garderoby albo gdzieś, gdzie Shirley przechowywała swoją prywatną korespondencję.

– Przepraszam, że tak długo to trwało – zawołał, schodząc. – Wie pan, rzadko zaglądam do szafki mojej żony – zaczął się tłumaczyć, na co Harvey tylko się uśmiechnął. Widok kilkunastu kopert stanowił doskonałą zapłatę za chwilę czekania. John usiadł na swoim miejscu i przez moment wpatrywał się w koperty; skromne, zwykłe, ze znaczkiem pocztowym i pieczętką.

– Panie Carlson?

– Tak, już, przepraszam. Proszę, panie Sullivan. Mam nadzieję, że to jakoś pomoże.

– Na pewno nie zaszkodzi – odrzekł, biorąc listy. – Czytał je pan?

– Skądże znowu, to prywatne rzeczy, wie pan? – Obruszył się tamten.

– Więc nie ma pan pojęcia, co jest w środku? Nie kusiło pana przez te wszystkie miesiące, by do nich zajrzeć? By porozmawiać z kimś na ten temat?

– Och, kusiło! Ale... te listy... nie są dla mnie. Rozmawiałem oczywiście, z przyjaciółmi, ale wszyscy mi odradzali. Bernard groził nawet, że coś takiego może zwrócić uwagę pana Stevensa na mnie jako podejrzanego, wie pan?

– Bliscy zawsze są podejrzani w takich sytuacjach, panie Carlson – uciął krótko Sullivan, otwierając pierwszą kopertę. W środku znajdowała się pojedyncza, złożona kilkukrotnie kartka zapisana drobnym, eleganckim pismem. Przeleciał wzrokiem tekst, starając się dostrzec jakieś słowa-klucze, cokolwiek, co mogłoby pomóc w śledztwie, ale nic takiego nie zauważył.

W kolejnych listach również, aczkolwiek w każdej następnej kopercie zamiast pojedynczej strony włożono ich kilka. Odkasznął, zdając sobie sprawę, że czekają go kolejne godziny spędzone nad papierami: czytanie, porównywanie treści, szukanie elementów wspólnych, tworzenie notatek... Uśmiechnął się na myśl, że Pearl by pewnie prychnęła ze złością.

Dziewczyna z pewnością nie tak wyobrażała sobie pracę detektywa.

– Panie Sullivan? – zapytał cicho Carlson.

– Przepraszam, zamyśliłem się – stwierdził z przepraszającym uśmiechem. – Jak zapoznam się z treścią, niezwłocznie je panu zwrócę. Wiem, że to pewnym sensie pamiątka po żonie i...

– Proszę tak nie mówić. Wiem, że moja Shirley pewnie jest martwa i leży w jakimś rowie, ale dla mnie ona ciągle żyje, wie pan? Nie chcę mieć żadnych pamiątek. Chcę mieć przy sobie Shirley.

Mocne, ale jakże prawdziwe słowa. I chociaż Harvey już jakiś czas temu opuścił pana Carlsona, to nie mógł zapomnieć o tym, co usłyszał. Teraz, idąc do feralnego klubu, układał w myślach plan działania i walczył z narastającym kaszlem. Bał się tylko jednego: że ten kaszel to gruźliczy, śmiertelnie niebezpieczny zwiastun choroby.

„White Elk Club” powitał go zamkniętymi drzwiami. Nie wiadomo jednak, czy z powodu wczesnej pory, braków kadrowych czy czegoś innego, dlatego Sullivan po kilku chwilach łomotania we frontowe, ozdobione porożem odrzwia, skierował się na tyły. Tam, jak pamiętał, próbował szczęścia Moses.

Harvey szedł po jego śladach, miał jednak więcej szczęścia. Gdy bowiem drzwi się uchyliły, a w szczelinie widniała ogorzała twarz z papierosem, kuchcik tylko westchnął. Zamknął skrzydło, zdjął blokujący łańcuszek i otworzył na powrót szeroko.

– Czego? – zawołał na powitanie, wydmuchując chmurę tytoniowego dymu. – Spieszę się.

– Szukam kobiety i...

– Ja też – przerwał mu tamten, śmiejąc się do rozpuku. – Kogo pan szuka? Kelnerki jakiejś? Piosenkarki? Tancerki? Zresztą wieczorem otwieramy, więc pan przyjdzie wtedy – burknął, zamykając drzwi.

– Ale nie mogę czekać, to ważne, a front zamknięty... – odezwał się natychmiast, przeczuwając, że lada moment straci być może jedyną szansę. – Ostatnim razem, jak tu byłem, to taka jedna gwizdnęła mi portfel. Kathryn? Jakoś tak się nazywała chyba – zapytał, podając imię usłyszane od Carlsona.

– Pomyłka, nie ma tu takiej. Nasze dziewczyny nie kradną, za dobrze im płacą, a na pewno lepiej niż mi. Jest Edith, Margaret, Dorothy, Annie i Irene. Wszystkie pan może zobaczyć wieczorem, wtedy też będzie pan mógł pogadać z szefostwem. A teraz żegnam, muszę wracać do roboty – odparł znacznie ostrzejszym tonem i nie czekając na reakcję, zatrzaskał drzwi. Harvey stał bez ruchu przez moment, tyleż zszokowany co zadowolony.

A potem szybko zapisał w notesie usłyszane przed chwilą imiona.

Miał pewność, że przynajmniej jedno z nich już gdzieś słyszał, widział. Tylko gdzie? Odkaslnął znowu i nie mając nic więcej do roboty, ruszył do domu Bellów. To w końcu tam mieściło się tymczasowe centrum, w którym analizowali każdy element śledztwa. Kiedy jednak przekroczył próg, od razu rzuciła się na niego Heather.

Przytuliła się, drżąc ze strachu. Łkała nawet i nie chciała wypuścić detektywa z ramion; dopiero gdy Harvey napomknął, że nie może oddychać, blondynka ustąpiła. Drżała lekko i z przestrachem zerkała w stronę okien. Nie potrafiła wydusić z siebie słowa.

Sullivan próbował ją uspokoić przez dobre trzydzieści kilka minut, ale w końcu dopiął swego. Ta niska, drobna i niepozorna kobieta zbladła, miała podkrążone, zaczerwienione oczy i cały czas łkała, ale przynajmniej jej ciałem nie wstrząsały już drgawki i mogła powiedzieć coś więcej niż parę bezładnych słów.

– Jesteś tego pewna? – zapytał, zaciągając się papierosem. Rozmawiali w kuchni, ona siedziała na krześle z dłońmi zaciśniętymi na kubku gorącej herbaty; on stał oparty plecami o lodówkę, z papierosem w ustach. Heather kiwnęła powoli głową.

– Tak – odparła zaskakująco pewnym siebie głosem. – Wiem, co widziałam, Harvey! On tam był! Stał, gapił się. Przestraszył mnie.

– Ale nie wiesz, kto to? Heather, to mógł być zwyczajny włóczęga albo, nie wiem, jakiś biedak, który pomylił drogę.

– W Pine Hills nie da się pomylić drogi – rzuciła gorzko, ale miała rację. Miasteczko nie imponowało rozmiarami. Obejście całego nie zajmowało dużo czasu, a jeśli znało się najważniejsze miejsca, jak choćby biuro szeryfa, szpital, bibliotekę czy „Broken Axe”, nickelodeon lub „White Elk”, zgubienie się nie wchodziło w grę.

Kiwnął głową, przyznając jej rację.

– To pierwszy raz? Nie widziałas go wcześniej? Heather, to ważne. Zastanów się.

– Może... nie, nie wiem. Niski i chudy, zaniedbany, nie tak jak kłoszard, Boże broń, ale nie wyglądał porządnie. Przypominał mi trochę pana Casey’a, wiesz? To znaczy nie był czarny, tylko biały, ale...

– Pijak? – wszedł jej w słowo.

– Możliwe. – Niechętnie się zgodziła, a na jej policzkach pojawiły się rumieńce. Nie nawykła do używania takich słów, ba, do lżenia innych ludzi, i po prostu czuła się źle, gdy musiała o kimś tak mówić. Harvey jednak się uśmiechnął; jeśli to jakiś pijak, to z pewnością Moses będzie w stanie go zidentyfikować.

Sam się obracał w tym towarzystwie!

– Pijak – powtórzył. – Nie masz się czym martwić, zresztą zajmę się tym, gdy wróci Joe, razem pojedziemy do Casey’a. Trzeba ogarnąć wóz jego szwagra. – Rozmyślnie pominął szeryfa w tych planach.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj. Teraz jednak mam do ciebie prośbę, Heather. Przeczytasz te listy? Zostały wysłane do jednej z zaginionych, Shirley Carlson. Chcę do nich usiąść z czystym umysłem, a przyda mi się twój pogląd na tę sprawę... No i zajmiesz się czymś, nie będziesz myślała o tym facecie.

– Oczywiście – zgodziła się, biorąc łyk herbaty.

– Byłem też u Allenów i Rutheford, ale za wiele się nie dowiedziałem. Posłuchaj...

⁷ Internal Revenue Service, urząd podatkowy w Stanach Zjednoczonych.

Rozdział 18

Do wieczora siedzieli i dyskutowali, wymieniali się spostrzeżeniami, analizowali treść listów i porównywali notatki. Mieli zajęcie, nie musieli się przejmować troskami i problemami innymi niż te związane z samymi zaginionymi.

Harvey miał przy sobie pistolet; widok colta uspokoił Heather na tyle, że zaczęła nawet żartować. Gdy jednak wrócił Joe, zmęczony i styrany, wykończony psychicznie wielogodzinnymi przesłuchaniami, całe napięcie powróciło, a nawet uderzyło ze zdwojoną mocą. Żona wycalaowała męża. Przyjaciel uścisnął dłoń przyjacielowi. Wypalono kilka papierosów. Zanim padły ciężkie słowa, Harvey poprosił Joe, by zajął się samochodem czarnoskórych.

Niechętnie na to przystał, ale sam fakt, że mógł obejrzeć z bliska pojazd zaginionego małżeństwa, jakoś wynagradzał. A gdy – w końcu! – Joe wrócił do domu, czekał na niego gorący posiłek przygotowany naprędce przez ciężarną.

Temat rozmów rozszerzył się nie tylko o porwane i zaginione, ale także o podejrzanego osobnika obserwującego dom Bellów oraz o zastępcę szeryfa. Joe chciał już, natychmiast rzucić się w pogoń za nieznanym, który ośmielił się wystraszyć jego żonę. Sullivan na szczęście go uspokoił i wyjaśnił, kto to mógł być.

Po kolacji mieli udać się do Moseesa i porozmawiać na temat pijaków, skoro istniało podejrzenie, że to jeden z nich. Póki co jednak... musieli przedyskutować nowe fakty, informacje. Dotyczące nie tylko „White Elk”, ale także rodzin Allen, Carlson oraz samego zastępcy, Powella.

– Joe, odłóż na chwilę widelec.

– Dlaczego?

– Bo jesteś naszym jedynym kierowcą, a nie chcę, żebyś się udusił kawałkiem głupiego kartofla.

– Bardzo śmieszne.

– Mnie śmiesz – odparła cicho Heather.

– Słuchaj, te listy są od Kathryn Darrow do Shirley Carlson, to przyjaciółki z dzieciństwa. Gdy dorosły, ich drogi się rozeszły, ale utrzymywały ze sobą kontakt – streścił Harvey, z rozbawieniem patrząc na reakcję dziennikarza. – Samo w sobie to nic dziwnego, Heather pewnie sama pisuje do swoich koleżanek, ale tym, co się wyróżnia, są ostatnie listy. Te od marca do czerwca.

– Moment, przecież... to praktycznie od otwarcia klubu do zaginięcia Shirley!

– Jest kilka dni różnicy, ale to można zwalić na pocztę – uzupełniła Heather.

– Nie wiemy, co w nich pisała Carlson, mamy tylko wgląd w jedną stronę tej rozmowy – zastrzegł Sullivan, odsuwając pusty już talerz. Czuł się pełny, chociaż z całej trójki zjadł najmniej. Zakaszał, zapalił papierosa.

– Shirley prosiła o pomoc w jakiejś ważnej sprawie – ciągnęła dalej Heather. – Nie jest napisane wprost, o co chodzi, ale możemy się domyślać, bo to dzięki temu Darrow przyjechała do Pine Hills i zatrudniła się w Susquehanna General.

– Ona też ostrzegała przed „White Elk” – oznajmił Joe, patrząc na leżący przed nim jeden z listów. Starał się jeść i czytać, słuchać i rozmawiać, ale niezbyt mu to wychodziło. Za dużo rzeczy naraz.

– Tak, w innym liście wspominała, że coś podobnego miało miejsce w Luizjanie, w parafii Tensas. Nie mam pojęcia, gdzie to jest, ale Darrow pisała, że większość mieszkańców to czarni, którzy... pomagali jej rozwiązać jakieś problemy.

– Nie wyjaśnia jakie, ale wspomina, że coś podobnego może się dziać właśnie u nas.

– Dziwne.

– Cholernie dziwne, ale przynajmniej to jakiś punkt zaczepienia. Shirley musiała wspomnieć o Joyce i Peggy, że zniknęły, bo są tutaj ich nazwiska. Mamy jeden problem z głowy, w każdym razie. Co do Rutheford, tam nic się nie da wyciągnąć; Bonnie mieszkała z babcią, a ona jest za stara, by można z nią pogadać sensownie, natomiast Allenowie wykłeli córkę, bo się niby puszczała... i była związana z „White Elk”. Niewiadomą pozostaje Powell.

– Niedaleko Lock Haven widziano jego wóz – dodał Joe, z trudem przełykając kolejny kęs kolacji. – Powell nie zrobił w sumie nic złego, nie licząc oczywiście ataku na Harveya, więc Stevens nie wystawił za nim listu gończego. Powiadomił tylko stanowych, by na niego uważali i... tyle.

– Dobre i to. Wolałbym jednak, by spotkała go kara.

– Och, spotka, możesz być tego pewien – uciął szybko Bell, dokładając sobie porcję ziemniaków.

– Mam nadzieję.

– Przy okazji, skorzystałem z powielacza w redakcji, mam kilka kopii tekstu. To co teraz robimy? – Nie powiedział nikomu, że Casey zastrzelił Lawrence’a. Nie mógł, dlatego wolał zapchać sobie usta jedzeniem, które niezbyt mu smakowało. Musiał jednak jeść i chociaż kolacja wydawała się być skromna, bo Heather wyciągnęła z lodówki i małej spiżarni tylko porcję mięsa i warzywa, to lepsze to niż nic.

– No po kolacji jedziemy do Casey’a.

– Ja też jadę. Nie zostanę tu sama – rzuciła ostro Heather.

– Pojedziesz, dobrze. Potem chciałbym odwiedzić „White Elk”. Jeden z pracowników potwierdził, że jest tam Dorothy. Powell niby mówił, że ona nie ma z tym nic wspólnego, ale mógł kłamać.

– Co z Kathryn Darrow? Tą pielęgniarką?

– Ją też odwiedzimy.

– Dzisiaj? Jest już późno – stwierdził zmęczonym głosem Joe.

– Wiem – zgodził się Harvey. – Chyba że chcesz z nią pogadać jutro w szpitalu? Myślisz, że tym razem cię wysłucha?

– Mnie wysłucha – odezwała się Heather. Pozostali umilkli, patrząc na ciężarną. Potem wymienili się spojrzeniami, nie dowierzając własnym uszom. Niekomfortowe milczenie przeciągało się, aż w końcu głos ponownie zabrała jedyna kobieta w domu.

– No co? Łatwiej mi będzie wyciągnąć z niej jakieś informacje niż wam. Nie mogę przecież siedzieć w domu i udawać, że wszystko jest w porządku.

– Ale... – zaczął jej mąż, szukając odpowiedniego argumentu.

– Pomogłaś nam, kochana, ale to nie jest robota dla ciebie – odrzekł Harvey, gasząc papierosa.

– Bo co? Bo jestem kobietą?

– Bo jesteś w ciąży – stwierdził grobowym głosem Joe. – A ktoś poluje na ciężarne. Jeśli ci się stanie... – Nie dokończył. Nie był w stanie dopowiedzieć tych paru słów; dość się napatrzył na rozpacz ludzi, którzy stracili bliskich. Sullivan skinął głową i nie chcąc brać udziału w kłótni współmałżonków, poszedł się przygotować do wyjazdu.

Gdy założył marynarkę, płaszcz i fedorę, kłótnia właśnie przybierała na siłę.

Całą drogę do Mosesa – a raczej do domu jego siostry – milczeli. Joe siedział pochylony nad kierownicą, Heather na tylnej kanapie, za Sullivanem. Policzek miała zaróżowiony, opuchnięty wręcz. Wpatrywała się w okno i ponury krajobraz jesiennego wieczora; coraz więcej liści spadało z drzew. Te, co trzymały się gałęzi, mieniły się żółcią i pomarańczą, czerwienią i brązem. Teraz jednak, po tak obfitych deszczach, wszystkie wyglądały na oklapnięte, smutne, wilgotne. Większość zalegała na jezdni, zbita w brudną breję bądz leżała na dnie kałuż.

Ford Bellów zatrzymał się po drugiej stronie ulicy; nie mieli możliwości, by zaparkować przed domem i to z prostego powodu. Studebaker commander, automobil Teddy'ego, stał na swoim prawowitym miejscu.

Pierwszy wysiadł Harvey i ciągle nie chcąc narażać się małżonkom, pospieszył do domu czarnoskórych. Zatrzymał się tylko na moment, by rzucić okiem na wóz zaginionych: nie wyglądał imponująco, nie rzucał się w oczy. Takich, jak ten, było pełno na drogach.

Moses otworzył drzwi dość szybko. Sądząc po jego zachowaniu oraz wyglądzie, daleko mu było do przyzwoitego stanu. Nie zataczał się, skądże, alkohol najwyraźniej zdołał uciec z jego krwi, ustępując miejsca nie mniej przykreemu skacowaniu. Zerknął tylko na gości, zatrzymując wzrok nieco dłużej na kobiecie i zaprosił do środka.

Dom prezentował się skromnie i widać, że popadał z wolna w ruinę. Choć Ruth nie było ledwo tydzień, kurz i brud zdołały opanować tę niewielką przestrzeń. Brudne naczynia piętrzyły się w zlewie. Ubrania leżały porozrzucane na podłodze. Krzesła przewrócone, większość szafek i szuflad otwarta, tapety zostały zdarte ze ścian, a tam, w rogu, Moses chyba próbował zerwać klepki z podłogi.

Heather zasłoniła dłonią usta zszokowana.

– Panie Casey, nie przeszkadzamy?

– Co się głupio pytasz, pismaku.

– Heather zobaczyła dzisiaj kogoś, jak obserwował dom – wyjaśnił Harvey, zaglądając do sypialni Ruth i Teddy'ego. Zmarszczył brwi, zobaczywszy dziurę w ścianie.

– I co mnie to obchodzi? Bez urazy – Szybko się poprawił, zwracając się do blondynki. Ta zmusiła się do uśmiechu.

– Panie Casey, proszę się nie obrazić, ale... obraca się pan w takim, a nie innym towarzystwie i... może wie pan, kto to mógł być? Taki... niski, chudy, niechlujny, wyraźnie pod wpływem alkoholu? Biały – dodała uprzejmie, przysuwając się nieco do męża. Choć niedawno się kłócili, to jednak stanowili małżeństwo. Kochali się. A Heather, przebywając w domu obcego mężczyzny, potrzebowała oparcia.

– A skąd, do cholery, mam wiedzieć? Mamy tu sporo pijusów. Leon jest, Dave, Marty, Frank, Billy, Enoch, Fred, Adewale, Mark, ja... niech no pomyślę, paniusiu... Chudy mówisz? Niski? A młody był czy starszawy?

– Boże, nie wiem, starszy chyba.

– Joe, pozwól na moment.

– Idę. – Dziennikarz zostawił żonę i razem z detektywem dokładnie przeszukali sypialnię zaginionego małżeństwa, szczególną uwagę poświęcając obrazowi. Niby klasyczne ukazanie końca Męki Pańskiej, ale im dłużej się przyglądali tej reprodukcji dzieła Rembrandta, tym większy czuli niepokój.

– No jak starszy, to Marty, Fred albo Mark. Marka znasz, z pewnością byś go poznała, czyli... to albo będzie Marty, albo Fred. I jeden, i drugi to zakała rodziny, ale jak Marty pochleje, to przynajmniej nie rzuca się z łapami na każdego. Fred to co innego, nie lubię z nim pić, wie paniusia? W sumie... to chyba nikt nie lubi z nim chlać, tak teraz sobie myślę.

– To... bardzo ciekawe, panie Casey, ale czy wie pan, co on mógłby robić przed moim domem? Dlaczego tam stał? Na co czekał? Na kogo?

– Co ja jestem, jego ojciec? – Obruszył się, machnął ręką i poszedł do kuchni. – Pewnie na kumpla do chłania czekał – zawołał, a moment później zadudniło w rurach, gdy puścił z kranu wodę do szklanki.

– Jakoś nie jestem przekonana.

– Ja też – burknął Joe, wychodząc z sypialni.

– Panie Casey? Co to jest? – Obok niego stał Harvey wpatrzony w obrazek. Pomachał tanią reprodukcją Rembrandta, czym przykuł uwagę czarnoskórego gospodarza.

– A, to. Wisiało nad łóżkiem. Bohomaz jakiś, nawet krzyża nie potrafią dobrze namalować.

– Obawiam się, że zrobili to specjalnie. Proszę spojrzeć – odparł cichym głosem detektyw, wskazując na parę detali i szczegółów, które początkowo mogły umknąć uwadze. Heather wyciągnęła szyję, by lepiej przyjrzeć się obrazkowi i widząc wskazane przez Sullivana bluźniercze detale, jak choćby nadmierna liczba kobiet, nie wspominając już o tym, że były to ciężarne, przysłoniła dłonią usta.

– To coś znaczy? – zapytał Moses, spoglądając to na zszokowaną Heather, to na ponurego Sullivana. Joe tymczasowo zignorował.

– Wszystko zaczyna się układać w całość, panie Casey – wyjaśnił Harvey. – Porwania, zaginięcia, te przeklęte łapacze... znaczy figurki z patyczków... nawet ta skórzana pochwa. To jakaś pieprzona sekta. – Z kieszeni płaszcza wyjął pochwę znaną w dziurze w ścianie. Uśmiechnął się też przepraszająco do Heather; blondynka odwzajemniła uśmiech, nie robiąc sobie nic z wulgarne go języka.

– Sekta? – powtórzył zniesmaczony Casey. Joe spojrzął przelotnie na detektywa; zajmował się sporządzaniem notatek. W końcu jest przedstawicielem prasy, a taki zrujnowany dom to idealny wręcz materiał.

– Albo jakiś kult – uzupełniła Heather.

– Ale Powell nic...

– Zachowałyby się jak idiota, gdyby wprost o tym powiedział, panie Casey.

– Heather, zostaniesz z nim? – zabrał głos Joe.

– Co? Nie!

– Nie zabierzemy cię do „White Elk”, a pan Casey tam nie wejdzie. Chyba że wolisz zostać w domu... albo zawiozę cię do pana Nielsena. Twoja decyzja.

– Joe, przysięgam na wszystkie świętości...

– Nie kłóćcie się – uciął Harvey. – Mamy ważniejsze rzeczy na głowie. Jeśli Powell nie kłamał i Ruth naprawdę jest martwa, to podobny los mógł spotkać Patty i pozostałe. Musimy coś z tym zrobić. Sami. – Ostatnie słowo dodał po krótkiej chwili. Potem znowu odkaslnął.

Miał jednak rację: mogli liczyć tylko na siebie. Biuro szeryfa zostało skompromitowane, jeśli tak można to nazwać: Lawrence Powell zaatakował mieszkańca miasta i zniknął. Uciekł, wedle wiedzy każdego (oprócz, rzecz jasna, Joe i Mosesa).

Cała czwórka spędziła jeszcze kilkanaście minut w domu czarnoskórych, dyskutując o kolejnych krokach. Heather, choć była coraz bliżej porodu, ciągle czuła się dobrze i na siłach i za wszelką cenę chciała towarzyszyć mężowi. Joe był temu przeciwny i gotów odstawić ją do zapijaczonogo konowała, by zapewnić jej choćby namiastkę bezpieczeństwa.

Moses nie mógł im towarzyszyć, a przecież mieli jechać do „White Elk Club”, więc...

– Panie Casey, wiem, że proszę o zbyt wiele, ale mógłby pan odwiedzić tych pijaków i wypytać, czy któryś z nich kręcił się koło mojego domu? Zapłacę – poprosił Joe, używając nie tylko argumentu prośby, ale także zapłaty.

Moses nie namyślał się długo. Potrzebował pieniędzy, a wizyta u znajomych i krótka rozmowa to nic wyczerpującego. Tym bardziej że miał rewolwer Teddy’ego, czterdziestkę piątkę. Nic mu nie grozi. Skinął więc głową i poszedł się przebrać.

Casey ruszył na wschód miasta, na Mercy Street, gdzie zwykle przesiadywali podobni mu pijacy. Joe chciał zostawić żonę u Nielsena, ale Heather kategorycznie mu tego zabroniła, grożąc, że nazwie dziecko tak, jak sama będzie chciała. Harvey zapalił tylko papierosa, nie chcąc uczestniczyć w kolejnej małżeńskiej kłótni.

Na jego nieszczęście coraz agresywniejsza dyskusja współmałżonków trwała aż do samego klubu. W niedzielny wieczór musieli się liczyć z ryzykiem, że „White Elk Club” będzie po prostu zamknięty i nie wejdą do środka, ale mieli szczęście. Gdy zaparkowali forda przy krawężniku i wyszli na zimne, jesienne powietrze, usłyszeli słabe, przytłumione dźwięki muzyki.

– Mamy szczęście? – zapytała Heather, poprawiając kapelusik.

– Chyba tak. Wolałbym jednak, żebyś została w domu, u Nielsena albo nie wiem, u tej swojej pyskatej przyjaciółki.

– Gretchen... – rzuciła – ...ale ona nie jest pyskata. Po prostu jej babka i matka to sufrażystki, więc...

– No właśnie.

– Wejdziemy osobno – rzucił Harvey. – Wy jesteście razem, na randce albo coś takiego, ja dalej szukam Teddy’ego. Powinni mnie kojarzyć, już raz tam byłem i pytałem, czy jest Smithee.

– Brzmi jak plan.

– Powodzenia, Harvey – szepnęła blondynka, uwieszając się na ramieniu męża. Niespiesznie ruszyli do klubu, zostawiając Sullivana z tyłu. Ten spokojnie zapalił kolejnego papierosa, oparł się o maskę forda i czekał, aż małżeństwo zniknie w budynku.

Przespacerował się ulicą tam i z powrotem, próbując się rozgrzać.

– Ile? – Joe nie dowierzał. Przebywał z żoną w klubie, eleganckim, budzącym podziw i zachwyt, ale upiornie pustym i przestronnym, by nie rzec ogromnym. Oprócz małżeństwa była tylko jeszcze jedna para, pan Daugherty i towarzysząca mu kształtna szatynka. Na scenie grupa czarnych muzyków wydobywała z instrumentów piękną, jazzową muzykę, na parkiecie natomiast uwijała się tańcu piątka młodych kobiet ubranych w zwiewne, białe sukienki. Włosy miały przepasane wzorzystymi opaskami.

– Płacisz albo nie, proste – odparł stojący za barem barczysty mężczyzna, wzruszając ramionami. – Dolar trzydzieści za czerwoną, dolar osiemdziesiąt za czarną. To dobre ceny. To nie jest jakaś pierwsza lepsza berbelucha, tylko whisky Schenley's. – Wycierał kieliszki, kontynuując uświęconą tradycję barmanów na całym świecie. Joe nie chcąc robić złego wrażenia, z marsową miną sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Z bolącym sercem zamówił niską, kwadratową szklankę tańszej whisky dla siebie i wysoką, smukłą, pełną wody sodowej z sokiem dla Heather.

– Co za miejsce.

– Całkiem ładne.

– No tak, ma swój urok. Nie wygląda jednak na przybytek jakiejś sekty.

– A jak twoim zdaniem powinno takie lokum wyglądać?

– Nie wiem, jak kościół może?

– Nie żartuj sobie – fuknęła blondynka, upijając łyk. Jako kobieta mogła bez przeszkód rozglądać się po lokalu i beczelnie wgapić w każdego, kogo zobaczyła. Do tych paru mężczyzn uśmiechała się łagodnie, do kobiet uprzejmie unosiła kąciki ust w pozdrowieniu. Joe jednakże, jako dziennikarz i mąż, znajdował się na nieco innej pozycji. Ilekroć spoglądał na tancerki, wysokie i szczupłe, gibkie, czuł ukłucie wstydu, że w jakiś sposób zdradza swoją żonę. Z drugiej strony... miał ku temu wszelkie prawo.

A potem wszedł Harvey.

Od razu skierował się do baru i ku przerażeniu małżeństwa złapał barmana za koszulę i mocno do siebie przyciągnął. Nie słyszeli oczywiście, co detektyw mówi, ale nie musieli. Ufali mu, a jednak tak agresywne zachowanie nie przystawało do ich przyjaciela.

– Smithee! – warknął Sullivan. – Gdzie jest ten czarnuch? Pojawił się już? Czy dalej ukrywa swoją czarną dupę? No? Gadaj!

– Zaczyna się – szepnęła do żony Joe.

– Panie, co pan?! Puszczaj! – zawołał bezradnym głosem barman. Choć mógł się pochwalić potężną posturą i minę też miał odpowiednią, to jednak brakowało mu ikry. Spanikował, gdy Harvey zaczął go szarpać, i cudem zdołał się wyrwać z rąk byłego pinkertońca.

– Gdzie jest Smithee? Sukinsyn wisi mi kupę kasy!

– Nie wiem! – jęknął tamten, poprawiając koszulę. – Nie ma go od... od zeszłej niedzieli chyba. Przecież to tylko głupi czarnuch, co się pan tak czepia? Pan Foster jest wściekły, z końcem miesiąca sprzedaje jego chałupę. Zespół też jest zły, a to tylko grajek...

– Ten grajek jest mi winien kilkadziesiąt dolarów – wycedził. – Albo dostanę tę kasę od niego, albo od Fostera. Gdzie on jest? – Postanowił zaryzykować. Barman wydawał się bardziej niż skory do współpracy. W klubie panowały pustki, a te cztery osoby, Joe i Heather oraz Daugherty i jego partnerka, jakoś nie zwracały uwagi na awanturę.

Co innego reszta personelu.

Tancerki przerwały swój taniec, zakłopotane i zmieszane. Muzycy co prawda dalej grali, ale gubili rytm, jakby zdezorientowani. Sullivan odszedł od baru, ostentacyjnie otrzepał swój płaszcz i splunął na posadzkę.

– On mnie przeraża – szepnęła Heather, chwytając dłoń męża. Znała Harveya kilka dobrych lat, ale pierwszy raz widziała go w takim wydaniu. Wiedziała, że gra, udaje, ale mimo wszystko nie czuła się komfortowo, patrząc na szalejącego mężczyznę. Wymieniła spojrzenie z mężem i w milczeniu obserwowała, jak Harvey idzie na tyły, do części przeznaczony dla pracowników.

Gdy za nim i za barmanem zamknęły się drzwi, odetchnęła z ulgą.

– Jak myślisz, która z nich to Dorothy? – zapytał nagle Joe, zmieniając temat. Uniósł szklankę i wskazał na stojące na parkiecie tancerki. Niemrawo wracały do tańca; najpierw jedna samotnie zaczęła się kołysać w rytm muzyki, potem dołączyła do niej druga, trzecia. W końcu wszystkie na powrót dały się ponieść dźwiękom płynącym z instrumentów.

Tańczyły tam blondynki, szatynki, brunetki. Szczuplutkie, giętkie, o długich, gołych nogach. Sukienki sięgały trochę przed kolano i starszych ludzi mogły z pewnością gorszyć, ale dla młodych problem nie istniał.

Heather zaczęła nawet podrygiwać stopą w rytm muzyki.

– Smithee! – zawołał ponownie Harvey, doskonale odgrywając swoją rolę.

– Pan się nie drze, zaraz ktoś przyjdzie i wszystko wyjaśni. Proszę tylko chwilkę poczekać! – poprosił barman i oddalił się, by chwilę później zapukać do jednych z drzwi. Prowadziły najpewniej do pomieszczeń na piętrze, gdzie być może urzędował ktoś decyzyjny.

– Oby – warknął Sullivan, opierając się o stojące w wąskim korytarzu skrzynie. Niedbałym ruchem zapalił papierosa i dmuchnął dymem w stronę skonfundowanego barmana. Ten zniknął za drzwiami, zostawiając detektywa samego. Zza ścian dobiegały przytłumione dźwięki jazzu oraz, o dziwo, kuchenny szcęk sztućców, talerzy. Harvey zmarszczył czoło: czyżby szykowała się jakaś wielka kolacja? Ale przecież „Elk” był praktycznie pusty. Jeśli mieli się pojawić jacyś goście, to już powinni być...

– Pan Kenneth zaraz przyjdzie – oznajmił barman, wychodząc z zaplecza. – Muszę pana zostawić, obowiązki, sam pan rozumie – dodał z przeproszającym uśmiechem i nie czekając na odpowiedź, przyspieszył kroku. Harvey znów został sam, ale tym razem na jeden moment mógł spojrzeć w kierunku głównej sali.

Heather i Joe siedzieli przy stoliku, uważnie przyglądając się tancerkom.

Rozdział 19

Moses dotarł w końcu na Mercy Street. Poprawił leżący w kieszeni płaszcz rewolwer i rozejrzał się dokoła, próbując zorientować się, w którym ze zrujnowanych domostw zwykle odbywały się popijawy. Zaklął pod nosem i przespacerował się chodnikiem, omijając krzywo poustawiane kubły na śmieci i zalegające worki z odpadkami. Okolica podupała w ciągu ostatnich kilku lat.

Zerknął na szereg sklepów: do tych, które już wcześniej miały zabite deskami okna, dołączył kolejny. Drewno i płyty wyróżniały się kolorem nowości, nikt nie ukradł też łańcucha; od razu więc skreślił tamtą część ulicy. Przeszedł dalej i uśmiechnął się, widząc starą kawiarnię.

Od dawna oczywiście zamknięta, ale wiedział już, gdzie jest i dokąd musi iść.

Obok niej znajdował się cel jego poszukiwań. Stary, opuszczony piętrowy budynek, w którym zwykle przesiadywali pijacy. Sam swego czasu spędzał tam każdą wolną chwilę, chlejąc, co się dało z każdym, kto był pod ręką. Wzdrygnął się na te wspomnienia; teraz wołał pić albo w samotności, albo z najbliższymi.

Nie pamiętał, czyj to dom. Kto tu mieszkał. Wiedział tylko, że od kilku dobrych lat nikt się nie przejmował popadającym w ruinę budynkiem, co skrzętnie wykorzystywali znani mu pijacy. Gdy wszedł do środka, kopnął niechący butelkę. Skrzywił się.

Czy tak czuli się wszyscy, którzy odwiedzali dom Adewale? Czy doprowadzi dom siostry do takiego stanu?

– Marty? Fred? Jesteście tu? To ja, Moses! – zawołał ochrypniętym głosem. Dłoń, ciągle w kieszeni płaszcz, zacisnął na broni. Był czarnym mężczyzną o kiepskiej opinii, a właśnie wszedł na teren, na którym mógł spotkać pijanych białasów. Jego ostatnie spotkanie z białymi, trzeźwymi w dodatku, zakończyło się srogim łomotem i złamaniem paru kości. I chociaż nie nosił już gipsu, to ramię ciągle bolało, a temblak ledwo pomagał. Złamania oczywiście się nie zrosły, ale jakoś się tym nie martwił.

– Marty! – zawołał znowu, idąc zagraconym korytarzem. Minął coś, co musiało być sypialnią, bo widział zabudowaną, pustą już szafę i miejsce na łóżko, w którym zalegał tylko stary materac. Zerknął do łazienki i, jak się spodziewał, nie znalazł tam nic ciekawego. Ktoś wyrwał nawet muszlę klozetową; w jej miejscu widniała cuchnąca dziura.

Zajrzał do kolejnego pokoju. Do kuchni. Nic. Pusto, nie licząc butelek, słoików i innych śmieci pozostawionych przez ludzi z marginesu. Casey zaklął szpetnie, ale się nieco rozluźnił. Nikogo na parterze nie zastał, ruszył więc w stronę wąskich i skrzypiących przy każdym kroku schodów. Bariereka została wyrwana już jakiś czas temu; gdy zaś dotarł na piętro, aż parsknął ze śmiechu.

Na wprost, w dawnej sypialni, zauważył parę dzieciaków leżących na starym materacu. Próbowali zakryć się kocem, a dziewczyna, chudziutka szatynka z twarzą czerwoną jak piwonia, zacisnęła mocno powieki. Nie chciała, by ktokolwiek ją teraz oglądał.

– Spieprzaj, czarnuchu! – wrzasnął chłopak, przykrywając dziewczynę kocem i wstając. Miał na sobie tylko slipy i trząsł się z zimna. W słabym blasku lampy naftowej stojącej w rogu wyglądał bardziej niż żałośnie.

Casey machnął tylko ręką i wyszedł na ulicę. Poszczęściło mu się jednak w kolejnym domu. Ledwo co przekroczył próg i wykrzyczał imiona znanych mu pijaków, usłyszał odpowiedź.

– Moses? Casey? – Przepity głos dobiegał gdzieś z głębi domu.

– Tak! – odparł zadowolony. Przyspieszył kroku, mijając przewrócone, potraskane meble. Widok ścian ze zdartą tapetą przywodził mu na myśl własny dom, ale kiedy wkroczył do salonu, ta myśl zniknęła.

Domowi Ruth daleko do ruiny. Zniszczenia, jakich dokonał Moses, można szybko naprawić. Tutaj zerwano klepki z podłogi; meble, oprócz zapadniętej sofy, zostały porąbane, a w centralnym miejscu stał blaszany kosz, w którym huczał ogień. Pijacy, chcąc się ogrzać, po prostu porąbali meble i je podpalili.

Idioci.

– Słuchaj, Marty, musimy porozmawiać. Jest sprawa.

– A mów, mów. Siadaj, co będziesz stał. Napijesz się?

– Chciałbym, ale nie. – Te słowa przyszły mu z trudem.

– No to pierdol się, czarnuchu! Nie chcesz pić, to wynocha! – Drugi głos, zmęczony.

– Kurwa, nie chodzi o mnie! Nie mogę pić, Marty, nie teraz.

– To tym bardziej. Wypieprzaj!

– Dobrze żeś mu powiedział, Fred. – Czy to był Frank? Trudno rozróżnić poszczególne głosy, wszystkie miały tak samo bełkotliwe i zachrypnięte brzmienie. Lata spędzone na chlaniu najtańszego alkoholu odcisnęły piętno na każdym, ale i tak było lepiej niż za prohibicji. Moses uśmiechnął się lekko na wspomnienie tamtych czasów; różni ludzie pędzili bimber. Niektórzy dodawali coś od siebie, gratis, z czystej złośliwości. Inni pędzili porządną księżycówkę.

Sam transportował i jedno, i drugie.

– Ktoś z was był na Appalachian Road? – zawołał, spoglądając na siedzących na sofie. Niski, chorobliwie wręcz chudy mężczyzna o siwych, rzadkich włosach, Martin. Nieco tylko tęższy rudzielec o przeoranej bliznami po ospie twarzy, Frank, i ponuro wyglądający brudas o zmierzwionych, ciemnych włosach, Fred.

– A co cię to interesuje, czarnuchu? – odparł zaczepnie Frank, wstając z sofy. Zachwiał się, potknął o leżącą na podłodze butelkę i splunął siarczyście na gołe deski. Dywan zniknął.

– A tak pytam, z nudów – odpowiedział tym samym tonem Moses. – To jak, zachodził któryś z was tam? Fred? Kręciłeś się po tej ulicy?

Odpowiedziała mu cisza.

– Byłeś tam? – zapytał ponownie, robiąc krok do przodu. Lewa dłoń, ciągle w kieszeni płaszcza, zacisnęła się mocniej na rewolwerze. Kciukiem odciągnął kurek.

– Po lesie łąziłem! – zawołał Frank. – Poszedłem się wyszczać i, hehe, może jakiś młodzieniaszków podejrzeć.

– Nie o to pytam.

– Nawet jeśli, to nie twoja sprawa – burknął tamten. Martin odsunął się nieco na sofie, tak jakby przeczuwał, że coś może się potoczyć nie po jego myśli. Frank, pijany, zatoczył się i machnął ręką, rezygnując z rozmowy. Udał się w stronę łazienki, potrącając po drodze butelki i słoiki.

– Fakt, nie moja... – zgodził się – ...ale kogoś, kogo szanuję.

– Oż kurwa, a to rzecz niesłychana?! Czarnuch kogoś szanuje?! – Zaśmiał się Fred.

– Dobra, dość tego, gadaj mi, sukinsynu, czy polazłeś na Appalachian Road i wgapiałeś się w okno domu Bellów? Podglądałeś panią Heather? Tę blondynkę? – warknął, wyszarpując z kieszeni rewolwer. Fred zbladł nieznacznie, widząc skierowaną w siebie lufę, ale nie stracił animuszu.

– Tę brzuchatą babę? Popieprzyło cię? Myślisz, że co ja jestem, jakiś zboczeniec?

– Nie kłam, Fred, nie piłem już trochę i ręce mi się trzęsą.

– To się pierdolnij obok nas i wypij coś, a nie rzucasz pytania z dupy i machasz spluwą.

– Nie – zaprzeczył ruchem głowy. – Przypadkiem mogę za spust pociągnąć, a tego chyba nie chcesz, co?

– Moses, przestań, człowieku! – krzyknął Martin, wstając. Uniósł uspokajająco dłonie, ale nic tym nie zyskał. Czarnoskóry uzbrojony pijak skierował na niego lufę, ale już moment później znów celował w stronę Freda.

– Spieprzaj stąd, Marty. I weź Franka, idźcie sobie w cholerę. A ty, Fred, weź mi tutaj jak na spowiedzi świętej! No!

– No dobra, kurwa, byłem na Appalachian! – Zmiana zachowania nastąpiła natychmiastowo. – Zadowolony? Jutro też mam iść, pojutrze i dzień później! Weź tego gnata, ty głupi czarnuchu, nie celuj we mnie! – rzucił wściekłym głosem, rozglądając się dokoła w poszukiwaniu wsparcia. Frank jeszcze nie wrócił z kibla, a Martin uważnie przyglądał się jednemu i drugiemu mężczyźnie.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Po cholerę tam poszedłeś?

– Co ty, głupi jesteś? Bo mi zapłaciła! Miałem obserwować pismaka i jego dupę.

– Kto ci zapłacił? Fred! Gadaj! To była Dora?

– Kto?

– Dorothy!

– Nie znam. Płaciła mi Darrow! Kathryn Darrow, taka chuda dupa z południa, przyjechała tu, cholera, z pół roku temu, nie wiem, zaczęła zadawać różne takie pytania, ale dobrze płaciła, to zacząłem dla niej pracować. Za coś trzeba pić, no nie?

– Co? – zapytał zdziwiony, opuszczając nieznacznie broń.

– Co? – zakpił Fred. – Czarnuchu, ty naprawdę nie masz o niczym pojęcia. Przyłazisz tu jak do siebie, wymachujesz spluwą i pyskujesz. No, ale w jednym masz rację, nie jestem głupi, sram ze strachu patrząc na ten twój rewolwer, więc wszystko ci wyśpiewam... Jestem pijany, ale nie głupi. Darrow sypnęła groszem, powiedziała, co mam robić i tyle. Tak samo było z innymi.

– Z kim? Fred, co ty mi tu pierdolisz?

– Chryste, daj mi dokończyć, kurwa! Darrow kupiła ludzi. Ma forsy jak lodu. Jakiś gówniarz, nie znam chłopaka, ten pyskaty bibliotekarz, Ephraim, był też Walton, wiesz, ten grubas od kina... – urwał, nie spuszczając wzroku z lufy rewolweru. – I jeszcze gliniarz, Larry! – dodał na koniec.

– Larry? Lawrence Powell?

– Tak, on. Jak Kathryn się dowiedziała, że mu tatko niedomaga, to się zaczęła koło Larry'ego kręcić, a gdy staruszek zmarł, to wyciągnęła do biedaka rękę i jakoś poszło. Nie

wiem, co się z nim teraz dzieje. Plotki mówią, że spieprzył z miasta. Kathryn sądzi, że dopadli go, tak jak te dziewczyny.

– Kto dopadł? Kogo? Fred, mów normalnie!

– Nie wiem, nie interesuję się. Płaciła, to zrobiłem, co kazała. Nie pierwszy raz ubrudziłem ręce, a tę blondynę miałem mieć na oku, bo jej mężulek zaczął coś za mocno węszyć i tyle. Kurwa, weź, schowaj rewolwer, dobra? Aż mnie ciarki przechodzą, jak patrzę na łufę. Darrow mówi, że to są ważne rzeczy i w ogóle, a Ephraim sypie tymi swoimi niby religijnymi pierdołami, aż łeb boli, więc nie słucham zbyt uważnie. Na coś... albo na kogoś... polowali i chyba się udało. Nie wiem.

– Boże, co to wszystko... Coście zrobili? Dlaczego? – zaczął kompletnie zagubiony. Został poproszony, by sprawdzić, kim jest rzekomy pijak, jakiego widywała Heather. Nie spodziewał się takich rewelacji. Takich odpowiedzi. Tych słów. Usiadł obok. Podniósł stoik, licząc na to, by żółtawa ciecz w środku okazała się najzwyklejszym bimbrem.

W co oni wszyscy wdepnęli?

– To co? Nie strzelisz mi w pysk? – zapytał ostrożnie Fred.

– Sobie prędzej strzelę – odparł cicho, patrząc na broń.

– Tak może i będzie lepiej. Słuchaj, ja nie życzę ci źle, dość, że jesteś czarnuchem, ale to wszystko jest... no, popieprzone. Darrow to mózg, Ephraim w sumie też. Nie wiem, o czym mówią, nie słuchałem, bo trudno w to uwierzyć. Ale to, co widziałem... srogie gówny. Biblię czytałeś? Podobne rzeczy są tam napisane.

– Boże.

– Ha, żebyś wiedział. Darrow mówi, że to sam diabeł się tutaj chowa, że opętał kogoś i tak dalej. – Moses słuchał, jak Fred opowiada od początku, i czuł się coraz bardziej zagubiony. Chciał, a wręcz pragnął, by to wszystko było zwykłym, pijackim bełkotem, bredniami, które swe źródło ma w alkoholu, a nie w realnym świecie. Proste, często wulgarne słowa Fredericka brzmiały na tyle dziwnie, że musiały albo pochodzić z umysłu prawdziwego szaleńca, albo, o zgrozo, wynikać z prawdy. Fred nie należał do ludzi obdarzonych wystarczającą wyobraźnią, by wszystko zmyślić.

Moses opróżnił więc stoik z alkoholu, smakując palącą gorycz zanieczyszczonego płynu, i na miękkich nogach ruszył do wyjścia. Szedł do siebie, do domu siostry, pochylony pod ciężarem tego, co właśnie usłyszał.

Pistolet miał w kaburze, pod pachą. Nie popełnił tego samego błędu i teraz, gdy tylko wychodził z domu, zawsze miał przy sobie colta. Harvey rozchylił nawet poły płaszcza, by w razie czego móc bez problemu wyszarpać broń; czekał niecierpliwie, aż ktoś do niego przyjdzie.

Wykorzystał ten czas, spacerując po korytarzu na zapleczu klubu.

Skrzynie, choć zamknięte, nie wyglądały podejrzanie. Miały zwyczajne oznaczenia, odbite farbą nazwy firm z Pittsburga i innych miast w Pensylwanii. Jeśli oczywiście nie jest to jakiś fortel, to wewnątrz powinny się znajdować butelki z alkoholem oraz worki z mąką, ryżem, makaronem. Puszki mięsa. Takie rzeczy.

Sullivan już podchodził do drzwi, gdy te się gwałtownie otworzyły. W progu stał jakiś pracownik „White Elk Club”, być może wspomniany wcześniej Kenneth. Zza jego pleców wylaniał się jednak sam Foster, wysoki i przystojny, w dobrze skrojonym, stalowym garniturze, podkreślającym szarą barwę jego oczu.

– Podobno awanturuje się pan i domaga kontaktu z jednym z moich muzyków – oznajmił nosowym głosem, patrząc z wyższością na detektywa. Harvey uśmiechnął się kąciakiem ust.

– Tak, Smithee jest mi winien szmal – zaczął. – Dobijałem się do jego domu, ale nikt nie otwierał. Skubaniec nie mógł wyjechać. Automobil stał na podjeździe!

– Doprawdy? – skrzywił się mężczyzna, co Harvey od razu wziął za dobry znak. – Cóż, nie będziemy tak dyskutować jak para prostaków. Zapraszam do gabinetu. – Gestem dłoni zachęcił detektywa, by ruszył za nim. Kolejnym odesłał swojego podwładnego. Sullivan szedł parę kroków z tyłu, zachowując ostrożność. Gdy jednak dotarł do gabinetu, poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go w żołądek.

– Dostanę pieniądze? – zapytał Harvey, nie wychodząc z roli.

– Zaraz do tego dojdziemy. Proszę, pan siada. – Foster wskazał wysoki fotel stojący przed niskim, wiśniowym biurkiem. Sam nie zajął drugiego, tylko podszedł do szerokiego okna z widokiem na główną salę.

Harvey zmusił się, by ponownie spojrzeć na ściany gabinetu. Tam bowiem wisiały obrazy, których nie spodziewał się w takim miejscu. Pośród nich dostrzegł identyczną reprodukcję Rembrandta, taką samą, jak w domu Mosesa. Z ciężarnymi, z dziwnym krzyżem. Nie wyglądało to na przypadek, podobnie jak tamta panorama lasu, do złudzenia przypominającą tę z obrazka autorstwa Wylda dla Flynt. A tutaj, za biurkiem, wisiało coś, co kojarzyło się z drewnianą figurką. Geometryczne kształty jednoznacznie wskazywały na styl art déco, ale było w nich coś jeszcze; coś, czego Sullivan nie potrafił określić.

Czyżby to stąd wziął się sen Patty? Flynt bywała w „White Elk”, w gabinecie właściciela?!

– Ale do czego dojdziemy? Ja chcę tylko odzyskać pieniądze. Pan rozumie, że czasy są ciężkie. Głupiec ze mnie, że pożyczyłem czarnuchowi tyle kasy.

– Och, rozumiem pana. Mimo wszystko czarnoskórzy są przydatni. Jako narzędzia doskonale się sprawdzają, potrzebują jednak... nadzorcy, że tak powiem. Kogoś, kto będzie kierował, mówił co i jak, tłumaczył. Wiedział więcej niż inni. Ile jest panu winien pan Smithee? Tak dokładnie?

– Czterdzieści osiem dolarów. Plus odsetki.

– Sporo, muszę przyznać.

– Dlatego tak mi zależy na zwrocie.

– I pan chce, żebym spłacił czyjś dług? Z jakiej racji mam regulować czyjeś finansowe zobowiązania? Utrata pana Smithee jest bolesna, tak dla zespołu, jak i dla mnie.

– W dupie mam takie detale. Chcę moją kasę! Smithee spierdolił, jego żona też, a szwagier, ten pieprzony pijak, albo leży zalany w trupa, albo nie ma grosza przy dupie!

– Mogę zaproponować panu pracę. Zarobi pan więcej, niż te pięć dych, znacznie więcej. Będzie pan bogatszy tak fizycznie, materialnie, jak i duchowo.

– Chcę tylko pieniądze, panie Foster.

– Jest pan pewien? Taka oferta może się nie powtórzyć – westchnął, sięgając ręką pod marynarkę. – Nie jest rozsądnym odrzucenie takiej propozycji, tym bardziej że widzę, jak pan dąży do celu... i jest pan uzbrojony. – Harvey drgnął, gotów wyszarpać colta, gdyby zaistniała

taka konieczność, ale jak się okazało, Foster tylko wyjął portfel i wytknął detektywowi posiadanie broni. Odliczył plik banknotów i bezceremonialnie rzucił je na podłogę.

Detektyw podniósł pieniądze. Pięćdziesiąt dolarów to majątek, mała fortuna, ale liczyło się coś innego. Wyciągnął z Foster'a więcej informacji, niż się spodziewał. Propozycja tajemniczej pracy, jego słowa, zachowanie. Te obrazy także rzucały nowe światło na całą sytuację. Prosta wzmianka o „utracie” szwagra Mosesa mogła oznaczać zwykłą nieobecność członka zespołu, ale ton głosu, twarde i zimne jak lód spojrzenie Foster'a mówiły coś zupełnie innego.

Teddy nie żyje.

Do domu wrócili późnym wieczorem. Najpierw z klubu wyszedł Harvey, a wkrótce potem Joe i Heather. Droga powrotna upłynęła na rozmowie; dzielili się uzyskanymi informacjami oraz własnymi wrażeniami, opiniami na temat „White Elk Club”. Najważniejsze szczegóły zostały jednak wypowiedziane dopiero wtedy, gdy drzwi się zamknęły, a Harvey – z bronią w pogotowiu – obszedł cały budynek i sprawdził front oraz tył posesji.

– Nie – szepnęła Heather.

– Teoria sekty czy innego kultu wydaje się być odpowiednia – podsumował Joe, patrząc smętnie na resztkę kawy w filiżance. Wątpił, że zaśnie, więc postawił na kofeinę. Cóż innego mógł zrobić?

– Niestety. Foster, albo ktoś z tego klubu, porywa i zabija ludzi.

– Boże, to brzmi okropnie. Kto byłby zdolny do czegoś tak straszego?

– Ludzie są różni, Heather.

– No. Pan Casey, na przykład. Chleje, przeklina, nie dba o nic, ale dla siostry zrobiłby wszystko.

– A skoro o tym mowa... – ciągnął dalej Harvey – ...to udało się wam zorientować, czy była tam Dorothy?

– Nie.

– Tak.

– To znaczy? – zapytał rozbawiony. Joe zaprzeczył, Heather potwierdziła. Blondynka opowiedziała o jednej z tancerek. Początkowo nie widziała nic, co mogłoby wskazywać, że to akurat Dora czy też Dorothy, ale już po chwili udało się jej zauważyć pewne niepokojące szczegóły. Poruszała się inaczej. Była wyraźnie chudsza i choć skupiona na tańcu, to co i rusz wzrok kierowała w stronę obu stolików.

Przy jednym siedział Daugherty. Przy drugim oni.

Rozdział 20

Poniedziałkowy ranek był pochmurny i równie ponury, jak nastroje wszystkich związanych ze śledztwem. To, co początkowo brali za zwykłe zaginięcie, szybko przerodziło się w coś większego, znacznie bardziej skomplikowanego. A przecież ledwo co poruszyli temat czegoś, co kryło się w pensylwańskich lasach!

Harvey, Joe, Heather i Moses rozmyślnie unikali rozmów o nocy, jaką Sullivan spędził w lesie. Wszyscy wiedzieli, że coś tam spotkał, że coś widział, ale nikt tego nie ciągnął. Skupiono się na polanie, wiszących na gałęziach figurkach i na „White Elk Club”, a raczej na podejrzeniu, że to klub jest centrum tego wszystkiego.

Milczenie dotyczyło też losu Powella.

Harvey obiecał zająrzeć do Mosesa i sprawdzić, czy zaprzyjaźniony pijak dowiedział się czegoś na temat innych pijusów, mogących śledzić i obserwować Heather. Ciężarna natomiast miała się udać do szpitala – nie tylko z powodu rutynowych badań, ale także celem sprawdzenia, co z Darrow.

Bell musiał pracować.

Atmosfera w redakcji lokalnego tygodnika nie należała do zbyt przyjemnych; niedawne włamanie odznaczało się cieniem na pracownikach. Seymour, wściekły jak jeszcze nigdy, miotał się od biurka do biurka i krzykiem popędzał dziennikarzy do pracy.

Joe ścisnął nasadę nosa; kolejna kawa zeszłego wieczoru, nocy właściwie, nie była dobrym pomysłem. Zmęczenie i stres zbierały żniwa, a nade wszystkim miał teraz nad głową naczelnego domagającego się tekstów. Już, teraz, natychmiast.

Zajęty przepisywaniem notatek i ostatecznych wersji artykułów do formy, którą można bez problemu oddać do druku, słyszał tylko fragmenty rozmów. Oscar dyskutował z Clarkiem Wellingiem na temat jakiegoś zamieszania na obrzeżach miasta: w nocy niby doszło do włamania, rodzina jest w szoku, tymczasowo przenieśli się do krewnych, takie rzeczy.

Puścił to mimo uszu, ale kiedy Clark wspomniał, że nie ma ochoty fotografować sypialni młodej dziewczyny, Joe wyprostował się natychmiast. Przerwał pisanie i chociaż patrzył na stronicę w maszynie, nie uderzał w klawisze. Słuchał przez chwilę, a potem, zapalając papierosa, podszedł do rozmawiających. Przerwa to dobry argument do włączenia się w rozmowę.

Tym bardziej że temat włamań dotyczył i jego. Najpierw biuro szeryfa, potem redakcja...

– Włamali się gdzieś jeszcze? – zagaił.

– No, do Richardsonów. Późną nocą niby, okno sypialni ich córki poszło w drobny mak.

– Boże... Czy...? – Nie mógł powiedzieć nic więcej. Skojarzenia nasuwały się same. Milczenie jednakże wydawało się bardziej niż wymowne. Joe zbłądł. Clark kiwnął smutno głową.

– Trudno powiedzieć – zaczął Oscar. – Dziewczyna wyjechała wcześniej, więc tyle dobrego.

– Była na zebraniu DAR⁸ w Lock Haven – dodał Clark. – Mamuśka też miała jechać, ale chora jest i nie dała rady.

– Tak. Rodzice wpadli w panikę. Wiesz, sam bym tak zareagował.

– Do wujostwa się mają przeprowadzić, Stevens i Appleton muszą tylko z nimi pogadać, a ja mam zrobić fotki. Nie chcę. Jakoś... jakoś się tak brzydkę robić zdjęcia czyjejś sypialni.

– Ja mogę pojechać – zaoferował się Joe. – Podajcie mi tylko adres.

– Serio?

– A czemu nie? Wolę już fotografować sypialnię niż kolejne trupy – odrzekł gorzko.

– Lower Avenue sto jedenaście, zaraz przy skrzyżowaniu z Elm Road. Dasz sobie radę? – Bell nie odpowiedział. Zmusił się tylko do uśmiechu, miał doświadczenie jako fotograf, widział już miejsce zbrodni; ba, patrzył w twarze ofiar strzelaniny. Czymże było włamanie?

Tak przynajmniej to wyglądało z boku.

Prawda okazała się nieco inna. Joe zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji jak mało kto. Brał pod uwagę, że córka Richardsonów mogła zostać porwana. Co gorsza, zdawał sobie sprawę, że częściowo pasowała do profilu wiekiem. Nie miał pewności co do ciąży. Nazwisko nie widniało w żadnych dokumentach, do których się dokopał i on, i Harvey, ale, kto wie, może po prostu nie została jeszcze tam dopisana?

Kilka minut zajęło mu dotarcie do celu. Bell znał doskonale tę okolicę. To właśnie tam, na Elm Road, planował kupić dom dawno temu, gdy oświadczył się Heather. Cóż, czasy nastąpiły takie, a nie inne i musiał się zadowolić znacznie skromniejszym lokum na Appalachian Road, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Z aparatem w walizeczce wszedł do domu Richardsonów. Mijając zawieszony przy wejściu flagi kraju i stanu, skinął głową szeryfowi, zastępcy oraz ponuremu mężczyźnie, który musiał być gospodarzem i właścicielem zarazem. Szatyn przestępował z nogi na nogę i nerwowo palił papierosa, odpowiadając na pytania Stevensa. W tym samym czasie Appleton uważnie oglądał trawnik od strony sypialni córki.

Na mokrej od deszczu ziemi powinien bez problemu odnaleźć ślady.

– Panie Bell, prosiłbym o dyskrecję – odezwał się szeryf. – Znam Betty, to porządna dziewczyna, pamiętam, jak, o taka mała, się kręciła po mieście... Skoro musi pan zrobić te zdjęcia, to niech będą w dobrym guście, dobrze? Żadnego łóżka czy, nie daj Boże, niewymownych. Nic osobistego. Nie zaszło tu przecież nic złego, ktoś tylko wybił szybę. Jak mówił pan Richardson, nic nie zginęło, więc...

– Tak, szeryfie, wiem i rozumiem. Panie Richardson, nie zawiodę pana córki – odrzekł, kierując się do sypialni. Pokój, a właściwie pokoiok, okazał się maleńki. Ciasny, utrzymany w jasnych, ciepłych, kremowych barwach, z wąskim łóżkiem po jednej stronie, komodą, szafą i toaletką po drugiej. Ściany – podobnie jak na korytarzu – zdobiły portrety przodków.

Nie spiesząc się, przygotował aparat fotograficzny. Zastanawiał się, jak najlepiej wykonać fotografię; potrzebowali ilustracji do artykułu dotyczącego włamań i przypominającego o ostrożności, postanowił więc skupić się na wybitym oknie. Na resztkach szyb w ramie, na potrząskanym szkle, zalegającym na dywanie. Na śladach błota. Na trawniku na zewnątrz i widniejących w oddali drzewach.

Błysnął flesz. Potem kolejny. Joe miał już po raz trzeci uwiecznić na kliszy pokój Betty (która, jak podsłuchał, była dumą rodziców), gdy w ostrym blasku dostrzegł coś leżącego pod komódką. Coś błyszczącego. Początkowo wziął to za odłamek szyby, za kolejny fragment szkła, ale...

Rozejrzał się, czy nikt mu się nie przygląda. Appleton znajdował się na zewnątrz i wnioskując z jęków i przekleństw, chyba na kłęczkach. Stevens rozmawiał z Richardsonem.

Bell został sam. Wiedziony instynktem szybko się pochylił i wyciągnął nieduży, acz gruby zeszyt z metalową zapinką. To ona właśnie odbijała blask flesza; przeleciał wzrokiem stronicę. Z uśmiechem stwierdził, że znalazł pamiętnik Betty.

Wcisnął go szybko do kieszeni spodni, nie przejmując się tym, że gniecie papier. Miał zbyt wiele pytań, istniało zbyt wiele niewiadomych. A jeżeli Betty Richardson wróci po południu do Pine Hill i będzie szukała swojego pamiętnika, to jego brak zwali się na włamywaczy. Moses miał jednak rację: łamanie prawa zaczynało wchodzić dziennikarzowi w nawyk.

Znów błysnęło ostre światło.

Heather zamrugała kilka razy. To był odruch. Nie lubiła, gdy ktoś świecił jej latarką po oczach, nawet, jeśli tym kimś był lekarz. Doktor Young uśmiechnął się, kończąc badanie. Zapisał coś w karcie swojej pacjentki, co i rusz zerkając na przyszłą matkę, i zapalił papierosa, najwyraźniej zadowolony z przebiegu badania. Pani Bell miała trochę gorszy humor, ale cóż, nie da się nic zrobić. Przecież nie będzie jej badać kobieta!

– Wszystko w porządku? – zapytała dla formalności.

– Jak najbardziej, pani Bell. Za tydzień, no, może dwa, będzie pani mogła przyjść na oddział i w spokoju czekać na rozwiązanie. Chyba że woli pani urodzić w domowym zaciszu. Nie widzę żadnych przeszkód, ciąża przebiega prawidłowo, podręcznikowo wręcz.

– Uspokoił mnie pan.

– Od tego jestem – odparł z nieodłącznym uśmiechem. – Ma pani trochę za wysokie ciśnienie, ale zwałam winę na stres związany z ciążą i obecnymi warunkami, więc nie jest to nic, czym mogliśmy się niepokoić.

– Staram się nie denerwować za bardzo. – Odwzajemniła uśmiech, nie zdradzając tym samym powodu dla takiego stanu. Była przerażona. Bała się o męża, o przyjaciela, o siebie. Czekając ją rozmowa z pielęgniarką Darrow, która, wedle podejrzeń, należała do jakiejś sekty.

Nic więc dziwnego, że nie chciała od razu opuścić szpitala.

Snuła się korytarzami, rzekomo szukając koleżanki, też ciężarnej. Chwilę poplotkowała z pielęgniarskim o głupotach, pośmiała się z inną pielęgniarką, z pacjentką, która miała pecha i oblała się wrzątkiem, życzyła zdrowia choremu staruszkowi, aż w końcu wypatrzyła swoją „ofiara”. Kobietę w pielęgniarskim uniformie, której nie kojarzyła.

Stanley, ten niepoprawny plotkarz, potwierdził jej podejrzenia. Heather podziękowała więc za rozmowę i pospieszyła przed siebie. Kathryn Darrow była kobietą jej wzrostu, może trochę niższą, ale strasznie szczupłą, o ciemnych, kręconych włosach, ładnie i modnie upiętych pod pielęgniarskim czepkiem.

Nie wyglądała na kogoś, kto mógłby porywać i mordować ludzi.

– Panno Darrow? – zaczęła cicho, uprzejmie, zachowując dystans.

– Tak? Mogę w czymś pomóc, proszę pani? – Och, jaki miała piękny, obcy akcent!

– Mam taką nadzieję. – Wzięła głęboki oddech. – Możemy porozmawiać na osobności? Jak kobieta z kobietą? Chciałam powiedzieć lekarzowi, ale... kobieta lepiej zrozumie kobietę. – Ponownie zaakcentowała potrzebę prywatnej rozmowy z dala od niepożądanych oczu. W duchu liczyła na to, że Darrow się ugnie i zgodzi, ale wcale nie czułaby się źle, gdyby

odmówiła. Nie podobała się jej ta pielęgniarka. Miała wrażenie, że jest w niej coś przerażającego. I nie chodziło wcale o zabandażowaną dłoń.

– Mam akurat chwilę, a karty mogą poczekać... Proszę. – Zgodziła się, choć niechętnie. Och, ten akcent! Im dłużej mówiła, tym przyjemniej się słuchało jej zachrypniętego głosu; zaskakujący kontrast między jej spojrzeniem, zachowaniem.

– No to... och, nie wiem jak zacząć... Chodzi o mojego męża – zaczęła powoli, ale od razu przerwała, tak by Darrow mogła sobie dopowiedzieć resztę. Wpadła na ten pomysł razem z Joe późną nocą. Ich małżeństwo, ba, pożycie nie miało żadnych problemów, więc nie bez trudu wymyślili kilka.

Innych niż kłótnie, rzecz jasna.

Weszły do jednego z gabinetów zabiegowych, małego pokoiku śmierzącego jodyną, pełnego przeszklonych szafek i metalowych oraz drewnianych mebli. Heather przycupnęła na łóżku, jedną rękę kładąc na brzuchu. Odczekała jeszcze chwilę i gdy Darrow zamknęła drzwi, kontynuowała.

– Słucham.

– Boję się, że nie spełniam swoich obowiązków jako żona – powiedziała cicho, spuszczać wzrok. Serce waliło jej jak oszalałe. Wszystko zależało teraz od słów pielęgniarki: od tego, co powie i jak się zachowa. Plan był prosty: Heather miała zdobyć zaufanie tej podejrzanej kobiety, a potem wyciągnąć z niej tyle, ile tylko się da.

Darrow uważnie przyjrzała się Heather; w dłoni ciągle trzymała długopis, zaczęła się nim bawić.

– Och, z pewnością pani spełnia.

– No tak, dbam o dom, gotuję, sprzątam, ale chodzi mi o... o czysto fizyczny wymiar pożycia. – Nie sądziła, że tak trudno przyjdzie jej wypowiedzieć tych kilka słów. Zarumieniła się nawet, ale pielęgniarka tylko się uśmiechnęła.

– Ach, teraz rozumiem, przepraszam.

– W tym miesiącu my... ani razu i ja... – urwała, choć nie było to prawdą. Na początku października współżyli kilkakrotnie. Krócej niż zwykle, a potem zresztą Heather była obolała, ale, cóż, było im dobrze.

– To nic dziwnego. Cięża jest dla organizmu większym ciężarem, niż można sobie wyobrazić. Ruch higieny społecznej jest pani znany, pani Bell? Zresztą mamy gdzieś tutaj ulotki organizacji ASHA⁹ i chociaż są sprzed kilku już lat, to ciągle warto się z nimi zapoznać.

– To pomoże?

– Z pewnością nie zaszkodzi. Wiedza zawsze się przydaje i pomaga, powiedziałabym nawet, że wiedza jest potęgą, którą zbyt wielu lekceważy.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Och, to ja przepraszam, nie ma pani wykształcenia takiego jak ja i... no, w każdym razie te ulotki przydadzą się jako wstęp do miłości greckiej, francuskiej. Znane są pani te pojęcia?

– Nie, pierwszy raz je słyszę. – Heather zaprzeczyła ruchem głowy.

– Cóż, chodzi o seks analny i oralny – kontynuowała, mimo coraz większych rumieńców na twarzy Heather. – To może brzmieć dość wulgarnie czy nawet obrzydliwie, może się kojarzyć z najtańszymi domami uciech czy podłymi burdelami, ale proszę mi wierzyć, mężczyźni w stanie podniecenia są gotowi na znacznie gorsze rzeczy... Wystarczy tylko dbać o higienę jamy ustnej oraz odbytu, by małżonek odczuł satysfakcję. Biorąc jednak pod uwagę pani stan

oraz nadchodzące rozwiązanie, a także połów, wydaje mi się, że jedynie te dwie opcje wchodzi w grę..., a w trakcie połogu tylko seks oralny. Chyba że zaprowadzi pani męża do prostytutki, by tam mógł sobie ulżyć, nie narażając pani na utratę zdrowia. Odradzałabym tylko „White Elk Club”. Niby tancerki świadczą usługi, ale nie raz i nie dwa mieliśmy przypadki syfilisu. – Swoboda, z jaką mówiła Darrow, coraz bardziej krępowała Heather. Ale, na litość, przecież ona nie była dziewicą! Znała swoje ciało, ciało swego męża, była w ciąży!

I jeszcze ten klub!

– Słucham? Co ma z tym wspólnego „Elk”? – Nie eksperymentowali w łóżku. Nie widzieli w tym celu, sensu. Pojęcia, których użyła Darrow, brzmiały obco i tajemniczo, nieprzyjemnie wręcz, a mimo to nie przykuły uwagi Heather tak bardzo, jak wzmianka o tym przeklętym klubie.

Pielęgniarka ściągnęła brwi, tak jakby zrozumiwała prawdziwe intencje ciężarnej.

– Niech pani i pani mąż unikają tego klubu. Dla własnego dobra.

– Nie rozumiem, czy „Elk” jest... Czy to dom publiczny?

– Coś gorszego, pani Bell. Chciałabym powiedzieć więcej, ale proszę mi uwierzyć, im mniej pani wie, tym lepiej. Niech się pani trzyma blisko męża i myśli o dziecku, dobrze? Pani zdrowie jest teraz najważniejsze.

– Proszę mi powiedzieć, o co chodzi. – Heather nagle zmieniła taktykę. – Wiem, że coś jest nie tak z tym klubem, z ludźmi, którzy tam pracują. – Zniżyła głos do szeptu, licząc, że przykuje tym uwagę pielęgniarki. Nie przeliczyła się. Darrow westchnęła. Rzuciła okiem w stronę drzwi, czy są na pewno zamknięte i czy nikt się nie zbliża, po czym usiadła obok blondynki.

– Kochanie, myślisz, że coś wiesz? – zaczęła, ujmując jedną dłoń Heather. Ścisnęła lekko, uśmiechnęła się łagodnie.

– Nie rozumiem...

– Otóż to. Nie rozumiesz. Nie wiesz. To jest sprawa, która przerasta zwykłych ludzi. Ciebie, twojego męża. Nawet mnie, ale ja miałam tę wątpliwą przyjemność, że poznałam trochę tamtą stronę i wiem mniej więcej, co muszę zrobić. Zostawcie to, póki jeszcze możecie. To są niebezpieczni ludzie, nie cofną się przed niczym.

– O czym pani mówi, panno Darrow?

– To są źli ludzie, pani Bell – powtórzyła, mocniej akcentując słowa. – Tylko tyle mogę powiedzieć teraz, tutaj. Jeśli naprawdę... podkreślam, naprawdę chce pani wiedzieć więcej, to proszę przyjść do mnie jutro z samego rana. Mam akurat wolne, więc będę mogła wyjaśnić więcej – odrzekła, wychodząc na moment. Gdy wróciła, trzymała w dłoni ulotkę ASHA.

Zapisała na niej swój adres.

– Bój się Boga, Harvey! – zawołał oburzony ojciec Owens. – W co ty się wplątałeś? Sekta? Kult? W Pine Hills? Przecież to śmieszne! Od zawsze żyli tutaj kwakrzy, protestanci, może i amisze, luteranie, katolicy... że o Żydach nie wspomnę. Ale jakiś kult? Odwracasz się od Pana?

– Niech ksiądz ze mnie nie drwi.

– Nie drwię.

– Więc proszę mi powiedzieć, czy wie ksiądz coś o sektach. – Sullivan nie dawał za wygraną. Siedzieli obok siebie w jednej z ław w kościele Świętego Jana i od dobrych kilku minut rozmawiali o tym samym. Harvey mówił o sektach, ksiądz zaprzeczał, by coś takiego istniało w tym miasteczku.

– Och, Boże mój, sekta to grupa wiernych, jeśli tak można powiedzieć, zwyczajowo powstała wokół schizmy bądź jakiegoś kultu. To wszystko.

– Chrześcijaństwo było kiedyś sektą?

– Z punktu widzenia innowierców można tak powiedzieć, ale dlaczego pytasz, Harvey? Co ty robisz? Czy to ma jakiś związek z Patricią?

– Niech ksiądz odpowie na moje pytania. – Zakaszał. Teraz był pewien, musiał się przeziębicić podczas feralnej przygody w lesie.

– Harvey, Harvey. – Kapłan pokręcił głową. – Sekty nie są jak każda religia. To coś innego, złego. Błuznierczego, bym powiedział nawet. W kontaktach z sektą, z jej członkami, trzeba zachować szczególną ostrożność. Mogę poszukać, czy mamy na plebanii jakieś książki, opracowania teologiczne dotyczące tego zagadnienia, ale nie wiem, czy o to ci chodzi. Nie chcesz mi nic powiedzieć.

– Nie mogę. Proszę mi zaufać i niech ksiądz poszuka tych książek. Byłem w bibliotece, ale nic nie mają, a bibliotekarz, pan Holland, dziwnie na mnie patrzył, gdy go pytałem. Może ojciec Hayden miał coś w swoich prywatnych zapiskach? – zasugerował detektyw, nawiązując do poprzedniego kapłana i jego bogatej kolekcji dokumentów na temat parafian. Ojciec Owens pokręcił z niesmakiem głową, ale nie mógł odmówić pomocy.

Gestem zachęcił Sullivana, by poszedł za nim. Wspólnie przekopali się przez niewielką, kościelną biblioteczkę, wyszukując materiały związane z tematyką sekt i kultów. Pierwsze źródło, czyli Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, odłożyli na bok. To było zbyt oczywiste, dlatego zawartymi tam informacjami postanowili zająć się później.

Potem sięgnęli po dzienniki ojca Haydena, bardziej z obowiązku niż z nadziei na odkrycie czegoś ważnego. Pomniejsze książki i podręczniki związane z katechazą i nauczaniem tylko przejrzeni. Nieco więcej uwagi przykuły kopie encyklik: Divini Redemptoris papieża Piusa XI, wydana w marcu zeszłego roku, a także znacznie starsze papieża Leona XIII: Quod apostolici muneris oraz Humanum genus. Problem w tym, że wszystkie zapisano po łacinie, a Harvey nie miał pojęcia o tym języku. Znał tylko parę słów, jeszcze z czasów szkolnych.

Ojciec Owens przeciwnie. Władał tym językiem biegle.

Obiecał, że przeczyta wszystkie trzy encykliki i jutro z rana streści ich zawartość, jeśli będzie tam cokolwiek godnego wzmianki – dzienniki ojca Haydena pożyczył jednak detektywowi. Sullivan, nie mając nic więcej do roboty, wrócił do swojego domu, do kamienicy w centrum, by po raz pierwszy od dłuższego czasu przysiąść przy własnym biurku i tam pogrążyć się w lekturze.

Późnym popołudniem, wieczorem prawie, Harvey był zmęczony i wyczerpany psychicznie. Zgłębianie prywatnych zapisków ojca Haydena okazało się najzwyczajszym marnowaniem czasu; nie znalazł tam nic, co mogłoby w jakikolwiek sposób pomóc. Zrezygnowany detektyw ruszył więc do swojego przyjaciela, szukając nie tylko wsparcia, ale chwili wytchnienia. A także, do czego jednak nie chciał się przyznać nawet przed samym sobą, liczył na coś ciepłego i smacznego. Uwielbiał kuchnię Heather. Blondynka była jedną z lepszych, jeśli nie najlepszą spośród wielu kucharek, które poznał.

Jeszcze stojąc pod drzwiami, słyszał ich krzyki.

Zamarł przerażony z ręką na kaburze colta wiszącego pod pachą, nasłuchując. Jak się na całe szczęście okazało, to była po prostu kolejna małżeńska kłótnia. Odetchnął z ulgą i zastukał, przerywając im tę burzliwą dyskusję. Od tego w końcu są przyjaciele, prawda?

[8](#) Daughters of the American Revolution, organizacja non profit zrzeszająca potomkinie kobiet walczących o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

[9](#) American Social Hygiene Association, organizacja non profit zajmująca się poprawą zdrowia społecznego oraz edukacją seksualną.

Rozdział 21

– A Casey?

– Pewnie leży gdzieś pijany.

– Miał sprawdzić, czy jego kumple od kieliszka wiedzą coś o...

– Tak, wiem, Harvey – uciął gorzko Joe. Nie patrzył ani na siedzącego obok przyjaciela, ani na obrażoną żonę na tylnej kanapie forda. Wzrok miał utkwiony nad kierownicą, w lśniącym od nocnego deszczu asfalcie. Teraz, rankiem, tylko trochę mżyło. Nie wiało, więc październikowa pogoda aż tak bardzo nie dokuczała.

Wieczór i noc nie należały do przyjemnych.

Małżeństwo miało problem: pierwszy tak potężny, prawdziwy kryzys. Harvey nie chciał zbytnio w niego wnikać i robił, co mógł, by załagodzić sytuację, nie opowiadając się po żadnej ze stron, ale niezbyt mu to wyszło. Joe był wściekły, że Heather rozmawiała sam na sam z Darrow; pielęgniarka wiedziała zbyt dużo, do tego sugerowała jego żonie rzeczy tak obrzydliwe i przystające jedynie kobietom lekkich obyczajów, że najchętniej to zdjąłby pasa i po prostu nauczył obie rozumu i dobrego wychowania.

Heather z kolei, unosząc zaczepnie brodę, co i rusz podkreślała, że jest dorosła i wie, co robi. W końcu wyciągnęła informacje! Umówiła się na spotkanie z kobietą, która – być może – była ogniwem łączącym wszystko i wszystkich. Joe nie chciał puścić jej samej. Wziął nawet wolny dzień w pracy, narażając się na gniew naczelnego.

A dodatkowo przeczytali pamiętnik, który ukradł Bell. W prywatnych zapiskach Betty Richardson pojawiły się tylko dwie ważne informacje. Betty była w ciąży, ale nie chciała urodzić dziecka; zdecydowała się na aborcję. Pomóc jej miała – o zgrozo! – Darrow. Fakt, że ojciec dziecka to George Loebb Junior, nie budził żadnych podejrzeń, ot, młody chłopak i młoda dziewczyna, zakochani; wszyscy znają tę historię.

Drugą informacją było jednak wspomnienie klubu. Jeden, jedyny raz Betty weszła do środka. Nie mogli jednak ot tak przypuścić szturm na klub czy powiadomić szeryfa. To coś było zbyt skomplikowane, a fakt, że jeden z zastępców (co najmniej jeden!) okazał się przestępcą, przekreślał taką możliwość.

Musieli teraz odwiedzić kościół Świętego Jana i ojca Owensa. Sprawdzić, czy Moses Casey jest cały i zdrow, czy – znów – ktoś spuścił mu łomot. Dopiero potem mieli odwiedzić dom Kathryn Darrow.

Sullivan przeprosił małżeństwo i wysiadł z forda, spiesząc do kościoła. Gdy znajdował się przy wejściu, obrócił się i spojrzął w stronę samochodu: Joe i Heather nie patrzyli na siebie. Chyba będą ich czekać tak zwane ciche dni trwające przynajmniej do porodu. Potrząsnął głową, rad, że jego ostatni związek zakończył się w Pittsburgu dobrych siedem, osiem lat temu.

– Proszę księdza? – zawołał, maczając palce w kropielnicy. Wykonał znak krzyża, upadł na kolano i na moment pogrążył w modlitwie, prosząc Boga o siłę w walce ze złem i cierpliwość oraz spokój dla swoich przyjaciół.

– Tutaj, Harvey – odpowiedział kapłan, wychodząc z bocznej nawy. Zdmuchnął zapałkę; za plecami widniała słaba, czerwonawa poświata świec.

– Nie jestem za wcześniej?

– Skądże, wstając skoro świt. Zaraz przyniosę notatki. Nie ma tego dużo, niestety. Encykliki w znacznej mierze dotyczą grozy, jaką niosą sekty bolszewizmu oraz masonerii, a chyba nie o to ci chodziło...

– Przyjmę wszystko.

– Gdybyś powiedział mi tylko więcej...

– Nie mogę – uciął twardo, na co ksiądz tylko pokręcił w zadumie głową. Chwilę później przyniósł detektywowi luźny plik kilkunastu odręcznie zapisanych kartek, za które Sullivan podziękował i przeprosił za kłopot. Wychodząc ze świątyni, przeleciał wzrokiem streszczenie papieskich pism.

Ojciec Owens miał jednak rację. Niewiele z tego mogło się im przydać. Jeszcze mniej mogło pomóc w sprawie Patty, która – co z żalem musiał przyznać Harvey – zapewne nie żyła.

– I jak? – zapytał Joe, gdy Sullivan w końcu usiadł.

– Kiepsko. Coś o bolszewikach, komunistach, masonach.

– „White Elk Club” nie wygląda na siedlisko komunizmu ani masonerii? – zagadnęła siedząca z tyłu Heather.

– Ty się lepiej nie odzywaj.

– Bo co? Pomagam wam!

– Narażasz się!

– Ja was proszę... Nie teraz. Jedź do tego czarnego pijaka.

Ten „czarny pijak”, jak nazwał Mosesa Harvey, nie zmrużył oka. To, czego dowiedział się od Freda, wstrząsnęło nim do żywego. Gdy cała trójka weszła do budynku, Heather pisnęła ze strachu. Zastali go siedzącego na podłodze w łazience, płaczącego. Obok leżał rewolwer.

Harvey od razu zabrał broń, przeczuwając najgorsze; smith & wesson wylądował poza zasięgiem czarnoskórego.

– Oni ją zabili – szepnęła, gdy blondynka zapytała, czy wszystko w porządku. Te trzy słowa były jedynym, co udało się wyciągnąć z czarnoskórego zrozpaczonego mężczyzny. O dziwo, wyglądał na trzeźwego. Nie pił, nie ziajał alkoholem. Nie chciał nawet wstać, odtrącał wyciągnięte dłonie.

– Oni? To znaczy kto? Panie Casey?

– Oni ją zabili – powtórzył trochę głośniejsze.

– Ta sekta?

– „Elk”?

– Oni ją zabili! – krzyknęła. To pierwsza reakcja, jaką udało im się z niego wydobyć. Heather odskoczyła wystraszona. Joe i Harvey westchnęli ciężko; liczyli się z tym, że porwana, Ruth Smithee, może być martwa tak samo jak wszystkie inne, ale teoria to jedno. Mieć potwierdzenie tych słów jednakże...

– Cóż, możemy chyba wywnioskować, że ten, z kim pan Casey rozmawiał, zabił jego siostrę i śledził ciebie, Heather.

– O Boże.

– Panie Casey... – mówił dalej Harvey – ...proszę wstać. Potrzebujemy pana. Jedziemy porozmawiać z Darrow, przyda się każda pomoc.

– Ufasz mu? – zapytał szczerze zdziwiony Joe.

– A mam wybór? Oprócz was ufam księdzu, Pearl Flynt i temu pijakowi. Potrzebujemy każdej pary rąk, jeśli mamy cokolwiek zdziałać. Ksiądz pomaga, jak może, ale dzieciaka nie będę narażał. Tu już nie chodzi tylko o zaginione kobiety!

Sullivan miał rację. Chodziło o coś znacznie, znacznie poważniejszego, a gdy w końcu udało im się zapakować pogrążonego w apatii do forda – Heather nie miała oporów, by siedzieć razem z nim z tyłu samochodu – pojechali pod wskazany przez ciężarną adres.

Georgetown Avenue oddzielała biedniejszą część Pine Hills od tej bogatszej; nieformalna granica, gdzie po jednej stronie znajdowały się schludne i zadbane budynki z imponującymi werandami, a po drugiej podupadające piętrowe czyszówki i popadające w ruinę opuszczone już domostwa. Dalej już tylko Mercy Street, a to już prawdziwa tragedia.

Zaczęło padać, gdy ford zjechał na pobocze. Koła stuknęły cicho, wjeżdżając na krawężnik.

– Trzyście trzyście – odczytała Heather, patrząc na ulotkę ASHA. – To chyba tam. – Wskazała tanią, odrapaną czyszówkę. Na schodach siedziała gromadka wyrostków, nie robiąc sobie nic z padającego deszczu. Harvey poprawił kapelusz, skinął głową kierowcy i wysiadł pierwszy.

– Panie Casey, idzie pan z nami? – zapytał, ale nie doczekał się odpowiedzi. Wzruszył więc ramionami i przeszedł na drugą stronę ulicy, do dzieciaków. Joe natomiast otworzył drzwi swojej żonie: zwykły gest uprzejmości, czy świadectwo, że tymczasowy kryzys ma się ku końcowi?

– Chodź.

– Może grzeczniej?

– Heather... – jęknął, ale pomógł wsiąść ciężarnej żonie. Blondynka uśmiechnęła się lekko. Szła z mężem pod rękę. Harvey właśnie kończył rozmawiać z dziećmi i jako pierwszy wszedł do środka. Wkrótce potem cała trójka stanęła przed drzwiami na końcu korytarza, przy oknie wychodzącym na tył budynku.

– Panno Darrow? – zapukała Heather. – To ja, pani Bell!

Cisza.

– Może jej nie ma?

– Sama zaproponowała czas i miejsce!

– Panno Darrow, jest pani tam? – Tym razem knykciem w drewno uderzył Harvey. Męski głos w połączeniu z nieco gwałtowniejszym dobijaniem się do drzwi zadziałał. Zgrzytnął zamek, potem drugi, a w końcu skrzypnęły zawiasy. W wąskiej szczelinie pojawiła się niewyspana twarz kobiety.

Podejrzliwie przyglądała się obu mężczyznom, ale gdy dostrzegła towarzyszącą im blondynkę, odetchnęła z ulgą. Zamknęła prędko drzwi, zadzwieczał zdejmowany łańcuszek. Moment później weszli do małego, ciasnego mieszkanka, urządzonego wręcz spartańsko.

Znajdowały się tu tylko dwa pomieszczenia – skromniutka kuchnia, do której wchodziło się bezpośrednio z korytarza, i jeszcze mniejsza sypialnia. Oprócz absolutnie niezbędnych mebli nie znajdowało się tam nic. Żadnych kwiatów, obrazów, zasłon, dywanów. Tylko kurz, bardzo dużo kurzu, stos brudnych naczyń w zlewie, góra papierosów w popielniczce na parapecie oraz jeszcze więcej kurzu.

Chociaż, jak się lepiej przyjrzeć, to nie patrzyli na kurz.

Harvey kucnął i podejrzliwie przyglądał się szarawemu proszkowi. Moment później gwałtownie się wyprostował, przerażony. Wokół drzwi, na podłodze i ścianie oraz przy oknach

widniały wymalowane jakąś brunatną farbą skomplikowane, ale bardzo małe wzorki, znaczki, a od spoglądania na nie czuł nieprzyjemne mrowienie u podstawy czaszki.

– Bardzo pana proszę, niech pan tego nie dotyka – powiedziała cichym, zachrypniętym głosem Darrow. – Dla swojego i mojego dobra. Pani Bell, jak zdrowie?

– Dziękuję, dobrze. Panno Darrow, to mój mąż, Joseph i przyjaciel rodziny Harvey Sullivan.

– Wiem.

– Wie pani?

– Nie przypominam sobie, byśmy zostali przedstawieni – uciał Harvey, zdejmując kapelusz. Joe postąpił podobnie. Cofnęli się o krok, obserwując, jak Darrow dokładnie sprawdza korytarz i zamyka wszystkie zamki, a potem poprawia cienką linię szarego proszku rozsypaną w progu. Podobne cudo widniało na parapecie każdego z okna wraz z tymi upiornymi szlaczkami.

– Znamy się ze szpitala – odparła, wskazując brodą na Heather i jej męża. – A pana, cóż, poznałam poprzez znajomego zastępcę szeryfa. Herbaty? Kawy nie pijam, wolę ziołowe napary, a zielona herbata pomaga na...

– Panno Darrow, wczoraj mówiła pani, że wytłumaczy wszystko i wyjaśni...

– I tak zrobię, liczyłam jednak, że przyjdzie pani sama. Herbaty? – Nie pozwoliła jej dokończyć. Powtórzyła z uśmiechem propozycję, ale nikt nie skorzystał. Wzruszyła więc ramionami i sama poszła do kuchni, gdzie już po chwili w czajniczku bulgotała woda.

– Mówiła pani mojej żonie różne dziwne rzeczy w szpitalu.

– I kazała jej przyjść. To było dość nierozsądne – dodał cicho Harvey. – Wiemy, że znikają kobiety w ciąży. Są związane z „White Elk Club” i ze szpitalem, a dokładniej mówiąc, z panią.

– Ze mną? – zapytała zaskoczona, odwracając się od kuchenki. Bez szpitalnego mundurka, bez pielęgniarskiego czepka, z rozpuszczonymi włosami, w starym zielonkawym swetrze i luźnej brązowej spódnicy nie wyglądała na kogoś groźnego, niebezpiecznego. Jej szok był bardziej niż prawdziwy: po raz pierwszy ta kobieta jawiła się jako ktoś bezradny, zaskoczony. Jak, nie przymierzając, sarna stojąca na autostradzie i patrząca w reflektory nadjeżdżającego samochodu.

– Tak – potwierdził Joe. Harvey zrobił krok do przodu.

– Wiemy, że jest pani członkinią sekty z „White Elk”. Wiemy, że pani bądź pani towarzysze porywają... i najpewniej mordują... ciężarne kobiety. Panno Darrow, czy ma pani coś na swoją obronę wobec tych oskarżeń? Bo jeśli nie, to z przyjemnością stwierdzę, że jest pani aresztowana. – Sullivan znał mnóstwo formułek, prawnych kruczków, wiedział, na co może sobie pozwolić i na co niekoniecznie.

Rozpiął płaszcz, rozchylił go.

Nie musiał wyjmować colta. Sama świadomość, że ma pistolet, powinna wystarczyć. Nie spodziewał się jednak takiej reakcji: Kathryn uśmiechnęła się szeroko, a potem zaczęła śmiać. Gromki śmiech trwał dobrą chwilę, budząc nielichą konsternacją zgromadzonych.

– Och, pani Bell... – odezwała się w końcu, ocierając pojedynczą łzę z kącika oka. – Mówiłam w szpitalu, że nic pani nie wie, ale nie sądziłam, że jest aż tak źle. Jest nawet gorzej. Tu nie chodzi o brak wiedzy... Wy po prostu nie zrozumieliście. Popełniliście błąd. Ogromny błąd.

– Tak jak Powell, gdy dał mi w łeb?

– Tak – zgodziła się. – Może się źle wyraziłam, prosząc, by Larry odsunął pana od tej sprawy, albo on źle mnie zrozumiał. Nie wiem, ale nie chciałam, by stała się panu krzywda.

Nie chcę, by ktokolwiek cierpiał. Nie jestem złą kobietą, wbrew pozorom. Dlatego prosiłam Freda, by panią śledził, dla pani własnego dobra. Pani Bell, proszę usiąść, nie może pani tak stać.

– Słucham? – zapytała zbita z tropu Heather, ale szybko skierowała się do samotnego krzesła stojącego przy oknie w kuchni. Jej mąż stał w miejscu, równie zagubiony, co zakłopotany. Jedynie Harvey patrzył na Darrow spode łba, nie chcąc ryzykować.

– Panno Darrow... o co tu chodzi?

– Trudno to wytłumaczyć w kilku prostych słowach. Macie jednak rację, w klubie działa sekta – powiedziała nonszalancko, nalewając wodę do porcelanowego imbryczka. – Kult Matki, mówiąc ściślej, ale to szczegóły, detale, którymi nie musicie... nie powinniście zaprzętać sobie głów.

– Skąd pani o tym wie? Może to wszystko to spisek mający na celu zwabienie nas w jedno miejsce i pozbycie się, tak jak wcześniej próbował Powell?

– Panie Sullivan, ja pana proszę... nie chcę was oszukać, wykorzystać. A już na pewno nie chcę was skrzywdzić! Prędejj poproszę was o pomoc... A wiem, że to sekta, bo z czymś podobnym już miałam do czynienia.

– Miała pani do czynienia z sektą? – dopytywał się Joe. Z jednej strony chciał pobiec do żony i ją przytulić, z drugiej najchętniej wyjąłby z kieszeni nieodłączny notes i zaczął wszystko zapisywać. Raz jeszcze jego dziennikarski instynkt wziął górę.

– Z kultem, tak. W Luizjanie, w parafii Tensas, pięć... nie, sześć lat temu, a wcześniej, w dwudziestym dziewiątym, w Kentucky, w hrabstwie Muhlenberg. To inne kulty, niezwiązane z tutejszym, tak mi się przynajmniej wydaje. Tych sekt jest mnóstwo. Są wszędzie, jedne ukrywają się lepiej, inne gorzej.

– A pani je zwalcza?

– Może pan sobie kpić, panie Sullivan, ale ja wiem, co widziałam. Są rzeczy, na widok których ludziom włosy stają dęba, a serce próbuje wyrwać się z piersi. Tutaj jest podobnie. Ciescie się, że nie widzieliście tego, co ja, bo... – urwała, patrząc uważnie na Sullivana. Harvey zbladł, słysząc jej słowa. Noc, którą spędził w lasach, natychmiast do niego wróciła.

Darrow się uśmiechnęła, ale nie był to uśmiech perfidny, szyderczy. Współczuła mu.

– Rozumie pan, panie Sullivan – stwierdziła z żalem. – Ale jeśli nie jesteście jeszcze przekonani... Cóż, pozwólcie, że coś wam pokażę. – Upiła łyk herbaty i przeszła do sypialni; tam, spod łóżka, wyciągnęła niewielkie pudełko. Przeniosła je na kuchenny blat i otworzyła, ukazując sypką, czarną niemalże ziemię i leżący nań powykrzywiany sztylet z rączką z rogu jelenia.

– Nóż. Trochę dziwny, przynaję, ale co to ma wspólnego z... – zaczął Joe, ale Darrow uciszyła go gestem.

– Wiecie, kiedy otwarto „White Elk”? Wtedy wszystko się zaczęło. Zniknęła pierwsza kobieta, potem druga, trzecia... Po paru miesiącach napisała do mnie Shirley, moja przyjaciółka, że dzieje się coś złego. Zanim zdołałam dowiedzieć się więcej, bo byłam już w drodze do Pine Hills, biedna Shirley zniknęła. Nie mogłam tego tak zostawić, więc zaczęłam sama szukać, węszyć, a mam w tym wprawę i... Na początku tego roku lub pod koniec zeszłego jeden z muzyków został... no, z braku lepszego określenia, niech będzie opętany. Gdy go znalazłam, miał przy sobie to... i drewniany fetysz, tak zwany łapacz.

– Boże – pisnęła Heather. Nikt nie wiedział, czy mogą ufać Darrow, zwłaszcza po jej ostatnich słowach. Przyznała się przecież, że to ona nasłała Lawrence'a na Sullivana! To ona kazała pijakowi śledzić Heather! Znała Shirley, co więcej, to na jej prośbę przyjechała z Luizjany. Ten nóż jednak zdawał się idealnie pasować do pochwy znalezionej w domu znanego im pijaka, a drewniany fetysz, o którym Darrow wspomniała... Joe natychmiast podszedł do żony i ujął jej dłoń.

– Opętany? Ale kto? Jak? Przecież... o Boże, panno Darrow, pani chyba nie mówi o...

– Theodor Smithee, tak.

Rozdział 22

Zapadło milczenie. Wszyscy patrzyli na Kathryn nie tyle zszokowani, co wprost przerażeni.

– To szaleństwo. Przecież to tylko trębacz!

– Szaleństwo? Można tak powiedzieć, panie Bell. Ludzie zdrowi na umyśle nigdy by się do tego nie posunęli.

– Ale... nie ma pani żadnych dowodów! Przecież Stevens albo stanowi wyśmieją panią – oponował Harvey.

– Was też wyśmieją.

– Zaraz... Czy Casey nie wspominał, że jego szwagier woził się po Stanach? – wtrącił nagle Joe. Harvey ściągnął brwi, próbując sobie przypomnieć właściwą rozmowę. Zbladł po chwili, gdy zdał sobie sprawę, że pośród niezliczonego bełkotu ten pijak naprawdę im pomógł.

– I niby wtedy miałyby...

– Nawet Larry był niechętny do współpracy i gdyby nie to, że stracił ojca i był... no, w kiepskim stanie... powiedzmy, że ledwo udało mi się go przekonać. Smithee był ważną osobą, może nawet najważniejszą, ale trzeba zdusić cały kult, inaczej wszystko pójdzie na marne. Odrodzi się nawet z pojedynczego członka.

– To co pani proponuje? Zlinczować wszystkich? Powiesić na drzewie i problem zniknie?

– To jedyne wyjście.

– To absurd.

– Niedobrze mi – jęknęła Heather. – Nie mogę tego słuchać, to jest... Boże, to obrzydliwe, co wy mówicie. Tu chodzi o ludzi!

– Pani Bell, strasznie panią przepraszam, że musi pani tego słuchać, ale sama pani zaczęła ten temat. Proszę się nie denerwować, dobrze? Jeśli poczuje się pani słabo, proszę mi natychmiast powiedzieć. Połóżymy wtedy panią do łóżka, otworzymy okno.

– Smithee i pozostali porywali te wszystkie kobiety...? Czyli Betty nie wróciła ze spotkania DAR... – zaczął Joe, ale nie musiał kończyć. Darrow zaśmiała się krótko.

– Panna Richardson? – przerwała mu. – Och, Boże, nie! Betty żyje i ma się dobrze. W ogóle nie pojechała do Lock Haven.

– Jak to nie pojechała?

– To gdzie ona jest?

– U pani Arethy – odpowiedziała spokojnie Kathryn. – Wraca do siebie. Podczas terminowania ciąży trafiłam na... pewne komplikacje, ale zapewniam, że jest cała i zdrowa. Nikt jej w każdym razie nie porwał, nie skrzywdził.

– Faktycznie... Pisała o tym w swoim pamiętniku – powiedział Joe bardziej do siebie niż do kogoś innego. Darrow z uśmiechem kiwnęła głową, zgadzając się z jego słowami.

– Nie wiem, czy teraz kogoś porwali, do pełni brakuje kilku tygodni. Rytuałne mordy, mające na celu wzmocnienie Matki i zesłanie jej błogosławieństwa oraz otwarcie wrót między rzeczywistościami, muszą się odbywać co miesiąc, w trakcie pełni. Próbowałam zepsuć rytuał, złamać krąg i zerwać więzy, ale nie macie państwo pojęcia, jak ciężko jest coś takiego zrobić.

– Czy... czy ta Matka... – Harvey próbował skierować rozmowę na znane mu, acz odsunięte głąboko w zakątki umysłu tory. Coś, co widział w lasach, co go ścigało, zbyt mocno pasowało

do tej upiornej rozmowy.

– Nie. To, co pan widział, panie Sullivan, to jedynie jej manifestacja. Ożywienie martwoty i zgnilizny czerpiące fizycznie z tego, a duchowo z tamtego świata. W tych lasach jest chory punkt, pusty i martwy, dzieło sekty właśnie. Próbowałam to wykorzystać dla własnych celów, zamienić w pułapkę, by spętać tę... tę manifestację. Nie udało się nam, nie wiedzieć czemu.

– Nam? To kto jeszcze oprócz pani walczy z tą sektą?

– Fred Baldrige, Ephraim Holland i Walton Whiskers.

– Ephraim? – szepnęła przejęta Heather.

– Był jeszcze Paul, ale biedaczysko nie żyje, a Larry wyjechał, więc... mam ograniczone środki. A „Elk”... No, Foster ma mnóstwo ludzi. Kilku udało nam się odstrzelić, że tak to eufemistycznie określe, ale...

– Ma pani nas, panno Darrow – odezwał się po chwili Harvey. – Jeśli jest szansa, by pozbyć się tej sekty...

Moses siedział w samochodzie, nie mając ochoty wyjść na zimne, październikowe powietrze. Nie czuł takiej potrzeby. Stracił rodzinę. Został sam, a jeśli wszystko dalej będzie szło w tym tragicznym kierunku, to prędzej niż później straci dach nad głową. Miał jeszcze alternatywę w postaci rewolweru szwagra; jeśli nie będzie odwrotu, palnie sobie w łeb. Problem w tym, że ten detektyw, Sullivan, zabrał mu broń w domu Ruth. Niby dla bezpieczeństwa. Tłumaczył, że lepiej być przygotowanym na najgorsze. Casey żałował, że nie odebrał mu rewolweru, bo coraz częściej rozważał użycie go w jedyny odpowiedni sposób, ale zawsze się reflektował. Niby nie widział ciała siostry, nie wszystko więc stracone, ale słyszał od kolejnych osób, że jego siostra nie żyje, że został sam...

Tak po prawdzie, to mógł ufać tylko sobie.

Mijał kolejny kwadrans. Casey rozważał, czy nie opuścić wozu, gdy – w końcu! – z budynku wyszła ciężarna blondynka. Była blada i czymś przerażona; jej mąż szedł tuż obok i obejmował ją, prowadząc do samochodu. Za nimi kroczył ten detektyw, a obok niego jakaś niska, chuderlawa kobieta w grubym, wełnianym płaszczu. Rozmawiali o czymś szeptem i już po chwili zniknęli za rogiem.

– Panie Casey, strasznie pana przepraszam – zaczął Joe, siadając za kierownicą. – To wszystko, co pan mówił... no, to tylko początek. Ale ma pan moje słowo, nie spocznę, póki sprawiedliwości nie stanie się zadość. Heather, kochanie, jak się czujesz?

– Chcę do domu, Joe.

– Nie zostawię cię samej. Nie teraz.

– O czym ty pieprzysz, pismaku? – warknął Moses, patrząc to na dziennikarza, to na ulicę. Zza budynku wyjechał właśnie chevrolet. Błysnął światłami raz i drugi, i pomknął w dół ulicy. Joe uruchomił silnik i ruszył za nim.

– Nie wiem. Sam już nie wiem, o czym pieprzę, panie Casey.

Kolejne krople deszczu rozbijały się o szyby samochodu. Ford jechał niespiesznie za chevroletem; Joe trzymał się blisko Kathryn, nie wiedząc jednakże, dokąd tak naprawdę jadą. Darrow wspomniała coś, że muszą się spotkać w dawnym kinoteatrze, ale nie był do końca przekonany. Budynek, stary nickelodeon, mieścił się na Main Street, odkąd tylko Bell pamiętał. Jeszcze przed kryzysem regularnie tam bywał; ba, to tam spędził mnóstwo czasu ze znajomymi i jeszcze więcej randek z Heather.

Na początku lat trzydziestych kino zostało zamknięte. Czy naprawdę prawie w samym środku miasteczka mieściło się centrum operacyjne opozycji tej sekty? Czy to po prostu jeden z wielu opuszczonych budynków, w którym Kathryn spotykała się z zaufanymi jej ludźmi?

– Kino? – prychnął Moses, widząc wyłączony z użytku gmach.

– Kino – powtórzył Joe. Chevrolet Darrow zaparkował od frontu, więc to samo zrobił Bell. Kathryn jako pierwsza pospieszyła w stronę wejścia, Harvey szedł tuż za nią z jedną dłonią pod płaszczem. Joe, Moses i Heather ruszyli wkrótce potem.

Nickelodeon sprawiał smutne wrażenie. Ściany, z których odchodził tynk. Zamknięte grubym łańcuchem drzwi. Okna zabite deskami, na których ktoś – młodzież najpewniej – wymalowała farbą obsceniczne hasła.

Nie potrzebowali klucza.

Darrow otworzyła niedomkniętą kłódkę, zdjęła luźny, trzymający się chyba tylko na słowo honoru łańcuch i zaprosiła wszystkich do środka. Wnętrze nie wyglądało lepiej; ba, dopełniało obrazu nędzy i rozpaczony starożytności, zapomnianego teatru.

Wszędzie zalegał kurz i wisiały pajęczyny, tapety w wielu miejscach odchodziły płatami od ścian, odsłaniając gołe cegły i kruszącą się zaprawę. Dywany, jeśli nie zostały zwinięte, wyblakły i stały się schronieniem dla maleńkiego robactwa. Schody zamieniły się w śmiertelnie niebezpieczne pułapki, skrzypiące przy każdym, najlżejszym nawet ruchu. Lampy oraz żyrandole zniknęły, stłuczone, zniszczone lub skradzione – w ich miejscu widniały tylko plamy wosku lub resztki świec, a w kątach widniały śmieci po dzikich lokatorach.

Heather wzdygnęła się. Moses zacisnął mocno szczękę, widząc Freda. Stał pod ścianą, tuż przy walizkach, popalając papierosa. Dalej siedział bliżej nieznanym przysadzisty jegomość z bokobrodami i ręką na temblaku, a w jednym z ostatnich foteli pogrążony w lekturze wąsaty okularnik. Bibliotekarz.

– Przepraszam, że musieliście tak długo czekać... – zaczęła Kathryn – ...ale mam dobre wieści. Mamy sojuszników. Przedstawiciel prasy, Joe Bell, i jego żona, detektyw Harvey Sullivan z Pittsburgha oraz Moses Casey.

– Czarnuch.

– Coś ci nie pasuje, grubasie? – warknął Moses, robiąc krok w stronę tego z bokobrodami. Mimo ręki na temblaku wyglądał dość groźnie, najgroźniej ze wszystkich zgromadzonych. Oprócz detektywa, ma się rozumieć, ale Sullivan stanowił wyjątek. Miał przecież zaplecze wojskowe, pracował u Pinkertona. Heather doskonale wiedziała, że Walton nie skrzywdziłby muchy. Po prostu wyglądał jak niedźwiedź.

– Nie czas ani miejsce na kłótnie. Mamy wspólnego wroga – wyjaśniła spokojnie Kathryn. – Kult z „White Elk Club”.

– Jaki kult? O co, do cholery, tu chodzi?

– Pański szwagier nie był sobą, został opętany, panie Casey – wyjaśnił pokrętnie Harvey. Czarnoskóry pijak odczuwający skutki braku alkoholu we krwi parsknął śmiechem. Nie wierzył w ani jedno wypowiedziane słowo. Kult? Opętanie? Co to za religijne pierdoły?!

– Teddy?

– Tak, on. Pan Smithee został... no, zarażony gdzieś w Nowym Jorku albo Nowym Orleanie, nie wiemy dokładnie gdzie, ale nie ma to wielkiego znaczenia – ciągnął temat bibliotekarz, pan Holland. Dłonie miał poparzone, a ruchy niezgrabne, wymuszone, powolne, ale starał się, jak mógł. Odchrząknął i z jednej z walizek leżących w kącie wyjął kilka papierowych teczek.

– Nie, Ephraim, to nie będzie potrzebne – przerwała mu Darrow. – Rozmawiałam z panem Sullivanem. Przeprowadzili własne śledztwo, wiedzą dość. Jediną niewiadomą stanowi część związana z kultem, rytuały i nasz plan.

– Chcecie ich zabić? – szepnęła Heather.

– Polemizowałbym, proszę pani. Chcemy usunąć chorą tkankę rosnącą w zdrowym społeczeństwie – odparł okularnik, uśmiechając się przepraszająco. Nie tak dawno pomagał jej wybrać książkę dotyczącą historii, sztuki. Heather jako jedyna z całego towarzystwa wydawała się niezbyt przekonana co do słuszności tych działań. Bała się, oczywiście, przerażała ją groza roztaczająca się wokoło „Elk”, ale nie mogła nic z tym zrobić.

Fred otworzył kolejną walizkę. W środku znajdowała się broń. Rewolwery, strzelby. Niezbyt dużo, ot, by wystarczyło dla każdego. Ten niewielki arsenał musiał ich zadowolić, jeśli chcieli własnoręcznie pozbyć się kultu. Bo, jak już zostało wspomniane, stróżom prawa nie można ufać.

– Jak mówiłam, chcę was prosić o pomoc. Potrzebuję... potrzebujemy waszej pomocy. Jest nas za mało, a ostatnie starcie z kultem zakończyło się dość tragicznie. Strzelanina przy tartaku...

– Wiedziałem! – wykrzyknął Joe, zapominając się na moment.

– Tak, panie Bell. Fred, Paul i Walton brali w niej udział. Paul zginął, a Walton został ranny. Jak mówiłam, zabiliśmy paru tych... tych kultystów, reszta siedzi w klubie. Liczę, że pan Sullivan i pan Casey, a także Fred i Walton zaatakują „White Elk” któregoś wieczoru. Najpierw jednak musimy spętać to coś, co się kryje w lasach. Pan, panie Bell, razem z żoną i Ephraimem pomożecie mi w przygotowaniach do rytuału. Nie dzisiaj oczywiście, takie działanie wymaga odpowiedniego planu i przygotowania. Mimo wszystko to nie będzie nic trudnego, ale...

– Paniusiu, w rzyci mam, co tam sobie pierdolisz pod nosem, ale ja chcę tylko znaleźć moją siostrę. Szwagier mnie gównu obchodzi, może i leżeć schlany w rynsztoku, ale Ruth...

– Pana siostra nie żyje – powiedziała współczującym głosem Kathryn.

– Co?

– Nie cierpiała za bardzo. Zrobiłam wszystko, co mogłam, by nie przedłużyć jej męża i by rytuał został odpowiednio poprowadzony.

– Ty... ją zabiłaś? Ruth nie żyje... bo ty ją zabiłaś, dziwko? Ty głupia, biała kurwo! To była moja siostra! Moja mała siostrzyczka! – wrzasnął, rzucając się do przodu. Zanim ktokolwiek zdolał zareagować, czarnoskóry dopadł do walizki z bronią, wyszarpnął rewolwer i strzelił w stronę Darrow.

A przynajmniej próbował. Zamiast ogłuszającego huku nastąpił tylko suchy trzask. Iglica nie trafiła w spłonkę, tylko w pustą przestrzeń. Ten rewolwer, a pewnie i wszystkie pozostałe bronie, nie miał amunicji. Sullivan i Fred dopadli czarnoskórego awanturnika i szybko go spacyfikowali; Harvey wykręcił mu ramię i odebrał rewolwer, policyjną trzydziestkę ósemkę. Frederick przytrzymał szarpiącego się mężczyznę, by nie zrobił niczego głupiego. Heather pisnęła ze strachu, Joe stanął przed żoną, a Ephraim i Walton zasłonili własnymi ciałami Kathryn.

– Spokojnie! – zawołała. – Nie ma amunicji, pociski leżą w pudełkach, Larry o to zadbał. Pan Casey może najwyżej rzucić we mnie tym rewolwerem, nic mi nie zrobi. Fred, proszę, puść go. Panie Sullivan, niech mu pan tak nie wykręca ramienia, bo jeszcze zerwie mu pan ścięgna albo coś gorszego się stanie.

– Ty głupia cipo! Zabiję cię, rozumiesz? Zapierdole! Jak psa! – Casey krzyczał i przeklinał, próbując uwolnić się z ramion dwóch zdrowych, silnych mężczyzn.

– Panie Casey!

– Moses, litości! Uspokój się!

– Przepraszam, panie Casey, naprawdę, ale musiałam. Nie miałam innego wyjścia. Była w ciąży z Theodorem, nosiła jego dziecko, stanowiła idealną ofiarę. Dopełnienie całości, jeśli mogę tak powiedzieć. Rytuał...

– W dupie mam rytuał, ty biała kurwo! Zabiłaś moją siostrę! – Nie dawał za wygraną. Nie zwracał nawet uwagi na swoje ranne ramię, cały czas próbował wyrwać się, uwolnić. Ephraim, wyraźnie poruszony, podszedł do nie mniej wzburzonego małżeństwa Bellów i wszystko im dokładnie tłumaczył, wyjaśniał. Co to za rytuał i dlaczego musieli posunąć się do czegoś tak okrutnego, jak morderstwo ciężarnej kobiety.

I w sumie dobrze zrobił, bo Heather bladła coraz bardziej, obserwując zamieszanie. Joe pomógł jej usiąść w starym, kinowym fotelu, podczas gdy Kathryn i reszta starała się uspokoić wzburzonego czarnoskórego mężczyznę. W gruncie rzeczy mówili o tym samym, tylko z innego punktu widzenia.

Darrow opowiadała o poświęceniu i niezbędnej ofierze. Ephraim...

– Smithee umarł już dawno – stwierdził w końcu. – Dosłownie. Wyglądał jak on, ale nie był sobą, nosił w sobie cząstkę... no, czegoś innego. Manifestacji, o! Pani Ruth stała się niewinną ofiarą, ale nosiła w swoim łonie coś złego. Musicie zrozumieć, że kult porwał i mordował kobiety, by nasycić Matkę esencją matek i ich dzieci. My zabiliśmy panią Ruth, by jej krwią naznaczyć łapacze i spętać tę... tę matczyną manifestację na dobre.

– Ale coś się nie udało – uciął krótko Joe, ściskając mocniej dłoń żony.

– No tak. Nie wiem co. Wszystko wykonaliśmy dobrze, zgodnie z zapisanymi regułami. Zamiast przelać jej krew do ziemi, martwej i pustej, i tak dalej, przelaliśmy ją do łapaczy. Do pułapek, jeśli wolicie takie określenie.

– Jezu... – jęknęła Heather, chowając twarz w dłoniach. Nie chciała tego słuchać.

– Co poszło nie tak? – powtórzyła pytanie Darrow, kucając przed blondynką. – Nie wiem. Nikt nie wie. Wszystko przeprowadziliśmy tak, jak to robił Teddy Smithee i reszta kultu, ale... jak wspomniał Ephraim, inaczej wykorzystaliśmy krew. – Ostrożnie ujęła dłoń Heather i sprawdziła jej puls, po czym się odetchnęła z ulgą.

– Może właśnie o to chodzi? – zasugerował Joe.

– Panie Bell, co pan sugeruje? – zapytał Ephraim, poprawiając okulary. – Krew została pozyskana w odpowiedni sposób.

– Odpowiedni do odpowiedniego rytuału. To znaczy, wiecie, jest jakieś wydarzenie, na podstawie tworzy się notatkę prasową, spisuje reportaż, inaczej pisze się luźny felieton. A mimo wszystko to ciągle jest pisanie, ale różni się formą. Treścią. Sposobem wykorzystania.

– O mój Boże – jęknął Ephraim, gdy zrozumiał użytą analogię.

– I właśnie dlatego jesteście potrzebni – odparła zadowolona Kathryn. – Już wskazaliście nam błędy w naszym postępowaniu. Zatem... mamy wtorek... w środę zaczniemy działać.

– Tu nie chodzi już o Patty czy Ruth – włączył się do rozmowy Harvey.

– Nie – zgodziła się Darrow.

– Wszystkim tym porwanym kobietom należy się sprawiedliwość.

– A... co, jeśli nie uda się? Jeśli „Elk”... no, jeśli ta sekta, ten kult... – zaczęła słabym głosem Heather.

– Nie mam pewności... – zaczęła bibliotekarz – ...ale najprawdopodobniej manifestacja Matki zamieni Pine Hills w to samo, co jest w lesie. Pustą, martwą przestrzeń, gdzie wszystko gnije i umiera. Potem przyjdzie pora na hrabstwo Clinton, na stan... – mówił dalej Ephraim, wspierając się swoimi notatkami. Harvey jako jedyny w tym gronie widział, czym jest owa martwica. Wzdrygnął się na samo wspomnienie.

Spojrzał na Mosesa siedzącego na podłodze starego, nieczynnego kina; Fred stał obok niego, paląc papierosa i pilnując czarnego awanturnika. Związali mu ręce kawałkiem taśmy filmowej, by nie rzucał się i nie zrobił nikomu – sobie też – krzywdy.

Błona nie była szczególnie wytrzymała, ale skoro Casey miał jedną rękę uszkodzoną...

– Dobrze! – Kathryn klasnęła. – Jak mówiłam, jutro zaczynamy. Do pełni niby jest dużo czasu, ale jeśli jeszcze kogoś porwali...

– I jeśli nie zabili, to pewnie przetrzymują biedaczkę w klubie – dokończył Harvey.

– Nie możemy ot tak wbić do „White Elk Club” i wystrzelać wszystkich – oburzył się Joe. – Tam są niewinni ludzie!

– Jest pan tego pewien, panie Bell? – zapytała cicho Darrow.

– Ona ma rację, Joe – szepnęła Heather. – Pamiętasz, jak ta tancerka na nas patrzyła? A jak pan Casey mówił, jak go potraktowali kucharze i inni, gdy szukał szwagra? Nawet Harvey...

– Najważniejsze jest spełnienie tej manifestacji – rzucił Ephraim, przypominając o ważnym problemie. – Potrzebujemy ofiary.

– Powoli, wszystko po kolei. Teraz tylko rozmawiamy, jutro zaczniemy działać. Na początek manifestacja, rytuał, ofiara, spełnienie. Walton, ty, pan Casey i pan Sullivan zajmiecie się ofiarą, dobrze? Może spróbujcie kupić jakieś zwierzę. Koza, krowa, coś dużego. – Kathryn odliczyła na palcach, po czym wskazała na trzech mężczyzn. Dwóch z nich skinęło głowami, jedynie Moses burknął coś w odpowiedzi. Nie wydawał się zadowolony z takiego obrotu spraw, ale cóż, nie miał wyboru. To wszystko i tak przekraczało już jego możliwości poznawcze.

Tym bardziej że i Harvey stał się częścią czegoś większego. Jak już wspomniano, nie chodziło o Patty, o Ruth.

– Fred, ty i Ephraim pojedziecie na miejsce rytuału i wszystko przygotujecie. Tym razem bez szat, masek, może i nawet bez krzyża. Spróbuję wyrwać się ze szpitala jak najszybciej i do was dołączę, ale jeśli nie zdążę, macie zrobić to sami. Panie Bell, pani Bell, muszę was prosić, żebyście obserwowali „White Elk Club”. Foster, muzycy, kucharze, kelnerki, tancerki... Wszystko się liczy.

– Wpuszczą nas w dzień?

– Jest pan dziennikarzem, czyż nie? Weźmie pan aparat, notes i zrobi swoje. Nie odmówią. Nie mogą.

– No dobrze – zgodził się. Niechętnie, ale się zgodził.

– Brzmi prosto.

– Nielsen pewnie wie, która krowa się ocieliła, prawda, panie Casey? – zawołał do czarnoskórego.

– Pierdol się, pismaku.

– Zgoda, panno Darrow – szepnęła Heather.

– Za porwania ciężarnych kobiet odpowiada „Elk”. – Darrow zapaliła papierosa. – My to wiemy, wy to wiecie. Mówię to tylko dlatego, żeby nie doszło do żadnych nieporozumień, niedopowiedzeń. To są źli ludzie, okrutni. Wykorzystują innych do swoich celów, których niestety nie rozumiemy. Wszyscy musimy zachować ostrożność.

– Chcą czegoś od Matki – dodał Ephraim. – Nie wiemy, kim albo czym jest ta Matka. Wiadomo tylko tyle, że istnieje od bardzo, bardzo dawna. Może od zawsze nawet, a plac w lesie, ta goła polana i pień, to wejście do jej domeny, oględnie mówiąc, przez który się przesącza i zatruwa okolice. To jak plaga, rozleje się wszędzie – wyjaśniał dalej.

– Ephraim, opowiedz o rytuale. Wszyscy muszą doskonale wiedzieć, co trzeba robić.

Rozdział 23

To był dziwny dzień.

Cały wtorek, od rana aż do późnego popołudnia, spędzili w starym i nieczynnym już kinie. Dyskutowali o wszystkim: od tego, kim naprawdę jest Kathryn Darrow, poprzez jej znajomość z Shirley Carlson, aż po otwarcie „White Elk Club” i pierwsze zaginięcie. Potem porównywali swoją wiedzę, dzieląc się nieznanymi wcześniej szczegółami i uzupełniając braki. Tłumaczono, czym są rytuały, jak wyglądają, co mają na celu.

Moses Casey kolejny raz się poderwał, próbując zaatakować Darrow, gdy ta opowiadała, jak włamali się do domu, jak porwali Ruth i Teddy’ego. Jak Smithee został zastrzelony na miejscu, a jego ciało porzucone na łaskę i niełaskę zwierząt w lesie. Wspominano rytuały, jakie miały miejsce w ostatnich tygodniach: jeden, w którym ciało Teddy’ego zostało zabezpieczone, drugi, w którym życie straciła Ruth i jej dziecko, oraz trzeci, w którym próbowano spętać tę przeklętą manifestację. Wskazano na detale, które umknęły Sullivanowi. Lista zaginionych osób rosła i rosła, sięgając hrabstw Potter, Lycoming, Centre i Clearfield, zataczając coraz cieższe kręgi, aż w końcu pracownicy... kultyści „White Elk” trafili właśnie tutaj.

Do Pine Hills.

Teraz bladym, deszczowym świtem Harvey czekał przed swoją kamieniczką, aż przyjedzie po niego Whiskers. Noc z wtorku na środę spędził, nie zmrzywszy oka, ale gdy tylko dostrzegł półciężarówkę forda, starą, wysłużoną, pordzewiałą, lecz idealną do realizacji czekającego ich zadania, zmęczenie zniknęło.

Sullivan nigdy by nie wpadł na to, że Walton, ten groźnie wyglądający, przysadzisty jegomość z bokobrodami, fan kina, jest w gruncie rzeczy człowiekiem spokojnym, miłym, lecz walczącym z sektą, kultem. Wyrzucił końcówkę papierosa, poprawił fedorę i bez entuzjazmu wsiadł do samochodu. Jego uraz względem tych maszyn przegrał z niechęcią do narażania zdrowia. I tak był przeziębiony, a dłuższe przebywanie na deszczu mogło tylko pogorszyć jego stan.

Planowali podjechać do Nielsena. Moses miał spędzić noc u konowała; nikt nie chciał zostawiać czarnoskórego furiata samego, nie teraz, gdy wiedział, kto zabił jego siostrę. Jak się przecież okazało, Darrow jest zbyt ważna. Zbyt cenna, by ryzykować jej śmierć z rąk zapijaczonogo, wściekłego brata ofiary.

Potrzebowali jednak ludzi takich jak on, do brudnej roboty, nie mogli wybrzydzać. Kiedy więc zajechali przed dom Nielsena, ten już na nich czekał. Garbił się pod parasolką i palił papierosa; Moses stał przy drzwiach domu, ponury, zły i skacowany.

– Dzień dobry, panie Nielsen! – zawołał Sullivan, z ulgą opuszczając wnętrze półciężarówki. Postawił natychmiast kołnierz płaszcza, chroniąc się przed jesiennym deszczem. Walton nie opuszczał jednak samochodu, siedział tylko za kierownicą i czekał. Robił za kierowcę, nic więcej.

– Nie dla każdego dobry, panie Sullivan – zaczął gorzko Nielsen. – Moses mi pół nocy przepłakał, a drugie pół chłał, jak jeszcze nigdy. Aż dziwne, że w ogóle stoi na nogach.

– Rozumiem go, panie Nielsen. Bardzo mu współczuję, ale cóż, pewnych rzeczy się nie da cofnąć.

– A o innych nie chcę nawet wiedzieć. Loebb ma krowy, jedna powinna się pod koniec przyszłego tygodnia ocielić, ale nie wiem, czy ją sprzeda. Mleczna krowa, no i sam cielak, to nie są tanie rzeczy, panie Sullivan.

– Mam pieniądze – uciął krótko. To prawda, miał pieniądze. Kathryn dała mu sto dolarów; w jednej z walizek w starym nickelodeonie znajdował się jej majątek. Cokolwiek robiła w Luizjanie, czymkolwiek się zajmowała, okazało się zajęciem bardziej niż opłacalnym.

– No to powodzenia w targowaniu. Stary Loebb jest chciwy jak żydowski lichwiarz, panie Sullivan. – Tymi słowami felczer pożegnał znajomych i otrzepawszy parasolkę z deszczu, zniknął wewnątrz swojego domu. Moses niechętnie usadowił się między Waltonem a Harveyem, zdusił na ustach kilka przekleństw i spróbował opanować żołądek.

Miał kaca, mdłości i nosił żalobę po siostrze.

W ciągu kilku minut dotarli na farmę Loebba. George i jego syn, George Junior, mieli jedną z mniejszych farm, łącznie posiadali może z pół tuzina krów i drugie tyle owiec. Już z daleka widzieli obszerne stodoły i obory, gdzie zwierzyzna nocowała i spędzała zimniejsze miesiące; całość dodatkowo otaczała ściana z pół kukurydzy i niski płotek zwieńczony, nie wiedzieć czemu, drutem kolczastym.

Moses burknął coś pod nosem, że nie wyjdzie z wozu. Cała rozmowa, proces negocjacji i targowania się o krowę spadł więc na barki dwóch zupełnie nienawykłych do tego mężczyzn: detektywa z wielkiego miasta i kiniarza. Casey obserwował wszystko, siedząc w ciepłym i suchym wnętrzu półciążarówki, pogrążony w ponurych myślach skupionych wokół śmierci. Zarówno śmierci swojej siostry, której nie widział, jak i śmierci Kathryn, której pragnął teraz bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. Wiedział, że zemsta nie przywróci Ruth życia, może go kosztować jego własne, ale czuł, że należy tak zrobić. Pociągnął nosem, walcząc z przemożną chęcią wybuchnięcia płaczem.

Kilkanaście minut później dało się słyszeć żalosne muczenie krowy.

Casey obrócił się na kanapie. W stronę półciążarówki zmierzało trzech mężczyzn i czarnobrzowe, tłuste krówsko, machając z irytacją ogonem. Zapakowanie zwierzęcia stanowiło istną drogę przez mękę. Loebb, Whiskers i Sullivan męczyli się i starali, ale uparte zwierzę nie chciało współpracować, nie chciało wejść po prowizorycznej rampie, tak odmiennej przecież od tych, do których się przyzwyczało.

Czarnoskóry zaśmiał się triumfalnie, widząc skazane na porażkę kolejne podejścia mężczyzn, ale w końcu zdecydował się im pomóc. Swego czasu miał do czynienia z krowami. Krótko, bo krótko, ale miał. No i wspólnymi siłami czterech chłopca zdołało zmusić krowę do wejścia na pakę półciążarówki.

Przy wtórze żalosnego ryku ruszyli Oak Road, opuszczając miasto. Harvey poczuł ukłucie lęku; nie dalej jak kilka nocy temu spędził tutaj pełne grozy chwile, na wspomnienie których robiło mu się słabo. Wymacał wiszącego pod pachą colta; wątpił, by pistolet pomógł w starciu z tym... tym czymś, tą manifestacją, ale obecność broni palnej go uspokajała.

Tym bardziej że miał przy sobie jeszcze rewolwer odebrany Mosesowi.

Daleko za Pine Hills, w cieniu pensylwańskich drzew, Fred i Ephraim pracowali w pocie czoła. Automobil bibliotekarza, chrysler z dwudziestego siódmego, to prawdziwy złom i ledwo zdołał się dotoczyć na tę przeklętą polanę. W dodatku został obciążony ponad miarę; na tylnej kanapie i w kufrze ucepionym tylnego zderzaka znajdowały się deski, skrzynka z narzędziami, dwie łopaty, łom, gruby zwój liny, łańcuch o drobnych oczkach, kanister

z benzyną, kilka paczek zapalek, walizka z bronią znana z nickelodeonu, kartony z książkami oraz notatkami i mnóstwo innych rzeczy, które dla kogoś nieobeznanego – jak choćby Fred – wyglądały jak dziecięce zabawki albo zwykłe śmieci. Potłuczone cegły i kamienie pełne dziwnych znaczków. Puszki z farbą. Pędzle. Pudełka wypełnione sypkim proszkiem. Gliniane miseczki, ceramiczne naczynia, drewniane sztuce. Pojedyncza, złowrogo wyglądająca maska. A to tylko część ładunku.

Nie przejmowali się deszczem. Cieszyli się, że pada. Stali zmęczeni i spoceni, rozgrzani ponad miarę, a zimne krople cudownie ochładzały ich wyczerpane ciała. Pracowali w milczeniu, zachowując zdrowy dystans od niepozornego pniaka i czarnej, sypkiej niby popiół ziemi dokoła.

Postawili krzyż, pochylony, z wykrzywionymi ramionami i szczytem, na którym spoczęła właśnie osmolona, zwierzęca czaszka.

– To jest niezbędne? – Fred patrzył na kości zdeglustowane.

– Tak – odparł zmęczonym głosem Ephraim, zdejmując okulary i wycierając twarz z deszczu. – Szaty i resztę tej teatralnej otoczki możemy sobie darować, Kathryn sama na to nalegała, ale czaszka musi być. To łącznik, coś w rodzaju drutu telegraficznego, jeśli wolisz, między naszą rzeczywistością a...

– Dobra, daruj sobie. – Machnął ręką, żałując, że poruszył temat. Rozmawiać: to wszystko, co mogli teraz robić. Przygotowali teren pod rytuał, sprawdzili kilkakrotnie zawieszane na drzewach drewniane łapacze, ale bez ofiary, biednej krowy, nie mieli nic więcej do roboty.

Wrócili do chryslera, chroniąc się przed deszczem. Fred wyciągnął spod kanapy piersiówkę i napił się, opróżniając chyba połowę zawartości. Ephraim podziękował gestem, nie chcąc tłumić umysłu alkoholem. Musiał zachować trzeźwość tak długo, jak to tylko możliwe. Pogrzeżył się w lekturze notatek, tak swoich, jak i tych sporządzonych przez Kathryn, jeszcze sprzed wielu, wielu miesięcy, z Luizjany.

Powtarzał pod nosem słowa błuźnierczej modlitwy i pieśni; zapisano je fonetycznie, bo nikt nie potrafił odczytać tego dziwnego, nieludzkiego języka. Nie mógł jednak popełnić żadnej pomyłki. Z tego, co mówiła Darrow, wystarczy nawet źle zaakcentowane słowo, by wszystko obróciło się przeciwko nim.

Gdyby coś poszło nie tak, to ktoś musiał przejąć rolę kapłana.

Zresztą musieli się liczyć z faktem, że Darrow po prostu nie będzie im towarzyszyła. Pracowała w szpitalu, nie mogła ot tak się urwać z pracy. Ephraim musiał więc wiedzieć, co mówić, jak, kiedy, jakie gesty wykonywać. Ze wszystkich osób związanych z tą sprawą – a Joe, Heather, Harvey i ten czarnoskóry, Moses, byli przecież powiązani – to właśnie on, skromny bibliotekarz z małej wypożyczalni, wydawał się najbardziej pasować do tej roli.

Fred zerkał co i rusz na okularnika, ale się nie odzywał.

Spędzili w milczeniu ponad pół godziny. W tym czasie deszcz przybrał na sile i bębnił coraz mocniej o karoserię chryslera; ciemny, syпки piasek zamienił się w lepkie, grząskie błocko, a pień, ten rytualny ołtarz, zmieniał barwę z brudnej, rdzawej, na czarną. Wtedy do uszu mężczyzn – kultystów, w gruncie rzeczy, ale członków opozycyjnego kultu, jeśli tak można by rzec – dotarł stłumiony warkot zbliżającego się samochodu.

Fred zareagował natychmiast i z walizki leżącej na tylnej kanapie wyszarpanął strzelbę. Winchester, podobnie jak rewolwery i reszta broni, nie miał amunicji; ta leżała bezpiecznie

w pudełku. Szybko załadował kilka pocisków, przesuwając łóżem tam i z powrotem, i wyszedł z wozu na deszcz.

Wycelował w gąszcz, gotów odeprzeć atak ludzi z „White Elk”. Po chwili jednak, z nieukrywaną ulgą, opuścił luźną. Uśmiechnął się nawet, bo pośród drzew dostrzegł znaną mu półciężarówkę. Walton wraz z detektywem zbliżali się do miejsca rytuału, a sądząc po dodatkowych, tak niepasujących do lasu odgłosach, mieli pasażera.

Krowę.

Joe zrezygnował z kawy; od rana nie mógł sobie znaleźć miejsca. Kofeina pomagała, oczywiście, ale dziennikarz miał pewność, że nawet jedna filiżanka mogła się okazać bardzo szkodliwa. Rozpierała go energia, czuł zdenerwowanie i lęk, a nade wszystko jeszcze żona nie chciała go słuchać. Uparta.

Kłócił się z nią przez blisko kwadrans, a w końcu wymierzył jej policzek. Cios nie za mocny, ale dostatecznie silny, by podkreślić argumenty męża – mimo to żona nie dawała za wygraną.

Zdecydowała, że pójdzie z nim do „White Elk Club”. Bell miał przeprowadzić wywiad z pracownikami: kucharzami, kelnerkami, tancerkami i barmanami, może nawet z samym Fosterem, rzekomo dla gazety i ukazania sukcesu klubu w tych trudnych czasach. Prawdziwy cel dziennikarza to po prostu udokumentowanie wszystkiego, zanim wpadnie tam Sullivan i reszta.

Joe wszedł więc do swojego forda i już, już miał odjechać, gdy dosiadła się Heather. Blondynka rzuciła mu pełne nienawiści spojrzenie. W milczeniu pojechali do klubu.

Na ulicach Pine Hills panował niewielki ruch. Łącznie może z pół tuzina samochodów sunęło tam i z powrotem, no i pojedyncza, samotna furmanka, ze smutnym i zmęczonym koniem zmierzająca na obrzeża miasta. Pieszycy mijali jeszcze mniej; tak zimnej jesieni nie zanotowano od lat. Ludzie woleli siedzieć w domach, w ciepłe, w spokoju.

– Chodź – powiedział do żony, otwierając jej drzwi. Heather burknęła coś w odpowiedzi i powoli wyszła na deszcz. Poprawiła kapelusik, rozłożyła parasolkę i czekała, aż jej mąż wystawi ramię. Stanowili mimo wszystko małżeństwo. Mogli się kłócić, ale się kochali i zrobiliby dla siebie wszystko.

Joe zatrzymał się przed głównym wejściem do „Elk”. Drzwi zastali zamknięte, a kilkakrotne próby nawiązania kontaktu zakończyły się tylko obolałymi knykciami. Bell nie mógł jednak zrezygnować, więc pomny słów Kathryn i Harveya skierował się na tyły budynku, ciągnąc za sobą Heather.

Drzwi prowadzące do kuchni stanęły otworem już po chwili.

– Czego? Zamknięte przecież – warknął stojący tam mężczyzna. Ciężarna cofnęła się o krok, widząc jego nienawistne spojrzenie. Coś zobaczyła w jego oczach, coś... obcego.

– Joseph Bell, „Hills Telegraph”. To moja asystentka, panna Isaacs. Wiem, że mają państwo zamknięte, właśnie dlatego przyszedłem. Nie ośmieliłbym się przeszkadzać w godzinach pracy! Chcę napisać artykuł dotyczący pasma sukcesów w tych niepewnych socjoekonomicznych czasach, „White Elk” jest w końcu jedynym z nowo otwartych lokali, który odniósł taki sukces i utrzymał się na rynku. – Przedstawił siebie i Heather, używając jej

panieńskiego nazwiska, wyjaśnił, po co przyszedł, i uśmiechnął się szeroko, licząc na dobrą wolę szeregowego pracownika klubu.

Ślodził, jak tylko potrafił. Heather milczała, ale uśmiechała się ładnie i uprzejmie, starając się wypaść jak najlepiej w roli asystentki. Nie rzucało się w oczy, że jest w ciąży; miała na sobie duży, szeroki płaszcz, luźny sweter i obszerną spódnicę, wszystko w łagodnych odcieniach brązu i granatu.

Mogła wyglądać najwyżej jak dziewczucha, która sięgnęła po ubrania starszej siostry bądź matki. Kucharz – lub pomocnik kucharza – obrzucił stojących przed nim ludzi poirytowanym wzrokiem.

– Prasa? – zapytał. Podejrzliwie przyjrzał się małżeństwu, ale nie dostrzegł w nich nic niepokojącego. Nie widział też obrączek. Heather miała rękawiczki, Joe podobnie; pogoda sprzyjała takiemu kamuflażowi.

– Tak, prasa. Możemy wejść? Proszę, niech pan nas wpuści od frontu, nie będziemy przeszkadzać ludziom ciężko pracującym w kuchni – kontynuował Joe, uśmiechając się szeroko, jowialnie. Robił, co tylko mógł, by ukryć prawdziwy cel wizyty.

– Pete zaraz otworzy – odezwał się po dłuższym milczeniu i, nie czekając na odpowiedź, zatrzasnął kuchenne drzwi przed nosem małżeństwa. Heather westchnęła; nie podobało się jej zachowanie tego człowieka, ale jej rola to jedynie ładnie wyglądać i milczeć. Joe z kolei odetchnął z ulgą.

Pierwszy etap wykonany. Teraz muszą tylko wyciągnąć, co się da, z pracujących w „White Elk” ludzi i zrobić tyle zdjęć, ile się zmieści na kliszy. Nie musieli nawet długo czekać, bo już po chwili zgrzytnął klucz w zamku i główne wejściowe drzwi stanęły otworem. Od ostatniej wizyty nie minęło wcale tak dużo czasu, ale różnice od razu rzucały się w oczy.

W środku panował spokój. Parkiet, na którym nie tak dawno wiły się tancerki, świecił pustkami. Scena, gdzie muzycy wydobywali ze swych instrumentów piękne dźwięki, milczała, skryta w mroku, obca. Większość stolików i nisz przykrywały płachty materiału, a przy barze siedziały tylko dwie osoby. Pracownicy, rzecz jasna.

Pierwszą z nich skojarzyli od razu. Joe poczuł zimny pot spływający po plecach, a idąca obok niego Heather przysunęła się bliżej męża. Kojarzyli ją, chociaż widzieli ją dopiero drugi raz: Dorothy, tancerka. Szatynka, niska i szczupła, z papierosem w jednej i szklanką whisky w drugiej dłoni. Siedziała bokiem, na barowym stołku, w stonowanej, ciemnej sukience, z nogą kokieteryjnie założoną na nodze.

Chociaż nie grała muzyka – w klubie panowała przecież przejmująca cisza – to podrygiwała stopą w sobie znany rytm.

Obok niej stał zbudowany niby niedźwiedź blondyn, w białej koszuli z podwiniętymi rękami, z szelkami zwisającymi luźno po bokach beżowych spodni. Popalał cygaro, zadowolony z siebie i wesoły; uśmiech nijak nie pasował do jego topornej twarzy o masywnej szczęce.

Pete – chuderlawy kuchcik, w poplamionym fartuchu i zmierzwionej, rudej czuprynie – zamknął drzwi za gośćmi klubu i czym prędzej pospieszył do kuchni. Heather zdjęła kapelusik i uśmiechnęła się łagodnie. Joe rozpiął płaszcz i podszedł do najbliższego stolika; z towarzyszącej mu nieodłącznie walizeczki wyjął aparat fotograficzny i zaczął przygotować się do wykonania serii zdjęć.

– Dzień dobry! – zawołała ciężarna ku zaskoczeniu męża. – „Hills Telegraph”, Bell i Isaacs. Możemy zająć państwu chwilę?

– Kilka zdjęć do kolejnego wydania, parę wywiadów, ogólne przedstawienie sytuacji. Nic skomplikowanego ani zajmującego dużo czasu – dodał Joe, również zmuszając się do uśmiechu. Jako przedstawiciel prasy posiadał niezbędny dokument; mógł tu przebywać.

Dorothy i towarzyszący jej blondwłosa opryszek – skojarzenia same się nasuwały – wymienili spojrzenia, ale nie odezwali się. Tancerka upiła łyk alkoholu, blondyn zaciągnęła się cygarem. Moment później wzdrygnęli się mimo woli, gdy wewnątrz rozbłysło mocnym, jaskrawym światłem. Flesz aparatu na jedną chwilę zmienił mroczny klub w jasny, acz boleśnie pusty lokal.

– Piękne zdjęcie. Doskonale nada się na ilustrację: oto w tych trudnych czasach każdy znajdzie chwilę na odpoczynek przy szklaneczce czegoś mocniejszego i z ulubionym tytoniem. Tak, to brzmi dobrze. – Joe mówił bardziej do siebie niż do potencjalnych rozmówców. Bał się ich po prostu, starał się robić dobrą minę do złej gry.

Jego żona, ta uparta aż do bólu blondynka, podeszła z notesem do tancerki i właśnie zaczęła zasypywać ją pytaniami. Joe uśmiechnął się pod nosem; Heather miała talent. Oczywiście, większość jej pytań nie miała sensu i nie pasowała, ale swoboda, z jaką mówiła, to, jak operowała językiem, prowadząc rozmowę, budziło podziw.

Sam nie zamierzał marnować czasu i podszedł do barczystego blondyna z cygarem.

– Joseph Bell, proszę pana. To nie potrwa długo, jak już mówiliśmy. Ot, kilka prostych, ogólnych pytań, parę osobistych, jakieś przemyślenia, kolejne zdjęcie... takie rzeczy. Czytelnicy to lubią, panie...? – zakończył pytaniem, oczekując poznania nazwiska mężczyzny. Ten tylko zaciągnął się cygarem i wydmuchawszy go prosto w oczy pismaka, zaczął mówić niskim, ochrypniętym głosem.

– Panie Bull. – Byk. Oczywiście. Jakżeby inaczej! Bell natychmiast zrozumiał, że to nie było nazwisko, raczej przydomek, idealnie odzwierciedlające tego człowieka. I, być może, jego naturę.

– Panie Bull – powtórzył. – Dobrze. Może mi pan powiedzieć, od jak dawna pracuje pan w „White Elk Club”? Co ta praca dla pana znaczy? Jak sobie pan radzi w związku z kryzysem? Co pan myśli o Nowym Ładzie prezydenta Roosevelta?

Rozdział 24

Zaczęło mocniej padać.

Krowa, zestresowana ponad wszelką miarę, nie chciała opuścić półciężarówki. Fred przeklinał i pomstował, Ephraim starał się pomagać dobrym słowem, Moses w ogóle nie wysiadł z szoferki samochodu, a Harvey i Walton szarpali sznur, próbując zmusić upartego zwierzaka do zejścia na mokną, błotnistą ziemię.

– Nie możemy jej tutaj zarznąć? – zapytał zirytowany Fred, tańcząc na pacy wozu. Próbował zepchnąć krowę, popychając zad, do tego unikał jej kopyt oraz machającego ogona. Ephraim prychnął tylko zniesmaczony taką sugestią.

– Nie! Coś takiego jest...

– Chodzi o krew ofiary, prawda? – wtrącił się Harvey, dysząc ciężko. – Krew jest najważniejsza.

– Niby tak, ale... – przerwał bibliotekarz, szukając odpowiedniego słowa. – Nie możemy przerwać cyklu. Krew musi spłynąć w odpowiednim miejscu, ofiara musi się znajdować na ołtarzu, w świetle ognia, takie rzeczy.

– Powodzenia z rozpaleniem ognia przy takiej pogodzie.

– Mamy benzynę.

– O, to naprawdę świetny pomysł. – Ta dyskusja, by nie rzec, kłótnia, trwała niemal pół godziny. Dopiero potem, gdy wszyscy zmęczeni się i spocili, udało się przekonać krowę, że nie warto spędzać reszty życia na pacy starej półciężarówki. To jednak tylko początek drogi przez mękę, bo zwierzę najwyraźniej przeczuwało, co się wydarzy; albo zdawało sobie instynktownie sprawę, że gdzieś w tych lasach czai się pradawne zło, czekające na żer.

Krzyż został obficie polany benzyną.

Sullivan z początku sprzeciwiał się takiemu bluźnierstwu, ale gdy dokładniej przyjrzał się drewnianej konstrukcji, zrozumiał, że to wcale nie jest znany mu krzyż. To nie był symbol męki i miejsce kaźni Pana, tylko coś innego. Coś, czego jednak nie chciał rozumieć. Odwrócił więc wzrok.

Śmierdziało spalonym drewnem i paliwem, ale żar bijący z ognia okazał się zaskakująco przyjemny. Syk kropeł deszczu wpadających w płomień oraz coraz bardziej nerwowe muczenie krowy, przywiązanej do wbitego naprędce palika tuż przy niskim pieńku, wywoływały ciarki na plecach.

Ephraim podszedł do płonącego krzyża.

Założył na twarz maskę i dłońmi w grubych, azbestowych rękawicach zdjął czaszkę z drewna. Fred i Walton próbowali położyć krowę na pieńku; Harvey i Moses musieli im pomóc. Zwierzę ważyło sporo i nie chciało współpracować, ale ostatecznie ludzie dopięli swego; opanowali spanikowaną krowę i teraz, przytrzymując ją na pieńku, czekali, aż Ephraim zrobi swoje.

– Matko! – zawołał, a Fred i Walton zawtórowali; Moses i Harvey niechętnie dołączyli do chóru. – Wzywam cię, przyjmij ofiarę tę i spełnij nasze skromne prośby. Matko, starsza, mądrzejsza i płodniejsza niż ludzkość, usłysz nas, objaw się nam! Prosimy i błagamy! – Gdy wypowiadał, a właściwie wykrzykiwał ostatnie słowa, głos zaczął mu się łamać. Nożem

należącym do Kathryn, wcześniej zaś do Teddy'ego, przesunął po wnętrzu poparzonej dłoni. Syknął z bólu, zachwiał się i przez moment milczał, walcząc o to, by zachować przytomność.

– Boże, niedobrze mi – szepnął Harvey, czując jak krowa drży pod naporem jego ramion. Nie podobał mu się udział w tej bluźnierczej, ohydnej ceremonii, ale nie miał wyboru.

– Bądź cicho – skarcił go Walton. – To nie potrwa długo.

Istotnie, rytuał nie trwał długo. Najgorsze miało jednak dopiero nadejść: Ephraim, w obrzydliwej masce i nałożonej nań zwierzęcej, rogatej czaszce, podszedł do krowy. Zwierzę zamuczało żałośnie, przeczuwając nadciągającą śmierć, a upiorny śpiew w obcym języku, jaki wydobywał się z gardła bibliotekarza, tylko pogarszał sytuację.

Nożem, tym samym, który pokazała im Kathryn, poderznął krowie gardło. Buchnęła gorąca krew. Kopyta wierzgnęły. Moses stracił równowagę i upadł w błoto, Walton dołączył do niego moment później. Jedynie Harvey i Fred zdołali przytrzymać umierające zwierzę; krew zalewała im dłonie, ramiona oraz sam pień, wnikał w drewno i ziemię jak w gąbkę.

Do deszczu dołączył nagły, gwałtowny podmuch wiatru. Coś zaszeleściło w gałęziach pobliskich drzew.

– Tak! – zawołał zadowolony Ephraim, ale nie schował noża. Szybko sięgnął po najzwyczajszą miednicę i zaczął zbierać krew wypływającą z rozplatanego, krowiego gardła. Potem przeszedł do brzucha zwierzęcia i jednym wprawnym ruchem rozciął skórę, potem kroił coraz mocniej i głębiej, nurzając się aż po łokcie w krowich wnętrznościach. W końcu wyciągnął cielaka czarnego od krwi matki.

Wahał się tylko moment.

Znów przeciął gardło. Jednym szerokim ruchem. Krew trysnęła nagle, gwałtownie, chlapiąc na jego ubranie. To zaskoczyło Ephraima: cofnął się, potykając. Przewrócił się i przez chwilę leżał w błocie, dysząc ciężko. Drgawki dogorywającej zwierzyny słabły i już po paru chwilach krowa i jej cielak przestały się ruszać; w zimnym, jesiennym deszczu ich gorące ciała parowały. Ephraim zebrał całą krew do miednicy.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Nie. Nie wiem.

– Jakim cudem Kathryn dała sobie radę z...

– Uważaj na słowa, białasie – wycedził Moses, odchodząc od martwego bydła. Zatrzymał się nad leżącym bibliotekarzem. Patrzył na jego twarz, skrytą pod maską i czaszką. W końcu wyciągnął dłoń, tę zdrową i pomógł mu wstać.

– To już? – zapytał Harvey zszokowany całym tym przedstawieniem. – Po rytuale?

– Nie. Teraz musimy naznaczyć łapacze krwią, a cały ten teren... – machnął ręką dokoła polany – ...trzeba zabezpieczyć glifami i prochem. Deszcz trochę przeszkadza, więc lepiej się pospieszmy.

Przystąpili od razu do pracy. Ephraim natychmiast zdjął maskę i czaszkę, nie kryjąc przy tym obrzydzenia. W ciągu kilku, kilkunastu minut zdołali zanurzyć znaczną część drewnianych figurek w krowiej, cieplej jeszcze krwi. Walton nie wytrzymał i odszedł na bok, gdzie zwymiotował; Moses prychnął tylko ze złością.

Truchła krowy oraz jej cielaka zostały na pniaku, a już wkrótce wokoło nich pojawiły się odcisnięte w błocie i piachu glify i runy. Sullivan, jako szczerze wierzący, nie chciał brać udziału w tych odrażających i obelżywych czynnościach. Szeptał pod nosem modlitwy,

pomagając: podawał cegły i kamienie, i tak dalej, ale osobiście nie robił nic, co mogłoby zbrukać jego duszę.

Tworzyli koncentryczne kręgi, od samego brzegu polany aż po stojący w jej sercu pniak. Używali krwi, pylistego prochu (którego źródła Harvey nie chciał znać) oraz odcisnęli w piasku i błocie glyfy za pomocą cegłówek. Potem zajęli się drzewami. Łapacze wszystko zwiędziły, tak jak i kilka ostatnich run strategicznie rozmieszczonych na czterech wysokich sosnach.

– Co to było?

– Co?

– Nie słyszałeś? Panie Casey, słyszał pan? Panie Sullivan? – zawołał nagle Ephraim, gwałtownie się prostując. Stał pod sosną, gdzie właśnie kończył znaczyć pień drzewa krwią cielaka. Wymalowane na chropowatej korze symbole zalsniły słabo w nielicznych promieniach jesiennego słońca.

Walton zaprzeczył ruchem głowy. Casey też.

– Ja słyszałem – odparł Fred blady jak ściana. Spojrzał z odrazą na trzymany kawałek cegły tak, jakby dziwny dźwięk, ni to jęk, ni wycie, dobiegał właśnie z tej skruszonej, czerwonej cegłówki. Potem utkwiał spojrzenie w lesie, w tych zdrowych, pełnych życia drzewach tuż za granicą martwej polany.

Potem zbladł Whisker. Casey chwilę później. Coś się poruszyło. Niższe gałęzie i krzewy zafalowały, jakby jakieś duże zwierzę przemknęło tuż obok. Z wolna zapadał zmierzch – w końcu jesienne popołudnia nie należały do słonecznych – co w połączeniu z padającym coraz mocniej deszczem utrudniało dokładne rozeznanie w sytuacji.

A mimo to...

– Boże – jęknął Harvey pomny ostatniego spotkania ze złem kryjącym się w pensylwańskich lasach. Odrzucił kamień i wyszarpnął z kabury colta; odbezpieczył broń i zaczął się uważnie przyglądać ścianie drzew. Pośród szumu deszczu i wiatru w koronach trudno dosłyszeć cokolwiek konkretnego, ale on doskonale wiedział, że źródła tego nieludzkiego wycia, jęku, należy się doszukiwać wewnątrz własnego umysłu.

– Cholera jasna – zaklął Moses. Moment później podobnie przekleństwo opuściło usta kiniarza.

– Nie... – szepnął Ephraim. – Nie teraz. Za wcześniej... – Bibliotekarz zaczął panikować. Spojrzał z przestrachem na swych towarzyszy, potem dokończył skomplikowany piktogram na pniu. Krew szybko wsiąkała w korę, łącząc się z żywicą wypływającą ze szczelin.

Zestresowany cofnął się do środka polany, do pniaka, na którym zalegały martwe ciała zwierząt. Szybko dołączyli do niego pozostali; zbili się w ciasną grupkę. Trwali bez ruchu, nasłuchując, aż w końcu podjęli zgodną decyzję, by przesunąć się do samochodu.

– Panie Holland, co robimy? – zawołał Harvey, celując w las. Fred żałował, że zostawił strzelbę w wozie.

– Nie wiem – jęknął bibliotekarz. – Rytuał spętania to skomplikowana sprawa. Kathryn była świadkiem kilku, sama może ze dwa razy przeprowadziła coś podobnego, a ja... ja wiem tylko tyle, ile mi powiedziała.

– Do ciężkiej cholery, Ephraim!

– Nie krzycz na mnie, Fred! Wszystko zrobiliśmy zgodnie z instrukcją, rytuał został przeprowadzony w należyty sposób!

– Co ja tu, kurwa, robię... – jęknął Moses. – Łażę z szalonymi białasami po lasach...

– Uspokójcie się – warknął Sullivan. – Panie Holland, zrobił pan wszystko tak, jak mówiła panna Darrow? Te... te symbole i tak dalej?

– Tak... wszystko jest tak, jak powinno. Ofiara została złożona z matki i dziecka, była modlitwa, śpiew, przypieczętowałem to własną krwią, wszystko zgodnie z podstawowym rytuałem. Glify i łapacze powinny zadziałać... powinny spętać manifestację i... i zatrzymać ją tutaj na dobre, w tych kręgach.

– Co więc tu jeszcze robimy? Nie powinniśmy spieprzać? – rzucił Moses, zazdrośnie spoglądając na broń.

– Czarnuch ma rację, wynośmy się – zgodził się z nim Fred. Moment później, gdy deszcz nieznacznie osłabł, zatrzeszczały pnie drzew, rozległ się trzask łamanych gałęzi. Spanikowane ptaki wzbily się w powietrze, uciekając co siłą, a na brzegu polany, tuż za sosną, na której Ephraim wymalował krwawy symbol, pojawiła się wysoka, chuda sylwetka.

– Jezu Chryste.

– Ja pierdołę.

– Widzicie to samo co ja?!

– Boże, co to jest?! – zaczęli krzyczeć, wrzeszczeć, dając upust swej panice. Ogarnął ich nieludzki strach, sięgający tych głęboko zakorzenionych lęków z prastarych czasów, gdy ludzie dopiero zaczynali organizować społeczeństwa; groza przywodząca na myśl zło czające się w mroku, obce i nieznane, śmiertelnie niebezpieczne.

Instykt wziął górę. Harvey miał broń, mógł nie tylko uciekać, ale także walczyć.

Ze wszystkich zgromadzonych tylko Sullivan wiedział, z czym naprawdę mają do czynienia. Jako jedyny stanął twarzą w twarz z tym czymś, ale wtedy – tej pamiętnej nocy – panowały ciemności, a jedyne źródło światła stanowiła jego zapalniczka. Teraz jednakże, mimo że już popołudnie i niebo zasłały chmury, było dostatecznie widno.

Wszystko – niestety – widzieli doskonale.

Fred załamał się pierwszy, pobiegł do samochodu. Sullivan natychmiast pociągnął za spust i strzelił. Rozbłysk z lufy i towarzyszący mu huk pojawiły się tak nagle i niespodziewane, że wszyscy – Moses, Walton i Ephraim – otrząsnęli się z szoku. Colt, niestety, nie wyrządził krzywdy tej potwornej istocie.

Wydawała się złożona w całości z gałęzi, patyczków, kory. Jak upiorna, znacznie większa wersja figurki z łapaczy. Wyższa niż najwyższy człowiek, ale tak chuda, że nawet dziecko zdołałoby objąć ją w pasie. O dziwo, do złudzenia przypominała zwyczajne drzewo: skórę miała chropowatą, poskręcaną i nierówną jak kora, palce u dłoni wyglądały jak giętkie gałązki, nogi wieńczyły natomiast grube i twarde kopyta niby drzewna huba, zaś same kończyny przywodziły na myśl sękatę gałąź, pokryte mchem i porostami, żywicą oraz grzybem.

Istota garbiła się potężnie, a nienaturalnie długie ramiona opierały się na pniach drzew; masywny łeb wieńczyło poskręcane poroże, zaś ciemne jak smoła oczy zdawały się pochłaniać wszelkie światło. Nie sposób dostrzec ust czy nosa, nawet uszu; z tego niby drewnianego oblicza wyróżniały się tylko złowrogie oczy i pusta paszcza.

No i ślady po kulach. Płytkie żłobienia na torsie i ramionach, ale nic nie wskazywało na to, by stworzenie – bez wątpienia była to manifestacja Matki – cokolwiek sobie z nich robiło. Ba! By w ogóle zdało sobie sprawę z tego, co się właśnie stało. Harvey w panice wypalił ponownie. I znów. I jeszcze raz.

W powietrze wzbily się fragmenty kory i drzazgi.

Stworzenie rodem z koszmarnego snu sunęło w stronę sosny, na której Ephraim wymalował symbol. Przekroczyło linię z odcisniętych w piachu ceglanych glifów i kamieni, cienką warstwę prochu mającego chronić ludzi i pętać zło – bo tymże wydawało się to... to coś. Przez jedno uderzenie serca krew na pniu załśniła słabo.

– Patrzcie! – zawołał Harvey, tknięty impulsem. – Jeśli pan Holland ma rację, to wszystko się udało. Nie ryzykujemy, po prostu... och, po prostu spadajmy stąd. – Opuścił colt i jako pierwszy cofnął się aż do granicy kręgów, do miejsca, gdzie polana łączyła się z lasem i ścieżką, na której zaparkowali automobile.

Moment później dołączyli do niego pozostali.

Sugestia ucieczki przypadła wszystkim do gustu. Tym bardziej że rytuał najwyraźniej się udał i to, czymkolwiek jest ta manifestacja, znalazło się w pułapce. Harvey dopadł półciężarówkę, otworzył drzwiczki i już miał wsiadać, ale wołał się upewnić, że wszyscy myślą podobnie.

Fred nie siedział jednak za kierownicą chryslera. Zamiast tego ładował kolejne pociski do strzelby i gdy jego towarzysze podbiegli do wozu, strzelił. W porównaniu z coltem winchester miał znacznie więcej mocy, ale to i tak za mało, by powstrzymać manifestację.

Ephraim ociągał się, tyleż przerażony, co zafascynowany zachowaniem istoty nie z tego świata. Manifestacja Matki poruszała się powoli, niespiesznie zmierzała do samego środka polany, gdzie na pniaku zalegało krowie truchło.

Walton cofał się wolno, nie mogąc oderwać wzroku.

– Szybciej! Chodźcie! – ponaglał ich Sullivan, przeczuwając, że coś jest nie tak. Nie podobał mu się sposób, w jaki monstrum oglądało ciała zwierząt. Manifestacja, ten niby drewniany koszmarny, nachyliła się nad pniakiem. Wiedzieli, ba, widzieli na własne oczy, że stwór ten nie miał nosa, a jednak nie mogli się pozbyć wrażenia, że to coś węższy.

Stali się także świadkami czegoś, co nie powinno mieć miejsca. Krowa i jej cielak, złożone na stworzonym z pnia drzewa ołtarzu, w ciągu dosłownie paru sekund zgniły. Skóra i mięśnie, ścięgna, wnętrzności, a w końcu i kości, wszystko zaczęło gnić, starzeć się, by ostatecznie zamienić się w taki sam piach, jaki zalegało na całej polanie.

Manifestacja odstała od pniaka.

Zwróciła swój monstualny, zwieńczony gałęzistym porożem łeb to w jedną, to w drugą stronę, tak jakby spoglądała na wymalowane na sosnach krwawe symbole. Ephraim zapewniał, że mają kluczowe znaczenie, że wraz z glifami i rozsypanym prochem skutecznie zatrzymają potwora. Przeliczył się jednak. Zaklął pod nosem zrozpaczony, widząc, jak manifestacja nie robi sobie nic z kręgów, ba, jak przyspiesza.

– W nogi! – zdołał tylko krzyknąć, po czym wskoczył do chryslera. Moses trwał chwilę zszokowany, ale szybko się opanował i wsiadł do półciężarówkę, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Walton poruszał się zbyt wolno. Zdołał zrobić tylko jeden krok, nim długie niby gałęzie łapska potwora pochwyciły go w pasie.

– Nie! – krzyknął Ephraim, odwracając głowę. Fred zamarł, przerażony jak jeszcze nigdy, ale wznosił strzelbę, gotów wypalić w potwora. Harvey powstrzymał go, łapiąc za lufę i celując w ziemię; wystrzał z tak bliska równał się zamordowaniu kiniarza. Sullivan aż za dobrze o tym wiedział, bo sam wahał się, czy strzelić z colta w pysk potwora.

Wahał się o chwilę za długo.

Manifestacja wciągnęła Waltona z powrotem do kręgu, roztrzaskując zewnętrzną warstwę usypaną z prochu, krwi oraz odcisniętych glifów i kamieni. Sekundę później wbiła szponiaste łapy w ciało mężczyzny, w miękkie podbrzusze, rozrywając biedaka na pół. Krew chlusnęła wraz z wnętrznościami na spaloną ziemię, gdzie – o zgrozo – zniknęła tuż po chwili. Podobnie jak w przypadku bydła, tak i teraz ciało zamordowanego człowieka rozłożyło się w mgnieniu oka.

Rozdział 25

To dopiero ich druga „zawodowa” wizyta w „White Elk Club”, ale już teraz mieli pewność, że nigdy więcej progu tego klubu nie przekroczą. Nie chodziło nawet o to, że to miejsce to przykrywką dla kultu czy innej sekty porywającej i mordującej ludzi. Po prostu „Elk” nie jest w ich typie. Snobistyczny lokal pasował do małej miściny jak pięść do nosa, a bawić się można równie dobrze w „The Broken Axe” czy „Pine”, nie wspominając już o prywatkach u znajomych czy przyjaciół.

Z ulgą wyszli na ulicę.

Zagrzmiało. Deszcz zaczynał coraz mocniej i mocniej, a zimny wiatr przenikał do szpiku kości. Jesień nie należała do łaskawych, a im bliżej listopada, tym gorzej. Dodatkowo po opuszczeniu ciepłego, suchego wnętrza klubu przeżyli dość duży szok: nie spodziewali się oberwania chmury. Dość powiedzieć, że nastroje mieli ponure jak pogoda.

Zwłaszcza po fiasku, jakie miało miejsce w głównej sali. Dorothy po prostu go podrywała! Co i rusz wcinała się w rozmowę z barczystym mężczyzną zwanym Bykiem, robiła dwuznaczne aluzje i sugerowała prywatny wywiad na tyłach klubu. Jakim cudem Heather zdołała się opanować, Bell nie wiedział, ale doceniał to. Dowiedzieli się wielu mało interesujących rzeczy i jednej bardzo ważnej.

Wszystkimi pracownikami są ludzie znajdujący się na granicy, tuż przed ostatecznym upadkiem; wszyscy ci, którzy nie mieli nic do stracenia i byli gotowi przyjąć każdą, nawet najgorzej płatną i najcięższą pracę, byle tylko mieć za co żyć. Każdy zachwalał szefa i właściciela, Jamesa Fostera, patriotę i weterana wojennego, filantropa, geniusza biznesu. A potem mieli zaszczyt porozmawiania z samym Fosterem i zyskali pewność, że nigdy tego spotkania nie zapomną.

Chociaż bardzo by chcieli.

Znali go z opowieści Harveya, Joe nawet raz zrobił z nim wywiad, ale i tak Foster przeszedł ich najśmielsze oczekiwania. Elegancki, przystojny, dobrze wychowany i tak dalej, i tak dalej. Jednak im dłużej z nim rozmawiali, im więcej zdjęć robili, tym bardziej coś im się podobało. Heather czuła się nieswojo, gdy po prostu się do niej przystawiał i – podobnie jak Dorothy jej męża – próbował ją poderwać. Ba! Oferował jej nawet pracę!

– Obrzydliwy człowiek – jęknęła, oglądając się na klub. Od razu przytuliła się do męża, co dla postronnego oka nie wyglądało wcale dziwnie. Ot, dwie osoby chronią się przed padającym deszczem.

– Jeszcze jak. Aż mnie mdliło, jak się do ciebie przystawiał. Miałem ochotę dać mu w pysk, jak położył ci dłoń na ramieniu.

– Jesteś zazdrosny.

– Nie powinien cię dotykać. Nie powinnaś mu na to pozwolić.

– Jesteś zazdrosny! A ja głupia nie reagowałam, gdy ta Dora się do ciebie mizdrzyła!

– Co robiła?

– Przecież kleiła się do ciebie jak Brigitte do Jimmy’ego na prywatce u Oscara!

– Boże, Heather, to było przed Wielkanocą. Pamiętasz to?

– A ty nie? Wepchnęła jego rękę pod swoją bluzkę.

- Dora nic takiego nie zrobiła – zachnął się. – Ledwo mnie cmoknęła w policzek i szepnęła kilka słów na ucho.
- No właśnie. Co ci tam szeptała?
- Chciała iść na zaplecze. Na prywatny wywiad, tak samo jak Foster z tobą. Przecież to podły sukinsyn. Gdyby nie ja obok, to pewnie by się na ciebie rzucił. Brakowało tylko, by zaczął się obliżywać na twój widok, Heather.
- Zmieniasz temat, Joe – zauważyła rozbawiona. – Ale tak, masz rację. No i Foster mówił z sensem.
- Jak na kogoś chorego, prawda?
- Myślisz, że naprawdę jest głową kultu? Czarodziejem czy kimś takim? – zniżyła głos, gdy zbliżali się do forda. Joe otworzył drzwiczki od strony pasażera i pomógł żonie wsiąść.
- Tak – zgodził się. – Widziałeś te obrazy? Młoda Flynt miała podobny, niby jakieś koszmary się jej śniły, takie rzeczy. A co, jeśli ona po prostu była w jego gabinecie i widziała te bohomyzy? Panorama lasu tutaj, niby fragment Appalachów tam, zakole Susquehanna tu, obok jakaś polana... wszystko jakieś takie ciemne i ponure. – Wzdrygnął się.
- Nie przyglądałam im się za dobrze – wyjaśniła cicho.
- A to, jak mówił o wierze, religii? Że „Elk” to więcej niż klub; że to rodzina i inne takie bzdury? Och, żałuję, że nie miałem kamery! Pan Whiskers ma pewnie jakąś w tym swoim kinie.
- W nickelodeonie? Nie żartuj, on tylko odtwarza filmy. Dziennikarze nigdy nie będą łączyć z kamerami. Zrobić kronikę to jedno, ale nagrywać wywiady? To śmieszne.
- Wiem, ale mimo wszystko... – urwał, walcząc z silnikiem. Dopiero po trzeciej próbie ford zakaszła i załapała obroty. Jechali do mieszkania Kathryn Darrow; to tam mieli się teraz spotykać i dyskutować nad wszystkim.
- Joe. Foster by się nie zgodził na kamerę. Niechętnie patrzył na aparat, a nawet na to, jak robiłam notatki! W sumie to mam wrażenie, że tak się do mnie przymilał, bo chciał widzieć, co piszę.
- A co pisałaś? – zapytał z lekkim uśmiechem, skręcając na skrzyżowaniu. Potem nieznacznie przyspieszył, zbliżając się do Georgetown Avenue. Darrow jeszcze pewnie nie wróciła do domu, ale dała im dodatkowy klucz i kazała się rozgościć.
- Moment... – mruknęła Heather, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu notesu. – Że do rozkręcenia biznesu takiego jak „Elk Club” potrzeba... zaplecza finansowego, znajomości rynku, odpowiedniego biznesplanu, wyczucia społecznego i znajomości społeczeństwa oraz... szlag, nie mogę odczytać własnego pisma...
- Krótkie słowa i skróty; nie luźne myśli ani dokładne spisywanie tego, co mówi rozmówca, kochanie. Na ich podstawie można zbudować dobry artykuł.
- Ale ja nie jestem dziennikarką! – Zaperzyła się. – ...oraz wiary we własne siły i trochę szczęścia, bo... bo reszta jest darem od boga. Och Boże, Joe... – Gdy Joe zaczął zwalniać, Heather zdołała odczytać resztę swoich zapisków. Ostatnie kilka słów przeczytała drżącym głosem; w klubie, gdy Foster stał obok, była zbyt skupiona na jego osobie i pisaniu, by zdać sobie sprawę z sensu poszczególnych słów.
- Fajny ten jego bóg, nie powiem. – Bell zgasił silnik i wysiadł. Poprawił fedorę, pomógł żonie i szybko zniknęli we wnętrzu ciemnego, obskurnego budynku. Joe chwilę walczył

z zamkiem w drzwiach mieszkania pielęgniarki, a gdy je otworzył, ostrożnie wszedł do środka. Nie wiedział dokładnie, jak ma działać ten proch na progę, ale uważał, by go nie naruszyć.

Mieszkanie Kathryn wydawało się nieprzyjemnie małe, ciasne, puste wręcz. Heather z cichym sapaniem opadła na samotne krzesło w kuchni; jej mąż otworzył okno i nalał wody do szklanki. Potem, gdy siedzieli obok siebie na łóżku w sypialni, wspólnie przebrnęli zapiski z wywiadów w „White Elk”.

Aparat fotograficzny czekał bezpiecznie w walizce. Na kliszy znajdowało się mnóstwo zdjęć, ale co naprawdę, tego Joe nie wiedział... Liczył po prostu na to, że udało mu się uchwycić coś podejrzanego, nietypowego. Tak, jak podczas rozmów. Wzmianki o religii i wierze, o zażyłościach większych i bliższych niż rodzina, o pieniądzach i darach od Boga – lub boga – stwarzały dość dobre podstawy do artykułu.

Zerknął znów na aparat. Och, jak bardzo chciał już widzieć te zdjęcia! To, co na nich jest!

– Zamknij okno. Zimno mi – powiedziała cicho Heather, przepisując wszystko na nowo. Joe od razu pospieszył do kuchni, czując wstyd, że zapomniał o oknie. W kuchni zrobiło się mokro, deszcz napadał do środka. Czym prędzej naprawił swój błąd.

Domyślał się, że uszkodzenie bariery – bo tymże był proch na parapecie – mogło mieć katastrofalne skutki.

Monstrum bez żadnych problemów przekraczało kolejne bariery, trzeszcząc i skrzypiąc jak stare drzewo uginające się pod naporem wiatru. Sullivan, Casey i reszta ledwo zdołała dotrzeć do samochodu; Ephraim przeklinał pogodę, zwalając całą winę na deszcz. Wedle jego rozumowania, woda musiała splukać pył i proch, niwecząc misternie przygotowane kręgi, a krew wymalowana na drzewach oraz ta na łapaczach po prostu została zmyta.

Nic innego nie przychodziło mu do głowy. Rytuał został wykonany poprawnie.

Chrysler, choć wylądowany ponad miarę złom w pełnym tego słowa znaczeniu, jako pierwszy zniknął pośród drzew. To mniejszy pojazd niż duża, masywna półciężarówka ford, sprawiał problemy. Fred robił, co mógł, ale manewrowanie okazało się zbyt trudne.

– Pieprzony białas nas zostawił! – wrzeszczał Casey, ze zgrozą oglądając się za siebie. Manifestacja zbliżała się do nich. Jej masywne, kopytne nogi zagłębiały się w błocie, ale nic nie wskazywało na to, by potwór się tym przejmował; człowiek by się przewrócił, miałyby trudności z poruszaniem, ale nie ona.

Ford skręcił, zwalniając na mokrej, błotnistej ziemi, ale mimo to zdołał wymanewrować i teraz sunął wąską, krętą i nierówną ścieżką. A potwór, cóż, gonił ich. Fred nie mógł jechać pełną prędkością, bo inaczej wylądowałby na najbliższym drzewie lub – co gorsza – zsunął się z jednego z wzniesień, których przecież nie brakowało w tej okolicy.

Ephraim i jego chrysler nie odjechali jednak daleko. Samochód bibliotekarza zdołał przemieścić się tylko kawałek, a teraz półciężarówka sunęła za nim. Uciekali, bo cóż innego mogli zrobić? Zwłaszcza teraz, gdy Walton zginął.

Robiło się coraz ciemniej. Zacinający deszcz utrudniał nie tylko kierowanie pojazdem, ale i samą nawigację w gęstym lesie; Fred zaklął, gdy źle wymierzył i zamiast skręcić między drzewa, po prostu otarł bokiem półciężarówki o pochylony dąb. Jedna z gałęzi uderzyła w przednią szybę, a ta momentalnie pokryła się siateczką pęknięć. Druga stłukła przedni

reflektor; droga przed automobilem natychmiast znalazła się w półmroku. Chrysler skręcił, Fred zrobiło to samo.

– Jest coraz bliżej – oznajmił grobowym tonem Harvey, odwracając się. Potwór poruszał się nienaturalnie sprawnie i szybko, tak jakby las nie stanowił dla niego żadnej przeszkody. Sullivan widział, jak bestia, którą próbowali powstrzymać rytuałem, omija poszczególne drzewa, jak opiera się o pnie i uchyla przed gałęziami, jak wykorzystuje samą naturę, by przesuwać się do przodu. Raz nawet miał wrażenie, że zlewa się z mijanymi drzewami.

A potem półciążarówką wstrząsnęło. Zarzuciło mocno tyłem, a zderzak wyrzucił w najbliższą sosnę.

– Jak ty, kurwa, jedziesz?! Uważaj! – warknął Moses, masując obolałe, niesprawne przeciwie ramię. Fred odpowiedział przekleństwem i wskazał kciukiem za siebie. To nie jego wina, Harvey doskonale o tym wiedział. Manifestacja wyciągała długie łapy, które czeptały się samochodu. Rozległ się przykry, metaliczny jęk i zgrzyt.

Zderzak został oderwany. Potem rozległ się trzask pękającego drewna, łoskot łamanej stali, a fordem mocno zarzuciło.

Jakimś cudem manifestacja zdołała dopaść samochodu i teraz po prostu go rozrywała. Ramiona – łapy – niby-gałęzie i korzenie oplatały coraz większą część forda, unosząc tył nieznacznie nad ziemię. Moses zaśmiał się gorzko, widząc jak potwór odrywa koło i ciska nim precz. Pozostałe kręciły się bez celu, a Fred, nie mając oparcia, był bezradny. Sięgnął więc po strzelbę, wychylił z okna i wypalił.

Rozbłysk oślepił. Huk, w tak małym i ciasnym wnętrzu szoferki, boleśnie ogłuszał. W powietrze wzbily się fragmenty karoserii i desek pokrywających pakę forda, ale także drzazgi i rzadka żywica, będąca niby-krwią potwora. Żywy korzeń, który jeszcze przed chwilą próbował oderwać tylne nadkole, został oderwany.

Harvey nie zwlekał. Wręczył Mosesowi jego rewolwer i sam wychylił się przez okno, opróżniając magazynek. Czarnoskóry patrzył przez chwilę na broń, walcząc z myślami, ale i on przyłączył się do desperackiej walki. Strzelił raz, drugi.

Kanonada trwała tylko chwilę.

Potem ford opadł gwałtownie na błotnistą ziemię i z rozwalonym tyłem oraz przekrzywionym, samotnym kołem potoczył się jeszcze kawałek. Potem uderzył w pień drzewa. Na jedną chwilę wszystko się uspokoiło, a widoczny w oddali chrysler zwolnił. Zatrzymał się w końcu.

Od karoserii odbijały się krople deszczu, wiatr zawodził w koronach drzew, a spod maski zaczęły się wydobywać kłęby pary. Parę liści opadło leniwie na popękana szybę. Potem na nowo rozpętało się piekło.

Cokolwiek ich atakowało – manifestacja Matki, jakiegoś boga bądź bogini czy gniew samej natury, lasu – ponownie przypuściło szturm. Półciążarówka forda zniknęła w oczach. Twarde drewno i metal rozrywało niczym papier, a upiorne wrażenie potęgowała absolutna cisza, z jaką działał potwór. Niby dało się słyszeć jakiś słaby jęk, gdzieś na granicy świadomości, ale równie dobrze mógł to być po prostu odgłos lasu.

Rozległ się klakson. Ephraim wracał – nie zdradził ich, po prostu bał się o swoje życie. Wiedział, że mają pojazd, że mogą za nim jechać; kiedy jednak stracił ich z oczu, wrócił.

Pierwszy z wozu wysiadł Fred i wypalił ze swojej strzelby. Kolejny fragment korzenia, oplatającego właśnie tylną oś, zniknął w chmurze drzazg. Harvey i Moses wyszli moment

później i strzelali dopóty, dopóki mieli amunicję. To znaczy Sullivan strzelał. Casey patrzył ze zgrozą na monstrum, Sullivan zaś osiem razy pociągnął za spust. Tych osiem kul nie poczyniło żadnych większych szkód, niestety.

Monstrum nie zareagowało. Chude, żylaste cielsko – jeśli w ogóle tak można mówić o istocie będącej czymś w rodzaju żywego drewna – przeszło łącznie kilkanaście kul, ale to ciągle za mało, by powstrzymać szaleńczą furię. Wszyscy zgodnie rzucili się do ucieczki, a Harvey doznał okropnego uczucia déjà vu.

– Sullivan – odezwał się nagle Moses. – Obiecaj, że zabijesz tę sukę.

– Co? – zapytał zdezorientowany detektyw, potykając się na błocie.

– Jeśli uciekniesz, to obiecaj, że zabijesz Darrow. Ta biała sucz zabiła moją siostrę. Obiecałeś, że mi pomożesz, jeśli ja pomogę tobie, czy jakoś tak...

– Ale... O co panu chodzi, panie Casey?

– Przestańcie pierdolić bez sensu! – warknął Fred, strzelając ostatni raz. Potem wyrzucił beużyteczną już strzelbę.

– Po prostu zabij ją. Dla Ruth – powiedział cicho czarnoskóry mężczyzna, odwracając się w stronę potwora. Z półciężarówki forda została tylko szoferka; właśnie została oderwana maska. Potwór cały blok silnika wyciągnął bez żadnego wysiłku i rzucił gdzieś daleko w las.

Casey zdusił na ustach jakieś przekleństwo, potem drugie, aż w końcu zaczął krzyżeć co sił w płucach. Wtedy Harvey zrozumiał, co Moses zamierzał zrobić. Pijak pobiegł nieco w bok. Ciągle krzyżał, wrzeszczał tak, by potwór nie mógł się zorientować, kto gdzie jest i kogo ma zaatakować – bo to, że zaatakuje, wzięli za pewnik.

Sullivan postąpił tak samo. Rzucił się w drugą stronę, krzyżąc co sił w płucach; nagły napad kaszlu uniemożliwił mu dalsze odwracanie uwagi, niestety. Fred nie przejmował się niczym i po prostu uciekał w stronę chryslera. Potem jednak krzyk gwałtownie się urwał, ustępując miejsca znacznie gorszym dźwiękom.

Padł pojedynczy strzał.

Harvey zamarł, patrząc z przerażeniem na sceny nieludzkiej kaźni. Czarnoskóry pijaczyna zwrócił uwagę potwora swoimi wrzaskami. Podniósł nawet jeden z kamieni i rzucił nim w rogaty łeb. Moment później jednak wsunął sobie lufę rewolweru pod brodę i pociągnął za spust, zanim szczeł pod kopytami. Gałęzie, jakie tworzyły łapy monstrum, oplotły jego ramiona i wprawnym ruchem oderwały od reszty ciała.

Wtedy rozległ się klakson. Błysnęły światła chryslera; Ephraim czekał. Harvey patrzył na zmasakrowane ciało czarnoskórego mężczyzny, czując żal i ból, że nie powstrzymał biedaka przed tym rozpaczliwym krokiem. Dopiero ostre słowa Freda i gwałtowne szarpnięcie otrzeźwiły detektywa. Były pinkertończyk pognał do automobilu.

– Masz jaja, że w ogóle tu wróciłeś – burknął Fred.

– Nie zostawiłem was, naprawdę.

– Nie tłumacz się. Jedź, proszę – uciął Harvey, siedząc już na tylnej kanapie. Pistolet wsunął do kabury pod pachą i zakaszłał parę razy.

– Nie tłumaczę. Musiałem się upewnić... no, że manifestacja ogranicza się tylko do lasu.

– Co ty pieprzysz?

– Foster i reszta nie są głupi, wiedzą, że jeśli wpuszczą do naszego świata zbyt dużo tej... tej esencji, to skończą martwi. Pole rażenia, jeśli mogę tak powiedzieć, ogranicza się do polany i najbliższych jej okolic, a im dalej, tym moc słabnie i...

– Panie Holland, proszę. Nie żyje Whiskers i Casey, a pan pieprzy o jakimś zasięgu?
– No... tak. To ważna informacja! Każda ofiara zwiększa moc i zasięg, dając w zamian... w sumie to nie wiem, co dokładnie; razem z Kathryn po prostu prosiliśmy o spokój. Foster, Smithee i pozostali mogli żądać pieniędzy, władzy, czegokolwiek.

– To gówno ciągle jest za nami – odrzekł ponuro Fred, spoglądając za siebie. Drzewny potwór, manifestacja, esencja Matki czy jakkolwiek by nazwać to coś, znajdowało się blisko. Zbyt blisko. Silnik chryslera zaczął się krztusić i dusić, prędkość znacznie spadła. Żywe korzenie bądź gałęzie, tworzące łapy potwora, drasnęły karoserię samochodu. Harvey sięgnął po colta, ale cofnął dłoń.

– Nie mam już amunicji.

– Kule nic jej nie zrobią – wyjaśnił bibliotekarz.

– Co ty nie powiesz? – parsknął Fred, patrząc ze zgrozą na rogatego potwora.

– To coś nie jest stąd! – zachnął się Ephraim, skręcając mocno kierownicą. – Równie dobrze można próbować zabić jelenia, rzucając w niego zapałkami. Jeśli pisma się nie mylą... a mam wrażenie, że mówią całą prawdę, to można to cholerstwo pokonać tylko poprzez spętanie, odesłanie, zniszczenie albo za pomocą broni z tamtego świata.

– Co? Panie Holland, nie rozumiem. – Harvey próbował nadążyć, ale bez skutku. Chrysler skręcił, zjechał z jednego z niższych wzgórz prosto na wyjeżdżoną przez drwali ścieżkę. Automobil uderzył tyłem o pobliskie drzewo, wpadł w poślizg na błotnistej drodze, ale Ephraim szybko odzyskał panowanie nad pojazdem.

Potwór jednak, o dziwo, zaczął zwalniać.

– No nie należy do naszego świata. To tylko, och, nie wiem, jak to powiedzieć, odbicie? Manifestacja właśnie? Musi mi pan zaufać.

– Po tym jak nas zostawiłeś? Niedoczekanie! – wyrzyczał Fred, ciągle zerkając za siebie. Ścigający ich koszmar zostawał coraz bardziej w tyle, aż w końcu się zatrzymał i zniknął między drzewami.

– Nie zostawiłem!

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Joe również. Serce podeszło mu do gardła, gdy ktoś szarpał za klamkę i walczył z zamkiem; niepewny tego, co go czeka, wyrzwał najpierw przez judasza. Kiedy jednak otworzył drzwi, nie mógł się powstrzymać uśmiechu. Na korytarzu stała bowiem Kathryn, zmęczona, mokra od deszczu, ale wyraźnie szczęśliwa.

– Pan Bell? Wszystko w porządku? – zapytała z troską, ściągając płaszcz i kapelusz.

– Tak.

– Nie – odezwała się z głębi mieszkania Heather. Darrow od razu do niej pospieszyła z płaszczem przewieszonym przez ramię i kapeluszem w dłoni. Rzuciła wierzchnią odzież na łóżko, kucnęła przed bladą ciężarną i sprawdziła jej puls, dotknęła czoła.

Wieczór był paskudny.

Darrow wysłuchiwała cierpliwie relacji małżeństwa z wizyty w przeklętym klubie, przejrzała kilkakrotnie ich notatki. Nie raz i nie dwa wydała z siebie głośny jęk, tak jakby potwierdzały

się jej najgorsze obawy. W końcu, a było już naprawdę późno, zaczęła się niepokoić, że nie wrócili ich przyjaciele.

Joe także martwiła przedłużająca się nieobecność Sullivana.

Po kolacji – skromnej, złożonej głównie z jajek, chleba i mleka – rozważali nawet opuszczenie budynku i wyruszenie na poszukiwania. Powstrzymały ich przed tym dwie rzeczy: klakson nadjeżdżającego samochodu wybijający się ponad wieczorną ciszę małego miasteczka oraz kichanie Heather. Ciężarna chyba się przeziębiła.

Darrow czekała przy drzwiach z kuchennym nożem w garści. Gdy rozległo się pukanie, dała znak dziennikarzowi, by ten zerknął przez judasza i ostrożnie przekręcił klucz w zamku. Zależnie od tego, kto miał wejść, powitanie mogło się skończyć tragicznie... lub radośnie.

Albo i tak, i tak.

– Gdzie Walton? I pan Casey? – zapytała Kathryn, spoglądając na zmęczonych mężczyzn. Wyrzała nawet na korytarz, ale był pusty.

– Kathryn... – zaczął Ephraim, zdejmując mokre od deszczu okulary. Fred bez skrzępowania poszedł do kuchni i nalał sobie szklankę wody.

– Panno Darrow, można? – Harvey odciągnął pielęgniarkę na bok. – Oni nie żyją. Pan Whiskers został... zamordowany przez to coś, a pan Casey popełnił samobójstwo na ten widok. Przed śmiercią jednak... cóż, ciężko mi to powiedzieć, ale... prosił, żebym panią zabił. – Ostatnie słowo wyszeptał, uciekając wzrokiem gdzieś w bok. Kathryn patrzyła na niego w milczeniu, ale w końcu uniosła kąciki ust ku górze w dziękczynnym uśmiechu. Cieszyła się, że Harvey był z nią szczery.

– Zrobi pan to?

– Nie, panno Darrow. Niedotrzymanie obietnicy to jedno, ale morderstwo to zbyt duży grzech, a ja mam i tak brudne sumienie. – Potem przyciągnął do siebie dziennikarza. Drżącą dłonią próbował zapalić papierosa, ale nie dał rady nieruchomo trzymać zapalniczki. Bell wyręczył go, szczerze przerażony zachowaniem starszego przyjaciela.

Zbladł, gdy usłyszał relację z jego ust, tak odmienną od suchego, bezosobowego komentarza bibliotekarza. Ephraim skupiał się na rytuale, na tym, co i jak robili, ograniczając się jedynie do lakonicznych wzmianek, że „zginęli”.

– Ofiara była za słaba – oznajmił w końcu bibliotekarz. Fred nalewał wszystkim taniej, obrzydliwej w smaku wódki, ale alkohol pomagał. Uspokajał nerwy i tłumiał ból. Flaszka była oczywiście częścią wyposażenia w chryslerze.

– Nie, ofiara miała dostateczną moc – zaprzeczyła Kathryn. – Po prostu popełniliśmy błąd, tak jak wcześniej. Coś nam umknęło.

– Cały czas coś nam umyka – dodał gorzko Harvey. – Zacząłem szukać zwykłej dziewczyny, a teraz biegam po lasach i uciekam przed... Nawet nie wiem, jak to nazwać. Boże...

– Ja to bym dał sobie z tym spokój. Co nas to obchodzi? Ciebie rozumiem, przyjaciółka i tak dalej... – Fred zwrócił się do Kathryn – ...ale my? Nie ma takiej kasy, dla której będę narażał swoje życie. Dość, że ten czarnuch zdechł, a Waltona ubiło to cholerstwo.

– Fred! – zbeształa go Darrow.

– Nie, Kathryn, ja mam dość. Jeśli chcesz, to mogę ci oddać resztę kasy, mam jeszcze skitrane parę dolców, ale wolę żyć, niż umrzeć. A tobie, paniusiu, radzę to samo. Spieprzaj, zanim będziesz tego żałować.

– Jeśli chcesz odejść, to zatrzymaj pieniądze – odparła cicho.

– Naprawdę chce pan nas zostawić? – Głos zabrał Joe, tyleż zszokowany, co zdenerwowany.
– Tak. Powodzenia czy co tam chcecie. Ja odpadam, wynoszę się z tej dziury. Nie wiem, może wystarczy mi grosza na podróż do Ohio albo New Jersey. – Skinął głową na pożegnanie i nie czekając, aż ktoś coś jeszcze powie, wyszedł, trzaskając drzwiami. Wszyscy pozostali spojrzeli w stronę korytarza. Została tylko Kathryn i Heather, został Joe, Harvey i Ephraim. Razem tylko pięcioro.

A może aż pięcioro?

– Co teraz? – zapytała cicho Heather. – Mamy zdjęcia z wnętrza „White Elk”. Zapisy rozmów. Dokumenty, akta, notatki. Coś możemy z tym zrobić, prawda? Możemy to wszystko opublikować w „Hills Telegraph”, tak, Joe? Albo w „The Appalachian Herald”, „Heaven Globe” czy „Clinton Times”! „Tribune” na pewno zgodzi się wydrukować! Joe, masz przecież znajomych w redakcjach, ty też Harvey! – Wydawała się tak zdesperowana, że zaczęła sypać gazetami nie tylko z najbliższych okolic Pine Hills, ale nawet tytułami z Pittsburgha.

Joe uśmiechnął się słabo.

– Jakoś wątpię, że nam uwierzą, kochanie – zaczęła. – Ale to dobry pomysł. Jak tylko rozwiążemy problem tego... tego czegoś, roześlę materiał do każdej redakcji w najbliższych hrabstwach. Cholera, nawet do każdej w stanie. Na powielaczu odbiłem już trochę tekstu.

– Co z klubem? – Sullivan przeszedł płynnie do kolejnego tematu. Nie chciał trwać w zadumie o śmierci.

– Mam pewien pomysł, ale raczej się wam nie spodoba. – Kathryn odezwała się po dłuższym milczeniu. Stała przy oknie, wpatrując się w wymalowane na ścianie runy i usypaną ścieżkę z proszku; tego samego prochu, który okazał się być zbyt słaby, by powstrzymać potwora w lesie.

Rozdział 26

„Nie spodoba się” to dość łagodne sformułowanie.

Joe rzucił się na Kathryn, bo chciał ją udusić, i Harvey musiał go powstrzymywać; gdyby nie obecność Ephraima, sam nie dałby rady. Przeziębił się, a kolejna wizyta w lesie, w czasie deszczu, tylko pogorszyła stan jego zdrowia. Bibliotekarz pochylał się teraz w kuchni nad zlewem, polewając dłonie zimną wodą.

Szamotanina nie trwała długo, lecz wypełniały ją przekleństwa i rękoczyn. Ephraim oberwał nawet łokciem, ale nie miał tego nikomu za złe. Sullivan przeciwnie, ale rozumiał, co Darrow miała na myśli. Heather też.

Wszyscy, tylko nie Joe.

– Mowy nie ma! – krzyknął, grożąc pielęgniarce pięścią. – To moja żona, do cholery, a nie jakaś pieprzona owca, żeby ją zarznąć!

– Panie Bell, nikt nie mówi o śmierci. Jeśli Ephraim ma rację i ofiara okazała się za słaba, to po prostu potrzebujemy silniejszej krwi. Zwierzyna odpada, o tym się niestety przekonaliśmy, więc...

– Żadne więc. Casey miał rację, że chciał odstrzelić ci łeb – warknął, odwracając się do żony.

– Joe, kochanie – zaczęła Heather, ale Joe uciszył ją gestem. Harvey przymknął oczy; domyślał się, jakiego argumentu użyje jego przyjaciel w domowym zaciszu.

– Panie Bell, proszę dać mi dokończyć. Chyba wiem, na czym polega nasz błąd. Ephraim, pozwól... Masz notatki? Przynieś, proszę. Chcę coś sprawdzić.

– Za grosz ci nie ufam – rzucił ostro Joe, przytulając żonę. Holland skinął tylko głową i wyszedł, zmierzając do chryslera. Harvey milczał, ratując się kolejnym papierosem. Przyjemnie gryzący dym przynosił ulgę podczas napadu kaszlu.

– Nie dziwię się, panie Bell – odparła uprzejmie Kathryn. – Ale Heather nic się nie stanie. Upuścimy jej krew, to wszystko. Trochę więcej niż do badań laboratoryjnych – tłumaczyła.

– Do czego? – zapytała lękliwie ciężarna.

– Och, to zwyczajne badanie, nakłuwa się żyłę w zgięciu łokciowym, pobiera próbkę krwi, takie rzeczy, pani Bell. – Machnęła od niechcenia ręką, tłumacząc ogólnie, o co jej chodzi. – Zaraz dokładniej wyjaśnię, tylko... – Ktoś zastukał do drzwi. Kathryn od razu zamilkła i ponownie z nożem w garści przysunęła się bliżej. Harvey również zareagował w jedyny właściwy sposób, czyli wyjmując pistolet. Colt był bez amunicji, równie dobrze mógł się sprawdzić jako pałka albo przycisk do papieru, ale czasem sam widok broni wystarczał.

– To ja! – zawołał z korytarza Ephraim.

– Och, Bogu dzięki! – Darrow otworzyła drzwi i wpuściła bibliotekarza do środka. Był przemoczony, dźwigał jedną z walizek i od razu położył ją na środku maleńkiej kuchni. Kathryn oczywiście zajęła się zabezpieczeniem wejścia, ścieżki z prochu oraz sprawdzeniem, czy wszystkie pieczęcie są wyraźne.

– Już, zaraz... – zaczął bibliotekarz, kartkując gruby zeszyt. – O, mam. Ten fragment mówi, że we krwi kryje się prawdziwa moc i wystarczy ją odpowiednio wykorzystać. Potrzebujemy

nowej ofiary – przeczytał z dumą, uśmiechając się. Gdy jednak spojrział na marsowe oblicza zgromadzonych wokół ludzi, mina mu zrzedła.

Wszyscy liczyli na coś więcej.

– Ephraim... – rzuciła zirytowana Kathryn.

– Przepraszam – odrzekł zmieszany. – Chodzi o to, że nawet kropla żywej krwi jest dostatecznie silna, by osiągnąć uprzednio wyznaczony cel. Kryje się w niej esencja życia, bo stanowi nierozzerwalny fragment istnienia i...

– Życie – szepnęła Heather. – Chodzi o życie właśnie! – wykrzyknęła, siedząc na łóżku. Od razu też zgięła się wzdłuż, targana nagłym bólem. Wszyscy wzięli to po prostu za zbyt gwałtowne poruszenie się; w końcu jest w ciąży.

– Życie? – powtórzyli wszyscy, nie do końca przekonani. Mało kto zrozumiał, o co jej chodziło; jedynie Kathryn zaczęła się uśmiechać coraz szerzej i szerzej.

– Ofiary muszą być żywe! – wykrzyknęła, w przypływie nagłego olśnienia. Heather skinęła lekko głową i kichnęła; Ephraim zaczął gorączkowo wertować notatki i rzucił się do paru podejrzanie wyglądających starych książek. Jedynie Joe i Harvey spojrzeli po sobie, nie wiedząc, co robić.

Jak się zachować.

– Boże, jak to brzmi.

– Nie, posłuchajcie, wszystko nam się nie udawało, bo pominęliśmy jeden element!

– Darrow, na litość, czy ty się słyszysz? Mówisz o morderstwach, jakby chodziło o coś w rodzaju kupna chleba! – Sullivan warknął oburzony. Jako człowieka religijnego przerażała go nawet sugestia dotycząca popełnienia tak poważnego grzechu.

– Panie Sullivan, inaczej się nie da o tym mówić. Każdy rytuał, jaki miał miejsce w tych lasach, kończył się śmiercią. Brutalną i gwałtowną, nienaturalną śmiercią. To dlatego każda próba spełnienia manifestacji spełza na niczym!

– Dlatego pogorszaliśmy sytuację – uzupełnił bibliotekarz, ciągle pochylony nad papierami.

– Jestem tylko detektywem, nie znam się na tych waszych czarach! Miałem znaleźć Patty Flynt, a nie...

– Jeśli ofiara będzie żyć... jeśli pani Bell przeżyje...

– Nie waż się tak mówić! – krzyknął Joe, rozsierdzony samym pomysłem uczynienia z jego żony ofiary jakiegoś przeklętego rytuału. Harvey milczał, nie wiedząc, po której stronie stanąć. Z jednej chciał wspierać przyjaciół, z drugiej zależało mu na pozbyciu się tego diabła z miasteczka, które nazywał swym domem.

– Uspokójcie się, proszę! – zabrała głos Darrow, tupiąc przy tym nogą.

– Żywa krew powinna wystarczyć, by spełnić manifestację Matki. Życie w przeciwieństwie do śmierci. Rytuał spełnienia naprzeciw rytuału uwolnienia. To awers i rewers tego samego!

– Mówicie o mojej żonie, do cholery! O Heather!

– Joe, kochanie – zaczęła blondynka. – To chyba jedyne wyjście.

– Nie!

– To bluźnierstwo – wycedził Harvey.

– Panie Bell, Joe. – Kathryn podeszła bliżej zbulwersowanego dziennikarza. – To naprawdę jedyne wyjście. Pańska żona ma rację. Zresztą teraz wiemy więcej; wiemy jak, gdzie i kiedy, wiemy czym, wiemy... wiemy, co trzeba robić.

– Ale ja się nie zgadzam! Nigdy się nie zgodzę, żebyście mi zaszlachtowali żonę! Ona jest w ciąży, do ciężkiej, niesprawiedliwej cholery! Harvey, no, pomóż mi! – Zbladł, bliski paniki. Szukał wsparcia. Patrzył to na swoją żonę, to na przyjaciela, ale wszyscy byli przeciwko niemu. Każdy optował za rytuałem, w którym mieli upuścić blondynce krew.

– Heather nic się nie stanie, obiecuję. Pobiorę jej krew, tak jak w szpitalu. Igła, strzykawka, próbówka. Żadnych noży, żadnego przecinania skóry, podrzynania gardła czy, jak wspomniał pan Bell, szlachtowania. Szybko i sprawnie. Bezpiecznie.

– Nie. – Joe dalej trwał przy swoim.

– Panie Bell, to jedyny sensowny pomysł – odparł Ephraim, prostując się. – Potrzebujemy ofiary. Pańska żona jest jedyną kobietą, która się nadaje i która wie, o co chodzi.

– Nie! Harvey, nie możemy zgarnąć siostry Patty, na przykład? – zapytał zrozpaczony, zwracając się do swojego przyjaciela.

– Pearl to jeszcze dziecko – rzekł tamten.

– Postanowione – odparła Kathryn, podejmując decyzję za wszystkich. – Z krwi Heather i świeżego prochu zrobimy pieczęcie. Ephraim rozmieścił już odpowiednie glyfy i runy w lesie, więc część roboty za nami. Pani Bell, pojedzie pani ze mną i z Ephraimem na cmentarz. Zajmiemy się kośćmi, z których zrobimy proch, a panowie Sullivan i Bell wywołają zdjęcia. Dobrze? Spotkamy się jutro rano, tutaj. – Darrow, jako naturalna przywódczyni i głowa tej opozycyjnej strony kultu, uznała za pewnik, że temat ofiary został zakończony. Rozpoczęła przydzielanie ról.

Nikt już nie oponował.

W ciągu najbliższych minut dwa automobile – ford Bellów i chrysler Hollanda – ruszyły w dwóch przeciwnych kierunkach. Joe mruzczał pod nosem przekleństwa pod adresem swojego przyjaciela, który niedostatecznie mocno stanął po jego stronie. Do uporu żony był przyzwyczajony, wiedział, jak sobie z nim radzić, Harveya znał już kilka lat, ale Darrow... Cóż, to inna bajka.

Choć robiło się późno, to w redakcji ciągle paliły się światła. Jeszcze siedząc w samochodzie, przed budynkiem, Joe i Harvey widzieli, jak kilka osób krząta się wewnątrz. Bell zaklął pod nosem, przeczuwając, że będzie musiał się tłumaczyć, co robi tak późno w biurze. Zerknął nawet na Sullivana; były pinkertończyk mógł co prawda wejść do redakcji, ale nie dalej.

– Mnie też się to nie podoba, Joe – zaczął Harvey, cichym, współczującym głosem.

– Jakoś tego nie widać.

– Bo wiem, co trzeba zrobić – odparł twardo. – A przynajmniej taką mam nadzieję. Nie chcę wracać do lasu, nie chcę, by ktokolwiek tam szedł, zwłaszcza twoja żona, ale nie ma innej możliwości.

– Lepiej, żebyś miał rację.

Do budynku weszli chwilę później. Harvey spojrzał na przyjaciela zmierzającego do ciemni i podszedł do Oscara. Washington wydawał się znudzony i zmęczony, ale nieznacznie się ożywił, widząc detektywa. Sullivan nie miał wyboru, przysiadł się do dziennikarza i po prostu zaczął rozmowę dotyczącą swojej pracy. Chciał umieścić ogłoszenie, że jest detektywem, że ma bardzo niskie stawki, że ma ogromne doświadczenie i tak dalej, i tak dalej.

Prowadził Ephraim.

Kathryn siedziała wraz z Heather na tylnej kanapie zawalonego najróżniejszymi śmieciami chryslera i kolejny już raz dokładnie jej tłumaczyła, co będzie robić teraz i później i jak ciężarna ma się zachowywać. Zadawała też jej kilka pytań totalnie związanych z planowaną akcją, sprawdzała jej puls i zerkała przy tym na zegarek.

Nie cieszyli się z faktu, że będą łązić po cmentarzu wieczorem, w deszczu, ale nie mieli wyboru. Tym bardziej że cmentarz przynależał do kościoła Świętego Jana i nie znajdował się wcale tak daleko. Padający deszcz i coraz późniejsza pora nie stanowiły żadnej przeszkody dla doświadczonego kierowcy, urodzonego przecież w Pine Hills, i Ephraim szybko dojechał do celu. Zaparkował w bezpiecznym miejscu, wyskoczył z wozu i nie czekał nawet na kobiety, tylko zaczął wyciągać z kufra najpotrzebniejsze narzędzia.

Łom. Łopatę. Coś, co wyglądało jak wiaderko i sitko, małą szufelkę... Heather aż się wzdrygnęła.

Szła z tyłu. Powoli, mając ostatnie wątpliwości, czy postępuje słusznie. Kiedy jednak cała trójka znalazła się na terenie cmentarza, nie mieli już odwrotu; Ephraim poruszał się z wprawą grabarza, poszukując odpowiednich grobów. Darrow i Bell słyszały, jak mrczy pod nosem, mijając kolejne mogiły, aż w końcu wykrzyknął zadowolony.

– Tutaj! – zawołał. – Świętej pamięci ojciec Hayden.

– Chce pan rozkopać grób księdza, panie Holland? – zapytała zszokowana Heather. Tamten tylko kiwnął głową i zabrał się do pracy, co niestety niezbyt mu wychodziło. Miał w końcu poparzone, obolałe dłonie, a Kathryn, choć chciała pomóc, była tylko kobietą. Heather z kolei niebawem urodzi, więc w ogóle nie nadawała się do takich manewrów.

Prawie godzinę zajęło bibliotekarzowi i pielęgniarsce przekopanie wilgotnej, lepkiej ziemi. Ciężarna trzymała latarkę i rozglądała się dokoła, pilnując, by nikt niepożądany nie pojawił się w pobliżu. Raz czy dwa wydała z siebie cichy jęk, nikt się jednak tym nie przejmował, a i sama blondynka nie chciała nikogo martwić. Spoceni i zmęczeni, tak fizycznie, jak i psychicznie, stali pochyleni nad trumną księdza; Heather z trudem panowała nad młodościami.

Ephraim próbował podważyć wieko, ale nie mógł utrzymać łomu. Musiała go wyręczyć Kathryn i, co ze zgrozą przyznała Heather, poradziła sobie z tym aż za dobrze. Tak, jakby nie pierwszy raz robiła coś podobnego.

– To nie będzie miły widok, więc może się pani też odwrócić. Albo w ogóle może pani wrócić do chryslera. To nie zajmie już długo.

– Zostanę – odparła drżącym głosem, ale kiedy zgrzytnął łom i trzasnęło drewno, odwróciła się i szybkim krokiem odeszła. Uparta z niej kobieta, jak już wielokrotnie wspomniano, ale niegłupia. Siedziała w samochodzie, trzęsąc się z zimna. Minął blisko kwadrans, gdy do wozu wróciła pozostała dwójka.

Ephram w milczeniu usiadł za kierownicą. Kathryn trzymała na kolanach małe, brudne zawiniątko. Nastrój mieli ponury, ale wzrok zdeterminowany – gotowi zrobić wszystko, byle tylko naprawić swoje błędy. I, co ważniejsze, by powstrzymać kult z „White Elk”. Ruszyli z powrotem do domu Darrow, gdzie Heather była świadkiem – i uczestnikiem – czegoś, o czym wolałaby zapomnieć.

– Pani Bell, jeszcze jedno... Proszę dać mi rękę. Zwykle wykorzystywaliśmy moją krew, ale biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia... – zaczęła, wyciągając z włosów szpilkę. Wyglądała jak

zwykła igła, może była tylko trochę dłuższa i miała grubsza końcówkę; do utrzymywania fryzury była w sam raz.

A jej zaostriżony koniec...

– Mówiła pani, że nie będzie mi upuszczać krwi! – pisnęła Heather, przerażona nie na żarty.

– Bo nie będzie. To tylko ukłucie w palec. Wystarczy kropelka, nawet pani nie poczuje.

– No dobrze... – Niechętnie się zgodziła, ale faktycznie, nie bolało bardziej niż zwyczajne ukłucie podczas cerowania skarpetek. Kathryn ścisnęła palec wskazujący Heather, aż wypłynęła z ranki spora kropla krwi; szybko strzepnęła ją na kawałek kości zmarłego księdza. Szarawy, brudny gną w jednym miejscu stał się ciemniejszy, czarny niemal.

Darrow szepnęła coś pod nosem w nieznanym blondynce języku. Bibliotekarz wyjął z kuchennej szuflady kolejny przedmiot codziennego użytku; kredą narysował na podłodze w kuchni wielokąt, a każdy kąt ozdobił skomplikowaną pieczęcią.

Heather przyglądała się w osłupieniu, nie rozumiejąc, co się właśnie dzieje.

Drgnęła, gdy w kamiennym moździerz przy pomocy grubego tłuczka Kathryn zaczęła kruszyć i łamać kość. Dźwięk był okropny, zwłaszcza w połączeniu z szeptem pielęgniarki. W końcu Ephraim wrzucił do moździerza kredę i zaczął intonować te same słowa, co Darrow. W międzyczasie pokruszył jakieś zasuszone liście przypominające z wyglądu bluszcz oraz bliżej nieznaną jej kwiaty, a potem dodał odrobinę gruboziarnistej soli.

– Pani Bell, proszę się odsunąć. Zwykle nic nie się dzieje, pieczęcie chronią wszystko w środku i na zewnątrz, ale ostrożności nigdy za wiele... – szepnęła, biorąc rytualny nóż. Patrzyła chwilę na ostrze, a potem przejechała nim po opuszcce kciuka. Skrzywiła się i pozwoliła, by kilka kropli krwi spadło do moździerza.

Wszystko szybko się skończyło. Kość, w połączeniu z kredą i krwią, solą i liśćmi, zyskała nienaturalny, srebrzysty, połyskliwy odcień, a jak się spojrzęło pod odpowiednim kątem, można było dostrzec nawet refleksy szkarłatu. Darrow z nabożną czcią odstawiła moździerz na sam środek wielokątnego kręgu. To takie dziwaczne i niepojęte, że Heather mimowolnie się uśmiechnęła.

Nigdy tego nie zapomni. Tak samo, jak coraz częstszego bólu w podbrzuszu.

Podobnie myślał Joe. Siedział w ciemni i wpatrywał się w ciągle mokre klisze, na których z wolna ujawniały się sekrety i tajemnice klubu. Zdjęć wykonał ponad tuzin, przedstawiały ludzi i sam budynek, niby nic takiego, nic nadzwyczajnego ani niepokojącego, ale im dłużej Bell się przyglądał tym fotografiom, tym większy czuł niepokój i przykre uczucie w brzuchu.

Pochylił się nad ryneczką. Patrzył na szczupłą twarz Dorothy wyłaniającą się z roztworu; w świetle ciemni wydawała się być nieludzka, złowieszcza, zbyt toporna jak na normalnego człowieka. A oczy... cóż, oczu zabrakło. W ich miejscu widniały tylko czarne plamy.

W panice sięgnął po kolejne fotografie, czując narastające przerażenie. Łudził się, że to tylko wina aparatu; że niewłaściwie posługiwał się sprzętem; że klisza miała wadę. Wypuścił powietrze z płuc z bólem, zrozpaczony. Pan Bull także miał czarne ślepie. Jeden z kuchcików, chyba Pete, tak samo. Barczysty kucharz, chuderlawy pomywacz, jakaś sprzątaczką bądź kelnerka, wreszcie sam Foster – to samo.

Wszyscy, których Joe uwiecznił na kliszy, mieli puste, martwe oczy lub przeciwnie, nie mieli ich wcale.

To nie przypadek, chociaż Joe bardzo by tego chciał. Próbując opanować drżenie rąk, poszukiwał kliszy sprzed tartaku – pamiętał aż za dobrze, że coś podobnego miało miejsce

podczas wywoływania zdjęć z tamtejszej masakry.

Spędził kolejne długie minuty, na nowo patrząc w twarze zastrzelonych, na ciała leżące w błocie, gdzieś przy tartaku za miastem. Gdy tylko dostrzegł podobieństwa w oczach, poczuł, jak robi mu się słabo. To nie wina przypadku. Nie sprzętu, nie złej obsługi, nie braku talentu.

To coś więcej.

Złapał mokre jeszcze zdjęcia, wepchnął do kieszeni i wybiegł z ciemni, jakby gonił go sam diabeł. Z nieskrywaną ulgą podbiegł do Sullivana, rzucił, że „muszą iść”, i pociągnął przyjaciela za sobą. Zszokowany Harvey nie wiedział, jak się zachować; dopiero gdy został wepchnięty do forda, zdołał coś z siebie wydusić.

– Oszalałeś, Joe?

– Tak – odparł tamten, wyciągając z kieszeni pognicione, wilgotne fotografie. Rzucił je na kolana detektywa, uruchomił silnik i pomknął w stronę mieszkania Kathryn. Harvey zbladł, patrząc na nieludzkie oblicza ludzi, wśród których nie tak dawno się obracał, z którymi rozmawiał. Znowu poczuł się jak w lesie, tylko teraz, zamiast uciekać przed nieznanym stworzeniem, potworem rodem z najgorszego koszmarnego snu, patrzył na twarze ludzi.

Chociaż... czy to naprawdę byli ludzie?

– Żle im z oczu patrzy... – szepnął do siebie zrezygnowany, pokonany, przybity ciężarem faktów. Trudno jednak powiedzieć, co bardziej wstrząsnęło Sullivanem. Zdjęcia, niepodważalny dowód na powiązania klubu z sektą – na to, że „White Elk Club” to sekta właściwie – czy widok rytuału, który właśnie dobiegał końca?

Stał w progu bład, wystraszony. Dłoń miał zaciśniętą na kaburze colta, ale nie posiadał już amunicji; pistolet stał się bezużyteczny. Kathryn, Heather i Ephraim spoglądali na gości z ciekawością, zaintrygowani, że tak nagle i szybko się zjawili; że zaczęli łomotać pięściami, a gdy Ephraim w końcu otworzył drzwi, wpadli gwałtownie do środka.

– Panie Sullivan? – zaczęła Kathryn, prostując się. Klęczała w skomplikowanym, kanciastym kręgu, nad moździerzem pełnym połyskliwego prochu. Spocona i zmęczona, ale najwyraźniej szczęśliwa.

– Joe! – zawołała Heather, podbiegając do męża. Ephraim skinął tylko głową detektywowi i wyrzwał na korytarz. Pusto.

– Panno Darrow, może to pani wyjaśnić? – zapytał Harvey, pokazując zdjęcia. Były już suche, próbował też je wyprostować, ale niezbyt mu to wyszło. Kathryn ściągnęła brwi i zaczęła uważnie przyglądać się fotografiom. Im dłużej na nie patrzyła, tym więcej krwi odpływało z jej twarzy, a gdy w końcu podała zdjęcia bibliotekarzowi, była biała jak papier.

– Jest gorzej, niż sądziłam.

Rozdział 27

Dyskutowali do późnej nocy. Uzupełniali notatki, spisywali je na nowo w paru kopiach, bo Joe miał lada dzień wszystko rzucić do publikacji. Darrow była przerażona, drżała wręcz, gdy opowiadała o swoich podejrzeniach, gdy wspominała podobne starcia z Luizjany. Choć znali ją naprawdę krótko – a przynajmniej Joe, Harvey i Heather – to jeszcze nie widzieli, by Kathryn tak się trzęsła. Ephraim, jako jeden z nielicznych, którzy spędzili w jej towarzystwie mnóstwo czasu, także zbladł.

Próbował nawet wyczytać coś z ogromnej ilości notatek, dokumentów i książek, jakie mieli na podorędziu, ale niezbyt mu to wychodziło. Namacalny dowód w postaci fotografii wyrzucił wszystko do góry nogami. Darrow nie wiedziała nawet, jak ubrać w słowa swoje przerażenie.

Mamrotała tylko pod nosem o manifestacji, o esencji, rytuałach, że coś się „wylało”.

Heather odpadła jako pierwsza, zbyt zmęczona i obolała. Zdradziła w końcu, że ją boli, że cierpi – Joe w panice chciał jechać z żoną do szpitala, ale Kathryn szybko sprawdziła, o co chodzi. Jak się okazało, nie było to nic poważnego, ot skurcze, nic więcej. Zbyt rzadkie i nieregularne, a nade wszystko zbyt słabe, by przepowiadały poród. No i nie pojawiła się krew, a wody nie odeszły, więc... szybko rozmowa wróciła na temat okultystycznych rytuałów.

Nikt nie wiedział, o co jej chodzi. Wszyscy się martwili. Wszyscy czuli, jak ogarnia ich lekki, kleisty lęk. Bibliotekarz zobowiązał się więc zostać w mieszkaniu Kathryn i dotrzymać jej towarzystwa; Heather poprosiła, by Harvey nocował w domu Bellów. Ephraim szybko nabazgrał na kartce wzór ochronnego kręgu oraz run i pieczęci, którymi powinni oznaczyć każde okno i drzwi, a także miejsca, w których będą spać. Tłumaczył, że kreda i sól wystarczą.

Rankiem, targany nagłym napadem kaszlu, Sullivan obudził się pierwszy. Zapalił zbawiennego papierosa, ciesząc się, jak dym wypełnia mu płuca i posyła kaszel w niepamięć, wywołując tymczasową, jakże przyjemną duszność. Gdy wkrótce obudziła się Heather, a potem Joe, detektyw rozsądnie ewakuował się z budynku.

Ledwo zamknął drzwi, jak rozpełtała się kłótnia.

Siedział na podjeździe, otulony płaszczem. Był chłodny, październikowy poranek. Panowała ciemność, ale pojawiały się też pierwsze promienie słońca, tak jakby natura wprost kpiła sobie z grozy, jaka zaległa się w Pine Hills; ciepły, łagodny blask przebijał się przez złote, czerwone i brązowe liście na gałęziach niektórych drzew. Łagodny wiatr unosił zeschłe i opadłe, targając nimi od jednego krawężnika do drugiego. Nisko, nad ulicami, unosiła się słaba mgła.

– Boże... – zaczął sennym głosem Joe – ...chciałbym, by to wszystko okazało się snem. – Ziewnął, podając filiżankę kawy przyjacielowi. Sam usiadł tuż obok i upił łyk.

– Jeśli to jest sen, to boję się obudzić – burknął Harvey.

– Aż tak źle?

– Joe, czy ty siebie słyszysz? Goniło mnie po lesie jakieś cholerstwo, brałem udział w bluźnierczych rytuałach, widziałem, jak giną Casey i Whiskers, patrzyłem na zdjęcia ludzi, którzy nie są ludźmi. Gdyby nie to, że samobójstwo jest śmiertelnie ciężkim grzechem, to palnąłbym sobie w łeb, jak Casey.

– No to nie mów tego przy Heather. Boi się o dziecko, boi się rytuału, zaczyna żałować, że się zgodziła z Kathryn.

– To nie jedź do lasu?

– A skąd, jedź – parsknął tamten. – Jak tylko zasugerowałem, by została w domu, to się na mnie wydarła. Dałem jej w twarz, ale jest tak uparta...

– Jak myślisz, dlaczego tu siedzę? – odparł z wymuszonym uśmiechem. Przez jakiś czas trwali w milczeniu, pijąc kawę, paląc papierosy i patrząc na budzące się do życia miasteczko. Słońce wznosiło się coraz wyżej.

– Dziś wysyłam materiały. Muszę tylko zrobić kolejne odbitki, a potem wszystko pójdzie do „Appalachian Herald”, „Clinton Times”, „Heaven Globe”, „Public Ledger”, „Pittsburgh Gazette” i „Tribune”. Może któraś gazeta to wydrukuje. Będą tam zdjęcia, notatki, wszystko.

– Tak szybko? Nie musisz jakoś tego zredagować albo coś?

– Nie chcę – zaprzeczył, odstawiając filiżankę. – Surowy materiał, z samych notatek... naszych i Darrow... wraz ze zdjęciami wystarczy.

– Oby także Stevens chciał współpracować.

– Musi. To porządny człowiek, a jak zobaczy te zdjęcia... – Nie dokończył. Nie chciał powiedzieć na głos, jak bardzo się niepokoił i martwił. Nie tylko o swoją żonę, o nienarodzone jeszcze dziecko, ale także o przyjaciela. O siebie nawet. Dotknęli czegoś, co ich przerastało.

A przecież to wszystko zaczęło się od zwykłego zaginięcia! Od Patty Flynt!

Zapakowali, co mieli najważniejsze, a potem pojechali do biura szeryfa. Joe zatrzymał się przecznicę przed, by nie budzić niepotrzebnych emocji. Ucisnął mocno dłoń przyjaciela, Heather przytuliła go i cmoknęła w policzek na pożegnanie. Potem pojechali do mieszkania Kathryn. Stamtąd mieli się udać do lasu.

– Szeryfie! – zawołał Harvey. – Musimy porozmawiać. Natychmiast.

– Sullivan? Boże drogi, co się z panem działo? Bell mówił, że...

– Nieważne – przerwał mu. – Było, minęło. Musimy porozmawiać. Teraz. W pańskim biurze.

– To coś poważnego. – Padło stwierdzenie. Stevens jako doświadczony stróż prawa od razu zrozumiał intencje detektywa, dlatego nie pytał o nic więcej, tylko zaprosił go gestem do siebie. Potem pogroził palcem jednemu z zastępców, by nikt im nie przeszkadzał.

– Chodzi o zaginione...

– Tak, wiem, ojciec Betty Richardson wczoraj to zgłosił. Wcale nie wybierała się na zebranie DAR, w ogóle nie tam pojechała.

– Och – sapnęła. Wiedział doskonale, że Betty jest cała i zdrowa, że aktualnie przebywa u Arethy; że wraca do zdrowia po aborcji.

– Coś mi mówi, panie Sullivan, że pan wie to wszystko. I, być może, coś więcej – przerwał mu szeryf. Harvey poczuł się nieco zbity z tropu, bo nie spodziewał się, że temat kolejnej zaginionej dziewczyny zostanie tak łatwo rozwiązany. Odchrząknął więc, zbierając myśli.

– Dużo więcej, szeryfie. Pan spojrzysz. – Rzucił na biurko plik zdjęć. Powyginanych, pogniecionych, ale czytelnych. Część z nich Stevens skojarzył od razu; wystarczył rzut oka na twarze martwych spod tartaku, by szeryf ściągnął brwi. Kiedy jednak spojrział na fotografie wykonane w „White Elk Club”, na oblicze Dory, Bulla i Fostera oraz pozostałych, nieznacznie zbladł.

Na coś takiego właśnie liczył Sullivan.

– Co to jest? – Podniósł losowo wybraną fotografię przedstawiającą Dorothy. Wzdrygnął się, widząc jej oczy. Lub, co było znacznie bliższe prawdy, brak oczu. Miejsca, gdzie powinny być, wydawały się wypalone, tak jakby ktoś przyłożył zapalną bądź rozżarzoną końcówkę papierosa do kliszy. Ale nic takiego nie miało przecież miejsca. Zdjęcie nie zostało uszkodzone. Dobre jakościowo, technicznie poprawne, na właściwym papierze, może tylko trochę pognicionym.

– Nikt tego nie wie, szeryfie – zaczął Harvey, zapalając papierosa. Dłonie nieznacznie mu się trzęsły, ale widząc reakcję Stevensa, podsunął mu paczkę. Moment później w pomieszczeniu unosił się dym z dwóch lucky strike'ów.

– Nie wiem, co o tym myśleć. To nie ma sensu, panie Sullivan. Czy to jakiś żart z okazji Halloween?

– Chciałbym – westchnął. – Chodzi o „White Elk” i te zaginione kobiety. To jest jakaś pieprzona sekta i zanim mnie pan wyśmiesz albo wyrzucisz na zbity pysk, niech pan spojrzy raz jeszcze na zdjęcia. Joseph Bell je wykonał, zna się na tej robocie, a redakcja ma dobry sprzęt. To nie jest żaden żart, głupi dowcip czy sztubacka zabawa. To pieprzona rzeczywistość.

– To niemożliwe, na litość boską! Pan spojrzy na te twarze! Poznają Jamesa, Kennetha, Pete'a, Scotta i pozostałych, świeć panie nad ich duszami. Znam ich! Przecież to jest Dorothy, nasza mała Dora. Pamiętam, jak chodziłem z jej ojcem na polowania, a teraz... coś takiego nie ma prawa... przecież...

– Przecież co, szeryfie? „White Elk Club” przez większość czasu świeci pustkami, a mimo to nie został zamknięty. Pracownicy zostali rozstrzelani przy tartaku, a Foster nic sobie z tego nie robi.

– Boże, czy pan zdaje sobie sprawę z tego, jak poważne jest to oskarżenie?

– To nie jest oskarżenie, to fakty. Wkrótce po tym, jak otwarto klub, zaginęła pierwsza dziewczyna. Joyce Allen. Potem kolejna, Peggy. Potem Shirley. Tessa, Bonnie, Patty, Ruth... i Betty, jak pan powiedział. W lasach i okolicach nagle zaczęły ginąć zwierzęta. Niektórzy myśliwi nie wracali z polowania. Szukałem Patty, przesłuchiłem masę ludzi i wszędzie powtarzało się to samo: tym z „White Elk” źle z oczu patrzy – mówił powoli, próbując opanować drżenie głosu. Szeryf spoglądał na kolejne zdjęcia, walcząc z narastającym lękiem.

W końcu podniósł fotografię wykonaną w biurze Fostera, a wtedy Harvey położył swój notes. Był zapisany od początku do końca. Stevens ostrożnie go przekartkował, wczytując się w znajdujące się tam informacje. Sullivan widział, jak porusza ustami, odczytując zapisane tam nazwiska: Foster, Daugherty, Payne, Higley, Wayward, Henderson.

Widząc ostatnie – Smithee – jęknął cicho.

– Wezwę stanowych – odezwał się po niepokojąco długiej chwili milczenia. Harvey odetchnął z ulgą. Dowody, jakie przedstawił, nie wyglądały imponująco. Ot, raptem stos zdjęć, luźne notatki. Nic więcej, a jednak to wystarczyło. Uśmiechnął się nawet.

– Zanim przyjadą, może być za późno. Musimy tam iść teraz, natychmiast. Pan, ja, Doug, Cole Floyd, Thomas. Musimy ich dorwać. Boże, spójrz pan na te zdjęcia! To nie są normalni ludzie! Bóg jeden wie, co oni tam robią!

– Panie Sullivan, czy pan sugeruje, że mamy tam wpaść z bronią i aresztować wszystkich?

– Tak!

– Cholera – warknął, po czym wstał i wyszedł ze swojego biura. – Panie Cole, proszę natychmiast zadzwonić do Lock Haven i powiadomić stanowych. Mamy kryzysową sytuację.

Pan Sullivan dostarczył dowody, że „White Elk Club” to nora przestępców funkcjonująca od ponad pół roku. Doug, ty i Thomas ze mną. Panie Sullivan, wnoszę, że pan także zechce dołączyć?

– Chciałbym, to leżeć w domu i czytać Pismo, ale tak, muszę iść z wami.

– Zatem zapraszam. Ma pan broń?

– Tak. Colta 1902. Military, ale bez amunicji. Wystrzelałem wszystko.

– Boże drogi, gdzie? Kiedy? – Szeryf zamarł, patrząc ze strachem na detektywa.

– Czy to ważne?

– Jeśli nie zabił pan człowieka, to nie.

– Będą za parę godzin, szeryfie! – zawołał Cole, kończąc rozmowę z Lock Haven. Stevens zaklął pod nosem. „Parę godzin” mówiło tyle, co nic, a do nalotu na klub pełen przestępców potrzebował więcej ludzi niż kilku zastępców i byłego pinkertończyka.

– Czterdziestka piątka? – zapytał zrezygnowany.

– Trzydziestka ósemka. – Harvey pokręcił głową i już chwilę później, gdy wraz z zastępcami tłoczył się w ciasnej zbrojowni, dostał pudełko z amunicją. Szybko i sprawnie uzupełnił pociski w magazynkach, jeden wsuwając do pistoletu, drugi mocując w wiszącej pod pachą kaburze.

Z pewnym podziwem obserwował, jak małomiasteczkowi stróże prawa sprawdzają broń i szykują się do ofensywy. Szeryf szybko przedstawił im sytuację – nalot na klub, bez wspomnienia o sekcje i dziwacznych zdjęciach – i wydał polecenia. Nikt nie kwestionował jego słów, chociaż ręce Appletona i Munsey’a trochę się trzęsły.

Douglas kończył ładować pociski do strzelby; winchester był poręczną bronią, zabójczą w zamkniętych pomieszczeniach. Broń, do których wszyscy pozostali wraz z Floydem pobierali amunicję, była standardowym wyposażeniem i sprawdzała się w każdej dotychczasowej sytuacji.

Problem w tym, że to nie jest typowa sytuacja.

– Co to za dowody, panie Sullivan? – zapytał Munsey, wsuwając rewolwer do kabury.

– Mam podejrzenia, że to oni porwali Betty Richardson – uciął krótko detektyw, łapiąc się oczywistego motywu. Jakoś nie wierzył, by rzucenie informacji o sekcje przekonało stróżów prawa. Ale porwanie?

– Tylko tyle?

– Aż tyle.

– Jedźmy – zdecydował w końcu Stevens. – Thomas, widziałem zdjęcia. Czytałem notatki. Bell i Sullivan odwalili kawał dobrej roboty, a jak się pospieszymy, to może uda nam się uratować Betty. No, do wozu. Im szybciej ich dorwiemy, tym lepiej! – Pięciu uzbrojonych mężczyzn wsiadło do policyjnego forda. Henry naprawdę się postarał i jego police series był dostatecznie wygodny, by pomieścić wszystkich wraz z bronią, i wystarczająco szybki, by stróże prawa, nie tracąc czasu, ruszyli do klubu.

Gdy wyjechali zza zakrętu i dostrzegli budynek, Harvey zaczął się modlić. Za siebie, za szeryfa i jego zastępców, za Joe i jego żonę, a nade wszystko – za dusze tych kultystów. Grzeszyli, odwrócili się od Pana, ale to ciągle Jego dzieci. Zasługują na karę, lecz także na przebaczenie i łaskę.

Widok pędzącego samochodu nie należał do codziennych.

Coraz więcej przechodniów spoglądało w stronę forda. Niektórzy zwalniali kroku, inni zatrzymywali się, parę osób nawet zawróciło i szło w stronę klubu, bo tam właśnie zmierzał szeryf i jego ludzie. Zaparkował bokiem względem głównego wejścia, tworząc w ten sposób ewentualną tarczę dla osób postronnych oraz blokadę dla podejrzanych o przestępstwo pracowników, gdyby ci chcieli uciec.

Stevens wysiadł pierwszy. Gestem nakazał, by Appleton i Sullivan spróbowali dostać się do budynku od tyłu, przez część kuchenną, a on sam, Munsey i stary dyspozytor mieli ruszyć od frontu. Sprawdzili raz jeszcze broń, wzięli głęboki wdech i ruszyli. Harvey nie przepadał za Munsey'em, ale Thomas był mimo wszystko stróżem prawa. Musiał mu zaufać.

No i miał strzelbę.

– Otwierac w imieniu prawa! Jesteście aresztowani! – wrzasnął, uderzając kilka razy kolbą winchestera o drewniane drzwi. Odpowiedziała mu jednak cisza. Nikt nie otwierał, nikt nie reagował; Harvey stał obok, z coltem w garści, dysząc ciężko. Niby przebiegł tylko kawałek, a zabrakło mu tchu; musiał się naprawdę paskudnie zaziębić podczas wizyt w lesie.

Zgrzytnął zamek. Munsey obrócił się twarzą do Sullivana, zadowolony. Już podnosił dłoń, by zachęcić go do wspólnego wejścia do budynku, gdy rozległ się huk wystrzału. W powietrze wyleciała chmura dymu i drzazg z rozwalonych drzwi, a Thomas padł na brzuch, jęcząc z bólu. W plecach na wysokości krzyża miał ogromną, krwawiącą dziurę; poszarpany mundur kleił się do ścian rany, z której wypływało coraz więcej posoki. Umierał.

– Nie! – krzyknął Joe, podejmując ostatnią, rozpaczliwą próbę przekonania żony, by nie brała udziału w rytuale. Heather spojrzała na niego z wyrzutem; już podjęła decyzję. Wahała się, miała wątpliwości, ale zrozumiała, że nie robi tego tylko dla siebie, ale dla innych ludzi. Kathryn zdawała się ignorować rozkrzyczanego dziennikarza.

Ephraim właśnie kończył przerzucać wszystko ze swojego starego i sfatygowanego samochodu do nowszego i znacznie sprawniejszego chevroleta Darrow. Joe pogрузzył się w rozmowę z Kathryn; raz po raz dopytywał się, jak ma wymawiać poszczególne słowa, czy dobrze rozkłada akcent, czy nie brzmi głupio i śmiesznie. Na karteczce miał zapisane słowa modlitwy niezbędnej podczas rytuału. Zapisano je fonetycznie, z podkreśleniami i strzałeczkami, mającymi oznaczać odpowiedni akcent.

Jechali więc dyskutując, zbyt podekscytowani i przerażeni, by milczeć. Dopiero gdy wyjechali z miasta i zaczęli stopniowo zagłębiać się w pensylwańskie lasy, bibliotekarz odchrząknął.

– Może niech lepiej pani zamknie oczy – odwrócił się do Heather, nie chcąc jej zbyt denerwować. Gdzieś niedaleko został wrak półciężarówki. Pozostawione ślady walki oraz szaleństwa potwora czyhającego gdzieś wśród sosnowych drzew mogły się okazać zbyt ciężkie dla wrażliwego umysłu. Kathryn skinęła głową; nie chciała, by ciężarna nadmierne się denerwowała.

Heather jest teraz najważniejsza. Zwłaszcza że zeszłego dnia – nocy? – niemal zwijała się z bólu.

Joe zbladł, widząc pozostałości półciężarówki. Nie potrafił sobie wyobrazić, co mogłoby dokonać aż takich zniszczeń; unosił już aparat, ale gestem powstrzymała go Darrow.

Blondynka z kolei posłusznie zamknęła oczy, choć pod nosem mamrotała bez końca, że nie jest z tego zadowolona. Nie czuła się dobrze, siedząc jak ślepa i z obcymi ludźmi w samochodzie. Och, jakże mało wiedziała! Przecież kilkanaście dni temu w podobnej sytuacji znalazła się Ruth.

Siostra Casey'a również podróżowała z Kathryn, Ephraimem i pozostałymi do lasu. Również nie wiedziała, co ją czeka. Również była ślepa. Różnił je los: Ruth Smithee wieziono na miejsce śmierci. Miała umrzeć, bo tak chciała Darrow. Heather jednakże...

Ona musiała żyć.

Chevrolet jechał tak szybko, jak pozwalały na to warunki. Ciężarna jęknęła raz czy dwa, gdy większe korzenie uderzały w podwozie, a zwisające nisko gałęzie drapały w dach i szyby – Ephraim zwolnił nieco, ale nie schodził poniżej pewnej prędkości. Spieszył się, bo jako jedyny wiedział, czym grozi spotkanie z manifestacją. Bestia zdołała w końcu rozwalić półciężarówkę i zabić dwóch mężczyzn, i to bez żadnego problemu!

– Pani Bell, panie Bell, jesteśmy na miejscu – odezwała się nagle Kathryn, gdy samochód podjechał na jedno z wzniesień i łagodnie z niego zjechał. Holland nie gasił jednak silnika; wykręcił, tak by w razie czego można było od razu się ewakuować.

Joe zaklął pod nosem. Nie spodziewał się czegoś takiego, był po prostu w szoku. Heather poczuła, jak pot spływa jej po plecach. Polana wyglądała okropnie. Czarna, sypana ziemia otaczała masywny, niski pień, ciemny jak sama noc. Najbliższe drzewa wyglądały na chore i słabowite, a zwisające na gałązkach figurki-łapacze przyparwiały ciężarą o młodości.

– Jezu... – szepnęła, zasłaniając usta dłonią. Nie wiedziała, czego się spodziewać, ale to, co ujrzała, przerastało jej wyobrażenia. Ścisnęła dłoń męża. Ten odwzajemnił uścisk, ale nie mógł trwać tak bez końca.

– Panie Bell, pomoże pan? Sam nie dam rady – jęknął Ephraim, próbując wyjąć deski. Krzyż, a raczej konstrukcja przypominająca krzyż i sama czaszka, to rzecz niezbędna. Darrow skinęła więc głową i Joe pomógł poparzonemu koledze; w ciągu kilkunastu minut wspólnymi siłami zdołali przygotować miejsce do rytuału.

No, prawie.

Zaczęli rozsypywać świeżo przygotowany proch. Co kilka kroków tworzyli w piachu pieczęcie i skomplikowane symbole, sypali kolejne koncentryczne kręgi, a wokoło samego pniaka wielokątną pieczęć ozdobioną licznymi runami. Bell wykonał kilka fotografii. Błysnął flesz, rozjaśniając mroczną polanę i las – jedynie pień i ziemia nie reagowały na nagły i gwałtowny rozbłysk światła, przecząc wszelkim prawom fizyki i logice.

– Nie wiem, czy pieczęcie na sosnach wytrzymają... – zaczął, spoglądając na cztery drzewa. – Minęło już trochę czasu.

– Nie wiesz?! – wybuchnął Joe. Gdyby nie obecność jego żony, pewnie by się rzucił na bibliotekarza, tak się wzburzył.

– Jeśli wymalowałeś je krwią ofiary, to wytrzymają – odparła pewnym głosem Kathryn. Heather znów jęknęła; nie chciała tego słyszeć. Trzymała się na uboczu, blisko samochodu, tak by nie przeszkadzać. A kiedy zapłonął krzyż, aż krzyknęła; nie spodziewała, że żar będzie tak ogromny. Widok zwierzęcej, czarnej od sadzy czaszki przyparwiał ją o młodości, nad którymi z trudem zapanowała.

Gdyby nie mąż, pewnie by padła na kolana i po prostu zwymiotowała.

– Jesteś tego pewna? – zapytała Darrow, kucając obok ciężarnej.

– Heather, możemy się jeszcze wycofać, kochanie.

– Teoretycznie pan Bell ma rację. Jest ładna pogoda, pieczęcie i kręgi powinny wytrzymać do czasu znalezienia alternatywy... ale nie wiem, czy w ogóle coś takiego znajdziemy.

– Tak – szepnęła. – Jestem gotowa. Trochę mnie brzuch boli, ale pewnie to nic takiego. Zaczynajmy, proszę.

– No to bierzmy się do roboty – stwierdził ponuro Ephraim, wyciągając zabandażowaną dłoń do Heather. Pomógł jej przejść przez runy, pieczęcie, rozłożone glify oraz usypane kręgi aż do samego pniaka i wskazał, gdzie powinna się położyć. Na twarzy wystąpił mu nieznaczny rumieniec; nie przywykł do takich rzeczy. Nie czuł się pewnie, proponując, by kobieta się przed nim położyła.

– Miejmy to szybko za sobą – szepnęła do Kathryn, siadając najpierw. Zdjęła kapelusik i płaszcz; nie chciała, by zostały niepotrzebne zabrudzone. Zsunęła też rękawiczki i już miała się przeżegnać, gdy powstrzymała ją Darrow.

– Nie – zabroniła. – Możesz wierzyć, ale nie możesz się modlić, nie wykonuj takich gestów. Wykonanie znaku krzyża to także rytuał, pani Bell.

– Przepraszam.

– To głupota – rzucił Joe, ale wszyscy go zignorowali.

– Nic się nie stało, kochanie. Połóż się, dobrze? Ephraim, jesteś gotowy? Panie Bell?

– Bardziej gotowy nie będę – rzucił tamten, podchodząc do płonącego krzyża. Joe wzruszył ramionami. Wzięli głęboki wdech i zaczęli intonować dziwną, obcą pieśń, od której Heather poczuła dreszcze na karku.

– Matko! Wzywam cię, byś przyjęła ofiarę tę i spełniła nasze skromne prośby. Matko, starsza, mądrzejsza i płodniejsza niż ludzkość! Usłysz nas, objaw się nam, prosimy i błagamy... – Chwilę później Kathryn porzuciła język angielski. Heather zacisnęła mocno powieki, nie chcąc widzieć dalszego ciągu. Bała się, czuła ogromne przerażenie, ale coś jej podpowiadało, że tak musi być. Że to, co robi, jest dobre. Właściwe.

– Pani Bell, wszystko w porządku? – szepnął po chwili Ephraim, kucając obok. W dłoniach trzymał moździerz, ten sam, w którym niedawno miażdżyli kości i mieszaali na proch z krwią i kredą. Kathryn stała obok, w przerażającej, pozbawionej twarzy masce, na której nałożono zwierzęcą czaszkę.

Ciężarna drgnęła na ten widok, gotowa uciekać, ale ostatecznie się powstrzymała. Zmusiła się nawet do uśmiechu i wyciągnęła drżącą – wcale nie z zimna – dłoń. Kathryn obiecała strzykawkę, igłę, ale Heather nic takiego nie zauważyła. Cóż, widocznie Darrow kłamała dla dobra sprawy...

– Zaboli tylko przez chwilę. Mam torbę lekarską w chevroletcie, więc nic pani nie będzie, pani Bell – powiedziała Darrow, ale słowa te, zamiast uspokoić ciężarną, tylko bardziej ją przerażyły. Tym bardziej że właśnie błysnęło nierówne ostrze noża o rękojeści z jeleniego rogu.

O dziwo, Kathryn przecięła najpierw skórę na swojej dłoni. Syknęła cicho z bólu, pozwalając, by jej własna krew spłynęła w zagłębienia skóry. Joe patrzył na nią podejrzliwie, ale nie odzywał się, nie komentował. Zachowywał się posłusznie, bo wiedział, że każde, nawet najdrobniejsze odstępstwo od normy może okazać się tragiczne w skutkach.

Potem jednak, gdy pielęgniarka przycisnęła rękę do czaszki, szepcząc upiorny, bluźnierczy śpiew, krzyknął przestraszony. Zanim Heather zdołała w jakikolwiek sposób zareagować, nóż

przesunął się po jej przedramieniu. Pisnęła z bólu i już miała wyszarpnąć ramię – instynkt, nad którym nie da się zapanować – gdy powstrzymał ją Joe. Ephraim stał tuż obok.

Złapał rękę, utrzymując ją w miejscu. Gdyby Heather zaczęła się szarpać, mogłaby się naprawdę groźnie zranić, a wtedy Kathryn nie byłaby w stanie jej pomóc. Teraz jednak, gdy ostrze przecięło jej skórę od wnętrza prawej dłoni aż do połowy przedramienia, zrozumiała, że nie jest wcale tak źle. Darrow wykonała na tyle płytkie cięcie, by nie zagrozić natychmiast życiu, dostatecznie jednak głębokie, by krew popłynęła już po krótkiej chwili.

Joe zdusił na ustach krótkie przekleństwo, patrząc z nienawiścią na Kathryn.

– Jesteś bardzo dzielna, Heather – szepnęła Darrow spod maski, odkładając na bok nóż. Ephraim podstawił moździerz, do którego zaczęła spływać posoka ciężarnej. Sama blondynka patrzyła przerażonym wzrokiem na swoje ramię, na płynącą krew i czuła, jak robi się coraz słabsza. Odwróciła wzrok, walcząc z ogarniającą ją falą mdłości i coraz silniejszego bólu.

Rozdział 28

Padł kolejny strzał, wrywając drzwi z zawiasów. Drewno z łoskotem upadło na brukowaną alejkę na tyłach klubu. Harvey cudem zdołał odskoczyć – być może uratował w ten sposób życie – i skryć się za kublami na śmieci stojącymi nieopodal. Następny wystrzał ze strzelby przewrócił jednak pierwszy z nich; Sullivan zrozumiał natychmiast, że jeśli padnie jeszcze jeden strzał, to dołączy do Thomasa.

Musiał działać. Już, natychmiast. Munsey leżał martwy. Zmarł szybko, ale sądząc po jękach, których Harvey nigdy już nie zapomni, musiał cierpieć nieludzkie wprost katusze. Detektywy zaklął więc pod nosem, poprawił chwyt colta i zaryzykował wychylenie dłoni zza osłony.

Pociągnął za spust. Raz, drugi, trzeci. Strzelał na ślepo, w drzwi kuchenne. Nie chciał nikogo ranić czy zabijać, ale nie miał wyboru. Musiał jakoś odwdziżyć się za to śmiertelne powitanie. W końcu, gdyby nie on, to Thomas pewnie by żył.

Wziął głębszy oddech i rzucił się do ucieczki. Biegiem wypadł zza kublów na śmieci i próbował złapać strzelbę Munsey'a, ale na mokrym bruku broń po prostu się przesunęła. Musnął palcami luźną, zaklął wściekle i dopadł ściany tuż obok wyrwanych drzwi. Wtedy z wnętrza klubu padł kolejny strzał.

Ktoś krzyczał. Jakaś kobieta piszczała ze strachu, stojąc tuż przy ulicy. Błada, jedną wyciągniętą ręką wskazywała zmasakrowane ciało zastępcy szeryfa. Szybko pojawili się obok niej inni przechodnie, gapie. Zaciekawieni, ale także i zaniepokojeni spoglądali na alejkę i zalegające tam zwłoki.

Jak sępy zwabione hałasem i zapachem krwi.

– Poszli won! – zawołał Sullivan, machając coltem. – Wynocha! Ludzie, czy jesteście głupi?! Uciekajcie! – krzyczał, próbując odgonić ciekawskich. Tego tylko brakowało, by ktoś postronny został ranny!

Znów rozległy się strzały. Harvey przywarł do zimnego muru, bojąc się, że ktoś strzela z wnętrza kuchni bądź jej okolicy, ale mylił się. Wymiana ognia wydawała się nieco stłumiona, tak jakby dobiegała z głębi budynku. Były pinkertończyk uśmiechnął się kątem ust; Stevens i reszta musieli dostać się do klubu. Być może napotkali taki sam opór, jak on i biedny Thomas.

Odkasznął. Wysunął magazynek, sprawdzając, ile ma jeszcze pocisków. Mina mu trochę zrzedła, bo trzynaście kul – pięć w colcie i osiem przy kaburze – to śmieszna liczba. Znów wysunął dłoń i strzelił na oślep, a potem ponowił próbę sięgnięcia po strzelbę Thomasa.

Potrzebował jej.

Tym razem zdołał złapać za luźną i przesunąć broń do siebie. Przypłacił to jednak stratą fedory; ktoś, kto strzelał z wnętrza „White Elk Club”, celował w jego głowę. Czystym przypadkiem Harvey przeżył, aczkolwiek czuł bolesny podmuch i drobinki śrutu muskające włosy. Nie zamierzał marnować więcej czasu: wepchnął colta do kabury, ujął pewnie strzelbę i wstrzymał oddech. Musiał dostać się do środka. Nie mógł jak głupi stać w tej alejce i czekać nie wiadomo na co.

Przeskoczył przez próg, naciskając na spust winchestera. Upadł, boleśnie objając sobie biodro. Przed nim leżał chudy rudzielec, plując spienioną krwią. Cały tors miał czarny od

własnej posoki, śrutu oraz spalonej, niegdyś białej koszulki z krótkim rękawem.

Sullivan strzelił mu w pierś, zabijając go praktycznie natychmiast. Zanim ten wyzionął ducha, spojrział jednak na detektywa. Wzrok miał przepełniony nienawiścią i bólem, jakich Harvey dotąd nie widział. Potem, gdy śmiertelna mgła zaczęła zakrywać jego oczy, detektywem coś wstrząsnęło.

Widział już to.

Wtedy, w lesie. Nocą, gdy spojrział w nieludzkie oblicze oddalonego monstrum. Taka sama złowroga pustka, paradoksalnie przepełniona nienawiścią i cierpieniem. To samo widział właśnie teraz, przez jedną krótką chwilę, spoglądając w oczy martwego. Wzdrygnął się i szukając pocieszenia w Bogu, odmówił po cichu krótką modlitwę.

– Wybacz, dzieciaku – szepnął na koniec, wstając. Korytarz był wąski, ale długi. Musiał się ciągnąć przez całą szerokość budynku; Harvey widział, jak zakręca i znika po lewej. Co gorsza, widział też zbyt wiele drzwi, by móc od razu zdecydować, dokąd iść. Wiedział, że jedne z nich prowadzą do głównej sali, inne z kolei na piętro, do gabinetu Fostera i tamtejszych pomieszczeń, ale pozostałe?

Podniósł strzelbę martwego kuchcika. Wyciągnął z niej pociski i wepchnął do kieszeni płaszcza, oprócz jednego. Ten wsunął do swojego winchestera i kaszląc, ruszył dalej, w stronę odgłosów strzelaniny. Strzelba w ciasnym korytarzu to iście zabójcza broń, ale też ostateczne potwierdzenie, że „White Elk Club” to miejsce na wskroś przesiąknięte złem. Kto normalny strzela, gdy słyszy: „Policja, otwierać”?!

Harvey ominął kilka skrzyżń i ostrożnie uchylił drzwi prowadzące do głównej sali. Przy barze, w centralnej części, widział kilku barczystych mężczyzn ostrzeliwujących szeryfa i jego zastępców. Sullivan zaklął, widząc jak stary, pocziwy Cole leży bez życia przy wejściu.

Wszedł do sali, powoli i ostrożnie, pochylony. Przemknął ostrożnie między stolikami, wykorzystując je jako osłonę. Wyprostował się, wymierzył i nacisnął spust. Stojący najbliżej mężczyzna, postawny brunet w kuchennym fartuchu, wrzasnął przeraźliwie i zwał się na ziemię, brocząc krwią z ramienia. Sullivan chciał go zabić, ale nie trafił tam, gdzie celował. Zamiast kark i głowa, to bark i ramię przyjęły cały impet strzału.

– Cholera! – zaklął, dając nura pod stolik. Gdyby spóźnił się choćby o sekundę, padłby trupem. Pozostałych dwóch kucharzy, kelnerów czy po prostu sekciarzy, kultystów, od razu zasypało stolik gradem kul. Mieli jednak tylko rewolwery, więc...

Szeryf i Appleton nie zwlekali. Otworzyli ogień, wykorzystując zamieszanie i przydusili przestępców. Ci, chcąc nie chcąc, musieli się skryć za barem. Szybko zasypały ich odłamki szkła z butelek i kieliszków, kufla, szklanek. Sullivan także się wyprostował i celując lepiej, biorąc poprawkę, strzelał raz za razem, aż zabrakło amunicji.

Z daleka doszedł go słaby i niewyraźny głos szeryfa nawołującego do wstrzymania ognia. Mówił coś jeszcze, ale Harvey, oszołomiony serią wystrzałów, nieustającą kanonadą, nie rozumiał, o czym tamten mówi. O co mu chodzi. Douglas dopadł leżącego bez życia dyspozytora, szeryf natomiast pomógł wstać Sullivanowi.

– Miał pan rację. – Usłyszał w końcu.

– Słucham?

– Miał pan cholerną rację, panie Sullivan – powtórzył Stevens. – Porządni ludzie nie strzelają na dzień dobry. Gdzie jest Thomas?

– Munsey? On... – urwał. Nie dał rady powiedzieć nic więcej. Szeryf zasepił się, ale pokiwał głową. Rozumiał.

– Nie żyje? Cóż, szkoda, ale przynajmniej umarł tak, jak chciał... Wie pan, że kiedyś powiedziało mi, jak bardzo żałował swojego wieku? Był za młody, by walczyć w wielkiej wojnie, a chciał się jakoś przysłużyć krajowi.

– Zmarł na służbie.

– Otóż to.

– Został jeszcze Foster, cały zespół, Bóg jeden wie ile tancerek, ilu kelnerów... – oznajmił nagle Appleton, wpychając rewolwer Cole'a za pas. – Gdzie teraz? Na górę, do biur i tych pokoików, czy sprawdzamy kuchnię, magazyny, piwnice? Szeryfie?

– Panie Sullivan, jakieś pomysły?

– Idziemy do kuchni. Nie widziałem tam nikogo, ale lepiej sprawdzić... Jeszcze ktoś nas zaatakuję od tyłu. I tak zrobiliśmy tu burdel, więc nie ma co marnować czasu na czcze gadanie.

– Zresztą gdzieś tu musi być Betty.

– Brzmi rozsądnie – zgodził się szeryf.

– A te ciała? – zapytał Appleton.

– Nie uciekną. Chodźmy, Richardson czeka... jeśli w ogóle żyje – stwierdził ponuro tamten. Sullivan milczał, nie chcąc wyprowadzać ich z błędu. Betty w końcu żyła, tyle że niekoniecznie należało jej szukać w klubie.

Szli w milczeniu, a gdy dotarli do dwuskrzydłowych, kuchennych drzwi, przez długą chwilę nasłuchiwali. Wydawało się, że w środku nikogo nie ma, że jest tam pusto; nie mogli jednak ryzykować. Sullivan przy pomocy strzelby uchylił nieco jedno ze skrzydeł, by Douglas mógł zajrzeć do środka. Szeryf Stevens ubezpieczał.

– Czterech – szepnął Appleton – i się bardzo spieszą. Czarnuch i trzech białych. Zbierają, co się da. Chyba chcą uciekać – mówił dalej ściszym głosem, cofając się. Sullivan odstąpił od drzwi i poprawił chwyt strzelby.

– Mamy przewagę, jeśli uderzymy teraz – rzucił Harvey. – Weźmiemy ich z zaskoczenia, nie zdążą zareagować.

– Doug, strzelasz do czarnucha. Panie Sullivan, był pan w wojsku, zgadza się? Proszę spróbować odstrzelić tego na samym końcu, najdalej. Ja zajmę się pozostałą dwójką... Najlepiej byłoby, gdyby przeżyli, ale... no, panowie, nie będę udawał, że ktoś nad nimi zapłacze.

– Rozumiem.

– Niech Bóg ma nas w opiece. – Harvey przełożył strzelbę. Był dobrym strzelcem, ale winchester nie nadawał się do walki na dystans. Zbyt duży rozrzut, zbyt duża odległość. Colt jednakże... huknęły drzwi, gdy szeryf wpadł do kuchni jako pierwszy. Moment później wbiegł tam Appleton, a na końcu Sullivan. Moment zaskoczenia jest kluczowy. Padły pierwsze strzały, czarnoskóry kucharz padł trupem, zanim zdążył się obrócić. Drugi z nich, barczysty pomywacz, odrzucił stos srebrzystych sztućców, podniósł rewolwer i wypalił na ślepo.

Potem upadł martwy z dziurą w gardle, charcząc i dusząc się własną krwią. Harvey odczuwał satysfakcję z oddania tego strzału, chociaż celował w pierś, nie w gardło.

Szeryf krzyknął, by rzucili broń. Tamci nie odpowiedzieli, ale po chwili – gdy Stevens znów wrzasnął, by się poddali – opuścili lufy swoich rewolwerów. W końcu, gdy Appleton zrobił krok do przodu, kelner i kuchcik cisnęli broń przed siebie i wyrzucili ramiona ku górze. Poddali się.

Zrozumieli, w jakiej są sytuacji, co jest dla nich dobre; nie znaczy to jednak, że byli z tego zadowoleni.

– Heather?

Cisza.

– Pani Bell?

– Heather!

– Mmm... – wymruczała coś niewyraźnie. Joe odetchnął z ulgą, zaśmiał się nawet, nerwowo, nienaturalnie. Jego żona straciła przytomność. Opadła biała jak papier na pień, a z jej ramienia sączyła się nieprzerwanie krew; część tej posoki rozlała się na stare drewno, na suchą, sypką niby proch ziemię. Kathryn i Ephraim zareagowali natychmiast, chociaż jak dla Joe i tak to zbyt wolny odzew.

Wraz z bibliotekarzem przeniósł swoją nieprzytomną żonę do samochodu. Ułożyli ją na tylnej kanapie chevroleta, pośród walizek, kartonów i pudeł, a Darrow szybko sięgnęła do przepastnej lekarskiej torby.

– Och, kochanie... – odparła Kathryn – ...aleś nam napędziła strachu. Pani Bell, Heather, proszę, spójrz na mnie. O tak, dobrze. Głęboki wdech, dobrze, jeszcze jeden... jeszcze jeden. Proszę, niech się pani napije. Zasłabła pani.

– Zemdląca, bo chciałaś ją wykrwawić! – wrzasnął Joe, próbując rzucić się na Darrow z pięściami. Powstrzymał go Ephraim, stękając i jęcząc z bólu. Miał w końcu poparzone dłonie, a wysiłek, jaki włożył w szarpaninę z wkurzonym mężem, przewyższał jego siły.

– Potrzebowałam krwi. – Kathryn ucięła temat. – Pani Bell, musi pani wypić wszystko. Dla własnego dobra. Mam tutaj też czekoladę, proszę ją zjeść. Potrzebuje pani cukru, wody. Ephraim, jak tam?

– Dobrze. Cholera nie wyszła jeszcze z lasu.

– A ma wyjść?! – zapytał zlekniiony Joe.

– Musi dostać się na polanę. Do pnia – skomentowała Kathryn, przyciskając kolejną gazę do rany na przedramieniu Heather. Gdy upewniła się, że materiał nie przepuści tak łatwo krwi, założyła prowizoryczny opatrunek. Ciasno owinęła bandażem całe ramię, od dłoni aż po pachę.

– Mamy dość krwi. Na spokojnie mogę zlać do dwóch misek i zostanie trochę w moździerzu jeszcze. Kathryn, ty bierzesz tę stronę, panie Bell, pan pójdzie tam. Pani Bell, da pani radę przejść kawałek? Będzie musiała pani po prostu machnąć kropidłem. Jak ksiądz.

– Dam radę – odparła słabym głosem blondynka, spoglądając na swoją rękę. Wolną i zdrową sięgnęła po piersiówkę i wypita niemal całą jej zawartość; po brodzie pociekło trochę wody. Potem zaczęła niezdarne łamać czekoladę, a mniejsze kawałki powoli chrupała.

– Nic nie musi pani mówić, wystarczy zrosić krwią sosnę. Ephraim wcześniej wymalował tam pieczęcie, symbole, które teraz zadziałają. Krew złożonego w ofierze zwierzęcia sama w sobie jest za słaba, o czym się niestety przekonaliśmy, ale w połączeniu z pani krwią... – Darrow nie dokończyła. Uśmiechnęła się tylko i przysunęła bliżej torbę lekarską. Obserwowała, jak Heather zmusza się, by zjeść kolejny kawałek czekolady. Przez jej twarz przebiegł grymas bólu. Po chwili kolejny wraz ze zduszonym jękiem.

Ephraim najzwyczajszym pędzlem malował coś na pniaku. Uśmiechnął się zadowolony i przeszedł dalej, do drzew.

Joe czuł się bardziej niż źle, machając kropidłem. W dłoni trzymał prostą, ceramiczną miseczkę, na dnie której zalegało trochę krwi jego własnej żony – ilekroć spoglądał na szkarłatną, gęstniejącą już ciecz, czuł mdłości. Nie rozumiał, o co chodzi, dlaczego ma to robić, ale starał się wszystko dokładnie zapamiętać. Żałował tylko, że nie mógł robić zdjęć.

Holland jako pierwszy skończył swoją część. Szybko podszedł do najbliższej gałęzi, na której wisały drewniane figurki-łapaczki. Przy pomocy kropidla zaczął naznaczać drewnianą kwią Heather, mamrocząc przy tym jakieś niezrozumiałe słowa – Darrow robiła to samo. Gestem tylko zachęciła, by Joe i Heather poszli do chevroleta.

Nie byli już potrzebni.

– Jak się czujesz? – zapytał żonę, zdejmując swój płaszcz. Narzucił go bladej ciężarnej na ramiona, ale nie usłyszał odpowiedzi. Heather szepnęła coś niewyraźnie. Powieki jej opadły, a głowę oparła na ramieniu męża. Bell spanikował i od razu podniósł jej ramię; opatrunek, jaki założyła Kathryn, przesiąkł krwią.

– Darrow! – zawołał przerażony. – Kathryn! Pomocy!

– Idę! – Zareagowała natychmiast. Rzuciła tylko wymowne spojrzenie Ephraimowi, by nie przerywał; najważniejsza część rytuału została przeprowadzona, nie musieli się więc spieszyć ani zachowywać nadmiernej ostrożności. Jeśli jednak chodzi o Heather, cóż. Darrow dopadła do torby lekarskiej, pogrzebała w niej chwilę i wyciągnęła niewielki słoiczek. Odkręciła wieczko, w powietrzu unióś się przykry zapach.

Sole trzeźwiące. Albo coś takiego. Podziałało. W każdym razie Heather otworzyła oczy i zdrową ręką próbowała odsunąć Kathryn.

Ta jednak nie dawała za wygraną. Zerwała opatrunki, wyjęła zestaw do szycia i kolejną buteleczkę. Joe odwrócił wzrok. Nie był w stanie patrzeć, jak pielęgniarka wylewa jodynę na krwawiące ramię i zaczyna po prostu zszywać ranę. I dobrze zrobił, bo dzięki temu dostrzegł pewne poruszenie między drzewami, za granicą polany. Ephraim, zajęty wylewaniem resztek krwi na drewniane figurki, nie miał tyle szczęścia.

– O mój Boże – szepnęła, gdy z ciemnego lasu wyłoniła się monstrualna bestia. Potwór, którym straszy się małe dzieci i który nawiedza ludzi w koszmarnych snach. Joe stał sparaliżowany prastarym lękiem, nie wiedząc, jak się zachować, co robić. Kathryn i Heather siedziały w chevroletcie. Ephraim krążył od drzewa do drzewa. On stał, bez ruchu, błąd, przerażony.

Spojrzał na okrutny łeb, na czarne ślepia i poczuł ciepło w kroczu. Znał to spojrzenie! Widział już taki okropny, pełen agresji i zła wzrok! Fotografie oraz widok zwłok przy tartaku stanowiły jednakże tylko namiastkę tego, co właśnie stało przed dziennikarzem. Miał wrażenie, że spogląda w mroczną otchłań, czekającą tylko, by go pochłonąć.

Bellowi chwilę zajęło, zanim zorientował się, co właśnie miało miejsce i poczuł wstyd; zmoczył się ze strachu, widząc coś, przed czym jego umysł wzbraniał się tak bardzo, jak to tylko było możliwe. Potężna, acz nieprzyzwoicie chuda sylwetka drzewnego monstrum minęła sosnę, którą kilka chwil temu spryskał krwią własnej żony.

Czy naprawdę widział, jak kora tegoż drzewa zaczyna lśnić? Czy dostrzegł słaby blask skomplikowanej pieczęci? Czy może po prostu oszalał i umysł płatał mu najróżniejsze figle?

Potężne, sękaty nogi zakończone kopytami przeszły przez pierwszy, zewnętrzny krąg. Piasek i proch zadrżały, unosząc się lekko w górę; część ziarenek przyłgnęła do upiornego cielska. Inne zaczynały tańczyć, przesuwając się tam i z powrotem, pulsować, niby bijące serce.

Krzyk Heather wyrwał go z transu. Potem rozległ się paniczny wrzask Ephraima. Bibliotekarz rzucił moździerz i kropidło i potykając się o własne nogi, pobiegł do samochodu.

Joe zareagował natychmiast, chwycił aparat i od razu uwiecznił na kliszy potwora. Potem, kucając i walcząc z trzęsącymi się dłońmi, próbował lepiej uchwycić monstrum w kadrze. Rogaty, nienaturalnie masywny łeb o podłużnych i czarnych jak najczarniejsza noc ślepiach skierował się w stronę dziennikarza.

Rozchyliły się nieistniejące usta. Z wnętrza wydobyl się ryk, jęk, który jednak słycać tylko wewnątrz czaszek. Upiorny skowyt dobiegający z umysłu.

– Panie Bell! Nie! – krzyknęła Kathryn, przeczuwając najgorsze. Błysnęła flesz, odbijając się w czarnych oczach; przez moment wszyscy odnieśli wrażenie, że ślepie te pochłaniają całe światło. Żywe, przeklęte drzewo lub coś, co po prostu przypominało je z wyglądu, zwolniło kroku. Rozejrzało się po polanie, po kręgach, by w końcu skupić się na sterującym na środku pniaku; moment później jednak zwróciło swój łeb w stronę dziennikarza.

Joe zaryzykował. Znowu błysnęło.

Potwór cofnął się o krok, potem o jeszcze jeden, by następnie rzucić się do ataku. Biegł z nienaturalną jak na swoje rozmiary prędkością i zanim Joe się zorientował, monstrum było tuż przed nim. Widział długie łapy, poskręcane jak gałęzie wiekowego drzewa, widział wąskie i giętkie paluchy niby wierzbowe witki, skórę jak chropowata kora, pokrytą mchem, żywicą i Bóg jeden wie, jakimi jeszcze naroślami.

Nade wszystko patrzył jednak w czarne ślepie i czuł, jak w nich tonie, jak zatracą się w tym mroku, ale... nic mu się nie stało. Nie nadeszła żadna fala bólu, nie słycał przeraźliwego krzyku żony czy Kathryn, Ephraim nie wrzeszczał.

Przeciwnie.

Bibliotekarz zaczął się triumfalnie śmiać, Darrow odetchnęła z wyraźną ulgą, a Heather... Cóż, Heather zaczęła płakać. Joe dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że rytuał naprawdę się udał. Czymkolwiek był ten potwór, nie mógł opuścić polany. Kręgi, koła, pieczęcie oraz cała reszta tych dziwacznych, na poły śmiesznych i przerażających rzeczy naprawdę działała!

– O Jezu – jęknął, cofając się ostrożnie. Spojrzył też w dół: drobinki prochu, pojedyncze ziarenka, zawisły w powietrzu. Tańczyły i drżały tak, jakby unosił je niewyczuwalny wiatr, ale przede wszystkim nie wypuszczały monstrum. Bell zerknął prędko w stronę sosen, uśmiechając się szerzej.

Na pniach lśniły delikatnie skomplikowane pieczęcie.

– Udało się – szepnęła Kathryn, przytulając osłabioną ciągle Heather. Ciężarna znów jęknęła, płacząc coraz mocniej.

– Nie wierzę... – rzucił Ephraim, ostrożnie podchodząc do bariery – ...że to się udało. Nie wykonałiśmy ostatniego etapu, a mimo to... cholera, udało się nam! – krzyknął zadowolony. Bestia usłyszała jego podniesiony głos i zwróciła łeb w stronę dźwięku. Bibliotekarz od razu odstąpił od niewidocznej ściany oddzielającej go od drzewnego koszmaru. I dobrze zrobił, bo chwilę później monstrualny łeb uderzył w barierę, tak jakby chciał ją przebić.

Nic takiego nie miało oczywiście miejsca, ponieważ zło – a to bez wątpienia przedstawiała istota – zostało skutecznie spętane. Uwężone na skrawku ziemi, w głębi pensylwańskich lasów. Na całą czwórkę padł bład strach, bo zdali sobie sprawę, że mają do czynienia nie tylko z manifestacją pradawnego zła, czystej esencji grozy, ale z czymś diabelnie inteligentnym.

Stwór zaczął się przemieszczać po polanie, szukając słabych punktów. Miejsc wrażliwych, delikatnych, przez które mógłby się wydostać na wolność. Drobinki ziemi krążyły wokoło, śledząc każdy ruch monstrem.

– Panno Darrow, czy... – zaczął Joe, tuląc szlochającą żonę. Nie mógł jednak powiedzieć nic więcej, bo po prostu się bał.

– Nie – ucięła krótko. – Nie wyjdzie. Manifestacja została prawidłowo spętana.

– No tak nie do końca, Kathryn. Niby są pieczęcie na ziemi i na drzewach, ale one nie będą trwać wiecznie. Prędzej czy później znikną. Gdybyśmy mieli tylko kilka minut więcej! Wystarczyłoby zakopać parę łapaczy...

– Możemy to zrobić tu. Teraz.

– To pomoże? – zapytał Joe.

– Musi – odrzekła, sięgając po odpowiednie narzędzia. Wkrótce zaczęli kopać, ale była ich tylko trójka, z czego jeden miał ranne dłonie. Mimo najszczerszych wysiłków nie mogli pracować tak szybko, jak by chcieli. A czas płynął nieubłaganie.

– Szybciej! – zawołał Ephraim, męcząc się z łopatą. Joe najchętniej by został z żoną, która coraz bardziej cierpiała, nie wiedząc czemu. Musiał pomóc Kathryn, zwłaszcza teraz, gdy ten potwór był tak blisko. Za blisko, można by rzec. Dosłownie na wyciągnięcie dłoni i gdyby nie niewidzialna ściana, bariera powstała niejako z krwi Heather, najpewniej wszyscy byliby już martwi.

Joe nie wiedział, jak to działa. Co to za czary, bo to musiały być jakieś czary. Magia, coś takiego. Jak inaczej można to wytłumaczyć? Te i inne myśli zaprzętały jego głowę, gdy kopał kolejny już dół, wąski nawet nie na pół metra, ale głęboki niemalże na długość łopaty. Manewrowanie szpadlem okazywało się coraz trudniejsze, aż w końcu dał sobie spokój; nie umiał kopać. Nie znał się na tym, a w ciągu ostatnich minut wykopał już kilka dołków.

Teraz, ocierając pot z czoła, obserwował, jak Ephraim ostrożnie układa w środku zdjęte z drzew łapacze. Każdy z nich skropił resztką krwi Heather, obsypał tym dziwnym prochem i dokładnie zasypał, zostawiając niewielkie wgłębienie. Joe wrócił do żony, przytulił, pocałował w czoło. Ścisnął jej dłoń; zdziwił się, jak mocno odwzajemniła ten gest.

Wtedy Kathryn ułożyła kamień z pieczęcią, zasypała, a na szczycie kopczyka odcisnęła cegłówką kolejny symbol, pieczęć.

– Niedobrze mi – szepnęła Heather, opierając głowę o ramię męża. – Joe, naprawdę, źle się czuję – jęknęła, z trudem tłumiąc beknienie. Nie była już tak blada, ale teraz zimny pot pokrywał jej czoło, a ciałem zaczynały targać lekkie drgawki. Zanim Joe zdołał cokolwiek powiedzieć, ciężarna westchnęła z żalem i spojrzała pod siebie.

Leśne poszycie, a także automobil zostały zalane wodami płodowymi.

– Darrow! – wrzasnął Joe.

Rozdział 29

– Gdzie jest Richardson? Foster? Co tutaj robicie? Dlaczego? – Stevens zasypał ich pytaniami. Douglas stał przy wejściu do kuchni; za pasem miał dwa dodatkowe rewolwery. Sullivan przeszukiwał kuchnię, ale nie znalazł w niej nic podejrzanego, nietypowego.

– Pan Foster jest w pracy – odparł zmęczonym głosem kuchcik, spoglądając na jednego i drugiego stróża prawa. – Nie znam Richardson, nie obchodzi mnie ta dziewczucha... Ale już jest za późno, nie przerwiecie tego, Matka nie pozwoli – dodał po chwili, zbyt długiej jednak, by uznać jego słowa za prawdziwe. Nawet jeśli nie znał Betty, to ona nie mogła zginąć i Harvey doskonale o tym wiedział.

Była przecież u Arethy.

– Co to znaczy, że się spóźniliśmy? – zaprzeczył, podchodząc bliżej z bronią gotową do strzału.

– Matka? Czyja? Nie rozumiem, o czym... ach, do diabła! Co to znaczy, tutaj? Gdzie jest Foster, do cholery? Coście tu zrobili, do diabła? – Szeryf nie dawał za wygraną. Znajdowali się w klubowej kuchni, rozległym, acz zagraconym pomieszczeniu pełnym stali i drewna, i teraz potłuczonych naczyń, krwi oraz dymu. Zmęczyli się jak nigdy; nie dalej jak parę minut temu zakończyła się kolejna strzelanina, tym razem jednak zwieńczona sukcesem.

Aresztowani milczeli.

Żaden ze stróżów prawa nie został ranny. Stevens, Appleton i Sullivan wyszli ze starcia bez szwanku, czego nie można niestety powiedzieć o kultystach. Dwóch kucharzy leżało martwych, a kolejna dwójka, kelner i kuchcik łamane na pomywacz, została aresztowana. Siedzieli teraz skuci kajdankami, plecami do siebie i miotali przekleństwa pod adresem szeryfa i jego ludzi.

– Wiem o rytuale – odezwał się nagle Harvey. – Widziałem to cholerstwo w lesie.

– O czym pan mówi, panie Sullivan? Jaki, do ciężkiej cholery, rytuał? Co pan widział w lesie? Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś, Harvey?! – zwrócił się do niego szeryf, nie mniej zaskoczony od aresztowanych kultystów.

– Nie – szepnął jeden z nich. – Niemożliwe. Nie możesz. Nie jesteś jednym z nas. Foster nigdy by cię...

– Tak – odparł twardo Sullivan. – Nie jestem jednym z was, Bogu dzięki. Szeryfie, to sekta. Szaleńcy i tak dalej. Tańczą pewnie wokół ogniska i śpiewają, jak przystało na heretyków, bluźnierców.

– Heretyków? To wy jesteście heretykami! – wyrwało się jednemu z nich, ale szarpanina drugiego nieco go uspokoiła. Szybko zamilkli. Woleli najwyraźniej milczeć, niż zdradzić swoje przekonania.

– My?! – warknął Sullivan, tracąc nad sobą panowanie. Wierzył, nic więc dziwnego, że każda negatywna wzmianka dotycząca wiary działała na niego jak płachta na byka. Dość wspomnieć jego reakcje na wszelkie rytuały, których był świadkiem.

– Dość – uciął szeryf. – Później o tym porozmawiamy, teraz nie ma czasu. Skoro nie chcą mówić, pan zresztą też nie chce, panie Sullivan, to idziemy dalej. Doug, zostaniesz z nimi, ktoś musi ich pilnować... Albo lepiej weź ich od razu do biura i wrzuć do celi, dobrze?

– Tak jest! – Appleton zgodził się natychmiast. Opuszczenie tego przekłętego klubu było niczym błogosławieństwo. Oddał dwa zdobyczne rewolwery, szarpnął aresztowanymi i ruszył korytarzem do wyjścia.

Stevens i Sullivan nie mogli zostawić tej dwójki, ale nie mogli też opuścić klubu. Musieli nade wszystko sprawdzić resztę budynku i dorwać Foster'a.

– Raz byłem na piętrze, panie Sullivan... – zaczął szeryf – ...i nie widziałem wtedy nic podejrzanego. Aż wierzyć się nie chce, że to prawda. Sekta, kult... jakiś rytuał... To brzmi jak jakieś brednie z groszowej powieści albo wymysły tego grafomana z Providence¹⁰, którymi się zaczytuje moja żona.

– Musi mi pan zaufać. Nie czas ani miejsce, by to wszystko wytłumaczyć... Zresztą zostawiłem panu moje notatki. – Nie ufał stróżom prawa; nie po tym, jak Powell dał mu w łeb, ale, szczerze mówiąc, nie miał wyjścia.

– Obym znalazł tam odpowiedzi.

– Spisałem wszystko, co wiedziałem. Zresztą zbyt wiele rzeczy do siebie pasuje, by to był przypadek.

– To prawda.

– A i tak nie widział pan najgorszego – mruknął do siebie. Potwór czyhający w lesie nie mieścił się w żadnych kategoriach. Co innego sekta, kultysty, porywacze – to byli zwyczajni przestępcy. Szaleńcy, którzy kierowali się pokrętną logiką, nic więcej. Ale nadnaturalna istota, wymykająca się wszelkim prawom fizyki? Tego było za dużo. Gdyby Harvey powiedział szeryfowi o tym potworze, pewnie by został wyśmiany.

Przeszli korytarzem z bronią w pogotowiu. Zaglądali za każde mijane drzwi, licząc się z tym, że mogą zostać zaatakowani – na szczęście do niczego takiego nie doszło. Mijali toalety dla pracowników i gości, skromne, ale gustownie urządzone. Magazynki i składziki, zagracone i zakurzone ponad wszelką miarę, tak jakby nikt z nich nie korzystał od dawien dawna.

W jednym z nich dostrzegli jednak smugę na podłodze świadczącą o w miarę regularnych odwiedzinach.

Nie mogli jednak spędzić tam tyle czasu, ile by chcieli. Musieli się spieszyć, więc stanęli przed drzwiami prowadzącymi do schodów, na piętro, do gabinetu Foster'a i pozostałych pomieszczeń.

– Pan przodem – powiedział szeryf, kładąc dłoń na klamce.

– Boże dopomóż – szepnął Harvey, robiąc krok do przodu. Szedł powoli, ostrożnie, pochylony przy jednej ze ścian. Broń miał wycelowaną pod nogi. Nasłuchiwał, skradał się i modlił, by nikt go nie zaskoczył. Kiedy dotarł do szczytu schodów, odetchnął z ulgą. Było pusto i cicho.

Zbyt cicho, jak się okazało.

Dał znać szeryfowi.

Szybko i sprawnie sprawdzali pokoje – były otwarte, ale puste, tak jakby dopiero ktoś zaczynał je porządkować. Meble przykryto płachtami materiału, w kątach stały skrzynie i pudła. Wyjątek stanowiło biuro Foster'a; nie tracąc czasu, bo przecież nie mieli go dużo, przetrząsnęli biurko, szafki. Nie znaleźli nic podejrzanego, dopóki Harvey nie spojrzął na obrazy. Wahał się tylko chwilę, a gdy zaczął je ściągać, odkrył schowki podobne do tych w domu świętej pamięci siostry Mosesa.

Różniły się rozmiarem i świadczyły o arogancji Fostera. Nie przypominały sejfu, to po prostu dziury w ścianie wyłożone drewnem. Pełne pieniędzy, biżuterii i, o zgrozo, drewnianych figurek-łapaczy, takich samych, jak te w lesie. W jednej skrytce Sullivan znalazł nawet stos fotografii będący ostatecznym dowodem na to, że „Elk” był siedliskiem zła.

Na każdym zdjęciu widniała zaginiona dziewczyna. Każda fotografia została przekreślona czymś brunatnym, co po bliższym przyjrzeniu się musiało być krwią. Każdą, oprócz jednej, znaczyły takie plamy.

Ręce zadrzały Sullivanowi, gdy ujrzał twarz Patty Flynt. Czyżby Patricia, od poszukiwania której Harvey wplątał się w ten cały koszmar, nie została zamordowana, tak jak przypuszczał? Jej fotografii nie brudziła posoka, ale co to znaczyło? Detektyw nie wiedział.

– Boże drogi, Sullivan – rzucił Stevens, zaglądając mu przez ramię. – Przecież to są...

– Tak – jęknął Stevens.

– Każda jest przekreślona. Każda oprócz...

– Oprócz Patty.

– Nie widzę tu zdjęcia Betty – odparł z wyczuwalną ulgą szeryf.

– Ona żyje, jest u Arethy – odrzekł tamten. – Zresztą oni porywali i zabijali tylko w czasie pełni – dodał po chwili.

– Co? U tej... u grubej Arethy? Dlaczego?

– Nieważne, szeryfie.

– Po części ma pan rację, nie jest to teraz ważne, ale... ach, mniejsza z tym. Gdzie jest Foster? Gdzie reszta tych ludzi? Przecież nie mogli uciec... „Elk” ma tylko dwa wejścia. Od frontu atakowałem ja, Cole i Doug, z tyłu pan i Thomas...

– Boże! Magazyn.

– Słucham?

– W składziku, na podłodze. Tam musi być zejście do piwnic.

– Nie, piwnice są pod kuchnią.

– To może...

– Szlag! – warknął szeryf, zdając sobie sprawę, że popełnił błąd. Smuga, jaką dostrzegli wcześniej, mogła faktycznie wydawać się tylko tym. Smugą na podłodze. Śladem w kurzu, niczym więcej. Z drugiej jednak strony to mogło znaczyć coś więcej. Stevens wcisnął do kieszeni drewnianą figurkę, nie kryjąc przy tym swojego obrzydzenia i wybiegł na korytarz.

Spanikowali zaczęli przerzucać pudła, kartony, skrzynie, aż w końcu dotarli do masywnej klapy w podłodze. Wyglądała na starą, starszą niż wszystko, co znajdowało się w klubie – szeryf zaklął cicho. Bez wątplenia zrozumiał, dokąd prowadzi. I, niestety, nie do piwnic. Splunął w dłonie, pochylił się i zaczął podnosić ciężkie drewno.

– To zejście do pieprzonych tuneli przemytników – sapnął, gdy Harvey chwycił z drugiej strony. – Za prohibicji często tędy łązili. Bezpieczne przejście, rozumie pan. Wchodziłeś tu i wychodziłeś gdzieś w lesie, koło tartaku chyba.

– Boże, nie...

– Tak, panie Sullivan – odetchnął, gdy kłapa została otwarta. Z wnętrza docierał zapach wilgotnej ziemi, nieprzyjemna stęchlizna i coś jeszcze; coś, czego nie potrafili rozpoznać: kwaśny, ale ledwo wyczuwalny aromat. Wąskie zejście i strome schody nie zachęcały, ale Harvey i Frank musieli ruszyć na dół. Gdzieś tam przebywał Foster.

Ogarnęła ich ciemność. Panował tu chłód.

Sullivan pomacał się po kieszeniach i szybko zamienił colta na zapalniczkę. Słaby, rozredrgany płomień rozjarzył fragment tunelu; pod ścianami, niedbale wzmocnionymi stemplami, dało się dostrzec stare skrzynie, deski; narzędzia, najpewniej skradzione ze sklepu żelaznego albo i samego tartaku. Obok nich, na zamocowanych przy stemplach wieszakach, wisiało pół tuzina niby mnisich szat, habitów, białych jak mleko. Harvey ostrożnie zajrzał do jednej ze skrzyń i zbladł; w środku leżał stos pustych masek.

Sam środek tunelu natomiast wyłożono kamiennymi płytami i wąskimi deskami, ułatwiającymi poruszanie się. Pod sufitem, wbite w ziemię, tkwiły haki, na których wisiały lampy naftowe. Teraz, oczywiście, zgaszone.

Harvey mimo to zdjął jedną i przez chwilę gmerał przy mechanizmie, aż w końcu udało się zapalić płomyk. Blask zalał znacznie większą część tunelu; wraz z szeryfem puścił się biegiem, doskonale zdając sobie sprawę, że światło jest ryzykowne. Widział drogę, ale sam też stawał się widoczny. W końcu jednak oddał lampę szeryfowi; sam miał strzelbę, wymarzoną broń do walki w tunelach.

Kolejna pieczęć rozjarzyła się nienaturalnym, wewnętrznym blaskiem.

Nikt nie zwracał jednak na to uwagi. Monstrum zostało schwymane w pułapkę i mimo kolejnych prób zerwania więzi nie miało szans na uwolnienie. Cokolwiek naprawdę zrobiła Darrow, działało, ale zeszło na drugi plan. Wszyscy – Kathryn, Ephraim, Joe – zajęli się Heather.

Ciężarna zaczęła rodzić i teraz, leżąc na tylnej kanapie chevroleta, wyła z bólu, z trudem łapała oddech. Darrow robiła, co mogła, ale daleko jej do ideału; znała teorię, nie miała praktyki. Potrafiła doradzić, mogła pomóc, ale brakowało jej jednak odpowiednich umiejętności. Zresztą, znacznie więcej wiedziała na temat usuwania ciąży niż doprowadzania do jej szczęśliwego końca.

Czekali.

Heather cierpiała od dłuższego czasu nie dlatego, że przez przeziębienie ciało nie mogło poradzić sobie z ciążą i chorobą. Zbliżał się poród, po prostu. Kathryn pluła sobie w brodę, że nie rozpoznała sytuacji, że naraziła przyszłą matkę na takie niebezpieczeństwo, ale teraz robiła, co mogła, by naprawić błąd.

Joe i Ephraim, nie wiedząc zbytnio, co robić, po prostu stali z boku. Zakłopotani, zawstydzeni. Holland nawet zdjął okulary i odwrócił się, nie chcąc patrzeć na obnażone łono Heather; Bell doceniał ten gest. A jednocześnie wściekał się na Darrow, że namówiła żonę na wycieczkę do lasu.

– Pani Bell, Heather, kochanie – mówiła Kathryn. – Musimy jechać do szpitala. Nie wiem, czy zdążymy, ale nie możemy ryzykować. W Susquehanna doktor Young by raz dwa sobie poradził, ale ja... No, przykro mi. Mamy najwyżej parę godzin – stęknęła, nachylając się nad blondynką. Joe nie widział dokładnie, co robi. Nie chciał widzieć ani wiedzieć, ale gdy słyszał jęk żony, coś w nim pękało. Chciał rzucić się i pomóc ukochanej, ale nie wiedział jak.

A jak na ironię dosłownie obok kręciło się jakieś monstrum.

– Jedźcie – rzucił cicho Ephraim, zakładając z powrotem okulary. – Nie wyrwie się, ręczę za to głową, a bez ofiar prędzej czy później wróci do... no, do swojego planu, swojej

rzeczywistości, jak zwał tak zwał. Zostanę, przypilnuję, zrobię jeszcze jeden krąg, dla pewności – wyjaśnił, wskazując na spętanego potwora. Boże, jak to brzmiało! To nie dzięki zwierzę zamknięte w klatce, tylko coś znacznie gorszego! Nic dziwnego, że Holland wolał zostać i upewnić się, że wszystko jest należycie przygotowane.

– Nie zostaniesz – syknęła Darrow, rzucając bibliotekarzowi nienawistne spojrzenie. – Jedziemy wszyscy. Heather w każdej chwili może urodzić! Za pięć minut, za godzinę, za dwie! Heather, kochanie, oddychaj. Głęboki wdech, tak, dobrze.

– Niedobrze mi – jęknęła ciężarna, z trudem tłumiąc beknięcie. Przyłożyła dłoń do ust, tak jakby miała zaraz zwymiotować.

– Panie Holland, jest pan tego pewien? Chce pan zostać sam z... – Joe wskazał głową na miotające się w niewidzialnej klatce monstrum.

– Tak. Boję się, oczywiście, ale mam wrażenie, że to mój obowiązek.

– Ephraim... – zaczęła Kathryn, ale bibliotekarz tylko machnął ręką.

– No dobrze. Nie pozwolę, by moja żona rodziła tuż obok... obok tego... obok tego czegoś. Będę prowadził. Powoli i ostrożnie, obiecuję. Proszę, jedźmy już stąd.

– Heather? Dasz radę? – zapytała Kathryn, poddając się. – Przesunę cię trochę do środka, dobrze? Będę tuż obok, cały czas. Twój mąż też będzie obok, nie zostawimy cię, rozumiesz? – Nie odpowiedziała. Wydała z siebie trudny do określenia jęk, ale skinęła słabo głową. To wystarczyło.

Joe usiadł za kierownicą chevroleta. Odczekał kilka chwil, aż Kathryn i jego żona zajmą w miarę komfortowe pozycje z tyłu; a nuż Ephraim jednak zmieni zdanie i usiądzie obok niego?

Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Holland wyjął tylko z auta kilka kolejnych tajemniczo wyglądających przedmiotów i pomachał na pożegnanie. Przy pomocy mniejszego szpadla zaczął wykopywać kolejne dołki, do których wkładał małe, kanciaste kamyczki z wyżłobionymi runami.

Bell ostrożnie wrzucił bieg. Silnik zawarczał, niby potężny kot cieszący się z pieszczot, i gładko ruszył do przodu. Różnica między jego starym fordem a tym automobilem była kolosalna i nawet mimo traumatycznych przeżyć (i zmoczonych spodni) potrafił docenić, jakim cudem przyszło mu kierować.

Chciał docisnąć pedał gazu. Boże, pragnął tego, ale bał się ryzyka, że coś może się stać Heather. Lawirował więc między drzewami, starał się trzymać ścieżki i unikać wystających korzeni, by zapewnić pasażerom maksimum komfortu. Uważał się za dobrego kierowcę, spędził za kółkiem mnóstwo godzin, ale w obecnej sytuacji wszystkie jego umiejętności zdają się na nic.

Minęła prawie godzina, zanim chevrolet zdołał wyjechać z leśnego gąszczu na tereny bezpośrednio związane z tartakiem. Wszyscy poza Heather przywitani z ulgą w miarę równy teren i żwir; dla ciężarnej nie było różnicy, czy jedzie po gładkim asfalcie, po nierównych, leśnym wertepach czy właśnie po zwyczajnej ścieżce wysypanej niedbale żwirem.

Joe mógł w końcu przyspieszyć. Do szpitala było jednak daleko... Bardzo daleko.

– Boże, daleko jeszcze? – jęknął Harvey, tłumiąc kaszel. I on, i szeryf szli podziemnymi tunelami kolejny kwadrans i wściekali się, że postąpili tak nierozsądnie. Niby sprawdzili „White Elk” i posłali Douga z aresztowanymi, ale gdy zeszli pod ziemię... ich plan się rozmył.

Przynajmniej takie mogli odnieść wrażenie, bo gdy minęły kolejne długie minuty, dostrzegli, że tunel się zwęża. Staje się niższy, nierówny, wolny od skrzyń i stempli. Na pierwszy rzut oka widać, że strop się zawalił, grzebiąc dalszą drogę i wyjście na powierzchnię; trudno jednak powiedzieć, czy to wina niepoprawnie ustawionych stempli czy czegoś innego.

Ogrom ziemi i kamieni blokował dalszą drogę w znacznym stopniu. Widać, jak członkowie sekty próbowali oczyścić przejście; zamiast skrzyń i pudeł, stały tutaj łopaty, kilofy i wiklinowe kosze na ziemię, piach i kamienie, ale szło im to bardzo opornie.

Kiedy jednak szeryf przyjrzał się lepiej zwałom ziemi, zaklął szpetnie i kopnął ze złości najbliższą grudę. Potem rękoma odgarnął kolejne połączenie ziemi, odsłaniając wąziutką, ale zdatną do przejścia drogę. Sullivan zbladł, widząc, że zostali wprowadzeni w błąd. Tunel owszem, częściowo się zawalił, ale kultuści najwyraźniej zdołali go nie tylko odgruzować, ale i zabezpieczyć!

Szeryf przedostał się na drugą stronę. Znow zaklął, ale moment później jęknął zawiedziony.

– Co? – zapytał Sullivan, przeciskając się między ziemią.

– Uciekli.

– O czym pan mówi? – westchnął detektyw, podnosząc wzrok. Tuż przed nimi, nad ich głowami, widniała kłapa, wzmocniona kolejnymi stemplami i grubymi deskami. Obok leżała nieduża, acz wystarczająca drabina, ale nie to zmartwiło stróżów prawa. Kłapę bowiem zabezpieczał gruby, masywny łańcuch z solidną kłódką.

Problem w tym, że kłódka była otwarta, a łańcuch po prostu swobodnie zwisał.

– Dokąd ten tunel prowadzi? Mówił pan, że gdzieś za miasto?

– Za prohibicji wyjście mieściło się gdzieś za tartakiem. Teraz nie wiem, może Daugherty ogroził więcej terenu albo co... Pan pomoże, panie Sullivan – odrzekł szeryf, wspinając się po drabinie. Naparł barkiem na kłapę, ale ta ledwo drgnęła. Gestem zachęcił więc detektywa, by mu pomógł.

Wspólnymi siłami zdołali podnieść kłapę. Ostrożnie ją położyli, bo gdyby upadła z łoskotem, z pewnością wszyscy w okolicy by się o tym dowiedzieli. Z drugiej jednak strony faktycznie znajdowali się za miastem. Na terenie tartaku, praktycznie w lesie. Widzieli wysokie ogrodzenie, masywne hale, niskie baraki, w tym kilka murowanych budynków; ogrom leżących, stopniowo pożeranych przez naturę pni i powalonych drzew, jeszcze z gałęziami.

– Boże – szepnął Sullivan, wychodząc pierwszy. – Uciekli? – Ponownie sięgnął po pistolet, teraz strzelba była bezużyteczna.

– Hm... Brama jest zamknięta od środka, pan spojrz. – Wskazał ręką. Harvey przez chwilę patrzył na zwieńczoną drutem bramę, a gdy podniósł wzrok i dostrzegł korony drzew, strzeliste sosny poruszane wiatrem, mimowolnie się wzdrygnął. Stevens to zauważył.

– Panie Sullivan?

– Wszystko w porządku, szeryfie – westchnął, przenosząc wzrok na hale i magazyny, baraki. Przez chwilę przyglądał się im w milczeniu, a potem lekko uśmiechnął. – Słyszysz pan?

– Wolałbym nie – odrzekł tamten. – Ruszajmy. – Podjął decyzję. Stróż prawa słyszeł niepokojący szepot, przegradzający się w trudny do zrozumienia zaśpiew dochodzący z jednego z baraków. Truchtem przebiegli przez tartak, dopadli do murowanej ściany. Śpiew był znacznie

wyraźniejszy; słyszeli z pół tuzina głosów, jeśli nie więcej. Stevens jęknął, zdając sobie sprawę, że sekta ma przewagę liczebną.

Splótnł jednak dłonie, by móc podsadzić Harveya do okienka. Detektyw skinął głową, wspiął się po szeryfie, a potem zamarł przerażony.

Sullivan czuł się tak, jakby znowu Powell dał mu w łeb. Na ziemi leżała bowiem naga blondynka, z wyraźnie zarysowanym brzuchem; ręce i nogi miała rozciągnięte i spętane sznurem, jej długie włosy rozczapierały się niby korona. Dopiero po chwili zrozumiała, na kogo patrzy, a wtedy serce ścisnęło mu żal i ból.

Na podłodze baraku leżała Patricia Flynt.

Wokoło niej płaśtało pół tuzina tancerek w białych szatach i z pustymi, bezosobowymi maskami na twarzach. Za nimi, za tym upiornym, obrzydliwym obrazem, stał sam Foster w dziwacznej, utkanej z gałęzi i korzeni koronie z porożem, w zdobionej, białej szacie przywodzącej na myśl strój członka Ku Klux Klanu.

Na jego szyi widniał łańcuszek z kluczykiem, niewątpliwie pasującym do kłódki oraz drewniana figurka-łapacz obwiązana czymś, co wyglądało na różnokolorowe włosy. Mężczyzna nieustannie poruszał ustami i to wznosząc, to opuszczając ręce, wydawał się być bluźnierczą parodią księdza odprawiającego mszę świętą.

Sullivan poczuł mdłości. Skojarzenia z rytuałami Darrow były oczywiste, ale widział też różnice. Kathryn, choć babrała się we krwi i grzeszyła, robiła to z konieczności, z pokrętnego poczucia obowiązku i potrzeby naprawienia zła. Rozumiał ją, choć do końca nie popierał.

Ale Foster?

Harvey spojrzął na leżącą na ziemi Patty otoczoną wielokątnym, skomplikowanym kręgiem pełnym niezrozumiałych, budzących jednakże niepokój symboli. Różnice między tym, co widział w tartaku, a tym, co tworzyli Kathryn i Ephraim, wydawały się kolosalne. Jak dzieło uznanego artysty, jakim musiał być Foster, i nieudolnego naśladowcy, czyli samej Darrow. To, co robiła pielęgniarka, miało jasno określony cel, konkretną funkcję. Pieczęcie Fostera przeciwnie, stanowiły dzieło sztuki, misterne i imponujące, przykuwające wzrok i powodujące nieprzyjemne odczucia trudnej do wyjaśnienia grozy.

Na podłodze i na ścianach znaki i symbole wiły się niby węże, a wielokąty oraz proste linie krzyżowały się i przecinały, tworząc skomplikowane, niemal trójwymiarowe wzory. Harvey nie wiedział, czy to wszystko jest prawdziwe, czy faktycznie pieczęcie zdają się wychodzić z ziemi, czy to tylko zwyczajne złudzenie optyczne.

Odwrócił wzrok, nie chciał na to patrzeć.

– Są tam – wyszeptał trzęsącym się głosem. – Wszyscy. Foster, tancerki z „White Elk”, nawet Flynt.

– Patricia? Więc jej nie zabili? – W głosie szeryfa Sullivan usłyszał ulgę.

– Tak! Musimy tam wejść, natychmiast.

– Nie mają broni? Nic takiego?

– Nie, to zwykły barak mieszkalny dla drwali... To znaczy tak mi się wydaje. Usunęli wszystko. Są tylko ci ludzie, sznury i jakieś pudła, skrzynie. Nie widziałem broni.

– No dobrze... ruszajmy. – Szeryf podjął decyzję. Przemknął do drzwi, chwycił ostrożnie klamkę i powoli ją nacisnął. Zaśpiew natychmiast przybrał na sile. Stevens nie zamierzał tracić czasu i wystrzelił w powietrze.

– Wszyscy na ziemię! – wrzasnęła Sullivan.

– Jesteście aresztowani! W imieniu prawa! Przerwijcie ten cyrk, do ciężkiej i niesprawiedliwej cholery! – zawołał Stevens, a dla lepszego efektu wypalił po raz wtóry z rewolweru. Huk wystrzału, nawet z tak małego kalibru, rozbrzmiał aż nazbyt głośno, nieprzyjemnie. Wszyscy jak jeden mąż pisnęli ze strachu, padając na podłogę.

Nawet Foster, aczkolwiek on już po chwili się podniósł. Potem wstała jedna z tancerek, a gdy zdjęła maskę, ukazała się wykrzywiona w grymasie twarz Dory. Kim ona naprawdę była, nie wiedział, nie chciał wiedzieć, ale sama jej obecność napełniała detektywa lękiem.

Flynt natomiast... cóż, była młodzianka i przerażona. Nie płakała, o dziwo; na jej bladej, dziecięcej niemalże twarzy widniały jednak ślady po łzach, oczy miała zaczerwienione, a usta knebłował kawałek czarnego, chropowatego drewna, budzącego jednoznaczne skojarzenia z monstrem z lasu.

Więzy krępowały ją na tyle dobrze, że nie mogła się ruszyć. Ramiona miała wyciągnięte nad głowę, a konopny, twardy i szorstki sznur pętał jej nadgarstki i kostki, ocierając delikatną skórę niemalże do krwi. Gdy dziewczyna się poruszyła, Harvey dostrzegł, że leży na czymś w rodzaju drewnianej ramy łóżka pełnej skomplikowanych, kanciastych pieczęci i niezrozumiałych symboli.

– Nie ruszajcie się – warknął Harvey.

– Pan Sullivan, pan Stevens – zaczął Foster, robiąc krok do przodu. Dorothy wyprostowała się dumna. Oparła nawet dłoń na biodrze w zalotny, specyficzny sposób, kojarzący się jednoznacznie z damami negocjowalnego afektu. Pozostałe tancerki wydawały się być zagubione.

– James, nie zmuszaj mnie, żebym znowu wystrzelił – odrzekł szeryf. – Ty i cała ta banda jesteście aresztowani. Większość pracowników „Elk” jest martwa. To koniec.

– Koniec, szeryfie? – zakpił Foster, zerkając na leżącą na ziemi Patty. Jęknęła i spróbowała się podnieść, ale była związana, spętana sznurem uniemożliwiającym jakichkolwiek ruch. Mogła tylko rzucać się jak ryba na brzegu Susquehanna.

– Nie waż się – rzucił Sullivan, celując w Dorothy. – Wiem, coście za jedni, co tu robicie. Błuznicie przeciwko Bogu, łamiecie prawo boskie i ludzkie. – Dora cofnęła się o krok, ale z jej twarzy nie schodził uśmiech.

– Będziesz się tłumaczył w sądzie, James. Może pozwolą ci wybrać: stryżek czy krzesło. Panie Sullivan, niech pan go skuje. Resztę zwiążemy liną, jest tu jej od cholery – zaczął Stevens, podchodząc bliżej.

– Nie robię nic złego, szeryfie. Konstytucja gwarantuje mi swobodę wyznania, wypowiedzi, ziemię przecież kupiłem legalnie, mam na to dokumenty, Ben Daugherty zresztą jest współwłaścicielem klubu, a teren, na którym obecnie się znajdujemy, należy do niego. To pan wtargnął na prywatną posesję. To pan złamał prawo, nie ja. Czy kogoś zabiłem? Skrzywdziłem? Ukradłem coś? Owszem, przeszliśmy tutaj tunelem, który wykorzystywano w czasie prohibicji, ale ustawę Volsteada uchylono.

– Ben? – szepnął Harvey, nie dowierając. Owszem, widział go w „White Elk”, ale nie brał pod uwagę, że może być częścią sekty!

– Jesteś odpowiedzialny za porwania.

– Przed tobą leży Patty! – wyrwało się detektywowi.

– Panna Flynt leży, owszem, ale jest tutaj z własnej woli. Tak samo jak wszystkie pozostałe. Nikogo do niczego nie zmuszałem.

– Bo uwierzę – wycedził Harvey.

– Jest pan wierzący, prawda, panie Sullivan? Ja też taki byłem, ale gdy obserwowałem, jak moi przyjaciele giną... umierają jak psy w okopach... zacząłem wątpić. Zacząłem się zastanawiać, gdzie był Bóg, ten miłosierny, kochający, czuły Ojciec. I wie pan co? Zrozumiałem, że Ojciec ma nas gdzieś. To nie Ojciec mi pomógł, tylko Matka.

¹⁰ H.P. Lovecraft, pisarz opowieści grozy, zmarły w 1937 roku w Providence; za życia jego twórczość nie cieszyła się uznaniem krytyków.

Rozdział 30

– Och, wreszcie – sapnęła z ulgą Joe. Wyjechali z lasu, pod kołami chevroleta rozpościerała się asfaltowa, równiutka wstęga. Do Pine Hills już niedaleko. Heather jęczała na tylnej kanapie coraz głośniej, sapała i dyszała, a przy tym wyła z bólu. Kathryn robiła, co mogła, by uspokoić ciężarną, ale natury nie da się oszukać. Blondynka niebawem urodzi.

Godzina w tę, godzina we w tę, to nie miało znaczenia.

– Boże, Joe, to tak bardzo boli! Proszę, zatrzymaj się, zaraz zwymiotuję!

– Spokojnie, pani Bell. To tylko skurcze. Są coraz częstsze, mocniejsze, ale jeszcze pani nie rodzi. Musisz wytrzymać, kochanie.

– Chryste, co tu robią stanowi? – zawołał nagle Bell. Dotarli do pierwszego skrzyżowania; przed maską chevroleta dosłownie przemknęły automobile policji stanowej. Najwyraźniej Harvey zdołał przekonać szeryfa, jak poważna jest sytuacja, i wezwano wsparcie.

– Przyjechali do „Elk” – oznajmiła Kathryn, nie patrząc nawet na drogę. Teraz, gdy znaleźli się już na obrzeżach Pine Hills, Joe mógł jechać prosto do szpitala. Znał miasteczko, kojarzył, które ulice mogą być zatłoczone, gdzie ruch jest większy, gdzie mniejszy. Sprawnie wyprzedzał innych uczestników ruchu drogowego, a gdy wreszcie dostrzegł gmach szpitala Susquehanna General, pozwolił sobie na chwilę triumfalnego śmiechu.

Podjechał bliżej i wybiegł natychmiast, nie gasząc silnika. Czuł się źle, że zostawił żonę z obcą w gruncie rzeczy kobietą, ale nie miał wyjścia. Kathryn pracowała jako pielęgniarka, w razie czego mogła jakoś pomóc Heather – on przeciwnie. Nie miał wiedzy, umiejętności, dlatego wpadł jak burza do Susquehanna General, zaczął pierwszą dyżurującą kobietę i powiedział, co i jak.

W ciągu kilku kolejnych minut Heather znalazła się w budynku otoczona wianuszkami pielęgniarek. Doktor Young, położnik, miał się pojawić lada moment. Joe pozwolił więc sobie na chwilę relaksu – a przynajmniej próbował się zrelaksować. Nie mógł bowiem wejść do sali, do której trafiła jego żona.

Zapalił papierosa.

– Wszystko będzie dobrze, panie Bell – odparła Kathryn, stając obok. – Pana żona jest w dobrych rękach, ale minie jeszcze co najmniej godzina... albo kilka... zanim urodzi – próbowała go uspokoić. Stali na zewnątrz, tuż przy wejściu do szpitala. Patrzyli na widniejące w oddali szczyty drzew; korony sosen, jodeł i dębów. Te lasy kryły w sobie mroczny sekret. Gdzieś tam miały miejsce okrutne wydarzenia, podczas których przelewano krew niewinnych ku chwale... nie wiadomo nawet, czego dokładnie.

Matka, czymkolwiek była, próbowała się wedrzeć do tego świata. Sekta z „White Elk” jej pomagała. Manifestacja, ten obrzydliwy, na poły żywy i martwy potwór z drzewa, została jednak spętana. Tak przynajmniej wyglądało to z perspektywy dziennikarza.

– Boże, nie wierzę, że to się dzieje.

– Poród to naturalna rzecz.

– Tak, wiem, ale... nie chodzi mi o to. Ta sekta, to coś w lesie, te wszystkie rytuały, czary i magia... Trudno mi w to uwierzyć. Widziałem na własne oczy rzeczy, o których można przeczytać w tych tanich pisemkach, robiłem zdjęcia... Nie wiem nawet, co to jest! To

wszystko mnie przytłacza. Teraz tym bardziej nie wyobrażam sobie siebie w roli ojca. Ani Heather jako matki. Nie jesteśmy na to gotowi, nie po tym... wszystkim.

– Nikt nie jest gotowy, panie Bell. To przychodzi z czasem. Czułam się dokładnie tak, jak pan, gdy po raz pierwszy zetknęłam się z... och, nie wiem nawet, jak to opisać.

– Z drugim dnem? Z prawdziwym światem? Z mrokiem?

– Tak, można tak powiedzieć. W każdym razie powinien być pan dumny, że stracił pan tylko panowanie nad pęcherzem. Widziałam mężczyzn... weteranów wojennych... którzy strzelali sobie w łeb w podobnej sytuacji.

– To mnie pani pocieszyła.

– Staram się. I... bez urazy, ale mamy ważniejsze rzeczy na głowie niż poród pańskiej żony. – Zmieniła temat, spoglądając w stronę szczytów drzew.

– Tak, wiem – zgodził się niechętnie Joe. – Pan Holland da sobie radę? Jest tam sam i w ogóle.

– Tak.

– A jeśli...

– Da sobie radę – ucięła, nie pozwalając mu dokończyć wypowiedzi. – Ephraimowi brakuje praktyki, ale ma wiedzę. Wie, co robić, a pieczęcie wytrzymają. Zresztą sam chciał tam zostać i dodatkowo wzmocnić więzy!

– Oby miała pani rację.

– Mam – powiedziała z uśmiechem. – Muszę mieć. Chodźmy do środka, panie Bell. Napijemy się kawy. Teraz możemy tylko czekać – zakończyła, ale nie powiedziała, na co naprawdę mają czekać. Na narodziny dziecka? Na powrót Ephraima?

Nad Pine Hills zaczęły się zbierać ciemne chmury zwiastujące kolejny tej jesieni ulewny deszcz. Ephraim Holland, krążąc na obrzeżach nienaturalnie wypalonej, suchej polany, kłął pod nosem na pogarszającą się pogodę i spętanego potwora. Monstrum nie dawało za wygraną i raz za razem szturmowało barierę, próbując się uwolnić.

Każdorazowy szturm wywoływał u bibliotekarza ciarki na plecach. Przyprawiał go o szybsze bicie serca. Nie mógł się jednak poddać, nie teraz. Więc rzucał tylko nienawistne spojrzenie tej koszarnej postaci i wracał do pracy z jeszcze większym zapałem. Starął się ignorować narastające wycie wewnątrz czaszki, ale im dłużej przebywał w towarzystwie monstrum, tym gorzej się czuł. Zaczynał tracić koncentrację. Irytował się. Bał.

Więzy, którymi spętano manifestację, wykonano naprawdę solidnie i powinny wytrzymać do czasu, dopóki bestia straci siły i połączenie z naszym, ludzkim światem. Bibliotekarz nie zwlekał, nie marnował czasu i dzierżąc nóż Kathryn, przy pomocy własnej krwi stawiał dodatkowe zabezpieczenia. Kreślił na piachu kolejne kręgi i pieczęcie, rył w pniach pobliskich drzew, smarował własną posoką runy i symbole, mamrotał pod nosem słowa modlitwy będącej czymś w rodzaju zaklęcia.

Robił wszystko, by naprawić błędy. By powstrzymać zło.

Tak samo postępował szeryf Frank Stevens. Towarzyszący mu prywatny detektyw, Harvey Sullivan, walczył z własną odrzą względem tak jawnego sprzeciwu wobec Pisma i litery

prawa. Najchętniej to, zgodnie ze starotestamentowym prawem, odstrzeliłby każdego winnego, ku chwale Pana, ale nie mógł tego zrobić.

Kończył właśnie wiązać ostatnią z tancerek. Zerwali im wszystkim maski. Chuda dziewczyna, którą z pewnością widział podczas jednej z mszy w Świętym Janie – na samo wspomnienie czuł mdłości! – rzuciła mu pogardliwe spojrzenie. Przez jedną krótką chwilę Sullivan dostrzegł w jej oczach błysk prawdziwej czerni, głębokiego mroku, tak pełnego złości i agresji, że aż poczuł dreszcze na plecach.

Szeryf uderzył ponownie Fostera. Skuty kajdankami miejski krezus nie stanowił zagrożenia. Miotał się i rzucał tylko raz: gdy Stevens zdjął mu drewnianą koronę z głowy. Wszystko, co mówił, krążyło wokół wiary i tego, jaki to z niego porządny i niewinny człowiek.

– Masz coś jeszcze do powiedzenia, Foster? – wycedził Harvey, odchodząc od spętanych tancerek. Jedynie Dorothy się odwróciła, szczerząc zęby w agresywnej parodii uśmiechu. Foster wzruszył ramionami.

– Tak – zaczął. – Popamięcie błęd. Ogromny błąd.

– Czyli nic nowego.

– Módl się, żebyś trafił na stryżek. Szybsza śmierć – rzucił ponuro szeryf, kucając przy Patty. Dopiero teraz, gdy wszelkie niebezpieczeństwo zostało zażegnane, mógł się zająć porwaną. Zdjął nawet własną, mundurową kurtkę, by biedna dziewczyna mogła się czymś okryć.

Kiedy tylko rozsupłał jej więzy i wyjął knebel, Flynt rzuciła się na szeryfa. Przytuliła się do niego jak do własnego ojca i zaczęła płakać, a wkrótce i zanosić przeraźliwym szlochem.

– Nie obawiam się śmierci, szeryfie. To tylko zmiana jednego stanu, przejście ze świata fizycznego do duchowego. Połączę się z Matką, tak czy inaczej.

– O czym ty pieprzysz? – rzucił wściekły Harvey.

– Panie Sullivan, pan nic nie rozumie, prawda? Jest pan tak ślepo zapatrzony w swojego Jezusa, który nawet palcem nie kiwnął, by pomóc podczas wielkiej wojny, by jej zapobiec, że nie widzi pan rzeczy oczywistych!

– Jak śmiesz...

– Harvey! – syknął szeryf.

– Ja i moi akolici chcieliśmy sprowadzić tu Matkę – Foster zaczął tonem nauczyciela tłumaczącego zagadnienie uczniom. – Chcieliśmy się z nią połączyć, stać się jednością, zyskać absolutną wolność od trosk i zmartwień. Prawie nam się udało, ale skoro chcecie mnie zabić, śmiało. Skoro Matka nie przyjdzie do mnie, to ja pójdę do niej! Nie boję się śmierci! Śmierć będzie dla mnie wybawieniem!

– Bredzisz, Foster.

– Bredzę? Ja? A czymże różni się to, co robię, od tego, co robisz ty? Twój księża? Macie obiecane zbawienie, raj, prawda? Spożywacie krew i ciało Jezusa, czyż nie? To jest nic innego jak symboliczny, rytualny kanibalizm! Modlicie się tak samo jak ja, odprawiacie rytuały tak jak ja, składacie ofiary jak ja! Jedyne różnice są takie, że ja, że my wszyscy wierni Matce, naprawdę wierzymy! Nie korzystamy z symboli, nie udajemy, że wino to krew, a chleb to ciało. I zostajemy wynagrodzeni! Doświadczamy jej obecności! Manifestacji! Widzimy ją, czujemy! A ty, Harvey? Ty, Frank? Wierzycie, ale nie macie nic w zamian. Nic poza pustymi obietnicami, obietnicami bez pokrycia. Bez dowodu! Słowa to wszystko, na co stać waszą przekłętą religię! – zaczął mówić coraz głośniej, by w końcu krzyczeć. Tancerki, które dotychczas

grzecznie kucaly związane pod sciana, zaczely spiewac w nieznanym, acz niezbyt przyjemnie brzmiacym jezyku.

Patty jęknęła i skuliła się, rzucając jedno samotne spojrzenie w stronę Fostera. Szeryf przytulił ją mocniej, ale się nie odzywał. Spojrzał tylko na detektywa, potem przeniósł wzrok na rozwrzeszczanego bogacza – chciał go wyśmiać, poniżyć, wykrzyzczyć, że pieprzy bez sensu. Stevens jednak czuł, że to, co mówi, układa się w spójną całość.

Sullivan jednakże, walcząc z całym sobą, nie wiedział, co odpowiedzieć.

Foster mówił celnie, szczerze. Wskazywał na wiarę z innego punktu widzenia, kogoś doświadczonego, kto przeżył dosłowne piekło i odnalazł cel w swym życiu. Tak, to był straszny, okropny cel, ale jednak... jakiś cel. To on do czegoś dążył, to on chciał zmiany, to on działał. Sullivan, Stevens i inni przeciwnie. Trwali w tym samym świecie, pilnowali znanego, wadliwego przecież porządku.

– Idziemy. – Szeryf zabrał w końcu głos. – James, ty pierwszy. Potem te twoje tancerczki, ja, pan Sullivan i biedna Patty na końcu. Prosto do wyjścia, do klubu.

– Nie dasz się przekonać, szeryfie? Nie chcesz dostrzec prawdy? Rozumiem. Doskonale rozumiem, mi zajęło to lata, byłem jak... niewierny Tomasz, potrzebowałem dowodu, czegoś, co mogę dotknąć, sprawdzić.

– Och, na litość, przestań! – warknął Sullivan, popychając go. – Nie mam ochoty słuchać tych twoich bredni.

– Nie? A jednak ciągle tu pan stoi, panie Sullivan. Oferowałem panu pracę, wyciągnąłem pomocną dłoń wtedy, w gabinecie, robię to i teraz. Nie jest jeszcze za późno. Może pan do mnie dołączyć. Matka jest litościwa, choć surowa. Wybacza. Teddy doskonale o tym wiedział.

– Smithee? – zapytał idący z tyłu szeryf. – Co on ma z tym wspólnego?

– Och, dużo. To on mi pokazał, że nie jestem sam, że nie tylko do mnie odezwała się Matka i...

– Powiedziałem: zamknij się! – krzyknął Harvey, tracąc coraz bardziej panowanie nad sobą. Przed wypaleniem z colta w potylicę powstrzymywało go tylko to, że Foster był związany. Nie mógł dokonać na nim egzekucji, choćby bardzo tego chciał. Szedł więc obok szeryfa i roztrzęsionej Flynt, szepczącej coś na ucho Stevensowi. Frank zbladł, patrząc na nią jak na kogoś obcego.

Patty, ta młoda i przerażona dziewczyna, pchnęła nagle szeryfa na ścianę tuż przy wejściu i wyszarpnęła jego rewolwer. Zanim Frank zdołał jakoś zareagować, wypaliła w pierś policjanta, pociągając kilkakrotnie za spust. Huk wystrzału w tak ciasnej, niewielkiej przestrzeni przerażał; rozbłysk ognia z lufy ranił mocno oczy i na moment – na jedną, upiornie długą chwilę – oślepił.

To jednak wystarczyło. Zanim Harvey wycelował ze swojego colta, było za późno. Rozległ się kolejny huk, potem następny, a w końcu tylko suchy, słaby trzask, gdy kurek trafiał na pustą przestrzeń obracającego się bębena. Sullivan opierał się o ścianę, czując bolesną duszność i narastającą chęć odkrztuszenia flegmy zalegającej mu w gardle, w płucach.

Gdy jednak kaszlnął, zamiast flegmy wypuł własną krew.

Osunął się plecami po ścianie, a coraz większy ból ogarniał jego ciało. Cały tors miał we krwi, oddech coraz płytszy, do tego każdy okupiony nieludzkim wręcz cierpieniem. Jakby wciągał nie powietrze, ale żar z pieca. Próbował coś nawet powiedzieć, ale nie miał już sił. Ilekroć otwierał usta, pluł krwią.

Nie wierzył, że to się dzieje. Tyle czasu szukał Patty, martwił się o nią, obiecał jej siostrze, że zrobi wszystko, by odnaleźć zaginioną, a teraz miał po prostu umrzeć? I to właśnie z rąk Patty?

Zmusił się, by wyszeptać jej imię. Flynt odwróciła się od umierającego detektywa.

– Ostrzegalem, panie Sullivan – odezwał się Foster, któremu Patty właśnie zdjęła kajdanki. – Dostał pan szansę.

– Stanowi mogą na nas czekać – zabrała głos Dorothy, uwolniona z więzów. – Nie wyjdziemy stąd żywi – dodała gorzko i zajęła się rozsypywaniem sznura krępującego pozostałe tancerki.

– Wyjdziemy, policja stanowa będzie czekała w mieście, przed klubem. Nie wiedzą, że spotykaliśmy się w tartaku, a nawet jeśli... zanim tu trafią, minie dość czasu – oznajmił spokojnie Foster. – Dokończymy rytuał na polanie, pod okiem Matki, a ty, moja droga... zajmiesz miejsce u mego boku, po prawicy, tak jak Dorothy jest po lewej stronie.

Patricia zapłakała.

Płacz wypełniał też salę poporodową w szpitalu. Heather, ledwo żywa, spocona jak nigdy i obolała, tuliła do piersi wydzierające się wniebogłosy niemowlę. Poród trwał krócej niż należało się spodziewać – z rozmowy z lekarzem Joe niewiele zrozumiał, niestety. Gdyby nie stojąca obok Kathryn, pewnie dotarłoby do niego jeszcze mniej.

Obyło się bez żadnych komplikacji. Matka jest zdrowa, choć zmęczona, straciła też zbyt dużo krwi, ale lekarze nie wiedzieli dlaczego. Dziecko, malutki chłopczyk, był okazem zdrowia o płucach jak kowalskie miechy, pragnącym kontaktu z matką. Wrzeszczał, gdy tylko ktoś z personelu odsuwał go od piersi rodzicielki.

Dzięki wstawiennictwu Kathryn Joe mógł wejść na salę już teraz. Towarzyszył mu doktor Hush; lekarz bez problemu podniósł malca i podał ojcu, po czym zaczął zasypywać matkę najróżniejszymi pytaniami. Przy niektórych pomagała Darrow, tłumacząc co i jak.

Joe uśmiechnął się do syna, ale mina rzędła mu niemal natychmiast.

Miał wrażenie, że w oczkach swego dziecka dostrzegł słaby blask czerni.

Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30